

PAMIĘTNIK TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO.

Tom IV.

KRAKÓW.
NAKŁADEM TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO.
1879.

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO Z SIEDZIBĄ W KRAKOWIE.

PAMIĘTNIK
TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO.

ROK 1879.

WYDAWNICTW TOWARZYSTWA.

TOM IV.





KRAKÓW.

W DRUKARNI WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

1879.


BIBLIOTH: UNIV:
JAGELLONICAE


Biblioteka Jagiellońska
1001237069

WIELMOŻNEMU

JÓZEFOWI IGNACEMU
KRASZEWSKIEMU

SWEMU CZŁONKOWI HONOROWEMU

W PIĘCDZIESIĘCIOLETNIĄ ROCZNICĘ

UCZCZENIA PRZEZ RODAKÓW

JEGO ZASŁUG W DZIEDZINIE PISMIENNICTWA POLSKIEGO

POŚWIĘCA

TEN „PAMIĘTNIK“

TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE.



Brama Kraszewskiego

w Dolinie Kościeliskiej.

SKŁAD
TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
w dniu 25 Maja 1879 roku.

A.

I.

Wydział Towarzystwa:

Prezes:

Hr. Mieczysław Rey.

Wiceprezes:

Władysław Ludwik Anczyc.

Członkowie:

Leopold Świérz (sekretarz).
Dr. Julian Grabowski.
Dr. Alojzy Alth.
X. August Sutor.
Dr. Izydor Kopernicki.
Dr. Daniel Wierzbicki.
Mieczysław Pawlikowski.
Aleksander Bondzewicz (podsk.)
Dr. Franciszek Czerny.
Walery Eljasz.
Dr. Stanisław Smolka.
Dr. Antoni Rehman.
Henryk Wachtel.
Henryk Niewiadomski.

Delegaci Wydziału:

W Bielanach (pod Kętami): X. Jan Wirmański.
„ Bochni: Michał Szklarz.
„ Czernichowie: X. Edward Królikowski.
„ Czerniowcach: Włodzimierz Hankiewicz.
„ Droznie: Stefan Bohdanowicz.
„ Drohobyczu: Emeryk Turczyński.
„ Gorlicach: Stanisław Znamirowski.
„ Jaśle: Dr. Jan Biesiadecki.
„ „ Apolinary Przyłęcki.
„ Kętach: Zygmunt Kłodziński.
„ Krościenku nad Dunajcem: Jan Trybulec.
„ Krynicy: Zygmunt Sokołowski.
We Lwowie: Gubrynowicz i Schmidt księgarze (plac św. Ducha).
Edward Heppé.
Dr. Aleksander Hirschberg.
Feliks Pławicki.
Klemens Schnitzel (ul. Karmelicka 4).
Edward Sommer.
Franciszek Zima.
Dr. Józef Żuliński (ul. Sobieskiego 34).
W Mikułowie: Karol Miarka.
„ Nisku: Juliusz Niewiadomski.
„ Nowym Sączu: Br. Włodzimierz Lewartowski.
„ Nowym Targu: Dr. Stanisław Zawadziński.
„ Poznaniu: Dr. Teofil Kaczorowski.
„ „ Kaźmirz Kantak (Garbary 54).
„ Przemyślu: Józef Twaróg.
„ Rabce: Dr. Izydor Kopernicki.
„ Ropczycach: X. Dr. Jan Krzysiak.
„ Rzeszowie: Ignacy Schaitter.
„ Sieteszy (pod Kańczugą): Stanisław Rufin Zalasiński.
„ Skawinie: Dr. Tomasz Świérz.
„ Stryju: Czesław Pieniążek.
„ Szczawnicach: Karol Dunin Brzeziński.
„ „ Jan Zielonka.
„ Szymbarku: X. Józef Radecki.
„ Tarnopolu: Henryk Teisseyré.
W Tarnowie: Jan Kornicki.
Antoni Nieduszyński.
X. Stanisław Walczyński.
„ Uścikowie: Wincenty Arnese.
„ Wadowicach: Dr. Adolf Graczyński.
„ Warszawie: Księgarnia Gebethnera i Wolffa.
„ Wiedniu: Dr. br. Adam Budwiński.
„ Zakopanem: Dr. Ludwik Ganczarski.
„ Złoczowie: Seweryn Płachetko.
„ Żegiestowie: Karol Medwecki.

Członkowie Komisyi Zakopiańskiej:
(Ku podniesieniu kąpieli w Zakopanem i Poroninie).

Dr. Aloizy Alth. — Dr. Ludwik Ganczarski. — Dr. Julian Grabowski.

Obserwatorowie na stacyach meteorologicznych:
Por. „Wyniki Spostrzeżeń meteorologicznych".

Szkoła snycerska w Zakopanem:

Nauczyciel: Franciszek Neużil.
(Mianowany przez c. k. Ministerstwo handlu i przemysłu).

Członek Komitetu szkolnego: Dr. Ludwik Ganczarski.
(Mianowany przez Tow. Tatrzańskie).

II.

Poczet Członków:

a) Honorowych:

Arnese Wincenty, właściciel dóbr w Uścikowie.
Ball John, b. Prezes angielskiego Klubu alpejskiego, w Londynie.
Dr. Baretti Marcin, profesor, redaktor czasopisma alp. „Bolletino del Club Alpino Italiano", w Turynie.
Berzeviczy Egidyusz, Prezes węgierskiego Tow. Karpackiego, w Łomnicy.
Budden Ryszard Henryk, Prezes Oddziału włoskiego Klubu alpej., we Florencyi.
Br. Cesati Wincenty, prof., Prezes Oddziału włoskiego Klubu alp. w Neapolu.
Dr. Chałubiński Tytus, b. prof. uniwersytetu w Warszawie.
J. E. Chlumecky Jan, c. k. Minister handlu i przemysłu, w Wiedniu.
Dr. Désor E., prof. w Neuenburgu w Szwajcaryi.
Döller Antoni, major, Wiceprezes węg. Tow. Karpackiego, w Kiezmarku.
Hr. Dzieduszycki Włodzimierz, wł. dr., Członek Izby Panów, b. Marszałek sejmu krajowego we Lwowie.
Gal J. B., adwokat, Prezes Odd. włoskiego Kl. alp. w Aoście.
Kantak Kaźmirz, poseł w Poznaniu.
Kraszewski Józef Ignacy, Członek polskiej Akademii Umiejętności, w Dreznie.
Dr. Lemercier Abel, zał. i jen. Sekretarz franc. Klubu alp., w Paryżu.
Dr. Majer Józef, b. Rektor U. Jag., Poseł na sejm kraj., Pr. Ak. Um. w Krakowie.
Payer Juliusz w Wiedniu.
Dr. Petersen Teodor, b. Preses niem. i austr. Tow. alp. w Frankfurcie n. M.
Anna z hr. Działyńskich hr. Potocka w Rymanowie.
J. E. hr. Potocki Alfred, Poseł na sejm kraj., c. k. Namiestnik we Lwowie.
J. E. Sella Kwintyn, b. Minister, założ. włos. Klubu alp. w Rzymie.
Dr. Spanna Horacy, b. Prezes włoskiego Kl. alp. w Turynie.

Wittik August, b. Prezes Styryjskiego Tow. Górskiego, w Gradcu.
Zähringer Herman, b. Prezes szwaj. Kl. alp. w Lucernie.
J. E. Dr. Ziemiałkowski Floryan, c. k. Minister w Wiedniu.
Dr. Zyblikiewicz Mikołaj, adw., poseł na sejm kraj., Prezydent m. Krakowa.

b) Dożywotnich:

Arnese Wincenty, wł. d. w Uścikowie.
Hr. Branicki Konst. wł. d. w Paryżu.
Ks. Czartoryski Marceli, właściciel dr. w Krakowie.
Dobrzyński Adolf, wł. dóbr, poseł na sejm kraj., prezes Rady powiatowej w Nowym Sączu.
Hr. Dzieduszycki Włodzimierz, właść. dóbr, czł. Izby P., b. Marszałek sejmu kraj. we Lwowie.
Br. Eichborn Ludwik, wł. dóbr w Zakopanem.
Homolacz Edward, wł. d. w Gnojniku.
Hr. Husarzewska Helena w Krakowie.
Hr. Husarzewska Jadwiga w Krakowie.
Kęszycki Nałęcz Marcin. właściciel d. w Dźwiniaczce.
Kluczycki Stanisław w Krzeszowicach.
Dr. Lutostański Bolesław w Krakowie.
Machnaur Jan Wacław.
Dr. Madurowicz Maurycy, prof. uniwersytetu w Krakowie.
Marfiewicz Antoni, ob. w Krakowie.
Dr. Markiewicz Władysław, adw., rad. miejski w Krakowie.
Michałowski Ludwik, wł. d. Kraków.
Emilia z hr. Bnińskich hrabina Józefowa Mielżyńska.
Dr. Nowicki Maksymilian, prof. U. J. czł. Ak. Um. w Krakowie.
Pawlikowski Mieczysław, właściciel d. w Krakowie.
Pławicki Feliks, c. k. kapitan, poseł na sejm kraj., w Czorsztynie.
Hr. Potocki Artur, wł. d. w Krakowie.
Hr. Rey Mieczysław, wł. d., poseł na sejm kraj., w Przecławiu.
Hr. Reyowa w Przecławiu.
Richtmann Zygmunt, radca miejski we Lwowie.
Księżniczka Sanguszkówna Helena w Gumniskach.
Księżna Jadwiga z hr. Zamoyskich Sapieżyna we Lwowie.
X. Spithal Roman, prałat w Krakowie.
Uznański Adam, wł. d. w Poroninie, pr. Rady pow. w Nowym Targu.
J. E. Dr. Ziemiałkowski Floryan c. k. minister, poseł na sejm kraj., członek Rady pań. w Wiedniu.
X. (za pośrednictwem ś. p. Aleksandra Kurtza).

c) Zwyczajnych:

Abakowicz Bruno, docent szkoły potechnicznej.
Abrahamowicz Dawid, wł. dóbr i poseł na sejm krajowy.
Adam Gustaw, urz. Tow. wzaj. ubez.
Adamski Cyryl, kupiec.
Adamski Tadeusz, urz. Tow. Kredyt.
Ajdukiewicz Tadeusz.
Albert Jerzy.
Aleksandrowicz Włodzimierz, nauczyciel gimnazyalny.
Dr. Alth Alojzy, prof. uniw., C. A. U.

Ambros-Rechtenberg Józef, prof. gm.
Anczyc Władysław Ludwik, literat.
Andersch Paweł, kupiec.
Andruszewski Albin, tapicer.
Andruszewski Maksymilian, powoźnik.
X. Andrzejewicz Antoni, regens sem. duchownego.
Andrzejewski Franciszek Salezy, nau. gimnazyalny.
X. Antoniewicz, proboszcz w Bninie.
Antoniewicz Bołoz Antoni, właściciel dóbr.
Antoniewicz Bołoz Jan, akademik.
Arct Stanisław.
Armółowicz Jan, obywatel.
Armatowicz Feliks, obywatel.
X. Arendt Antoni, proboszcz.
Dr. Asnyk Adam, literat.

Babirecki Stanisław, urz. Kasy O.
Bajer Karol, kupiec.
Bal Antoni, właściciel dóbr.
Ballenstedt Adolf, budowniczy.
Ballenstedt Ludwik, budowniczy,
Bandrowski Ernest, prof. c. k. instytutu techniczno-przemysłowego,
Bandurski Józef.
Bańkowski Władysław.
Dr. Baraniecki Adryan, dyr. Muzeum techniczno-przemysłowego.
Baranowski Kazimierz.
Baranowski Teodor, prezes Izby hand.-przemysłowej.
Dr. Barański Ignacy.
Barcikowski Roman, kupiec.
Bartynowski Franciszek, c. k. adjunkt sądowy.
Bauerertz Józef.
Baumann Teofil, kasyer w dobrach ks. Lubomirskich.
Bąkowski Józef, nauczyciel.
Beaupré Antoni, akademik.
X. Bejmanowski Melchior.
Bejnarowicz Jan, w Stryju.
Below Fryderyk, rytownik.
Dr. Bendowski Julian, lekarz w Grodzisku.
Dr. Benni Karol.
Dr. Benoni Karol, prof. szkoły realnej.
Berendes Henryk, obywatel.
Dr. Berggrün Alfred, asyst. sanitarny w Żydaczowie.
Bersohn Maciej.
Białobrzeski Stanisław.
Białocka Marya.
Biasion August, kupiec.
Biba Jan.
Biechoński Wojciech, właściciel kop. nafty.
Biegańska Eleonora, wł. dóbr.
Dr. Bielański Gustaw, asyst. sanitarny w Brzozowie.
X. Bielewicz Józef, prof. gim.
Bieliński Leon, kupiec skł. ubior.
Dr. Bieliński Stanisław, adwokat, poseł na sejm krajowy.
Bielska Józefa.
Bilski Konstanty, wł. dóbr, P. R. pow. w Starym Mieście.
Bieniasz Franciszek, asystent przy kat. mineralogii.
Bieńkowski Feliks, inżynier wydziału krajowego.
Dr. Biesiadecki Jan, lekarz powiatowy.
X. Biliński Jan, marszałek powiatowy.
Biliński Koryolan.
Billewicz Karol, wł. dóbr.
Birner Marya.
Birtus Ludwik.
Blum Fryderyk, st. inspektor w Stryju.
Bniński Adolf, ob.
Hr. Bniński Roman, właściciel dóbr.
Hr. Bniński Seweryn, obywatel.
Hr. Bobrowska Ludwina.
Dr. Bobrzyński Michał, prof. uniw.
Dr. Boczkowski Juwenal, b. poseł na sejm krajowy.
Bodakowski Remigiusz, inżynier.
Bogdanowicz Zygmunt.
Bogdański Cezary, obywatel.
Bogusławski Włodzimierz.
Bohdanowicz Stefan, b. major.
Bojarski Jan, nauczyciel.
Bojarski Władysław, zegarmistrz.
Bondzewicz Aleksander, kasyer K. O.
Hr. Borkowski-Dunin Alfred, wł. dóbr.
Borkowski Rudolf.
Bornstein Maksymilian Samuel.
Brandt Antoni, radca sądu w.
Brandys Stanisław, wł. dóbr.

Bredow Albert, obywatel.
Breitseer Jan, obywatel.
Breza Adam, obyw.
Brodel Maksymilian.
Dr. Broekere Antoni, lekarz.
Bronikowska Marya Krystyna.
Brzeski Franciszek, obywatel.
Brzeski Leonard, czł. Izby Panów.
Brzeziński Dunin Karol.
Brzeziński Dunin Piotr.
Brzeziński Karol, prof. gim.
Brzeżek Jan.
Brzostowicz Remigiusz.
Brzozowski Walery, wł. dóbr, poseł na sejm krajowy.
X. Buchwald Feliks, kanonik, poseł na sejm kraj.
Buczyńska Felicya.
Dr. br. Budwiński Adam, sekr. nadw.
X. Bukowiecki Maciej, proboszcz w Wągrowcu.
Bukowski Antoni, jen. plenip. dóbr.
X. Bukowski Julian, katecheta gim.
X. Bulmajer Albin, proboszcz.
X. Burzański Michał, katecheta w. szk. realnej w Stryju.
Dr. Buszek Jan.
Bzowski Adam.
Cadwallader John Bates.
Dr. Buski Sylwester, dyr. banku włościańskiego.

Cegielski Stefan, właściciel lejarni żelaza i fabryki maszyn rolniczych.
Celewicz Piotr, c. k. adjunkt sądowy.
Dr. Celichowski Zygmunt, bibliotekarz w Kurniku.
Chełkowski Ildefons, obywatel w Kuklinowie.
Chełkowski Franciszek.
X. Dr. Chełmecki Jan, kat. gimn., poseł na sejm krajowy i członek Rady państwa.
Chełmicki Bolesław, obyw.
Chełmicki Floryan, obywatel.
Chełmicki Julian, obyw.
Chełmicki Kazimierz, obywatel.
Chełmicki Wojciech, obywatel.
Chłapowska Helena.
Chłapowski Józef, górnik.
Dr. Chłapowski Franciszek, poseł.
Chłapowski Kazimierz, obywatel.
Chłapowski Maciej, obywatel.
Chłapowski Stanisław, dziedzic, poseł.
Chłapowski Stefan, obyw.
Chłapowski Tadeusz, obyw.
Dr. Chmielewski Konrad.
X. Chmielewski Marceli, proboszcz.
X. Chmielowski Leopold, proboszcz.
Chodźko Leonard.
Chomiński Michał.
X. Chorzemski Filip, katecheta szkoły etatowej w Stryju.
Chosłowski Józef, obywatel.
Chosłowski Władysław.
X. Chotkowski Władysław, licencyat w Poznaniu.
Chowaniec Julian, inżynier w Paryżu.
Chranicki Jan.
Christ Antoni, obywatel.
Christ Gustaw c. k. kapitan.
Chromy Dyzma, pełnomocnik dób hr. Tenczyńskiego.
X. Chrustowicz Wawrzyn., adm. probos.
Chwałkowski Franciszek, piekarz.
Chrzanowski Leon, poseł na sejm kraj. i członek Rady państwa.
Chrzanowski Władysław, gospodarz.
Dr. Chwiećkowski Józef.
X. Chwistek Franciszek, proboszcz.
Chyliński Michał, literat.
Ciechomski Wiktor, nauczyciel języka francuzkiego.
Hr. Ciecierski Stefan.
Hr. Cieszkowski August.
Cieśliński Karol, prokurator p.
Dr. Csesznák Feliks, adwokat.
Cubernat Leopold, nauczyciel.
X. Cybichowski Józef, biskup.
Cybulski Adam, referendaryusz.
Dr. Cyfrowicz Leon, współred. „Czasu“ i radca miejski.
Cywiński Jędrzej b. poseł na sejm kraj.
Czajkowska Antonina.
Czajkowski Hipolit, wł. dóbr, poseł.
Czajkowski Marceli.
Czajkowski Waleryan, wł. dóbr.
Czapski Antoni, tech. budowniczy.
Hr. Czapski Bohdan, obywatel.
Czapski Jan, obywatel.

Czapski Józef, obywatel,
Czarliński Emil, wł, dóbr, poseł.
Czarliński Leon, czł. parl.
Hr. Czarnecki Karol,
Hr. Czarnecki Stanisław, obywatel.
Czarnocki Jan.
Czarnocki Gracyan.
Czarnowski Karol.
Czarnowski Stanisław.
Czarnowski Wincenty.
Ks. Czartoryski Jerzy, wł. dóbr poseł.
Ks. Czartoryski Roman, czł. parl.
Ks. Czartoryski Władysław, wł. dóbr.
X. Czekalski Augustyn.
Dr. Czerkawski Julian. b. czł. R. pań.
Dr. Czerny Franciszek, prof. uniw.
Czerkiewicz Karol.
Czerny Maciej.
Ks. Czetwertyński Włodzimierz.
Czochron Kazimierz, obywatel.
Czudowski Julian.
Dr. Czyrniański Emil, prof. uniw.
Czyszczan Maciej, radca sądu w.

Dr. Daisenberg Władysław, doc. un.
Dalitz Władysław.
X. Dalkowski Maksymilian.
Dańczak Gustaw.
X. Dandelski Ignacy.
Danielewski Ignacy, red. „Gaz. Toruń.“
Dr. Danysz Antoni, naucz. gim.
Darowski Janusz, asyst. p. kat. s. polit.
Daum Konrad, nauczyciel szkoły etat.
Hr. Dąmbski Stefan.
Dembowski Tadeusz.
Deskur Antoni.
Deskur Józef.
Diermajer Jan.
Dietrich Józef.
Dluchosz Karol, inspektor pod.
Dobiecka Aniela.
Dobiecka Wincenta.
Dobiński Gustaw.
Dobrowolski Ksawery,
Dr. Dobrski Konrad.
Dobrzelewski Jan.
Dobrzyński Kazimierz.
Doliński Kazimierz.
X. Domagalski Konstanty.
Domańska Anna.
Dr. Domański Stanisław, prof. uniw.
Donimirski Antoni, dyr. banku.
Donimirski Edward, obyw.
Donimirski Jan, obyw.
Donimirski Ludwik, obyw.
Drohojowski Marceli, wł. dóbr.
Drozdowski Józef.
Drozdowski Julian.
Drozdowski Szczęsny.
Drwęski Ludwik, proboszcz.
Dubrawski Stefan, prof. s. real., Stryj.
Duchiński Franciszek.
Ducillowicz Hipolit, inżynier.
X. Dudziński Wojciech.
Dulińska Urszula, obywatelka.
Hr. Dunin Stanisław, obywatel.
X. Dutkowski Wojciech.
Dr. Dworski Stanisław.
X. Dydyński Józef, dziekan.
Dydyński Maryan, wł. dóbr, poseł
Działowski Apolinary, wł. dóbr.
Działowski Eustachy.
Działowski Leon, wł. dóbr.
Hr. Dzieduszycki Izydor.
Dziedzicki Ludwik,
Dziewólski Apolinary, inżynier.
Dziewulski Adam.
Dziewulski Eugeniusz.

Ebers Henryk, akademik.
X. Echaust, proboszcz.
Ehrenberg Zygmunt, akademik.
Eiger Jakób.
Eisenbeisser Karol.
Eitner Antoni.
Eljasz Walery, artysta-malarz.
Elsner Alfred, inspektor kolei K.-L.
Epstein Mikołaj, literat.

Falarz Jan, X.
Fedorowicz Alojzy, wł. d. Prezes Rady pow. w Skałacie.
Feldmanowski Hieronim, konserwator, zbiorów Tow. Przyj. N. w Poznaniu.
Felerowicz Tomasz, kupiec skł. ubior.
Fibich Władysław.
Filipkowski Stanisław, inżynier.
Finger Gustaw, dyrektor lasowy.
Fischer Władysław, kupiec.
Förster Otto, kupiec.

Fraksztejn Franciszek, obyw.
Freudenreich Józef, kupiec.
Froncz Władysław, nauczyciel gimn.
Dr. Fruchtmann Filip, adw., poseł.
Fuchs Julian.

Gabryszewski Roman, c. k. st. pow.
X. Gac Wojciech.
Galle Franciszek.
X. Gałecki Jan.
Gałkiewicz Antoni.
Ganczarski Antoni, farmaceuta.
Dr. Ganczarski Ludwik.
Ganszer Teodor.
X. Gantkowski Marceli, dziekan.
Garztecki Włodzimierz.
Gaszczyński Stanisław.
Gawińska Julia.
Gawiński Romuald.
Gayczak Marcin c. k. notaryusz.
Gazda Wilhelm, księgarz.
Gąsienica Jan Staszeczek, gospodarz.
Gąsiorowski Kazimierz, księgarz.
Gebethner Gustaw.
Geisler Jan, buchhalter.
Georgeon Ludwik, wł. naukowo-wychowawczego instytutu.
Gerlach Karol.
Gettlich Antoni, dyrek. s. wydz. żeń.
X. Gieburowski Konstanty, proboszcz.
Gieysztor Bronisław.
Gieysztor Jakób.
Gileczek Leopold.
Ginsberg Karol.
Gintrowicz Julian, obyw.
Glixelli Władysław, złotnik.
Głębocki Wincenty.
X. Głębocki Władysław, katecheta g.
X. Goczkowski Ignacy.
Godlewski Kazimierz.
Godlewski Mścisław.
Golcz Gustaw, obywatel.
Dr. Goldberg Henryk.
Goldfinger Izydor.
Goldfinger Jakób.
Gościewski Antoni, jen. plenipotent.
X. Górecki Józef, proboszcz.
Górecki Tadeusz.
Górski Czesław. akademik.
Górski Franciszek, akademik.
Górski Konstanty, wł. dóbr.
Dr. Górski Leon, lekarz.
Górski Piotr, akademik.
Górski Stanisław, wł. dóbr.
Górski Władysław, artysta muzyk.
Grabiański Konstanty.
Grabowski Ignacy, obyw.
Grabowski Jan, obyw.
Dr. Grabowski Julian, prof. c. k. inst. tech.-przem., czł. kor. Akd. Um.
Grabowski Stefan, obyw.
Dr. Graczyński Adolf, prof. gim.
Gralewski Fortunat, aptekarz.
Gralewski Ignacy, prof. gim.
Grand Aleksander.
Grąbczewski Adam.
Dr. Grobelny Piotr, lekarz.
Grodzicki-Łada Leopold.
Dr. Grodzki Wawrzyn, lekarz.
Gross Herman, ob.
Dr. Gross Piotr, wł. dóbr, poseł.
Grosse Juliusz, kupiec.
Grossmann Rudolf, ob.
Grot Alojzy Wiktor.
Grudzielski Kazimierz, radca miejski.
Dr. Grudziński August.
X. Dr. Grzegorzek Wojciech, kanonik.
Gruszczyński Adam.
Grzybowski Grzegórz.
Gubrynowicz Władysław, księgarz.
Gulkowski Jan, inżynier.
Gumiński Władysław, aptekarz.
Guńkiewidz Leon, prof. gim.
Gustawicz Bronisław, naucz. gim.
Gutkowski Karol, prof. gim.
Gutowski Wład., obywatel.
Gutteter Zenon, wł. dóbr.
Guttry Leon, w Piotrkowicach.

Hahn Władysław, sędzia.
Dr. Hajdukiewicz Jan, adw.
Haller Cezary, poseł.
Hanicki Jan Nepomucen.
Hausner Otto, poseł, czł. R. pań.
X. Hebanowski Jan, dziekan.
Hebanowski Stanisław, radca budow.
Heger Rudolf, wł. apteki.
Heinrich Bogumił.
Heintze Ludwik.
Heller Franciszek, c. k. kom. las.

Heppé Edward, inżynier.
Heradin Antoni, burmistrz.
Hikel Jan, zarządca salinarny.
Dr. Hirschberg Aleksander, doct. uniw.
Hoff Bogumił.
Hoffman Leonard.
Hoffmann Antonina, art. dram.
Hołowkiewicz Emil, kom. las.
Hołubowicz Jan, dyr. s. et. w Stryju.
Hr. Hompesch Ferdynand.
Hoppen Apolinary, wł. dóbr, poseł kraj.
Horbal Konstanty, naucz. w. szk. real.
Hornowska Józefa.
Horodyński Bogusław.
Horowitz, Hersch, wł. dóbr.
Horwath Jan.
Hosch Ferdynand, wł. dóbr.
Dr. Hoszard Franciszek, czł. W. kraj. b. czł. Rady Państwa.
Hoszowski Ludwik, wł. dóbr.
Dr. Hoyer Henryk.
Hrubant Władysław.
Hulewicz Walery.

Dr. Ichheiser Michał, adw.
Ihnatowicz Jan, wł. zak. kumys.
Iwański Antoni, urz. podatkowy.
X. Iwicki Paweł, proboszcz.
Jabłoński Wincenty, dyr. sem. m.
Jackowski Maksymilian, wł. dóbr.
Jagielski Bolesław, aptekarz.
Jakowicki Ludwik, prof. gimn.
Jakowicki Teodor, prof. gimn.
Dr. Jakubowski Maciej Leon, prf. uniw.
Jałowiecki Florentyn.
X. Janas Jan.
X. Janer Cyryl, proboszcz.
Janicki Ignacy.
X. Janicki Jan Nep., proboszcz.
Dr. Janikowski Stanisław, prof. uniw.
Janowski Jan.
Janowski Józef, architekt.
Jaraczewski Jarosław, ob.
Jaraczewski Józef Kalasanty, obyw.
Dr. Jarnatowski Bohdan, lekarz.
Jarociński Feliks.
Dr. Jarosz Jan, adwokat.
Jasiński Aleksander, c. k. notaryusz, Pr. m. Lwowa, poseł.
Jasiński Ignacy.

Jawornicki Józef.
Jaworski Apolinary, w. dóbr, poseł na sejm kraj. i człon. Rady państwa.
Jaworski Ignacy.
Jaworski Stanisław, naucz. gim.
Jażdżewski Wład. rzecznik.
Jerzmanowski Konstanty.
Jerzykiewicz Bolesław, prof.
Jerzykiewicz Władysław, kupiec.
Dr. Jerzykowski Stanisław, lekarz.
X. Jezierski Józef, proboszcz.
Jezierski Karol.
Jeziorski Franciszek, naucz. szk. real.
Jeżewski Antoni.
Jędrzejowicz Edward, wł. dóbr, poseł.
Jocz Jan, wł. d., poseł.
Jordan Adam Franciszek, akademik.
Dr. Jordan Henryk.
X. Józefczyk Władysław, kat. szk. real.
Jung Ryszard,
X. Jurgowski Tomasz, proboszcz.
Dr. Jurkiewicz Karol.

Dr. Kaczorowski Teofil, radca zdrowia.
Dr. Kadyi Henryk, doc. uniwersytetu.
Dr. Kadyi Ludwik, c. k. star. pow.
Kajkowski Emil, tokarz.
X. Kaliniewicz Jan, kanonik.
Kalkstein Antoni, poseł parlam.
Kalkstein Kazimierz, obywatel.
Kalkstein Michał obywatel.
Dr. Kalkstein Teodor.
Kamiński Adolf.
Kamiński Feliks.
Kamiński Józef.
Kamiński Ludwik, sekretarz Rady powiatowej w Nowym Targu.
Kaniewski Stanisław, kupiec.
X. Kantorski Paweł, rządca kość. podominikańskiego.
Dr. Kapuściński Bolesław, lekarz.
X. Karasiewicz Jan, prob. w Stryju.
Karczewski Telesfor, obyw.
Dr. Karczewski Wiktor, dyr zakł. obł.
Karłowski Leon, obyw.
Karłowski Władysław, obyw.
X. Karnasiewicz Antoni, prof. gimn.
Hr. Karnicki Michał.
Karpińska Zofia.
Karpiński Leopold, rzecznik.

X. Karpisz Marcin.
Karpow W. A., mechanik.
Karpowski Tadeusz, pełnomocnik d.
Dr. Kasparek Franciszek, prof. uniw.
Dr. Kaśliński Franciszek, lekarz.
Dr. Kasprowicz Stanisław, dentysta.
Kaucki Karol, c. k. starosta.
Kawelski Ludwik.
X. Kegel Edward, poseł parlamentu.
Kellermann Józef, wł. dóbr.
Kempner Władysław, naczelnik stacyi kolei Albrechta w Stryju.
Dr. Kiebuziński Bazyli.
Kierski Kazimierz, bankier.
Kierski Nepomucen, wł. domu handl.
Kieszkowski Czesław.
Kieszkowski Henryk, dyr.,ubez., poseł.
Kieśel Antoni, zarządca dóbr.
Kieslicz Floryan.
Kirchmayer Jan Kanty, wł. dóbr.
Klęsk Karol, prof. gimn.
Klimecki Wincenty w Stryju.
X. Klimek Antoni.
Klimkowski Michał, rentier.
Kling Stefan, naucz. star. sem. żeńsk.
Klobassa Karol, wł. dóbr.
Klochowicz Leonard.
Klug Edward.
Kłodziński Zygmunt.
Kłosowski Władysław. star. ins. kol. Alb.
Dr. Kniaziołucki Zbigniew, adj. arch.
Knoblauch Ignacy, naucz. szk. gosp.
Knoblauch Julian.
Knoll Ignacy.
Kobyliński Jan, c. k. komisarz szacun.
Kocyan Ludwik.
Koczorowski Adolf, wł. dóbr.
Koczorowski Karol, wł. dóbr.
Koczorowski Kazimierz, wł. dóbr.
Köffler Bernard, wł. realn. w Stryju.
Dr. Koehler Klemens, lekarz.
Kolberg Oskar.
Kolitowski Szymon.
Kolski Alfons, kupiec,
Kołodziejski Fryderyk.
Dr. Komierowski Roman, poseł.
Komierowski Władysław, obywatel.
X. Komorek Józef, proboszcz.
Komornicki Piotr.
Kondracki Edward.
Koniecki Andrzej, bednarz, wł. domu.
Hr. Konopacki Jerzy, właściciel firmy B. Weller, fabryki papierosów.
Kopczyński Witold.
Br. Konopka Henryk.
Dr. Kopernicki Izydor, doc. uniw., lek. zdr. w Rabce, czł. Akad. Um.
Dr. Korczyński Adolf, adwokat.
Dr. Korczyński Edward, prof. uniw.
Kornicki Jan, prof. gimn.
Korol Bazyli, ref. c. k. kom. szac.
Korytowski Julian, wł. dóbr, poseł.
Kosiewicz Benedykt, dyr. bank. lud.
Kosiński Kajetan, naucz. w. szk. real.
Kossak Juliusz, artysta malarz.
Kossowski Bolesław, obyw.
Kossowski Maryan.
Kosz Jan, Kupiec.
Koszutski Kazimierz, red. „Ziemian.“
Kościelski Bolesław, wł. d.
Kościelski Józef, obyw.
Kotiers Jan, mag. farm.
Kotliński Augustyn, prof. gimn.
Kotula Andrzej, c. k. notaryusz.
Kotula Bolesław, naucz. gimn.
X. Kowalik Wojciech, dziekan.
X. Kowalski Tomasz, proboszcz i poseł na sejm krajowy.
Kowalski Wacław.
Kowalski Zygmunt, urzęd. Kasy O.
Kozicki Emilian.
Hr. Koziebrodzki Tadeusz.
Hr. Koziebrodzki Władysław, poseł.
Kozłowska Bronisława, obywatelka.
Kozłowski Karol, literat.
Kozłowski Maksymilian, obyw.
Kozłowski Tomasz, obyw.
Dr. Kozubski Ludwik.
Kozłowski Władysław.
Kozubowski Karol.
Dr. Koźmiński Leon, burmistrz tarnop.
Krajewska Teofila.
Krajewski Wincenty.
Krajkowski Stanisław.
Róża z hr. Potockich hr. Krasińska.
Krańsiska Zofia, wł. d.
Krasnosielski Teofil.
Kraszewska Antonina.
Kraszewski Franciszek.
Kratochwill Antonia, wł. młynów.

Kratochwill Karol, w. młyna i gruntu.
Kratochwill Piotr, wł. młynów.
Dr. Kratter Ferdynand, adw.
Kratter Fryderyk.
Krautwurst Julian, kupiec.
Krawczyk Jan.
X. Krawczyński Piotr.
X. Krementowski Karol, proboszcz.
Kremer Jan.
Kriegseisen Ferdynand, c. k. sędzia.
Krins Karol.
Krokiewicz Teodor, inżynier.
Królikowski Antoni, obyw.
X. Królikowski Edward, proboszcz.
Dr. Kruszka Tomasz, lekarz.
Krysiewicz Jan, wł. fabr. machin.
Krywult Stanisław.
Krzepela Józef. c. k. adj. sądowy.
X. Dr. Krzysiak Jan, proboszcz.
Krzyszkowski Kazimierz.
Krzyżanowski Antoni, kupiec.
Krzyżanowski Kazimierz, naucz. gim.
Krzyżanowski S. A. księgarz.
Krzyżanowski Tadeusz, kupiec.
X. Krzyżanowski Wrocisław, prob.
Kubiak Wawrzyniec.
Kuczyński Leon, kupiec.
Dr. Kuczyński Stefan, prof. n. czł. A. U.
Kugler Klemens, aptekarz.
Kukuliński Władysław.
Kukurudza Tadeusz, naucz. w. szk. real.
Kulczycki Michał.
Kulczykowska Marya.
Dr. Kulczyński Leon, prof. gimn.
Kulczyński Władysław, prof. gim.
X. Kuligowski Teofil.
Kułaczkowski Dyonizy, poseł.
Kunze Henryk.
Kurakowski Rajmund.
X. Kurdyś Floryan, przeor XX. Paul.
Kurnatowski Stanisław, marszałek sej. prowinc. W. Ks. Poznańskiego.
Kusionowicz Adam, nauczyciel.
Dr. Kutzner Bronisław, lekarz.
Kübel Arnold, aptekarz w Stryju.
Kwadyńska Stanisława.
Kwapniewski Aleksander, kom. szac.
Dr. Kwaśnicki Jan.
Kwieciński Michał, aptekarz.
Hr. Kwilecki Franciszek.
Hr. Kwilecki Mieczysław, czł. Izb. P.
Hr. Kwilecki Stefan, poseł parl.

Lambert Józef X.
Langie Karol.
Langie Tadeusz, wł. dóbr.
Langie Andrzej, inżynier kol. K.-L.
X. Laskowski prof.
X. Laskowski Jakób, proboszcz.
Laskowski Stanisław, naucz. gimn.
Lasocki Józef, wice-pr. Tow. Dobr.
Lassociński Maciej, kupiec.
Launer Jan, obyw.
Laur Karol, wł. handlu.
Lechicki Konstanty, kup. w Stryju.
Lechowski Franciszek, wł. dóbr.
Hr. Ledóchowski Ignacy.
Leiter Floryan, radca miejski.
Leitgeber Bolesław, kupiec.
Leitgeber Jarosław, drukarz.
X. Leja Andrzej, prof. teologii.
Leman Antoni.
X. Lemiesz Stanisław, prob.
Lemoch Lew, nau. w. szk. r. w Stryju.
Lempe Wilhelm.
Lenczowski Izydor.
Leo Edward, literat.
Leśnik Wacław, kupiec.
Leszczyński Franciszek, kupiec.
Leśniewski Józef.
Lewandowski Franciszek, obw.
X. Lewandowski Jan, dziekan.
Lewandowski Julian.
Dr. Lewandowski Ludomir.
Dr. Lewandowski Zygmunt.
Br. Lewartowski Franciszek.
Br. Lewartowski Włodzimierz, starosta.
Lewicki-Rawicz Ignacy, starosta.
Libeltowa Franciszka, obyw.
Dr. Librowski Stanisław.
Lichański Jan.
X. Likowski Edward, prałat.
Lilpop Karol.
Lindner Karol, prof.
Dr. Link Ignacy, lek. wojsk. w Stryju.
Linowska Bronisława.
Lipka Jan, z. prokur. p.
Dr. Liske Xawery, prof. uniw.
Dr. Lisowski Władysław, adw. rad. m.
Liszkowski Kazimierz, kupiec.

Lityński Alojzy, c. k. inspektor pom.
Litwinowicz Jan.
Lorenowicz Jyn, art. mal.
X. Loserez Telesfor, proboszcz.
Lossow Aleksander, obyw.
Lossow Dobrogost, obyw.
Ks. Lubecki Franciszek Ksawery.
Ks. Lubomirski Stefan.
Ks. Lubomirski Władysław.
Ludkiewicz Jan.
Lutomski Bolesław, obyw.
Lutostański Władysław, wł. dóbr.
Luziński Teodor, wł. hotelu.

Łapczyński Kazimierz.
Łasiewicki Antoni.
Łastowiecka z Milżeckich Marya.
Łastowiecki Piotr.
Łastowiecki Zygmunt, wł. dóbr.
Łącki Władysław, obywatel.
Hr. Łączyński Henryk, wiceprezes gal. banku kredyt.
Dr. Łebiński Władysław, wł. druk.
Dr. Łepkowski Józef, prof. un. c. Ak. U.
Łowicki Władysław, jen. pełn. dóbr.
X. Łoziński Henryk, kat. gimn.
Łoziński Władysław, literat.
Hr. Łubieński Franciszek.
Łubieński Witold, obyw.
Dr. Łubiński Ludwik, adw.
Łucki Jan, radca sądu obwodowego.
Łukasiewicz Ignacy, wł. dóbr, poseł
Łukasiewicz Włodzimierz, akad.
Łuszczkiewicz Antoni inżynier.
Łyskowski Ignacy, wł. dóbr, poseł.
Łyskowski Mieczysław, wł. dóbr.

Dr. Mach Sebastyan.
Dr. Machalski Maksymilian, adwokat.
Machwitz Ksawery.
Maciejowski Bolesław.
Magdziński Teofil, poseł.
Magnuszewicz Stefania.
Magyarországi Kárpátegylet.
Majewski Floryan, obywatel.
Majewski Ignacy.
Majewski Józef, obw.
Makowiecki Aleksander.
Makowski Aleksander.
Makowski Wacław.
Malewski Artur, burmistrz stryjski.
Dr. Malinowski Lucyan, prof. uniw.
Generałowa z Krasińskich de Grandville Malletska.
Małachowski Maksymilian.
Manasterski Seweryn.
Mańkowski Aleksander, mag. farmacyi.
Masłowski Antoni, cukiernik.
Matecki Władysław, obywatel.
Matyas Franciszek, c. k. radca sąd.
Dr. Max Henryk, adwokat, poseł.
Mazurkiewicz Jan, prof. szk. real.
Mazurkiewicz Gustaw.
Medveczky Karol, wł. dóbr.
Mehoffer Alfred.
X. Menzel Michał, proboszcz.
Miarka Karol.
Miaskowski Leopold, naucz. lud.
Michałowski Stanisław, mierniczy.
Michałowski Tadeusz, akademik.
Michelis Krystyan.
Michnik Jakób, kupiec.
Michnikowski Stanisław.
Mieczkowski Józef, obywatel.
Dr. Mieczkowski Leon, ob.
Mieczkowski Stanisław, obw.
Mielcarzewicz Aleksy, sędzia.
Hr. Mielżyński Józef, wł. dóbr. czł. I. P.
Hr. Mieroszowski Sobiesław.
Mierzejewski Wacław.
Mierzwiński Jędrzej.
Mierzyński Jan, wł. dóbr.
Mieszkowski Władysław, wł. handlu.
Miklaszewski Juliusz, prof. gimn.
Missberger Michał.
X. Miś Jan, proboszcz.
Misiński Erazm, dyr. w. szk. real., Stryj.
Młodnicki Karol, artysta-malarz.
Młodowski Władysław.
X. Młodzicki Leon,
Mokrzycki Wit.
Molęcki Kasper.
Dr. Molin Jan, prof. gimn.
Morawski Józef, ob., b. dyr. ziemstwa.
X. Morawski Ksawery, proboszcz.
Morawski Wojciech, obywatel.
Morawski Zygmunt, naucz. gimn.
Morzycki Włodzimierz, obyw.
Moszczeński Adolf, obyw.
Moszczeński Bolesław, obyw.

Moszczeński Ignacy, obywatel.
Moszczeński Jan, obywatel.
Moszczeński Władysław, obyw..
Motty Jan, sędzia.
Mrazek Józef, nacz. biura przy Dyrek. Tow. wzaj. ubezp.
Mrowetz Władysław, zarząd. kop. siar.
Mrozowski Onufry.
Muczkowski, Stefan, c. k. notar. rad. m.
Müldner Wilhelm, wł. handlu.
Müller Gustaw, księgarz w Stryju.
Münz Jerzy.
Hr. Mycielski Adam, akademik.
Hr. Mycielski Feliks, wł. dóbr.
Hr. Mycielski Franciszek, wł. d., poseł.
Myczkowski-Korwin Zenon.

Naimski Józef Marcin.
Nartowska Zofia.
Nawrocki Michał, chodowca owiec.
Nawrowcki Teofil, chodowca owiec.
Nepek Jan.
Dr. Neusser Gustaw, doc. uniw.
Neužil Franciszek, naucz. szk. snyc. w Zakopanem.
Neymanowski Tadeusz, dzierż. dóbr.
Nieduszyński Antoni, kasyer.
Niedziałkowski Janusz.
Niedzielewski Franciszek, sędzia.
Niedzielski Paweł, kupiec.
Niedzielski Stanisław, dyr. T. muzycz.
Niedźwiecki Julian, prof. szk. politech.
Niemojewski Ignacy, obyw.
Niemojewski Wincenty, obyw.
Nieszczota Wacław, obyw.
Niewiadomski Henryk, inż.
Niewiadomski Juliusz, c. k. kom. star.
Dr. Niklaus Jan, lekarz.
Nowacki Floryan, bur. podgórski.
Dr. Nowak Gustaw, adw.
Dr. Nowakowski Franciszek, czł. hon. Tow. Pedagogicznego.
Nowakowski Julian, kupiec.
X. Nowiński Stanisław, kat. gimn.
Nycz Karol, rządca szpitala.

Dr. Obaliński Alfred.
Oberfelt Dyonizy, kupiec.
Obertyński Antoni w Stryju.
Oborski Antoni.
Dr. Ochorowicz Juliusz, doc. uniw.
Ogrodowicz Władysław, obyw.
X. Ollender Ludwik, z. prof. katechetyki i met. w uniw. lwowskim.
Olszewski Franciszek, c. k. starosta.
Olszewski Teodor.
X. Ołyński Józef, proboszcz.
Opatowicz Teodozyusz.
Dr. Opolski Wiktor.
Dr. Orłowski Józef.
Orzechowski Leon, prof. szk. realn.
Orzelska Jadwiga.
Dr. Osowicki Antoni, lekarz.
Ossowski Feliks, wł. dóbr.
Ostaszewski Teofil.
Ostaszewski Feliks.
Ostrowski Juliusz.
Dr. Oświęcimski Szczęsny.
Owidzki Alojzy.

Pachoński Józef, ksiądz.
Pacuła Jędrzej, weter. m.
Pająk Aleksander, naucz. lud.
Paliszewski Ignacy, obyw.
X. Pałżewicz Ignacy, dziekan.
Parasiewicz Hipolit, naucz gimn.
Parczewski Erazm, obyw.
Parczewski Józef, obyw.
Dr. Pareński Stanisław, doc. uniw.
Paruszewski Michał, obw.
Passini Celestyn.
Paszkowski Leon.
Paten Konstanty, prof.
Dr. Pawlas Teodor.
Pawłowicz Edward, kustosz zakładu narod. im. Ossolińskich.
Pelar J. A. wł. księg. i drukarni.
Dr. Pernaczyński Melchior, lekarz.
Dr. Peszyński Bolesław.
Petelenz Ignacy, grof. gimn.
Pędracki Józef, radca magistratu.
X. Pędziński Józef, proboszcz.
Pętkowski Zenon, obyw.
Pfitzner Antoni, cukiernik.
Pflanzer Franciszek, wł. realn.
Piekarski August, nacz. biura p. Dyr. Tow. wzajem. ubezp.
Dr. Piekosiński Franciszek, czł. A. U.
Pieniążek Czesław, prof. szkoły. real.
Pieniążek Ignacy.

Dr. Pieniążek-Odrowąż Karol.
Dr. Pieniążek-Odrowąż Przemysław, docent uniw. Jag.
Pierożyński Mieczysław, urz. wyd. k.
Pietnicki Jan, sekret. mag. w Stryju.
Pietraszkiewicz Ksawery.
Dr. Pietrzycki Ludwik, adwokat.
Pietruski Oktaw, poseł na sejm kraj.
Dr. Pilat Tadeusz, prof. uniw., poseł.
Pintnerowa Helena w Stryju.
Pisz Władysław.
Piotrowski Jan Nepomucen, wł. domu.
Piotrowski Łukasz.
Piotrowski Tomasz.
X. Piwowoński Adolf.
Hr. Plater-Broel Feliks.
Hr. Plater-Broel Wiktor.
Pluciński Józef, obyw.
Płachecki Antoni.
Płachetko Seweryn, dyr. gimn.
X. Pobudkiewicz Franciszek,
Podkański Bolesław.
Podlewski Waleryan, wł. dóbr, poseł, człon. wydz. krajowego.
Podwin Adolf.
Podwiński Leon, c. k. starosta.
Pokorny Maksymilian.
Polanowski Stanisław, wł. dóbr. poseł na sejm krajowy, prezes Rady powiatowej w Sokalu.
Polender Marceli.
Połczyński Teofil.
Połomski Józef, rzecznik.
Pomorska Aniela, obywatelka.
Ponikiewski Stanisław, obyw.
X. Poniński Alfred, proboszcz.
Dr. Popiel Seweryn, adw. w Stryju.
Postel Maurycy, radca salinarny.
X. Poszwiński Józef, proboszcz.
Hr. Potocki Bolesław, wł. dóbr.
Hr. Potocki Jędrzej.
Hr. Potocki Karol, akad.
Hr. Potocki Tamasz, akademik.
Hr. Potocki Władysław.
X. Poturalski Józef.
Potworowski Bronisław. obyw.
Potworowski Gustaw, obyw.
Dr. Powidzki Maciej, lekarz.
Półczyński Roman, obyw.
Półczyński Władysław, obyw.
Preisendanz Franciszek Ksawery, właściciel pensyonatu.
Prokopowicz Franciszek, przedsiębiorca budowy kolei żel.
X. Prądzyński Julian, prałat.
Prądzyński Maksymilian.
Presser Bruno.
Proszkowski Tomasz.
Pruszyński Bronisław.
Prysak Piotr, naucz. st. sem. żen.
Przegonia Adam.
Przybylski Józef.
X. Przybyś Jakób, proboszcz.
Przyłęcki Apolinary, c. k. notar.
Przyłuski Władysław, obyw.
Dr. Przystański Stanisław.
Br. Puszet Jan.
Br. Puszet Konstanty.
X. Puszet Stanisław, kat. gimn.
Kniaź Puzyna Włodzimierz, wł. dóbr.
Pytlik Jan, c. k. ref. lasowy.

Raczyński Antoni, obywatel.
Hr. Raczyński-Nałęcz Karol Edward.
Rada pow. w Nowym Targu.
X. Radecki Józef, proboszcz.
Radoński Leonard, obyw.
Radoński Seweryn, obyw.
X. Radziejewski Stanisław.
Dr. Radziszewski Bronisław, prof. un. czł. Akad. Um. w Krakowie.
X. Radziwiłł książę Edmund, poseł parl.
Ks. Radziwiłł Ferdynand, poseł parl.
Raiser Edwin.
Rajtarski Tomasz.
Ramult Konstanty, c. k. notaryusz.
Dr. Rappaport Arnold, adw., poseł.
Raszewski Ignacy, obyw. rad. ziem.
Regulski Kazimierz.
Dr. Rehman Antoni, doc. uniw.
Rehman Stanisław.
Rejchman Bronisław.
Reichstein Julian, kupiec.
Br. Reisky Artur.
Br. Reisky Artur (syn), akademik.
Br. Reisky Flora.
Dr. Rejewski Juliusz, dyr. Tow. zab. Westa.
Dr. Retinger Antoni, adw.
Reut Gustaw, inż. wydz. kraj.

Reuvers Gerhard, ajent hand.
Rewieńska Stefania.
Rewieński Stanisław.
X. Roehr Julian, dziekan.
Rogaliński Eustachy, obyw.
Rogalski Antoni, akad.
Rogawski Karol, wł. dóbr.
Rogoziński Kazimierz.
Rogójski Witold.
Br. Romaszkan August, dyr. c. k. uprz. galic. Zakładu kred. włościań.
Dr. Romer Gustaw, wł. d., poseł.
Romer Michał.
Dr. Romer Zygmunt, prof. szk. las.
Dr. Rosé Konstanty.
Dr. Rosenblatt Józef, doc. uniw.
Rosenstock Izajasz, wł. dóbr.
Dr. Rosner Antoni, prof. uniw.
Dr. Rostafiński Józef, prof uniw.
X. Roszek Wojciech, proboszcz.
Dr. Rother Stanisław, lekarz sztab.
Rozenfeld Henryk.
X. Rozwadowski Jordan Jakób, prob.
Rozwadowski Józef, prof. gimn.
Rożański Gustaw.
Rożański Stanisław, obyw.
Różycki Bolesław, obyw.
Różycki Rudolf.
Dr. Rudnicki Bolesław.
Rudolphi Karol, c. k. notar.
Ruszczyński Józef, jeneralny plenip.
Rutkowski Napoleon.
Rutkowski Piotr.
Rutkowski Walery, obyw.
Rutkowski Władysław.
Dr. Rybczyński Aleksander.
Rybiński Leon, poseł parlamentu.
Rychlicki Karol.
Rydzowski Ignacy.
Dr. Rydzowski Jędrzej, adw., poseł.
Dr. Rymarkiewicz Jan, prof.
Rypel Wojciech, prof. gimn.
Ryx Bronisław Jan.
Rząca Karol, kupiec.
Rzewuski Walery, radca miejski.

Dr. Salamon Febus.
Salamon Wilhelm, bankier.
Salb Marcin, litograf.
Samberger Edmund, kupiec.
Sampławski Julian, wł. dóbr.
Ks. Sanguszko Eustachy, wł. d., poseł, czł. Rady państwa.
Ks. Sapieha Adam, wł. dóbr, prezes Rady pow. w Przemyślu.
Ks. Sapieha Leon.
Ks. Sapieżanka Helena.
Ks. Jadwiga z Sanguszków Sapieżyna.
Sare Jakób.
Sawczyński Zygmunt, dyr. sem. męz., radca szk., poseł.
Dr. Sawicki Jan Stella.
Sawicki Leon.
Schaitter Ignacy, kupiec.
Schaitter Ludwik, wł. hand.
Schmidt W.
Schmidt Władysław, księg.
Schneider Jan, st. rad. skarb.
Schnitzel Klemens, naucz. gimn.
Schwarz Henryk, kup.
Sczaniecki Konstanty, obyw.
Sczaniecki Michał, obw., czł. parl.
Dr. Ściborowski Władysław.
Dr. Serkowski Bolesław, lek. w Stryju.
Dr. Sęcki Piotr, radca zdrowia.
Sichrawa Franciszek, inżynier.
Sidorski Edmund.
Siedlecki Stanisław, prof. gimn.
X. Siemieński Jan.
Hr. Siemieński Wilhelm, poseł, czł. I. P.
Hr. Sierakowski Adam, poseł parl.
Hr. Sierakowski Alfons, wł. dóbr.
Sikorski Józef.
Sittek Tomasz.
Skarzyński Dyonizy, dyr. Zak. K. Z.
Skarzyński Feliks.
Dr. Skarzyński Witold, obyw.
Skoryna Edmund.
Skotnicki Saturnin.
Skórzewski Hipolit, obyw.
Hr. Skórzewski Leon, poseł parl.
Hr. Skórzewski Zygmunt, czł. Izby P.
Hr. Skórzewski Włodzimierz, akad.
Skrowaczewski Feliks, star. w Stryju.
Skrzydlewski Józef, obyw.
Ślaski Kazimierz, obyw.
Ślaski Ludwik, ob., czł. Izby Pan.
Śluzar Władysław, naucz. gimn.
Sławski Stanisław, sędzia.
X. Słomka Michał, proboszcz.

Słonecki Jan, akad.
Słonecki Zenon, poseł kraj., pr. Rady pow. w Sanoku.
X. Słotwiński Adam, przeor OO. Pij.
X. Słotwiński Stanisław, opat kan. r.
Śmiałowski Feliks.
Śmieszniewicz Władysław, naucz.
Dr. Smolka Stanisław, prof. uniw.
Smoniewski Jan.
Śniechowski Józef.
Sobeski Dyonizy, obyw.
Sobeski Stefan, cukiernik.
X. Sobierajski Jozefat, katecheta seminaryum męskiego i żeńskiego.
Sobolewski Mikołaj, wł. dóbr.
Sobotkiewiczówna Marya.
Sochanik Juliusz.
Sokolnicki Bartłomiej, obyw.
Sokołowski Antoni, p. s. real. w Stryju.
Dr. Sokołowski August, prof. gimn., docent uniwersytetu.
Dr. Sokołowski Maryan.
Sokołowski Władysław.
Sokołowski Zygmunt, rządca d. i Zak. zdroj. w Krynicy.
X. Sokal Wawrzyniec, proboszcz.
Hr. Sołtan Michał.
Hr. Sołtyk Henryk.
Sommer Edward, c. k. rad. sąd. wyż.
Speichert Ksawery Franciszek, obyw.
Spławiński Jan, rad. sąd. obw., poseł.
Spławiński Maksymilian.
X. Stablewski Floryan, prob., poseł.
Stablewski Stanisław, obyw.
Stablewski Stefan, obyw.
Stachowska Iustyna.
Hr. Stadnicki Edward, wł. d., poseł.
Dr. Stanecki Tomasz, prof. uniw.
Stanisławski Teodor.
X. Stanko Leopold, prob.
X. Stankowski Stefan.
Stanowski Jakób, prof. zoobiotyki.
Stark Antoni, złotnik.
Stark Władysław, kupiec.
Starowieyski Fraciszek, wł. dóbr.
Dr. Starzewski Rudolf, adw.
Dr. Stasiński Józef, obyw.
Stawarski Ignacy, dyr. gimn.
X. Steffen Józef.
Stein Julian.
Steinicke Julian.
de Stelzer Jan, c. k. emeryt. rządca.
Stephan Wilhelm.
Steuer Franciszek, c. k. starosta.
Stock Karol, obyw.
Dr. Stodolak Stanisław, prof. gimn.
Stojałowski Aleksander, poczm. Stryj.
X. Stolarczyk Józef, proboszcz.
Stołągiewicz Ignacy.
Strasburger Julian.
Dr. Strasburger Karol.
Dr. Straszewski Maurycy, prof. uniw.
Straż Feliks w Stryju.
Streit Ernest.
Dr. Stromenger Karol, adw.
Stromfeld Wilhelm.
Strumiłło Władysław.
Strutyński Józef, dzierż. dóbr.
Dr. Strzelecki Henryk, dyr. szk. gospodarstwa lasowego.
Studniarski Maksymilian, profesor.
X. Studniarski Wincenty, proboszcz.
Studziński Kazimierz.
Studziński Marceli, dyr. szk. real., rad. szkolny.
X. Studziński Władysław, kanonik.
Dr. Styczeń Wawrzyniec, adwokat.
Sujecki Władysław, kupiec.
Sulerzycki Stanisław, obyw.
Ks. Sułkowski Antoni, wł. dóbr.
X. Sumyk A.
Eugienia z Więckowskich Supińska.
Surmacki Wojciech.
Surzycki Jan Alfons.
Surzycki Julian.
X. Sutor August.
Świądrowski Władysław, kupiec.
Dr. Świderski Władysław, radca zdrow.
Świérz Leopold, prof. gimn. św. Anny.
Dr. Świérz Tomasz.
Świnarski Antoni, obyw.
Świstak Władysław.
Świtalski Feliks, wł. apt.
Sykutowski Ludomir, naucz. gimn.
X. Sylwester Józef.
Sypniewski Anastazy, kupiec.
Sypniewski Józef, obyw.
Dr. Szafarkiewicz Józef.
Szaflarski Jan, inżynier.
X. Szajkowski Wawrzyniec.

Szaniawski Artur.
X. Szarzyński Chryzolog.
Szaszkiewicz Cezar.
Szaszkiewicz Józef, akad.
Szczawiński Bolesław.
Szczepański Józef.
Szczepański Mieczysław, b. poseł i star.
Szedler Aleksander.
Szeliski Kazimierz, wł. dóbr.
Hr. Szeptycki Jan, wł. d., c. k. szamb.
Szetkiewicz Kazimierz.
Szklarz Michał, prof. gimn.
Dr. Szlachtowski Feliks, adw.
Szlachtowski Stanisław.
Szmigielski Ryszard.
Szołdrski Jan, obyw.
Szonert Józef.
Szopiński Baltazar, urzęd. sądowy.
Szpadkowski Ludomir.
Dr. Szrant Wiktor, lekarz.
Szubert Awit, fotograf.
Szubert Władysław, obyw.
Dr. Szujski Józef, czł. Ak. Um., poseł.
Szukiewicz Feliks, kupiec.
Szulc Józef, radca sądu.
Szulc Kazimierz, b. dyr. szk. Montparnasse, zast. dyr. zab. Westa.
Szulczewski Pafnucy, obyw.
Szułdrzyński Władysław, wł. d., poseł.
Szułdrzyński Zygmunt, wł. dóbr.
Szuman Henryk, wł. d., poseł.
Szuman Kazimierz, rzecznik.
Szumańczowski-Prus Ludwik, wł. dóbr.
Szymański Kazimierz.
Dr. Szymański Roman.
Szymanowski Józef.
X. Szymański Władysław, proboszcz.
Szyszkowski Bolesław, c. k. star. leś.

Tabaczyński Adam, obyw.
Tabisz Ludwik.
Hr. Taczanowski Antoni, wł. d. czł. I. P.
X. Taczanowski Bronisław, prob.
Taczanowski Witold, obyw.
Taczanowski Władysław, wł. dóbr.
Tadrzyński Ignacy, obyw.
X. Tałasiewicz Józef, prob.
Tarczyński Hieronim, aptek.
Dr. hr. Tarnowski Stanisław, prof. u., czł. Akd. Um., poseł.
Róża z hr. Branickich hr. Tarnowska.
Hr. Tarnowski Szczepan.
Tatomir Lucyan, nauczyciel star. sem. męz., redaktor „Szkoły“.
Dr. Teichmann Ludwik, prof. uniw. członek Akad. Umiejętności.
Teisseyré Henryk, st. inż. kolei żel.
Thiel Kazimierz, radca sądu.
Thiel Stefan, rzecznik.
X. Tłoczyński Apolinary.
Tołłoczko Edward.
Tomaszewicz Czesław, naucz. szk. real.
Dr. Tomaszkiewicz Tadeusz, obyw.
Tomecki Antoni.
Torosiewicz Mikołaj, wł. dóbr.
X. Towarnicki Wojciech, prob.
Trauczyński Józef, aptekarz.
Dr. Trembecki Onufry.
Trenner Józef.
Tretter Hilary, wł. dóbr, prezes Rady pow. w Przemyślanach.
Trybulec Jan, c. k. notar.
Dr. Trybulec Józef, adwokat.
Trzciński Stanisław.
Trzebiński Erazm, obyw.
Turczyński Emeryk, prof.
Turno Hipolit, obyw., poseł parl.
Tutakowski Władysław.
Twaróg Józef, naucz. st. sem. żeńsk.
Tyszkowski Józef, poseł.

Ujejski Kornel, poeta i gospod. wiej. czł. Rady państwa.
Ulatowski Władysław, wł. dóbr.
Unger Gracyan.
Unrug Wiktor, obyw.
Dr. Uranowicz Zygmunt, prof. gimn.
Urbanowski Napoleon, wł. fab. mach.
Ursel Wilhelm, c. k. adj. sąd.
Uznański Eustachy Henryk.

Vivien Jan, wł. dóbr.
Voss Konrad, dyr. fab. gazu.

Wachtel Henryk, c. k. star górn.
Dr. Walczak Jan, prof. szk. realnej.
X. Walczyński Franciszek, wik. kat.
X. Walczyński Stanisław, kanc. bisk.
Waligórski Władysław.
Walter Witalis, obyw.

X. Walterbach Piotr, dziekan.
Wodpol Wandelin, obyw.
Wardzyński Julian.
Waręska Józefa.
Waręski Aleksander Ludomir.
X. Dr. Wartenberg Szczęsny, prob.
Wasilewski Leonard.
Wawrowski Wawrzyn, naucz. gimn.
Wawrzycki Wincenty.
X. Wawrzyniak Piotr, mansyonarz.
Dr. Waygart Walery, poseł.
Dr. Weigel Ferdynand, adw., wice-prezyd. m. Krak., czł. Rady p.
Wende Edward.
Dr. Wereszczyński Józef, poseł.
Dr. Wernicki Józef, wł. dóbr., poseł.
X. Weydmann August, prob.
Wędrychowski August.
Wędrychowski Inocenty.
Węsierski Kazimierz, obyw.
Węsierski Zygmunt, obyw.
Dr. Wężyk Feliks.
Wężyk Julian, obyw.
Dr. Wicherkiewicz Bolesław, okulista.
Dr. Wicherkiewicz Wład., n. szk. przem.
Dr. Wiediger Ksawery.
Wielogórski Władysław.
Dr. Wierzbicki Daniel, adj. obs. astr.
Wierzbicki Władysław, kupiec.
Dr. Wierzejski Antoni, prof. szk. real.
Więckowski Kazimierz.
Wilk Andrzej.
Dr. Wilkosz Ferdynand, adw.
Winkler Oskar.
Winkowski Józef, naucz. gimn.
X. Wirmański Dominik.
X. Wirmański Jan.
X. Wiśniewski Jan, prob.
Witaczek Jan.
Witkowski Edward.
Witkowski J. A., kupiec skł. ubior.
Wittwer Paschalis.
Wizbek Aleksander.
Wize Filip, jen. rządca.
Wlazłowski Ludwik.
Hr. Wodzicki Henryk, prezes T. gosp. rol. w Krakowie, poseł.
Hr. Wodzicki Ludwik, wł. d., marszałek sejmu i czł. Izby Panów.
Wodziński Leon, wł. dóbr.
X. Wojczyński Karol.
Wojnarski Wojciech, naucz st. sem. m.
Wojno Józef.
Wolański Jan, sekr. c. k. star. Stryju.
Wolff Robert.
Wolski Franc., c. k. radca sąd. k. i notar.
Dr. Wolski Wład., adwokat.
Wolski Zdzisław, wł. dr.
Wójcicki Mateusz, c. k. adj. sądowy.
Wójtowski Teodor, radca sądu.
Wronowski Gustaw.
Wróblewski Witold.
X. Wrzesiński Antoni, prob.
Wszelaczyński Maciej.
Wszelaczyński Władysław, wł. dóbr.
Wszeteczka Ferdynand.
Wybicki Michał, obyw.
Wyrobisz Józef, ref. mag. m. Krak.
Wysocki Józef, inżyn.
Wyspiański Franc. Michał, rzeźbiarz.
Wyttek Czesław.

York Wilhelm.

Zabierzewski Ignacy, c. k. kom. star.
Zabłocki Erazm, obyw.
Zabłocki Stanisław.
Zacharyasiewicz Jan, literat.
Zagórski Franciszek, kupiec.
Zajączkowski Michał, budow.
Dr. Zaklika-Topor Władys., zast. prok.
Zakrzewicz Mikołaj.
X. Zakowski Floryan, prob.
Dr. Zakrzewski Ferdynand, adw.
Zakrzewski Paweł, obyw.
Zakrzewski Stanisław, obyw.
Dr. Zakrzewski Wincenty prof. uniw.
Zalasiński Stanisław Kostka Rufin.
Zalewski Filip, wice-pr. c. k. nam.
Zalewski Kazimierz.
Hr. Zamoyski Andrzej Przemysław.
Hr. Zamoyski Stefan, wł. d., poseł, prezes Rady pow. w Jarosławiu.
Zapała Sebastyan.
Zaremba Erazm, c. k. kom. w Stryju.
Zaremba Karol.
Zaremba Szczęsny.
Dr. Zaremba Wacław, obyw.
Dr. Zarewicz Aleksander.
Dr. Zaręczny Stanis., prof. szk. real.

Zarzycki Andrzej, inżynier.
Dr. Zatorski Maksymilian, pf. u., poseł.
Dr. Zawadziński Stanisław, lekarz.
Zawistowski Lucyan.
Zawadzki Antoni, radca sądu.
Zbikowski Albin.
Zborowski Aleksander, c. k. star., poseł.
Dr. Zbyszewski Wiktor, adw.
Zehenter Teodor, skarbnik salin.
Zeitheim Jadwiga.
Zelt Józef.
Zembrzuski Jan.
X. Zenkteller Józef, prob.
Zeyland Józef, wł. fabr. stolar.
Dr. Zgorzalewicz Julian. naucz. sm. ż.
Zgórek Ludwik, naucz. star. sem. m.
X. Zieliński Ignacy, prob.
Zgórski Julian, apt. w Stryju.
Zielonka Jan.
Ziembicki Mieczysław, inż. w Stryju.
Ziembiński Stanisław, dyr. inst. tech.
Ziemiański Franciszek.
X. Ziętkiewicz Stanisław, prob.
X. Ziętkiewicz Walenty, prob.
Zima Franciszek dyr. galc. Kasy Oszcz.
Ziołecki Roman, król. budow.
Znamięcki Zefiryn, wł. dóbr w Stryju.
Znamirowski Józef.
Dr. Znamirowski Ignacy, prof.
Znamirowski Stanisław, c. k. notar.
Dr. Zoll Fryderyk, prof. un. czł. Ak. U.
Zontak Wład. kustosz muz. przyr.
Dr. Zucker Filip, poseł.
Źralski Władysław.
Dr. Żebrowski Maurycy.
Żłobikowska Otylia.
Żóchowski Józef, obyw.
Marya z Sapiehów hr. Żółtowska.
Żółtowski Adam, obywatel.
Żółtowski Ignacy.
Żołtowski Józef, obyw., czł. parl.
Hr. Żółtowski Marceli, obyw.
Hr. Żółtowski Stanisław, obyw.
Hr. Żółtowski Stefan, obyw., czł. parl.
Dr. Żuliński Józef, naucz. st. sem. ż.
Żupański Jan Konstanty, księgarz.
Żurowski Ignacy.
Żurowski Romuald.
Żychliński Józef, obyw.

Od 26 maja — 8 czerwca 1879 r. wpisani do grona Towarzystwa:

Hr. Czarnecki Antoni.
Hr. Czarnecki Jan.
Dobrowolski Bruno.
Drozdowska Antonina.
Dr. Dziedziński Aleksander, profesor sem. duchown.
X. Gintrowicz Mikołaj, prob.
Jabłonowski Józef, wł. dóbr.
X. Jasiński Jan.
Jordan Franciszek, obywatel.
Kamieński Władysław, Wł. hotelu.
Nasierowski Witold, obywatel.
Paliszewski Władysław, obyw.
Dr. Piasecki Wenanty, lekarz.
Przybylski Władysław.
X. Rudol Walenty, proboszcz.
Sowiński Roman.
Sujecki Franciszek, restaurator.
Szulc Oswald.
Dr. Zielonacki Jozafat, b. prof. uniw., C. A. U.
Żółtowski Marceli, obywatel.

B.

ODDZIAŁ
TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
W STANISŁAWOWIE.

Zakres działalności: powiaty Stanisławowski, Nadworniański, Bohorodczański, Tłumacki, Kałuski i Doliniański.

Zarząd:

Przewodniczący: Wojciech hr. Dzieduszycki.—Zastępca: Dr. Marceli Eminowicz.

Członkowie zarządu:

Dr. Ignacy Kamiński. — Dr. Walery Szydłowski. — Ludwik Kozakiewicz. Zygmunt Święcicki. — Stanisław Libera. — Maryan Łomnicki (sekretarz). Józef Gruenberg. — Bruno Langner. — Szymon Łękawski. — Franciszek Miazga (konserwator zbiorów).—Dr. Zygmunt Mroczkowski.— Karol Borowiczka (podskarbi).

Komisya wykonawcza w Nadwórnie:

Brodowicz Józef. — Erazm Masłowski. — Julian Wilusz.

Delegaci zarządu:

W Nadwórnie: Erazm Masłowski. — w Kałuszu: Kajetan Wolański.

Poczet Członków zwyczajnych:

Ambroziewicz August, sekretarz Rady powiatowej w Nadwórnie.
Bałaban Wincenty, sędzia w Delatynie.
Bielański Roman, c. k. inż. pow. w Stanisławowie.
Bodyński Józef, prof. gimn.
Bohdan Józef, ks. prob. w Delatynie.
Borowiczka Karol, prof. szk. real. w Stanisławowie.
Brodowicz Józef, dyr. zarz. w Nadwórnie.

Brykczyński Józef, wł. dóbr w Pacykowie.
Brykczyński Stanisław „ „
Chlibkiewiczówna Izabela, wł. d. w Ostrej.
Chlibkiewicz Witold, wł. d. w Ostrej.
Czołowski Aleksander, rządca dóbr w Uściu-Zielonem.
De Lavaux Ludwik, prof. szk. real. w Stanisławowie.
Dolleczek Wincenty w Pacykowie.
Hr. Dzieduszycki Wojciech, wł. dr. w Olszanicy, poseł.
Dr. Eminowicz Marceli, adw. w Stanisławowie.
Geyer Gustaw, inżynier w Stanisławowie.
Głuchowski Grzegórz, wł. d. w Kamiennej.
Gniewosz Włodzimierz, wł. dóbr w Złotym Potoku.
Gruenberg Józef, prof. gimn. w Stanisławowie.
Gryziecki Henryk, c. k. adj. sąd. w Tyśmienicy.
Heck Walery, prof. gim. w Stanisławowie.
Hohn Aleksander, wł. d. w Ciężowie.
Janiszewski Mieczysław, dzierż. w Nadwórnie.
Jaroszyński Zygmunt, wł. dr. w Błudnikach.
Jastrzębski Rudolf, właściciel w Stanisławowie.
Dr. Kamiński Ignacy, bur. w Stanisławowie, poseł.
Karpiński Ignacy, sędz. pow. w Sołotwinie.
Kęplicz Walery, wł. dóbr.
Kęszycki Aleksander, wł. dóbr w Dźwinogrodzie.
Klimuntowski Jan, w Stanisławowie.
Klossówna Marya, dyr. szk. wydz. w Stanisławowie.
Kozakiewicz Ludwik, prof. gim. w Stanisławowie.
Langner Bruno, kom. finan.
Lewicka Anna, prof. szk. wydz. w Stanisławowie.
Libera Stanisław, prof. gimn. w Stanisławowie.
Łaguna Bronimir, przedsiębiorca kol. w Stanisławowie.
Dr. Łękawski Marceli, adwokat we Lwowie.
Łękawski Szymon, urzędnik teleg., prezes stow. urzęd. w Stanisławowie.
Łomnicki Maryan, prof. gimn. w Stanisławowie.
Hr. Łoś Bronisław, c. k. starosta w Stanisławowie, poseł.
Łukasiewicz Dominik w Ottynii.
Mandyczewski Jan, w Nadwórnie.
Dr. Masłowski Erazm, c. k. notar. w Nadwórnie.
Melbechowski Władysław, wł. d. w Horyhladach.
Mazaraki Maryan, wł. d. w Strutynie.
Meisels Chaim, wł. real. w Stanisławowie.
Dr. Merunowicz Józef, lekarz we Lwowie.
Miazga Franciszek, prof. szk. realnej w Stanisławowie.
Mochnacki Karol, wł. d. w Ottynii.
Dr. Mroczkowski Zygmunt, lekarz w Stanisławowie.
Mühln Władysław, budowniczy miej. „
Dr. Niementowski Przemysław, prof. gimn. w Stanisławowie.
Nowogrodzki Roman, we Lwowie.
Ostrożyński Władysław, sł. praw. we Lwowie.
Parylak Piotr, prof. gim. w Stanisławowie.
Podlaszecki Adolf, c. k. sędzia w Nadwórnie.

Hr. Poniński Romuald, wł. dóbr w Kowalówce.
Dr. Rojecki Franciszek, lekarz w Stanisławowie.
Hr. Rozwadowski Ryszard, wł. dóbr w Zakrzewcach.
Rybczyński Maryan, c. k. adj. sąd. w Stanisławowie.
Sedelmayer Piotr, wł. browaru w Stanisławowie.
Skupniewicz Józef, prof. gimn. „
Słonecki Bronisław, przedsiębiorca kolei w Stanisławowie.
Stecher Ferdynand, wł. apt. w Stanisławowie.
Swiderski Paweł, prof. g. „
Święcicki Zygmunt, sekret. r. pow. „
Szczurowski Kazimierz, radca sąd. „
Dr. Szeparowicz Orest, adwokat. „
Dr. Szydłowski Walery, adwokat „
Torosiewicz Edward, wł. dóbr w Turze.
Torosiewicz Emil, wł. dóbr, poseł.
Torosiewicz Izydor, wł. dóbr w Sopowie.
Torosiewicz Jan, wł. dóbr w Kujdańcach.
Dr. Tyralski Włodzimierz, lekarz w Zbarażu.
Wang Julian, inżynier w Stanisławowie.
Wilusz Julian, urzęd. skarbu nadworniańskiego.
Dr. Wolański Kajetan, lekarz pow. w Kałuszu.
Wołoszyński Włodzimierz, czł. kom. szac. w Nadwórnie.
Wroński Jan, prof. szk. real. w Stanisławowie.
Zdrassil Ferdynand, c. k. notaryusz w Stanisławowie.
Żurawski Jan, dyr. szk. lud. w Nadwórnie.

Z końcem r. 1876 było wpisanych członków 69
„ „ 1877 „ „ „ 57
„ „ 1878 „ „ „ 76



C.

ODDZIAŁ
TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
POD NAZWĄ
CZARNOHORSKIEGO W KOŁOMYI.

Zakres działania: Powiaty Kołomyjski, Kossowski, Śniatyński, Horodeński, Zaleszczycki i Borszczowski.

I. Zarząd:

Przewodniczący: Konstanty Siwicki. Zastępca Przewodniczącego: Leopold Wajgel.

Członkowie Zarządu:

Eugeniusz Kuczkowski. — Dr. Włodzimierz Głaczyński.—Wilhelm Schayer. X. Mikołaj Martini (podskarbi). —Jan d'Entel (konserw. zbiorów).—Edward Berger. Władysław Kawecki. — Adolf Matejko. — Wincenty Stroka. — Marceli Turkawski (sekretarz).— Ludwik Maciulski. — Dr. Michał Jakubowski.

Komisya wykonawcza Zarządu w Żabiu:

Jan Gregorowicz. — Franciszek Mathias. — Stanisław Przybyłowski.

Delegaci Zarządu:

W Czerniowcach: Włodzimierz Hankiewicz. — W Czortowcu: Władysław Przybysławski. — W Gwoździcu: Hr. Stanisław Dzieduszycki. — W Kossowie: Stanisław Bursa. — W Peczyniżynie: Adolf Sokol. — W Śniatynie: Maurycy Niementowski. W Śniatynie: Teodor Załuski. — W Wiżnicy (n. Czeremoszem): Dr. Karol Kasprzycki.

II. Poczet Członków zwyczajnych:

Abgarowicz Józef, właściciel dóbr w Łuce.
Dr. Antoniewicz Włodzimierz, lekarz w Obertynie.
Antulski Józef, sekretarz starostwa w Kossowie.
Bensdorff Józef, właściciel realności w Jaworniku.
Berger Edward, prof. gimnazyalny w Kołomyi.
Bogdanowicz Antoni, właściciel dóbr w Matyowcach.
Hr. Borkowski Dunin Emanuel, właściciel dóbr w Punikwie.
Bursa Stanisław, aptekarz w Kossowie.
Burski Antoni, mierniczy w Horodence.
Burski Franciszek, c. k. starszy mierniczy w Czerniowcach.
Burzyński Józef, nauczyciel gimnazyalny w Złoczowie.
Buszyński Ludwik, c. k. starosta pow. w Nadwórnie, poseł.
Czechowicz Erazm, nauczyciel szkoły ludowej w Kołomyi.
Czuleński Teodor, prof. gimnazyalny w Kołomyi.
Deputowicz Ignacy, rządca dóbr w Kamionce Wielkiej.
Dębicki Jan, c. k. notaryusz.
Domain Józef, adjunkt starostwa w Kołomyi.
Dzieduszycki Stanisław, hr., właściciel dóbr w Gwoźdźcu.
D'Entel Jan, c. k. referent lasowy w Kołomyi.
Feyer Jan, zarządca dóbr lasowych w Uścierykach.
X. Fischer Jan, katecheta szkoły realnej w Czerniowcach.
Fritsch Ferdynand, aptekarz w Kimpolungu.
Fundacya dóbr hr. Stanisława Skarbka we Lwowie.
Dr. Głaczyński Włodzimierz, lekarz w Kołomyi.
Głowacki Maurycy, sekretarz Rady powiatowej w Kołomyi.
X. Górski Antoni, proboszcz w Zabłotowie.
Gregorowicz Jan, rządca dóbr Skarbkowskich w Żabiu.
Grodki Karol, naczelnik banku włościańskiego w Czerniowcach.
Haczewski Ernest, c. k. komisarz starostwa w Kołomyi.
Hankiewicz Włodzimierz, c. k. inspektor szac. w Czerniowcach.
Hausser Mieczysław, urzędnik kolejowy we Lwowie.
Heimrich Józef, naczelnik poczty w Kołomyi.
Hetper Karol, zarządca dóbr lasowych w Kniaźdworze.
Heyder Leonard, nauczyciel gimn. w Czerniowcach.
Hudczak Iluk Hryhor, gospodarz i właściciel realności w Żabiu.
Dr. Jakubowski Michał, lekarz w Kołomyi.
Jasiński Fraciszek, wł. d. Zahajpola, prezes Rady. pow. w Kołomyi.
Jasiński Marceli, „ „
Kapri Jan, bar., wł. d. w Wołczkowcach, pr. Rady pow. w Śniatynie.
Dr. Karpiński Jan, lekarz w Kołomyi.
Dr. Kasprzycki Karol, lekarz w Wiżnicy nad Czeremoszem.
Dr. Kasprzycki Wojciech, radca zdrowia w Czerniowcach.
Kawecki Władysław, radca sądowy w Kołomyi.
Klatecki Karol, budowniczy miejski w Kołomyi.
Korytkowa Teofila, wł. dóbr w Piadykach.
Korzeniewicz Włodzimierz, naucz. szk. ludowej w Kołomyi.
X. Korzyński Teodor, prob. w Żabiu.
Kolassa Antoni, urzędnik salinarny w Kossowie.

Dr. Krzysztofowicz Mikołaj, wł. dóbr w Załuczu.
Krzysztofowicz Roman, wł. dóbr w Karapczyjowie.
Krzysztofowiczowa Wiktorya, wł. dóbr w Korniczu.
Kuczkowski Eugieniusz, star. pow. w Kołomyi, poseł.
Kulmatycki Włodzimierz, kom. szac, w Kossowie.
Langer Ambroży, pomocnik lasowy w Peczyniżynie.
Lanikiewicz Józef, c. k. komisarz pow. w Kołomyi.
Leibschütz Antoni, c. k. lustrator lasów fund. rel. w Czerniowcach.
Lewicki Jan, wł. realn. w Rożniu Wielkim.
Linde Leon, wł. dóbr w Czeremchowie.
Lizak Jan, inspektor lasowy w Czerniowcach.
X. Łabay Ryszard Franciszek, katecheta w Kołomyi.
X. Łepki Mikołaj, kat. gimn. w Kołomyi.
Łukaszewicz Józef, wł. dóbr w Kadobestie.
Machnicki Henryk, prof. gimn. w Kołomyi.
Maciulski Ludwik, naucz. gimn. w Kołomyi.
Dr. Majerski Bronisław, lek. w Czerniowcach.
X. Majewski Ferdynand, proboszcz w Głęboczku.
Dr. Maramorosch Kajetan, adw. w Kołomyi.
X. Martini Mikołaj, kat. gimn. w Kołomyi.
Matejko Adolf, adjunkt inżyn. pow. „
Mathias Franciszek, rządca dóbr w Jasionowie Górnym.
Maubach Otto, dyrektor dóbr lasowych w Kutach.
Marquart Antoni, oficyał pocztowy w Kołomyi.
Mazacz Jan, lekarz w Peczyniżynie.
Meyer Frydryk, oficyał pocztowy w Kołomyi.
Mojsa de Rosochacki Jędrzej; wł. dóbr w Rosochaczu.
Mokłowski Mieczysław, sekretarz Rady pow. w Kossowie.
Moszoro Kajetan, sekretarz prywatny w Korszowie.
Niemczewski Marceli, aptek. w Śniatynie.
Niementowski Maurycy, burmistrz w Śniatynie.
Nowak Walenty, zarządca dóbr lasowych w Hryniawie.
Obst Karol, pensyon. zarząd. „ „ w Jaworniku.
Obst Seweryn, leśniczy w Żabiu.
Passakas Feliks, wł. dóbr w Kolankach.
Passakas Kajetan, „ „ „
Pauli Józef, c. k. starszy leśniczy w Tereblestie.
Pawlik Adam, urzędnik salinarny w Kossowie.
Perfecki Romuald, prof. gimn. w Kołomyi.
Piwko Zygmunt, wł. dóbr w Słobódce leśnej.
Placykiewicz Jan w Żabiu.
Polański Korneli, prof. gimn. w Kołomyi.
Przybyłowski Stanisław, wł. dóbr w Krzyworówni.
Przybyłowski Władysław, wł. dóbr w Czortowcu.
Pukanow Dymitr, nauczyciel szk. ludw. w Kossowie.
Puzyna Roman kniaź, wł. dóbr w Gwoździcu.
Rosenberg Alfred, rządca dóbr lasowych w Kossowie.
Dr. Rosner Maksymilian, lekarz w Kołomyi.
Rudnicki Stanisław, prof. gimn. w Kołomyi.
Rutkowski Józef, notaryusz w Wiżnicy (nad Czerem.).

Sabath Hipolit, star. pow. w Kossowie.
Sasulicz Wacław, wł. dóbr, w Załuczu.
Schayer Wilhelm, inżynier powiatowy w Kołomyi.
Szuster Antoni, komisarz szac. w Horodence.
Sidorowicz Antoni, w Kołomyi.
Sidorowicz Jan, aptekarz w Kołomyi.
Sidorowicz Włodzimierz, leśniczy w Żabiu.
Sielecki Fraciszek Ksawery, komisarz pow. w Kossowie.
Sierzystie Ferdynand, star. pow. w Wiżnicy (nad Czerem.).
Siwicki Konstanty, wł. dóbr w Cieniawie.
Sławiński Marceli, oficyał urzędu telegr. w Kołomyi.
Słoniewski Tytus, inspektor szkół ludowych w Kołomyi.
X. Smagowicz Jan, prob. w Kutach.
Sokol Adolf, zarządca dóbr lasowych w Peczyniżynie.
Soroczyński Józef, burmistrz w Kutach.
Stawiarski Waleryan w Kołomyi.
Stenzel Edward, aptek. „
Strasser Karol, wł. dóbr w Kujdańcach.
Stroka Wincenty, prof. gimn. w Kołomyi.
Strusiewicz Antoni, koncypient notar. w Kossowie.
Szumlański Józef, komisarz powiatowy „
Teodorowicz Ignacy, dzierżawca dóbr w Tyszkowcach.
Terlecki Teodor, starszy inspektor podatkowy w Czerniowcach.
Tesarz Antoni, cukiernik w Czerniowcach.
Tokarski Stanisław, nauczyciel gimn. w Kołomyi.
Turkawski Marceli, „ „ „
Ursedzuk Atanazy, w Żabiu.
Wajgel Leopold, dyr. wyż. szk. żeń., prof. gimn. w Kołomyi.
Werner Karol, poczmistrz w Peczeniżynie.
Wielowiejski Władysław, wł. dóbr w Olejowie Korniowie.
Wierzbiański Grzegórz, ofic. rachunk. w Czerniowcach.
Wilczyński Edmund, poborca podatkowy w Gura humora.
Witkowicki Karol, oficyał kasy oszcz. w Czerniowcach.
X. Witwicki Sofron, prob. w Żabiu.
X. Woliński Antoni, kat. w Kołomyi.
Wołczuk Jan, naucz. gimn. „
Dr. Wurst Karol, notar. i prezes Rady pow. w Kossowie.
Wysoczański Antoni w Jabłonowie.
Zacharyasiewicz Marceli, wł. dóbr w Woronowie.
Zademski Henryk, właściciel księgarni i druk. w Kołomyi.
Zagajewski Aleksander, aptek. w Kutach.
Załuski Teodor, kom. szac. w Śniatynie.
Dr. Pietrzycki Antoni, lekarz pow. w Kossowie.
Kozakiewicz Juliusz, pocztmistrz w Kutach.
Zagórski Włodzimierz, wł. dóbr w Dzurowie.

A.

Wyciąg z Protokołu

V. zwyczajnego Walnego Zgromadzenia Towarzystwa Tatrzańskiego

odbytego dnia 5 maja 1878 roku

w Sali Rady miejskiej w Krakowie.

Członków Tow. Tatrz. obecnych z rozpoczęciem obrad 36. Prezes Tow. zaprosiwszy na sekretarza Zgromadzenia p. Walerego Eljasza zagaja posiedzenie przemową, w której kreśli rozwój Tow. od ostatniego posiedzenia i wspomina o stracie, jaką poniosło Tow. a z nim i cały kraj przez śmierć członka honorowego Dra Józefa Dietla, którego głos dla zdrojowisk krajowych stał się jakby różczką czarodziejską. Zgromadzenie powstaje składając hołd zasługom zmarłego.

Poczem odczytuje p. Eljasz protokół z ostatniego Wal. Zgrom. przyjęty bez dyskusyi, a p. Świérz sprawozdanie z całorocznych czynności Tow. (wydrukowane w III t. Pam. str. 31—37).

W dyskusyi nad preliminarzem budżetu na r. 1878 brali udział pp. Dr. Rostafiński, Świérz, Dr. Ściborowski, Ryx, X. Chmielewski, Dr. Baraniecki, Dr. Alth, Anczyc, Dr. Rosenblatt, K. Zaremba i Podwin, poczem z mało znaczącą zmianą cały budżet przyjęto (wydr. w III t. Pam. Tow. Tatrz. str. 48). Dr. Rosenblatt domaga się od Wydziału, aby się stósownie do § 2 stat. Tow. wystarał w sposób jaki uzna za odpowiedni o zniżenie opłat dla członków na kolejach galicyjskich i węgierskich do gór wiodących podczas pory letniej. Jakkolwiek niektórzy członkowie zabierający głos nad tym wnioskiem powątpiewają o pomyślnym skutku starań wydziału, to jednak wniosek ten większością głosów zostaje przyjętym.

Po sprawdzeniu rachunków za rok ubiegły przez pp. Józefa Mrazka i Augusta Piekarskiego udziela Zgromadzenie Wydziałowi jednogłośnie absolutorium i wybiera na rok następny komisyę kontrolującą złożoną z pp. Adolfa Podwina, Augusta Piekarskiego i Józefa Mrazka.

W końcu referuje imieniem Wydziału p. Anczyc sprawę obrania p. Kazimierza Kantaka, posła wielkopolskiego członkiem honorowym Tow., wyliczając jego zasługi tak na polu narodowem w ogólności jak w szczególności dla Tow. Tatrz. Zgromadzenie przyjmuje jednogłośnie wniosek ten Wydziału.

Hr. M. Rey. W. Eljasz.

WYCIĄG Z PROTOKOŁU
II nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia
Towarzystwa Tatrzańskiego
odbytego d. 22 września 1878 r.
w gmachu gimnazyalnym św. Anny w Krakowie.

Przewodniczący Zgromadzenia hr. M. Rey, Prezes Tow. Tatrz. Sekretarz Zgromadzenia prof. Leopold Świérz.

Prezes zagaja posiedzenie przemową, w której podaje do wiadomości Szan. Zgromadzenia, że 20 września 1878 r. Wydział kraj. w porozumieniu z komitetem kultury krajowej postanowił przedłożyć Wys. Sejmowi wniosek, ażeby na utrzymanie szkoły snycerstwa w Zakopanem wyznaczyć roczny zasiłek w kwocie 600 złr. na lat pięć pod warunkiem:

1. że c. k. Rząd ustanowi dla tej szkoły nauczyciela na koszt skarbu państwa;
2. że statut organizacyjny szkoły ułożonym będzie w porozumieniu z Wydziałem krajowym;
3. że Wydziałowi krajowemu przyznanem będzie prawo do udziału w zarządzie szkoły wykonać się mające albo bezpośrednio albo za pośrednictwem ustanowionego przy Wydziale krajowym organu doradczego dla spraw rękodzielnictwa i przemysłu domowego.

Następnie odczytuje Sekretarz *a*) pismo c. k. Starosty w Nowym Targu z dnia 31 lipca 1878 l. 3833, według którego J. E. p. Minister handlu objawił rozporządzeniem z 22 lipca 1878 l. 20.053 zamiar wysłania na koszt państwa nauczyciela dla szkoły snycerskiej w Zakopanem pod warunkiem, że kierownictwo szkoły zostanie w rękach wysłanego przez c. k. ministerstwo nauczyciela, i że Tow. Tatrz. albo też gmina miejscowa prawomocnie zapewni egzystencyę Zakładu najmniej na lat pięć;

b) odezwę Wydziału krajowego z dnia 21 czerwca 1878 l. 33.879 do c. k. Prezydyum Namiestnictwa udzieloną Tow. Tatrzańskiemu 21 lipca r. 1878, według której Wydział krajowy uprasza c. k. Prezydyum Namiestnictwa o poparcie dawno już wniesionej prośby Tow .Tatrz. u c. k. Ministerstwa handlu i ustanowienie nauczyciela na koszt skarbu państwa obiecując w razie uwzględnienia prośby Tow. zaspokoić resztę potrzeb szkoły snycerskiej z funduszu krajowego.

Po odczytaniu tych pism przedstawia M. Pawlikowski imieniem Wydziału następujący wniosek:

Walne Zgromadzenie Tow. Tatrz. raczy uchwalić:

„Walne Zgromadzenie upoważnia Wydział, aby tenże w razie uzyskania odpowiedniej subwencyi pięcioletniej na szkołę snycerską w Zakopanem ze strony

Wydziału krajowego lub Sejmu zobowiązał się imieniem Tow. Tatrz. wobec c. k. Ministerstwa handlu do zadosyć uczynienia warunkom, pod którymi c. k. Ministeryum przyrzeka opłacać nauczyciela tejże szkoły i łożyć na jej utrzymanie, a mianowicie: Wydział przyjmuje imieniem Tow. Tatrz. następujące na lat pięć zobowiązania:

1. Opłacać lokal na szkołę i dostarczyć ławek i innych przyborów do tejże;
2. dostarczać do tejże opałowego drzewa i światła;
3. opłacać służbę szkolną;
4. dawać rocznie 100 złr. w. a. na kupno instrumentów i materyałowego drzewa na wyroby snycerskie, bądźto z własnych funduszów bądź z uzyskać się mającej od Wydziału krajowego lub Sejmu subwencyi.

Nad wnioskiem tym wszczęła się ożywiona dyskusya. Dr. Machalski zapytuje się, czy gmina zakopiańska nie zechce przyczynić się w czem do utrzymania szkoły. Referent Pawlikowski tłumaczy jaką jest gmina tamtejsza składająca się z ludności Zakopanego i Olczy; w gminie tej przeważają głosy ludności z Olczy.

Dr. Wilkosz czyni poprawkę do wniosku Wydziału, ażeby Towarzystwo w odpowiedzi mającej się dać c. k. Ministerstwu wyraźnie oświadczyło, że będzie opłacało tylko lokal na szkołę nie obowiązując się do opłacania mieszkania dla nauczyciela.

Sekretarz Świérz daje wyjaśnienia o naturze mieszkań Zakopiańskich, w których obok izb przeznaczonych wyłącznie na cele szkoły może się znaleźć i mały pokoik dla nauczyciela, jakkolwiek c. k. Ministerstwo bynajmniej nie żąda, aby Tow. dawało mieszkanie dla kierownika szkoły.

Dr. Wilkosz żąda dalej, aby po latach pięciu wrazie uchylenia zapomogi ze strony c. k. Rządu, wszelkie narzędzia Towarzystwa pozostały jego własnością.

Dr. Machalski co do wydatków na cele szkoły proponowanych przez Wydział, nie zbyt zresztą wygórowanych, oświadcza, że takowe może będą mniejsze, służbę mogą spełniać chłopcy; co się tyczy żądania, aby gmina dostarczyła lokalu i takowy opłacała, to pod tym względem i gdzieindziej jedne gminy dostarczają takowego, a drugie nie, jak np. w Hallstadt; u nas od gminy wogóle niczego się spodziewać nie można; ludziom światlejszym trzeba z góry działać, a lud dopiero później będzie się garnął do nauki, w szkole koszykarskiej wyuczyło się 100 chłopców, szkoła snycerska nie czyni tak prędkich postępów, dlatego uważa wniosek p. Dr. Wilkosza—co się ma stać z narzędziem Tow. po pięciu latach za zbyteczny.

P. Bondzewicz zapytuje, czyją własnością są wyroby szkolne.

Dr. Machalski odpowiada, że dopóki uczeń chodzi do szkoły, nauczyciel winien zdawać rachunki c. k. Ministerstwu tak z dochodów jak rozchodów, dążeniem szkoły jest, aby każdy uczeń sam robił po ukończeniu nauki.

Po zamknięciu dyskusyi (na wniosek Dra Kasparka) przemawiają jeszcze zapisani do głosu Dr. Markiewicz popierając wniosek Dra Wilkosza, aby po upływie 5 lat rzeczy przeszły na własność Tow. Tatrz. i Dr. Baraniecki, aby sprzedano narzędzia tym co się uczyli.

Poczem Przewodniczący poddaje pod głosowanie wniosek Wydziału. Zgromadzeni przyjmują takowy prawie jednogłośnie.

Następnie wszczęła się dyskusya nad I. poprawką Dr. Wilkosza. Po przemówieniach Dra Kasparka, Dra Domańskiego i referenta Pawlikowskiego, zmierzających do tego, aby sprawy zaprowadzenia szkoły nie utrudniać, inaczej bowiem rzecz cała może iść w odwłokę, upada wniosek Dra Wilkosza.

W dyskusyi nad II wnioskiem Dr. Wilkosza zabrał głos nasamprzód Dr. Machalski, twierdząc, że trudno rozstrzygnąć w kwestyi własności, ile przypadnie po 5 latach na Towarzystwo, ile na Rząd, lub też na obszar dworski, a ile znowu na Wydział krajowy.

Dr. Markiewicz oświadcza, żeby się T. Tatrz. zrzekło prawa własności.

P. Mrazek uznając słuszność twierdzenia Dr. Wilkosza obawia się—w skutek przyjęcia tego wniosku—zwłoki zaprowadzenia szkoły.

Dr. Kasparek powiada, że w piśmie mającem się wystósować do c. k. Ministerstwa można wyrazić życzenie, że narzędzia będą własnością Towarzystwa.

Po zamknięciu dyskusyi (na wniosek Dra Machalskiego) przemawia jeszcze sprawozdawca przeciw wnioskowi Dra Wilkosza.

Poczem Dr. Wilkosz i Dr. Markiewicz cofają swe wnioski, a Przewodniczący zamyka posiedzenie zwołane wyłącznie w sprawie szkoły snycerskiej w Zakopanem.

Hr. M. Rey. L. Świérz.

PROTOKÓŁ

spisany z III nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia Członków Towarzystwa Tatrzańskiego

odbytego 19 stycznia 1879 r. o godz. 3 z południa.

w sali Muzeum techniczno-przemysłowego

w Krakowie.

Obecnych członków 38.

Prezes Towarzystwa Mieczysław hr. Rey zaprosiwszy p. Michała Chylińskiego na sekretarza tego posiedzenia, zągaił je przemową, w której przedstawił powody zwołania nadzwyczajnego Zgromadzenia, nadmieniając zarazem, że stósownie do uchwały nadzwyczajnego Zgromadzenia z d. 2 grudnia 1877 r. zakupiono w środku Zakopanego znaczny kawał gruntu za kwotę 1.000 złr.

Odczytany następnie przez Sekretarza Wydziału prof. Świérza protokół z II nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia, przyjęto bez zmiany.

Z porządku dziennego referent Wydziału prof. dr. Smolka w dłuższem przemówieniu uzasadnia następujący wniosek Wydziału:

1. W celu wystawienia domu Tow. Tatrz. w Zakopanem oddaje się Wydziałowi do dyspozycyi fundusz do wysokości 6.300 złr.
2. na pokrycie potrzeb w wysokości powyższej kwoty:
   a) przeznacza się nadwyżkę domniemanych dochodów b. r. po strąceniu sumy zwykłym corocznym budżetem wydatków objętej, mianowicie domniemane 3.300 złr.
   b) upoważnia się Wydział do zaciągnięcia pożyczki w wysokości 3.000 złr. w korzystnych warunkach w ciągu przyszłych lat kilku spłacić się mającej.

Nad powyższemi wnioskami Wydziału rozwinęła się ożywiona dyskusya, w której panowie Kazimierz i Julian Grabowscy, a niemniej pp. Dr. Baraniecki, Dr. Rehman, Eljasz i Bondzewicz przemawiali za przyjęciem zupełnem propozycyi referenta, Dr. Markiewicz zaś zalecając możliwą oszczędność, wnosi ograniczenie budowy domu do lokalności niezbędnych, a tem samem zarazem zmniejszenie funduszu dyspozycyjnego na ten cel wyznaczyć się mającego do wysokości czterech a najwyżej pięciu tysięcy złr.

Po ostatniem przemówieniu referenta uchwaliło Zgromadzenie znaczną większością głosów wszystkie powyżej przez Wydział przedłożone wnioski.

Zakupno gruntu pod budowę domu w Zakopanem za kwotę 1000 złr. po krótkiej dyskusyi, w kótej brali udział pp. Dr. Rehman, Markiewicz i Pawlikowski, przyjęło Zgromadzenie do wiadomości.

Posiedzenie zamknięto o godzinie 5tej z południa.

Hr. M. Rey. M. Chyliński.

SPRAWOZDANIE

Z CZYNNOŚCI WYDZIAŁU TOWARZYSTWA TATRZANSKIEGO

ZA CZAS

od dnia 6 maja 1878 r. do 25 maja 1879 roku

odczytane na VI zwyczajnem Walnem Zgromadzeniu dnia 25 maja 1879.

Rok zeszły zamykający pierwsze pięciolecie Tow. Tatrz. nieustąpił poprzednim pod względem rozwoju Towarzystwa. Zakończył bowiem liczne i nie bez trudu podejmowane starania około zaprowadzenia szkoły snycerskiej w Zakopanem pomyślnym owocem, gdyż c. k. Ministerstwo handlu (rozporz. z d. 16 listopada 1878 roku l. 29.527) zezwoliło na założenie szkoły snycerskiej na koszt państwa i przysłało w tym celu fachowego nauczyciela p. Franciszka Neužila, który dnia 10 grudnia z. r. zawitał do Zakopanego. Uboga gmina, której podobnie jak innym trzeba narzucać dobrodziejstwa, nie chciała się w niczem przyczynić do utrzymania szkoły. Warunku przeto, od którego zależało zaprowadzenie szkoły dopełnił Wydział na mocy uchwały nadzwyczajnego Zgromadzenia z d. 22 września 1878 r. W myśl tej uchwały zawarł imieniem Tow. Tatrz. członek Wydz. prof. L. Świérz dnia 29 grudnia 1878 r. w Zakopanem umowę z dworem zakopiańskim na lat pięć, tak że już 1 stycznia r. b. rozpoczęły się wpisy do szkoły, której uroczyste otwarcie nastąpiło 18 stycznia r. b. Aktu tego dopełnił proboszcz miejscowy X. kanonik Stolarczyk, który poświęciwszy lokal przeznaczony na szkołę przemówił do uczniów w słowach gorących, zachęcających ich do pracy i wytrwałości. Do szkoły tej uczęszcza obecnie 17 uczniów powiększej części z Podhala Tatrzańskiego, gdyż zaledwie jednego ucznia przyjęto z dalszych stron (z Samo-

klęsk w pow. Jasielskim), a to dla braku odpowiedniego funduszu przeznaczonego wyłącznie na stypendya. Dotychczas bowiem jedynie tylko J. E. br. Schindler ofiarował Towarzystwu 50 złr. na ten cel. Jakkolwiek zgłaszają się do Tow. Tatrzańskiego z różnych stron kraju o przyjęcie do szkoły, to jednak Towarzystwo Tatrzańskie nie może zadosyć uczynić tym prośbom, dopóki nie otrzyma jakiego zasiłku wyłącznie na zapomogi dla uczniów przeznaczonego, zwłaszcza że W. Wydział krajowy na podanie nasze w sprawie zasiłku wniesione d. 17 grud. 1878 r. wraz z projektem statutu przesłanym przez W. Rząd reskryptem z d. 2. maja b. r. do l. 16.739 dopiero d. 24 maja b. r. odpowiedział nie wchodząc w rozbiór podanego przez nas projektu statutu i oświadczył, że na teraz przeznacza tylko 200 zł.*), wypłatę zaś reszty zawisłą czyni od poprzedniego uchwalenia i zatwierdzenia przez Rząd statutu zastrzegającego Wydziałowi krajowemu udział w zarządzie szkoły.

Na mocy upoważnienia n. Walnego Zgromadzenia z dnia 2 grudnia 1877**) zakupił Wydział 28 sierpnia 1878 roku od Jana Gąsienicy Staszeczka w samem ruchu w Zakopanem grunt (którego długość linii północnej wynosi 3 metry, zachodniej 208·70 m., południowej 31 m., wschodniej 223·35 m.), i uzyskał tym sposobem podstawę do wybudowania domu Tow., do której Wydział jeszcze nie przystąpił, ponieważ roboty przygotowawcze dotychczas jeszcze nie skończone.

Ze względów oszczędności nie mógł Wydział przystąpić do budowy większych schronisk w górach, ograniczył się jedynie do udzielenia zasiłku na cel powyższy Oddziałowi Czarnohorskiemu i wybudowania przy schronisku Pola obszernej szopy (7·07 m. szer. 10·85 m. dł.) na konie i wozy, jak nie mniej do znacznego ulepszenia schroniska Pola przez pobicie i utworzenie dachu podwójnego, rozszerzenie ganku, tudzież zwiększenie inwentarza.

Pomijając drogę z Głodówki aż do schroniska Pola, której naprawa wymaga znacznych funduszów i powinna być uskutecznioną przez właścicieli sąsiednich obszarów leśnych zmuszony był Wydział do naprawy drogi począwszy od schroniska Pola aż do schroniska Staszica zawalonej skutkiem lawiny stoczonemi głazami i drzewami, tudzież do oczyszczenia zwykłych ścieżek turystycznych przez uprzątanie drzew powywracanych (jak np. pod Wołoszynem), i porobienia nowych kładek, gdziekolwiek takowe woda zabrała.

W samem zaś Zakopanem główne ognisko ruchu turystycznego, kasyno wymagało z. r. znaczniejszych niż zwykle wydatków. Sprawiono bowiem 60 stołków i kilka innych pomniejszych sprzętów nie licząc prenumeraty ważniejszych czasopism. P. Robert Wolff ofiarował do kasyna bezpłatnie „Kuryera Warszawskiego“, p. Gracyan Unger „Tygodnik ilustrowany“ a Redakcya „Tygodnika“ swoje czasopismo. Szlachetnym ofiarodawcom składamy tutaj publiczne podziękowanie.

Żmudne i kłopotliwe obowiązki gospodarza kasyna sprawował ku powszechnemu zadowoleniu p. W. Eljasz uprzyjemniając gościom liczne wieczorki zabawami tańcującemi.

W ogóle postać Zakopanego zmienia się z każdym rokiem na lepsze. Górale budują mieszkania letnie coraz wygodniejsze, mnożą się restauracye, których było z. r. 3, wzmaga się powoli dobrobyt górali. Delegat Tow. p. Karol Miarka przywiódł do skutku sklep góralski pod n. „Handel Cubernat i Spółka“.

Dla bezpieczeństwa turystów i powstrzymania kłusownictwa znajduje się od 1 grudnia 1878 roku żandarmerya w Zakopanem, o której zaprowadzenie jeszcze

*) 200 złr. przesłał Wydział krajowy na ręce c. k. Starosty pow. Nowym Targu.
**) Zob. III tom. Pam. T. T. str. 29.

23 kwietnia z. r. upraszał Wydział c. k. Namiestnictwa, poparty energicznie w tej sprawie przez p. Gustawa Fingera, dyrektora lasowego w Zakopanem.

O pracach naukowych podejmowanych przez Tow. Tatrz. świadczą dobitnie stacye meteorologiczne Tow., zostające pod kierunkiem członka Wydz. Dra Wierzbickiego. Spostrzeżenia te czynione przez 12 obserwatorów będą nie małym przyczynkiem do zbadania klimatologii naszego kraju. Nie ma dość słów uznania dla szanownych obserwatorów za tę ofiarną pracę dla dobra Tow. Zebraniem nomenklatury tatrzańskiej jako podstawy do wydania dobrej mapy zajmuje się osobna komisya. O ruchu naukowym zresztą i turystycznym Tow. i obu jego Oddziałów znajdą Członkowie szczegółowe sprawozdanie w tegorocznym tomie „Pamiętnika“. Tutaj podnosimy tylko zasługi p. Eugeniusza Dziewulskiego, który znając szczupłe fundusze Tow. podjął się bezinteresownie mozolnych i długich badań pomiarów Rybiego Jeziora.

W innym kierunku podejmowane starania Tow. nie zawsze odnosiły pożądany skutek. I tak zawiadomiła nas c. k. Dyrekcya telegrafów we Lwowie (2 maja 1878 d. L. 1837) w odpowiedzi na pismo Tow. z dnia 29 kwietnia 1878 roku, że c. k. Ministerstwo handlu zamierza wprawdzie zaprowadzić stacyę telegraficzną w Zakopanem, lecz zostawia to chwili pod względem finansowym pomyślniejszej. Podobnież i c. k. Dyrekcya poczt we Lwowie doniosła Towarzystwu (22 czerwca 1878 L. 11.516), że c. k. Ministerstwo handlu (rozporz. z d. 16 czerwca 1878 r. L. 15.313) „nie raczyło pozwolić na zaprowadzenie dwurazowej jazdy osobowej z Krakowa do Nowego Targu i Szczawnicy na czas pory kąpielowej“ (prośba T. wniesiona do c. k. Minist. h. d. 13 kwietnia 1878 l. 82).

Wyrażone życzenie na V Walnem Zgromadzeniu, aby się Wydział wystarał o zniżenie opłaty dla członków na kolejach galicyjskich i węgierskich do gór wiodących, znalazło przychylny odgłos w Dyrekcyi pierwszej węgiersko-galicyjskiej kolei, która w piśmie nader uprzejmem (z d. 3 marca 1879 l. 2587) przyrzekła możliwe ułatwienia turystom na kolejach Przemyśl-L. Michályi i Tarnów-Orló, jeżeli się zbierze znaczny ich zastęp.

Chwalebna myśl poruszona przez Oddział Czarnohorski w sprawie ochrony koni huculskich spowodowała Wydział Tow. iż się udał (za pośrednictwem p. Mieczysława Pawlikowskiego czł. Kom. Tow. gosp. rol.) do tutejszego c. k. Tow. gospodarczo-rol. z prośbą o podanie wskazówek, jakieby należało uczynić kroki celem ratowania upadającego chowu tych koni. Z cennych uwag Tow. (z d. 11 marca 1879 l. 8260) nie omieszka w swoim czasie skorzystać Wydział Tow.

Od czasu, kiedy p. Włodzimierz Hankiewicz na I Wal. Zgrom. Oddz. Czarnohorskiego w Kołomyi (d. 10 lutego 1878 r.) wystąpił z myślą ochrony pstrągów na Czeremoszu, widać w tym kierunku chwalebne usiłowania pojedynczych osób zmierzających już to do powstrzymania tępienia ryb w ogólności, a w szczególności pstrągów, już to do zarybienia naszych wód. Poseł Pławicki wystąpił na zeszłorocznym sejmie z wnioskiem biorącym w opiekę niemiłosiernie tępione pstrągi, a prof. Dr. Nowicki o własnych siłach wychodował (na aparacie kalifornijskim z ikry sprowadzonej z nad Renu) narybek łososi i puścił takowy 20 kwiet. 1879 do Wisły pod Wawelem, a d. 26 kwietnia b. r. w Stanisławowie do Bystrzycy. Podczas pierwszej uroczystości zaproszone Tow. Tatrz. było reprezentowane przez delegata a podczas drugiej przez zarząd Oddz. Stanisławowskiego.

Ze względu na szczupłe fundusze a znaczne wydatki Oddziału Czarnohorskiego udało się temuż uzyskać życzliwość pp. Karola Maszkowskiego, Dra Teofila Ciesielskiego, Dra Aleksandra Morgenbessera i Leopolda Wajgla, którzy nie wahali się z dalszych przeważnie stron przybyć do siedziby Zarządu i prócz rozpowszech-

nienia zdobyczy naukowych i wzbogacili kasę oddziałową. Wszystkim tym panom składamy na tem miejscu serdeczne podziękowanie.

Znany zaszczytnie fotograf tutejszy p. Awit Szubert ozdobiony na zeszłorocznej wystawie paryskiej medalem zasługi, przy skromnej pomocy Tow. uzupełnił album widoków z Pienin i wzbogacił znacznie dawniejsze album widoków tatrzańskich zdjętych z miejsc mało przystępnych, odsłaniając tym sposobem nie dość jeszcze znany choć najpiękniejszy zakątek naszego kraju *).

Do Towarzystw alpejskich i przyrodniczych, z któremi Wydział utrzymuje stosunki i wymienia publikacye, przybył austryacki klub alpejski w Wiedniu (Alpenclub Oesterreich) i Towarzystwo przyrodnicze w Kasselu (Verein für Naturkunde in Cassel). Ztąd też biblioteka wzrasta darami nadsyłanemi rokrocznie przez Towarzystwa alpejskie i przyrodnicze. W ubiegłym roku nadto ofiarowali do zbiorów Tow. cenne dzieła pp. Dr. T. Chałubiński, Kirkor, S. Babirecki, Gustawicz, Wajgel, Oddz. Czarnohorski. Jeżeli do tego dodamy kwotę (skromną wprawdzie) uchwalaną corocznie przez Walne Zgrom., to po latach kilku uzbiera się dość poważna „Bibliotheca Carpathica", obejmująca prócz tego ważniejsze dzieła odnoszące się do poznawania przyrody alpejskiej innych krajów.

Z rozwojem Towarzystwa mnoży się coraz bardziej praca, tak dalece, że od V Walnego Zgrom. musiano odbyć 26 posiedzeń Wydziału, oprócz licznych posiedzeń specyalnych komisyj jak redakcyjnej, budżetowej, budowniczej, administracyjnej, statutowéj.

W tej pracy miłego doznawał poparcia Wydział ze strony obu Oddziałów Tow. Tatrzańskiego, jakoteż od Delegatów, których liczba zwiększyła się od V. Walnego Zgromadzenia o 11. Otoż dzięki tym wszystkim, a w szczególności Szan. Posłowi K. Kantakowi, dalej pp. Śniechowskiemu, Dr. J. Żulińskiemu, Pieniążkowi, Hankiewiczowi, Zalasińskiemu, Kornickiemu, Szklarzowi, Nieduszyńskiemu, wzmaga się z każdym rokiem liczba członków, których od ostatniego tj. V. Wal. Zgr. przybyło 521, tak że obecnie liczy Towarzystwo:

26 Członków honorowych,
31 „ dożywotnich,
1574 „ zwyczajnych (w ostatniej liczbie przypada na Oddział Stanisławowski 82, a na Kołomyjski 140) zazem 1631. Byt

*) A) Widoki z Pienin zdjęte w r. 1878: 1. Czorsztyn (od strony węgier.), 2. Niedzica, 3. Kaplica zamkowa w Niedzicy, 4. Wnętrze zamku Niedzicy, 5. Golica. 6-7. Wpływ Dunajca do Pienin. B) Widoki z Tatr zdjęte w r. 1878 prócz wielkiego panorama: 1. Zakopianie, 2. Juhasi w Tatrach, 3. Przewodnicy Tatrzańscy: Wojciech Roj, Jędrzej Wala (strażnik tatrz.), Szymon Tatar, Jędrzej Wala (junior), Maciej Sieczka, 4. Kuźnice Zakopiańskie i sąsiednie góry, 5. Kuźnice Zakopiańskie z widokiem na Goryczkową, 6. Zródło Białego Dunajca w Kalatówkach, 7. Staw Czeski (1610 m.), 8. Wodospad z Czeskiego, 9. Jędrzej Wala (straż. tatrz.). 10. Ganek (2508 m.) od wschodu, 11. Ganek (2508 m.) i Wysoka (2555 m.) 12. Widok na Ganek (2508 m.) od północy (z pod Młynarza). 13) Młynarz (od południa), 14. Potok Białej Wody pod Młynarzem. 15. Żelazne Wrota (od połnocy). 16) Polski Grzebień, 17. Gerlach (2662·6 m.) ze szczytu Szerokiej Jaworzyńskiej i Polski Grzebień, 18. Polana z szałasem Salamona pod Czeskiem, 19. Turnia Świstowa po nad doliną Białej Wody. 20. Wodospad z Zielonego Stawu (pod Żelaznemi Wrotami). 21. Wodospad z Zielonego Stawu (pod Żelaznemi Wrotami) wraz z potokiem Białej Wody. Patrz II t. P. str. 5 gdzie wyliczono 37 widoków zdjętych za wspólnem staraniem p. A. Szuberta i Tow. Tatrzańskiego.

przeto Tow. zdaje się na długie lata zabezpieczonem, do czego się jeszcze przyczynia moralne i materyalne poparcie W. Sejmu, który ze względu na znaczne wydatki, jakie Tow. czekają w najbliższej przyszłości nie wahał się z. r. udzielić temuż zapomogi na dalsze 3 lata po 400 złr. rocznie.

W składzie Tow. zaszły znaczne zmiany i dotkliwe straty. Począwszy od 24 paźdz. 1878 nie mógł brać udziału w sprawach Tow. X. Chmielewski, który skutkiem otrzymania probostwa w Regulicach opuścił Kraków i złożył mandat członka Wydziału d. 23 paźdz. 1878. W imieniu Wydziału złożył temuż na przerzeczonem posiedzeniu wiceprezes Tow. pan Anczyc serdeczne podziękowanie za dotychczasowe wspieranie celów Towarzystwa od samego zawiązku tegoż, zwłaszcza w kierunku torowania nowych ścieżek w Tatrach i naprawienia dróg w Zakopanem.

Nadto poniosło Towarzystwo bolesną stratę przez śmierć:

1) członka honor. Ks. Leona Sapiehy,

2) „ dożywot. Aleksandra hr. Dzieduszyckiego, tudzież członków zwyczajnych: 3) Dra Franc. Rakowicza, 4) Andrzeja Józefczyka, 5) hr. Józefa Badeniego, 6) Józefa Ordęgi, 7) Dra Lud. Klobassy, 8) Stefana Marcoina, 9) Franc. Chałubińskiego, 10) Zyg. Szczesniewskiego, 11) Dr. Eugeniusza Arnolda Janoty, jak niemniej przez śmierć członków zwycz. z Oddziału. Czarnohorskiego: 12) br. Kaliksta Heydla, 13) Aleksandra Krasuckiego, 14) Zenona Krzeczunowicza, 15) Dr. Franc. Urbańskiego, 16) Juliusza Witoszyńskiego, 17) X. Udalryka Żyborskiego b. delegata Zarządu w Jabłonowie.

Cześć ich pamięci!

Z porządku dziennego Podskarbi przedstawił zestawienie przychodu i rozchodu funduszów Towarzystwa za czas od 1 stycznia do 31 grudnia 1878 roku Zestawienie to we wszelkich szczegółach przez komisyę kontrolującą sprawdzone i znalezione zgodnie z księgą kasową i odpowiednimi dowodami, Walne Zgromadzenie przyjmując jednogłośnie, udziela Wydziałowi absolutoryum. Następnie Wal. Zgromadzenie mając sobie przedstawiony przez Podskarbiego budżet Towarzystwa na r. 1879 takowy bez żadnej zmiany uchwala.

ZESTAWIENIE

Przychodu i rozchodu funduszów Towarzystwa Tatrzańskiego z siedzibą w Krakowie za czas od d. 1 stycznia do d. 31 grudnia 1878 r.

Przychód:		zł r.	ct.	zł r.	ct.
1. Opłata od 1 Członka dożywotniego		114	—		
2. Wpisowe od 464 nowych Członków		464	—		
3. Wkładki od 902 Członków za r. 1878 zł r.	2870·23				
„ zaleg. „ 139 „ „	443·84				
„ „ 9 naprzód zapłacone „	27·—	3341	07		
4. Ze sprzedaży „Pamiętników“		42	43		
5. Ze sprzedaży Albumów i fotografij		30	40		
6. Dochód z kasyna		46	50		
7. Dochód ze schronisk		125	—		
8. Odsetki z funduszu umieszczonego w kasie Oszcz.		124	53		
9. Dochody różne		53	80		
10. Zapomoga Wys. Sejmu krajowego		400			
11. $^1/_3$ część dochodu z Oddziału Stanisławowskiego		65	70	4807	43
Gotówka w kasie na d. 31 grudnia 1877 . .				2345	93
				7153	36

Rozchód:		zł r.	ct.	zł r.	ct.
1. Wydanie 2000 egzemplarzy „Pamiętnika:					
a) Druk	808·25				
b) Okładki	41·—				
c) Tabele meteorologiczne . . .	127·—	976	25		
d) Drzeworyty		289	90		
e) Broszurowanie		63	—		
f) Honoraryum za artykuły		127	—	1456	15
2. Zakup. grunt. p. dom T. w Zakopanem		1056	35		
Utrzymanie kasyna w Zakopanem:					
a) lokal, światło, obsł	140 58				
b) gazety i posłaniec	46·17				
c) sprzęty . .	50·—				
d) drobne wydatki .	22·62	259	37	1315	72
3. Schroniska w Tatrach				311	09
4. Drogi i ścieżki w górach				45	78
5. Stacye meteorologiczne:				119	64
6. Biblioteka Towarzystwa				98	39
7. Cele naukowe.				67	45
8. Dyplomy, druki, ogłoszenia: a) dyplomy		92	—		
b) napisanie		52	70		
c) karty legitymacyjne . .		44	—		
d) druk 1000 egz. „Przewod.“		22	—		
e) odbitki z „Rocznika“ .		40	—		
f) tabele i ogłoszenia . .		73	35	324	05
9. Utrzymanie Straży Tatrzańskiej				164	—
10. Utrzymanie biura Towarzystwa: a) lokal . . .		160	—		
b) sprzęty . . .		4	27		
c) potrzeby kancelar.		16	09		
d) potor od korespond.		23	86		
e) „ „ „Pamiętnik.“		49	26		
f) „ „ dyplomów		13	79	267	27
11. Przemysł górski (Szkoła snyc. w Zakopanem) .				155	37
12. Wynagrodzenie za czynności: a) Sekretarza . .		300	—		
b) Podskarbiego . .		150	—	450	—
13. Wydatki różne: a) zaliczka p. Szubertowi za zdjęcie widoków		200	—		
b) zapomoga dla Oddziału Kołomyjskiego .		100	—		
c) 60 oznak Twa wraz ze sztancą . .		103	30		
d) przyjęcie Tow. Pedagogicznego w Zakop.		63	58		
e) inne wydatki		78	13	545	01
Rozchód				5319	92
Gotówka w kasie na dniu 31 grudnia 1878 r. . .				1833	44
				7153	36

Powyższe zestawienie porównano z księgą kasową i znaleziono takowe zgodne co do wszystkich szczegółów.

Kraków dnia 21 maja 1879 r.

Członkowie komisyi kontrolującej:

Adolf Podwin. **Józef Mrazek.**

Kraków dnia 15 maja 1879 r.

Podskarbi Towarzystwa:

Aleksander Bondzewicz.

BUDŻET

Towarzystwa Tatrzańskiego z siedzibą w Krakowie na rok 1879.

uchwalony na Walnem Zgromadzeniu Członków Tow. d. 25 maja 1879 r.

Przychód	złr.	c.	złr.	c.
Wpisowe od 300 nowych członków . . .	300			
Wkładki od 1000 członków	3000			
Ze sprzedaży Pamiętników	50			
Odsetki z Kasy Oszczędności	120			
Subwencya Wysokiego Sejmu krajowego . .	400			
1/3 część wkładek z Oddziałów	136			
Ze sprzedaży albumów	120			
Dochody różne	200	56	4326	56
Gotówka w kasie na d. 1 stycznia 1879 r. .			1833	44
			6160	

Rozchód	złr.	c.	złr.	c.
Wydanie 2000 egzemp. Pamiętnika z r. 1878			1200	
Utrzymanie kasyna w Zakopanem:				
a) lokal, światło, obsługa	140			
b) gazety i posłaniec	46			
c) drobne wydatki	14		200	
Schroniska w Tatrach			300	
Drogi i ścieżki: a) w górach	100			
b) subwencya na drogę we wsi Zakopane	100		200	
Stacye meteorologiczne			75	
Biblioteka Towarzystwa			50	
Cele naukowe			55	
Dyplomy, druki i ogłoszenia:				
a) 400 blankietów	60			
b) kaligraf	40			
c) karty legitymacyjne	40			
d) druki i ogłoszenia	40		180	
Straż Tatrzańska			200	
Utrzymanie bióra Towarzystwa:				
a) lokal	160			
b) usługa	48			
c) porto od korespondencyj	35			
d) „ od dyplomów	15			
e) „ od Pamiętników	80			
f) potrzeby kancelaryjne	12		350	
Wynagrodzenie za czynności a) sekretarza. .	300			
b) podskarbiego	150		450	
Wydatki nadzwyczajne			150	
			3410	
Nadwyżka dochodu na budowę domu w Zakopanem			2750	
			6160	

B.

Oddział Stanisławowski.

PROTOKÓŁ

z nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia

odbytego dnia 2go lutego 1879 r. pod przewodnictwem

Dra Marcelego Eminowicza

zastępcy Przewodniczącego.

1. Przewodniczący zagajając posiedzenie powitał delegata Oddziału Kołomyjskiego p. M. Turkawskiego i wyraził zadowolenie członków Oddziału Stanisławowskiego z tej okoliczności, iż sprawy obu Oddziałów ten sam cel mających przez wysyłanie delegatów na walne zgromadzenia, mogą być w jednym duchu i z obopólną korzyścią załatwiane. Następnie zawiadomił zgromadzenie Przewodniczący, iż Zarząd Główny w Krakowie nie mogąc wysłać delegata z powodu wielkiej odległości zamianował jego samego swym delegatem przesyłając serdeczne Szczęść Boże!
2. Pan Turkawski jako delegat wyraził następnie pozdrowienie od Zarządu Kołomyjskiego i podziękował w jego imieniu za przesłane zaproszenie, przy czem wręczył Zarządowi fotografię zdjętą z okazyi pierwszej wycieczki Kołomyjanów na Rokietę, tudzież memoryał w sprawie ochrony koni huculskich, o czem przy wnioskach obszerniej rzecz wyłuszczy.
3. Sekretarz odczytuje protokół z ostatniego walnego zgromadzenia. Protokół przyjęty bez zmiany do wiadomości.
4. Następnie odczytuje Sekretarz sprawozdanie z czynności całorocznej Zarządu za rok 1878.

   Dr. Eminowicz prostuje to sprawozdanie o tyle, by wyjaśnić przyczynę, dlaczego Zarząd nie wybudował schronisk, jak to Walne Zgromadzenie dnia 16 czerwca 1878 r. uchwaliło, a to dlatego, ponieważ Zarząd Państwa Sołotwińskiego w tych właśnie miejscach ustanowił dwóch pobereźników, którzy za pewnem wynagrodzeniem i w razie potrzeby będą dla naszego Oddziału na czas wycieczek swoje chaty odwynajmywać.

   Sprawozdanie to wraz z wyjaśnieniem przyjmuje zgromadzenie do wiadomości.

5. Kasyer zdaje sprawę ze stanu kasy Oddziału za r. 1878, z czego wynika,
że dochodu było . . . . 477 złr. 30 ct.
rozchodu . . . . 178 „ 35 „
pozostało . . 298 złr. 95 ct.

Na wniosek p. Święcickiego wybrano do komisyi sprawdzającej pp. Dolleczka, Dr. Szydłowskiego i Parylaka, poczem komisya znalazłszy rachunki w zupełnej zgodności ze sprawozdaniem, wniosła udzielenie absolutoryum Zarządowi z rachunków, co też Zgromadzenie uskuteczniło.

6. Następnie podał w krótkości Dr. Eminowicz ogólne sprawozdanie z wycieczki odbytej od 24—30 lipca korytem Prutu do Delatyna aż po Howerlę, najwyższy szczyt Czarnohory. Wycieczka ta pod względem badań naukowych lepiej niż pod względem turystycznym udała się, czego dowodem przedstawione zgromadzeniu wyniki dotyczące badań. Zgromadzenie uchwaliło te rozprawy podać Zarządowi Głównemu do ewentualnego umieszczenia w IV t. Pamiętnika Tow. Tatrz. Kwotę wyznaczoną na podejmowanie członków, biorących udział w naukowych badaniach przekroczono o 4 złr. 76 ct. Po przemówieniu pp. Langnera i Dr. Szydłowskiego Zgromadzenie uchwaliło Zarządowi i z tej nadwyżki dać absolutoryum.

7. P. M. Łomnicki zdaje Zgromadzeniu sprawę z wrażenia jakiego doznał będąc delegatem na Zgromadzeniu Walnem dnia 29 grudnia Oddziału Kołomyjskiego. Szczegółowe sprawozdanie załączono do aktów Oddziału.

Delegat Kołomyjski p. Turkawski dziękuje za pochlebne wyrazy, a zarazem wnosi, by dzisiejsze Zgromadzenie zajęło się petycyą Oddziału Kołomyjskiego w sprawie chowu koni huculskich. Wniosek swój opiera na memoryale p. Gregorowicza.

Zgromadzenie uchwala jednomyślnie poprzeć tę petycyę u Wysokiego Sejmu wspólnie z Oddziałem Kołomyjskim.

8. Dr. Eminowicz w imieniu Zarządu stawia wniosek następującej treści: „Walne Zgromadzenie uchwali wystosowanie prośby do Wydziału T. Tatrz. w Krakowie o udzielenie 100 złr. na wybudowanie schroniska na Zaroślaku pod Howerlą, tudzież o 100 złr. na zakupno przyrządu fotograficznego (z suchymi kliszami).

Po dłuższej dyskusyi Zgromadzenie poparło wniosek zarządu najmocniej.

9. P. Turkawski jako delegat, zaznaczając wspólność celów i szczere sąsiedztwo obu oddziałów stawia następujące wnioski:

a) Uporządkowanie wzajemne pocztu członków według przynależności do jednego lub drugiego Oddziału. Za podstawę opiera się na granicach wytkniętych dla obu Oddziałów obszarów. Przyjęto jednomyślnie.

b) Przybranie tej samej komisyi wykonawczej w osobach pp. Gregorowicza, Mathiasa i Przybyłowskiego. Przyjęto.

c) Wspólne utrzymanie przewodników stałych i dostawców koni do wycieczek czarnohorskich.

d) Wspólne wydawnictwo albumu Czarnohorskiego.

e) W końcu wyraża p. Turkawski życzenie Oddziału Kołomyjskiego, by wspólnie z nim urządzić towarzyską wycieczkę jednę do Kut w Zielone Świątki a drugą w lipcu naukową.

Zgromadzenie przychyla się do wzięcia udziału w wycieczce towarzyskiej po uprzedniem dokładniejszem porozumieniu się wzajemnem ale nie w wycieczce naukowej, do której trudno pozyskać siły odpowiednie.

W tym razie pozostawia się interesowanym członkom obu Oddziałów wszelką wolność działania, byle tylko zajęło się szczegółowem zbadaniem właściwości przyrodniczych gór wchodzących w wspólny zakres obu Oddziałów. Bliższe porozumienie się należy pozostawić samym badaczom.

10. P. Łomnicki wnosi, by Oddział nasz zwracał więcej uwagi na drobny przemysł Hucułów i na wzór Kołomyjskiego otworzył w Stanisławowie skład górskich wyrobów. Dr. Eminowicz proponuje oddawanie tych wyrobów w komis tutejszej Spółce rolniczo-handlowej. Wniosek ten silnie popiera Zgromadzenie.

11. Przystąpiono do wyboru dwóch członków do Zarządu w miejsce Dr. J. Merunowicza, którego przeniesiono do Lwowa i Dr. J. Jachny, który całkowicie wystąpił nietylko z naszego Oddziału lecz w ogóle z Tow. Tatrz., motywując swe wystąpienie brakiem czasu. W miejsce tych dwu członków wybrano jednogłośnie p. Ludwika Kozakiewicza i Stanisława Liberę.

Na tem protokół zakończono.

Eminowicz. Fr. Miazga.

SPRAWOZDANIE

Z CZYNNOŚCI ZARZĄDU ODDZIAŁU TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO W STANISŁAWOWIE.

ZA ROK 1878.

Streszczając całoroczną czynność Zarządu z przyjemnością zaznaczamy acz powolny ale tem pomyślniejszy rozwój naszego Oddziału. Dowodem tego żywsze niż w latach poprzednich zainteresowanie się celami Towarzystwa, jakie z każdym dniem coraz więcej obudza się w naszej okolicy, tudzież wzrastający poczet członków, których w roku ubiegłym liczyliśmy 76 azatem o 19 więcej niż w r. 1877.

Działalność Zarządu ujawniała się głównie w dwu kierunkach statutami określonego celu Towarzystwa a to: w turystycznym i naukowym. Na dorocznem Walnem Zgromadzeniu odbytem w Nadwórnie d. 16 czerwca uchwalono towarzysko-naukową wycieczkę wzdłuż doliny Prutowej od Delatyna aż po wierchy Czarnohory, licząc na współudział uproszonych wprzód członków, którzy się podczas tej wycieczki naukowem badaniem zwiedzonych okolic zająć przyrzekli. Do współudziału w uchwalonej wycieczce zaproszono także osobnem pismem Oddział Kołomyjski i Towarzystwo Przyrodników im. Kopernika.

Zaprojektowana wycieczka odbyła się rzeczywiście przy końcu lipca (24-30), a chociaż z powodu pogody niestałej nie całkiem pomyślnie udała się pod względem turystycznym, to pod względem naukowym, o ile na to czas zbyt krótko wymierzony dozwalał, odpowiedziała w zupełności oczekiwaniom Zarządu. Owocem poszukiwań dokonanych są trzy sprawozdania z działu geologicznego, zoolo-

gicznego i botanicznego, opracowane przez pp. Wrońskiego, J. Bąkowskiego i sprawozdawcę i przesłane wydziałowi Tow. do ewentualnego umieszczenia w Rocznikach Towarzystwa.

Dokładne opisanie turystyczne doliny Prutowej, mimo wielu szczegółów zebranych tak w topografii jak etnografii, odłożono do czasu późniejszego, tembardziej, że podobnej treści obrazek zamieszcza równocześnie Oddział Kołomyjski a nadto wyborne pióro p. Tretiaka („Gazeta Lwowska“ z d. 3 i 4 września 1878), który w kilka dni później zwiedzał tę samą okolicę i w towarzystwie tych samych prawie uczestników, skreśliło wprawdzie przelotny ale wierny szkic czarnohorskiej wycieczki tą samą drogą odbytej.

Nadmienić także wypada, że w gronie uczestników wycieczki mieliśmy trzech członków z dalszych dzielnic naszego kraju. Wiadomo więc, że interesowanie się Wschodnim Beskidem coraz więcej zaczyna się obudzać a z czasem Czarnohora podobnie jak Tatry na zachodnim gór naszych skrzydle stanie się celem liczniejszych jak dotychczas odwiedzin.

Potrzeba wybudowania nie jednego ale kilku naraz schronisk mocno dawała się uczuwać. I w tym kierunku zarząd nie zaniedbuje sprawy, lecz mimo najszczerszej chęci z przyczyn od niego mało zawisłych, nie mógł w tym jeszcze roku tego dokonać, ma jednak wszelką nadzieję, że w roku przyszłym staną dwa porządne schroniska: jedno na połoninie, Zaroślakiem zwanej, tuż pod samą Howerlą a drugie poniżej na połoninie Zawojeli nad Prutem pomiędzy Zaroślakiem a Worochtą, ostatnią wsią, najdalej ku Czarnohorze wysuniętą. W czasie tegorocznej wycieczki służyły za tymczasowe schroniska dwie koliby (na Zaroślaku i Zawojeli) wybudowane staraniem Zarządu i kosztem uczestników. Równocześnie toczą się rokowania Zarządu z Zarządem Państwa Sołotwińskiego o przeistoczenie chat pobereżniczych pod Sywulą i Wysoką (Ihrowiszczem) nad Bystrzycą Sołotwińską, na tymczasowe schroniska letnie.

W sprawie popierania górskiego przemysłu postawiono dopiero krok pierwszy, wysadzając komisyę do rozpatrzenia się, w którym głównie kierunku Oddział nasz ma swą działalność rozciągnąć. Tymczasowo zakupiono 8 kilo mosiądzu dla poparcia w Tartarowie wyrobu toporków huculskich i lasek górskich.

Dla obznajomienia się z literaturą podróżniczą zaprenumerowano dla członków czasopismo „Wędrowiec“, wychodzące w Warszawie. Zbiory i bibliotekę dotyczącą naszej przyrody górskiej poczęto również w tym roku zakładać.

W celu rozwinięcia większej czynności zamianował Zarząd jeszcze dwóch delegatów (zob. str. XXIV).

Prócz ścisłej łączności, w jakiej Zarząd Oddziału pozostawał zawsze z Zarządem Głównym, odnosząc się do tegoż we wszystkich sprawach ważniejszych, starano się także bliższe zawierać stosunki z sąsiednim Oddziałem Kołomyjskim, czego dowodem wzajemne obsyłanie ostatnich Walnych Zgromadzeń przez umyślnie w tym celu mianowanych delegatów.

To jest w krótkości skreślony obraz całorocznej czynności Zarządu, którego szczerem było usiłowaniem w jak najszerszych kołach prawdziwe rozbudzić zamiłowanie do przyrody górskiej, a jeżeli mimoto wyniki tych usiłowań nie są jeszcze tak świetnymi, jakby tego życzyć sobie należało, wówczas dewizą naszą niech będzie: *paullatim summa petuntur!*

W Stanisławowie dnia 21 marca 1879 r.

Eminowicz.	Maryan Łomnicki.
Z. Przewodniczącego.	Sekr. Odd. Stan. Tow. Tatrz.

SPRAWOZDANIE
ze stanu kasy Oddziału Tow. Tatrzańskiego
w Stanisławowie

za czas od 1 stycznia 1878 do 31 grudnia 1878.

Przychód:

A) Z końcem r. 1877 było w Kasie Oszcz. Stanisławowskiej na książeczkę pod L. 1284 str. 1282	238 złr.	45 ct.
B) Prowizya do końca r. 1878	18 „	22 „
C) Wkładki od 63 członków za r. 1878	189 „	— „
D) Wpisowe od 16 członków za rok 1878	16 „	— „
E) Zaległości z r. 1877	14 „	— „
F) Gotówka w kasie podręcznej	1 „	63 „
Razem . .	477 złr.	30 ct.

Rozchód:

A) Wyjęto skutkiem uchwały z d. 16 czerwca 1877 r. . .	100 złr.	— ct.
B) Odliczone procenta za czas od 1. VII—30. XII wraz z eskontem od pozycyi *A)*	2 „	72 „
C) Odesłano Zarządowi Głównemu $^1/_3$ wkładek	67 „	$33^1/_3$
D) Wydatki administracyjne	8 „	$29^2/_3$
Razem . .	178 złr.	35 ct.

Po odjęciu rozchodu od dochodu pozostało w kasie Oddziału złożonych do książeczki Kasy Oszcz. w Stanisławowie do L. 1284 str. 1282: **dwieście dziewięćdziesiąt ośm złr. 95 ct.**

W Stanisławowie d. 2 lutego 1879.

Maryan Łomnicki.
Podskarbi.

C.

Oddział Kołomyjski.

Wyciąg z protokółu

I. Walnego Zgromadzenia Członków Tow. Tatrzańskiego

pod nazwą

CZARNOHORSKIEGO

odbytego dnia 10go lutego 1878 roku w sali kasyna-resursy

w Kołomyi.

Delegat Towarzystwa Tatrzańskiego, p. Leopold Wajgel, zagaja posiedzenie, proponując wybór Przewodniczącego zebrania w osobie p. Konstantego Siwickiego, z czem się zgromadzeni przez aklamacyę zgadzają. Tenże obejmując tę czynność powołuje na sekretarza p. Marcelego Turkawskiego. Obecnym jest także delegat Tow. Tatrz. p. Włodzimierz Hankiewicz. przybyły z Czerniowiec. P. Wajgel podaje rys dotychczasowej swej czynności, zmierzającej do zawiązania w Kołomyi Oddziału Czarnohorskiego, odczytuje korespondencyę z Wydzialem Towarzystwa w Krakowie i listy p. Leopolda Świérza w tym przedmiocie, tudzież listę członków dotychczasowych, z której się okazuje, że liczy Oddział 77 członków. W dowód uznania tych zabiegów p. Wajgla zgromadzenie wyraża mu na wniosek p. Turkawskiego podziękowanie przez powstanie. Po usunięciu wszelkiej wątpliwości pod względem kompletu zarządza Przewodniczący zebrania wybór zarządu na trzy lata; obrany został Przewodniczącym p. Konst. Siwicki, zastępcą Przewodniczącego p. Leopold Wajgel; do Zarządu weszli członkowie: pp. Eugeniusz Kuczkowski, Dr. Włodz. Głaczyński, Wilhelm Schayer, X. Mikołaj Martini, Jan D'Entel, Edward Berger; tychże zastępcami wybrani pp. Władysław Kawecki, Adolf Matejko, Wincenty Stroka, Marceli Turkawski, Ludwik Maciulski i Dr. Michał Jakubowski.

P. Wajgel wyraził życzenie, aby w przyszłości zajął się Zarząd założeniem zwierzyńca ze zwierząt krajowych w Kołomyi, a p. Włodzimierz Hankiewicz witając serdecznie nowy Oddział imieniem centralnego Towarzystwa proponuje, by Zarząd zajął się ochroną pstrągów na Czeremoszu przed zupełnem ich zniszczeniem, tudzież rozwinął opiekę nad przemysłem domowym ludu, zbadał przyczynę zubożenia i smutnego stanu ludności górskiej w okolicy Czarnohory. Tenże wyraża podziękowanie doktorowi Maxymilianowi Nowickiemu z Krakowa i p. Janowi Gregorowiczowi ze Żabiego za starania przy zawiązaniu się naszego Oddziału podjęte. — Na tem zakończono posiedzenie.

Wyciąg z protokółu

II. Walnego Zgromadzenia członków Oddziału Tow. Tatrzańskiego

pod nazwą

CZARNOHORSKIEGO

odbytego dnia 29 grudnia 1878 roku w sali kasyna-resursy

w Kołomyi.

Przewodniczący p. Konstanty Siwicki zagaja posiedzenie krótką przemową, w której podaje krótki rys czynności Zarządu w każdym kierunku, rozwój pomyślny Oddziału pod względem wzmagającej się ilości członków i funduszów, wzywa wreszcie zebranych, by przez powstanie uczcili trzech zmarłych kolegów tj. Kalixta br. Heydla, Juliusza Witoszyńskiego i Alexandra Krasuckiego. Następnie przedstawia zgromadzeniu delegata Tow. Tatrz., p. Włodzimierza Hankiewicza, delegata Oddziału Stanisławowskiego p. Maryana Łomnickiego i członka Komisyi wykonawczej p. Jana Gregorowicza, którzy zajęli honorowe obok Przewodniczącego miejsca.

Sekretarz Marceli Turkawski odczytuje Protokół I Walnego Zgromadzenia, który bez zarzutu przyjęto.

Tenże odczytuje obszerne sprawozdanie z czynności Zarządu Oddziału Tow. Tatrzańskiego p. n. Czarnohorskiego za czas od 10 lutego po koniec roku 1878. (wydrukowane niżej). Podskarbi X. Mikołaj Martini zdaje sprawę ze stanu kasy, którego wiarogodności dokonała obrana przez Zarząd komisya. (Patrz niżej stan kasy).

Delegat p. Hankiewicz odczytuje obszerną i pięknę rozprawę p. t. „Wycieczka na Czarnohorę“, po której ukończeniu dziękuje prelegentowi Przewodniczący i całe zebranie przez powstanie z miejsc.

Wreszcie przyjęto następujące wnioski:

1) Wniosek p. Wajgla, aby wybudowane schronisko na Czarnohorze, na połoninie Gadzyna nosiło nazwę „Gregorowicza“ i to schronisko, jak i gospoda w Żabiu nosiło godło Oddziału Czarnohorskiego;
2) wniosek p. Gregorowicza, poparty odczytem „O koniach huculskich“, z poprawką pp. Wajgla i Turkawskiego, aby za porozumieniem się z Wydziałem Tow. Tatrzańskiego Zarząd wniósł prośbę do Wysokiego c. k. Namiesnictwa, do Wysokiego Sejmu galic. i innych towarzystw celem spowodowania corocznego wysyłania na wiosnę stadników rządowych rasy arabskiej w góry, a to w miejscowości Kossowa i Żabiego, lub, jak to na Bukowinie ma miejsce, stacyonowania stałych stadników w górach, we wspomnianych miejscowościach, oddając je pod dozór gmin odnośnych lub obszarów dworskich;

Na wniosek sekretarza Turkawskiego uchwalono jednogłośnie, aby Zarząd prosił Wydział o wydrukowanie zajmującego odczytu p. Hankiewicza w IV tomie „Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego“.

Na wniosek p. Wajgla wybrano komisyę z trzech członków tj. pp. Przybysławskiego, Gregorowicza i Jasińskiego, którąby zajmowała się wyrobami górskiej ludności, których wystawą na tem posiedzeniu zajął się bezinteresownie p. Marceli Jasiński z Zahajpola, zakupowała różne sprzęty i pośredniczyła w sprzedaży ich, a łącznie ze Zarządem starała się uskutecznić uchwałę na I. Walnem Zgromadzeniu zapadłą.

Uchwalono wreszcie na wniosek p. Hankiewicza przez powstanie, wyrazić Zarządowi wotum zaufania za dotychczasową pożyteczną działalność. — Na tem ukończono obrady.



SPRAWOZDANIE

z czynności Zarządu Oddziału Towarzystwa Tatrzańskiego

pod nazwą

„Czarnohorskiego“ w Kołomyi

za czas od 10 lutego do końca r. 1878 odczytane na posiedzeniu

II. WALNEGO ZGROMADZENIA ODDZIAŁU CZARNOHORSKIEGO

dnia 29 grudnia 1878 roku

przez sekretarza

Marcelego Turkawskiego*)

Wcześnie zwróciło Tow. Tatrzańskie baczną uwagę na wschodnią stronę Karpat, na Beskidy i na Czarnohorę, której kształt pełen majestatycznej grozy i zachwycającego wdzięku, cudownych widoków i piękności w pieśniach gminnych opiewanej stanowił dla turystów i przyrodników wdzięczne pole do zwiedzań i naukowych studyów.

Pierwszą podnietą do zawiązania Oddziału Czarnohorskiego dał Wydział Tow. Tatrz. 1 października 1875 roku. Wówczas udał się b. wice-prezes Dr. Nowicki z prośbą do czcigodnego X. Sofrona Witwickiego, proboszcza w Żabiu, aby przystąpiwszy do Towarzystwa, a następnie przyjąwszy godność delegata, objawił swe zdanie: „Coby i jak w zakresie statutu uczynić należało, mianowicie gdzie u stóp Czarnohory postawić schronisko dla turystów, jak uczynić przystępnemi

*) Sprawozdanie to z powodu niezwykłej obszerności, zniewoleni jesteśmy podać tylko w streszczeniu, z żalem opuszczając wiele pięknych ustępów, chlubnie świadczących o zamiłowaniu gór ojczystych i o gorliwości szan. Sprawozdawcy i Zarządu. Kreśląc szczegółowo dzieje utworzenia się Oddziału Czarnohorskiego. Tak się wyraża Sprawozdawca:

kąpiele Burkut, wreszcie do jakiegoby przemysłu hu ułów usposobić, lub też przemysł już istniejący podnieść". Myśl rzucona przyjęła się natychmiast w zacnem sercu X. proboszcza.

Owocem rozlicznych jego zabiegów, tudzież powstałej wkrótce (19go grudnia 1875 r.) Komisyi wykonawczej w Żabiu, złożonej prócz X. Witwickiego z panów Gregorowicza i Przybyłowskiego było pozyskanie w owych stronach sporego zastępu zwolenników Towarzystwa, jednakowoż nie tylu, aby stosownie do osnowy statutu mogli osobny tworzyć oddział."

Postanowił jednak Wydział, aby rozpoczynając swą działalność na Czarnohorze, wybudować tamże schronisko, ku czemu pomocną rękę podała tamtejsza Komisya wykonawcza, jak niemniej i ta okoliczność, że p. Przybyłowski powodowany wielką życzliwością dla Towarzystwa, ofiarował temuż na własność kawał gruntu na Czarnohorze i potrzebny budulec na wybudowanie schroniska. Najlepsze mimoto chęci Wydziału i Komisyi wykonawczej, która na dalsze trzechlecie wybrana pisemne podziękowanie za czynność otrzymała, zostały bezowocne, nie zrealizowano bowiem tego pięknego projektu.

Tymczasem dnia 11 lipca 1876 roku ukonstytuował się pod naszym bokiem pierwszy Towarzystwa Oddział z siedzibą w Stanisławowie, a zatem w miejscu, więcej oddalonem od środkowego punktu, koło którego łączyły się usiłowania Wydziału i Komisyi wykon. Podwojono tedy starań gorliwych, by podobny Oddział o tych samych celach i środkach zawiązał się bliżej Czarnohory, w Kołomyi lub Kossowie. Szło to jednak upornie i powoli. Dopiero po zamianowaniu p. Włodzimierza Hankiewicza w Czerniowcach i p. Leopolda Wajgla w Kołomyi delegatami Towarzystwa, ich ruchliwości w pozyskaniu wielkiej liczby nowych członków w tej okolicy, tudzież zawsze chętnego miłośnika p. Gregorowicza z Żabiego, pozyskano taki zastęp członków, jakiego statut wymagał, było możliwem zawiązanie Oddziału Kołomyjskiego. Zwołane nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Tow. Tatrz. dnia 2 grudnia w Krakowie uchwaliło utworzenie Oddziału Czarnohorskiego w Kołomyi. Pierwotnie zamierzano ograniczyć zakres działalności nowego Oddziału na szczuplejsze rozmiary, później wyłoniła się myśl rzeczywiście w czyn zamieniona, aby Oddział Czarnohorski obejmował powiaty: Kołomyjski, Kossowski, Śniatyński, Horodeński, Zaleszczycki i Borszczowski. Na mocy rzeczonej uchwały Wydziału i zatwierdzenia c. k. Namiestnictwa z dnia 11 grudnia 1877 l. 61.068 powstał 10go lutego 1878 r. w Kołomyi nasz Oddział, którego zadaniem w pierwszym rzędzie jest: „zwrócić prąd turystyczny na Czarnohorę przez wybudowanie tamże schronisk, dostarczyć biednej ludności huculskiej większego zarobku rozbudzeniem drobnego przemysłu, przekazać wreszcie światu uczonemu wyniki badań prawie nieznanego zakątka kraju tak pod względem przyrodniczym jak i etnograficznym".

Nie możemy stósowniej zakończyć tego obrazu pierwszych chwil naszego towarzystwa a sądzimy, że będziemy tłumaczami uczuć Zarządu i Szan. Zgromadzenia, jak wyrażeniem na tem miejscu publicznej podzięki Szan. Wydziałowi i tym panom, których zabiegom i poświęceniu zawdzięczamy przywiedzenie do skutku i powstanie Oddziału Czarnohorskiego.

Uporawszy się z pierwszą częścią sprawozdania przystępujemy tem chętniej do drugiej ważniejszej, iż zawiera właściwe sprawozdanie Zarządu z czynności. Zarząd odbył w bieżącym roku 8 posiedzeń tj. 6 zwyczajnych, a 2 nadzwyczajne. Członkowie Zarządu sumiennie spełniali swe obowiązki i licznie przybywali na każde wezwanie, a całe grono przejęte było ścisłą harmonią i braterskością, co się uwidoczniało zgodnemi uchwałami.

Zarząd powołał jednogłośnie na sekretarza p. Marcelego Turkawskiego, na podskarbiego X. Mikołaja Martiniego, na konserwatora zbiorów p. Jana D'Entla. Ponieważ Komisya wykon. mianowana przez Wydział Tow. Tatrz., od kilku lat w Żabiu istniejąca, zasłużyła sobie na uznanie centralnego Towarzystwa, zatwierdził ją nowy Zarząd Oddz. Czarnoh. nadal w urzędowaniu. Gdy jednak X. Sofron Witwicki, prawdziwy miłośnik gór i ludu, dawny członek tej komisyi z przyczyny nadwątlonego zdrowia i sędziwego wieku nie mógł na nowo zaproponowanej mu godności przyjąć, obrał Zarząd na jego miejsce czynnego p. Franciszka Mathiasa, zarządcę dóbr. Takim więc sposobem utworzył Zarząd Komisyę wykon. z siedzibą w Żabiu z pp. Jana Gregorowicza z Żabiego, Stanisława Przybyłowskiego z Krzyworówni i Franciszka Mathiasa z Jasienowa Górnego, którzy przyjąwszy tę godność i obowiązki w § 20 stat. Oddziału podane z pełnem Zarządu uznaniem je wykonali.

Pozyskaliśmy dotąd 8 delegatów a mianowicie: pp. Stanisława Bursę, aptek. w Kossowie, hr. Stan. Dzieduszyckiego, właściciela dóbr w Gwoźdźcu, Włodzimierza Hankiewicza, inspek. szacunkowego w Czerniowcach, Dra Karola Kasprzyckiego, lek. pow. w Wiżnicy nad Czeremoszem, Maurycego Niementowskiego, wł. dóbr w Czortowcu, Adolfa Sokola, zarządcę dóbr w Peczyniżynie, p. Teodora Załuskiego, komisarza pow. w Śniatynie, X. Udalryka Żyborskiego, proboszcza w Jabłonowie.

Możemy dziś z dumą powiedzieć, że liczba członków od I Wal. Zgrom. Oddziału prawie się podwoiła, wynosi bowiem 132 osób. Świetny ten rezultat zawdzięczać winniśmy członkom Zarządu i pp. delegatom, przede wszystkiem przedstawieniom pp. Hankiewicza i D'Entla, którym w tej mierze gorące towarzyszy nasze uznanie. Ze smutkiem winniśmy zapisać straty, któreśmy przez zgon trzech naszych współtowarzyszy ponieśli: Kalixta br. Heydla w Kołomyi, Juliusza Witoszyńskiego w Żabiu, i Alexandra Krasuckiego.

Stosunek Zarządu do Wydziału Tow. Tatrz. był ścisły i przyjacielski, nieustanne korespondencye powiadamiały go o każdym naszym kroku, o każdem posiedzeniu; zasięgaliśmy jego rady w trudnych okolicznościach, każde odezwanie się nasze, każda prośba była życzliwie wysłuchaną i uwzględnianą. Niech więc nam wolno będzie złożyć za to Szan. Wydziałowi publicznie serdeczną podziękę. Zarazem nie możemy przemilczeć wielkich zasług p. Leopolda Świérza, sekretarza Tow. Tatrz., który urzędownie i prywatnie ofiarował częstokroć swe usługi Zarządowi, za które mu niniejszem szczere wynurzamy podziękowanie.

Najżywszą działalność rozwinął Zarząd w sprawie schroniska na Czarnohorze. Chcąc bowiem najgłówniejszy spełnić warunek istnienia naszego Oddziału, a zarazem odpowiedzieć w zupełności celowi w §. 3 *b)* stat. Oddziału zawartemu, potrzeba było stworzyć ognisko, dokądby zmierzały wycieczki na Czarnohorę, czy w celach naukowych lub przyjemnościowych podjęte, zbudować schronisko na najdogodniejszem ze wszech miar miejscu. Że nie było to łatwą rzeczą, dowodzi fakt, iż mimo sprzyjających okoliczności przez trzy lata tego Komisya wykonawcza na miejscu dokonać nie zdołała. Najrozmaitsze względy, jak praktyczność, miejsce, widok, okolica, plan, budowa, przedsiębiorca, materyał i rozkład pomieszkania, gwarancya i pewność pod względem trwałości i rzetelnego wykonania i t. p. uboczne rzeczy, a najgłówniej fundusze i koszta musiały być uwzględniane i gruntownie pod rozwagę wzięte, zanim się do uchwały ostatecznej przystąpiło. Wielkiej pomocy dostarczyła Zarządowi przy pomyślnem dokonaniu tego dzieła Kom. wykon., osobliwie p. Gregorowicz szczerze się tem zajął. Przez cały ciąg b. r. nie pominięto i jednego posiedzenia, żadnego nawet prywatnego zebrania, aby nie

poruszyć tej ważnej kwestyi. Zachętę do tego czerpał Zarząd z faktu, że obejmując niejako nadzór nad Czarnohorą, wziął na się moralny obowiązek przeprowadzenia do skutku myśli, przed trzema laty w uchwale Wydziału Tow. Tatrz. wyrażonej.

P. Gregorowicz wkrótce w ogólnych zarysach przedstawił Zarządowi miejsce na przyszłe schronisko, „obok drogi prowadzącej na Czarnohorę, pod szczytem zwanym Szpyci, obok połoniny Mariczeska“. Ten projekt uzyskał aprobatę Zarządu, polecono więc p. Gregorowiczowi po porozumieniu się z Komisyą wykonawczą umówienie się z właścicielem rzeczonej realności Iwanem Soryczem, w celu odkupienia od niego 50⁰ kwadr. gruntu na rzecz Oddziału Czarnohorskiego z przeznaczeniem go na schronisko. Tymczasem otrzymał Zarząd list p. Mathiasa, czł. Kom. wykon., z propozycyą innego miejsca Szuryn, które miało być dogodniejszem. Zasięgnięto otóż powtórnie wspólnej opinii Komisyi, która istotnie niebawem nadeszła, a zawierała nowy i szczęśliwy pomysł nie budowania na własną rękę schroniska, lecz radę, aby na razie wejść w układ z gospodarzem Iwanem Popiwczukiem, właścicielem połoniny zwanej Gadzyna na Czarnohorze, który się obowiązuje za ryczałtową kwotę 100 złr. z góry wypłaconą wystawić na swym gruncie schronisko, z którego połowę domu i poddasze ofiaruje na 10 lat odstąpić Towarzystwu Tatrzańskiemu a względnie Oddziałowi Czarnohorskiemu. Po należytem rozstrząśnieniu i rozważeniu tego projektu, przystał Zarząd na wniosek Komisyi, poruczając jej dalsze przeprowadzenie. Punkt ten obrany na schronisko na połoninie Gadzyna, jest najodpowiedniejszym na pierwsze schronisko z tego powodu, że idąc ze Żabiego czyto przez górę Kostrzycę na Czarnohorę, lub przez Bystrzec na szczyt Pip-Iwana i Howerlę, zawsze czyto wypoczynek czy nocleg wypadnie w schronisku na połoninie Gadzyna. Budowa sama nie długo miała potrwać, skoro właściciel rozporządzał materyałem na miejscu do budowy przysposobionem. Co do samego budynku, to akt notaryalny, który miał być zawarty z właścicielem, zawierać miał te punkta: „Iwan Popiwczuk wybuduje dom o dwóch pokojach obszernych z podłogą i jednym piecem ogrzewalnym blaszanym po jednej stronie a po drugiej pokój i komorę, przed domem poddasze, w pokojach tapczany i stoły. Otoż dwa pokoje i sień odstępuje Iwan Popiwczuk Oddziałowi Czarnohorskiemu na 10 lat z obowiązkiem utrzymywania budynku rok rocznie dla turystów w porządnym stanie, obok tego wybuduje obszerne poddasze przynajmniej na 30 koni, gdzieby w czasie niepogody i konie pozostać mogły. Jako wynagrodzenie ugodził się Iwan Popiwczuk i przyjmuje 160 złr. jako ryczałt za wszystkie lata.

Zarząd ani chwili nie wahał się po wszechstronnem już dawniej zbadaniu umowy i zastrzeżeniu co do planu i pewności tejże, zatwierdzić ostatecznie tę ugodę, zwłaszcza, że po zasięgnięciu zapatrywań rzeczoznawców byłoby zbudowanie schroniska własnego za zbyt kosztownem, z powodu lekkomyślności pasterzy huculskich przy opuszczaniu polan wystawione na zniszczenie lub spalenie, a utrzymany nadzór nad niem wieleby co roku pociągnął kosztów. Zawarto tedy ugodę, wypłacono umówioną kwotę i pokryto 10letni wydatek. W lecie wziął się Popiwczuk żywo do roboty i w jesieni stanęło schronisko, którego plan, objaśnienia i akt przed notaryuszem Drem Wurstem w Kossowie spisany przedłożony Zarządowi pozyskał pełną aprobatę. Udzielając Komisyi wykon. absolutoryum wyraził Zarząd jej i czcigodnemu p. Gregorowiczowi serdeczne podziękowanie za trudy, zachody i ochoczość w tej sprawie poniesione, co niniejszem z publicznem uznaniem powtarza. Równocześnie pomyślał Zarząd i o drugiem schronisku, którebyście stanęło

na innem miejscu; w tym względzie toczą się rokowania. Miejmy nadzieję, że już w bliskiej przyszłości te kompakty do pomyślnego skutku się przywiedzie.

Zarząd nie spuścił prócz tego ani na chwilę z oka ważnego celu, jaki sobie nasz Oddział wytknął przy zawiązaniu tj. urządzeniu wycieczek w góry. Oddalenie Czarnohory od Kołomyi i brak schroniska w lecie, te dwie okoliczności nie mogły dodatnio wpłynąć na członków i zachęcić ich do zwiedzenia w tym roku tej czarownej góry. Jednak wypadało Zarządowi dać wyraźny znak życia, zbliżyć po raz pierwszy turystów i nastroić inne żywioły życzliwie ku nam. O badaniu naukowem nie ma tam mowy, gdzie krótkość czasu i najróżnorodniejsze czynniki działają. Urządził więc Zarząd w drugi dzień Zielonych Świąt tj. w poniedziałek, dnia 10 czerwca b. r. wycieczkę na górę Rokietę, 3 mile od Kołomyi oddaloną, robiąc koło przez Jabłonów, Łuczę, Berezów, Rungury i Peczeniżyn. Wycieczka ta według powszechnego głosu publiczności nadspodziewanie się udała z małemi kosztami, dzięki komitetowi z łona Zarządu obranemu. Program tej wycieczki znanym jest szan. członkom bądźto z przesłanego im zaproszenia drukowanego, bądźto z osobistego przekonania się lub wzięcia w niej udziału, wreszcie z opisu w krajowych dziennikach i w „Wędrowcu“ ogłoszonego. Pamięć jej zostanie w naszem sercu, utrwalona zdjętą u stóp Rokiety nieszczególną niestety fotografią całego grona, utrwali się nakoniec sprawieniem ornatu ubogiemu kościołowi w Jabłonowie, gdzieśmy tyle doznawali serdeczności. W osobnem i publicznem piśmie wyraziliśmy podziękę p. Wysoczańskiemu i podwładnym leśniczym, szan. X. Żyborskiemu z Jabłonowa i jego czcigodnej rodzinie, p. Asławowi i straży ochotniczej i tym wszystkim, którzy swem przyczynieniem się uświetnili wycieczkę. W przyszłym roku czeka nas dalsza podróż, a bezwzględnie skierujemy nasz pochód ku Czarnohorze. Czyni to sąsiedni nam Oddział Stanisławowski i tego roku urządzając naukową ekskursyę do źródeł Prutu pod Howerlą, zaprosił nasz Oddział do wspólnego udziału. Jakkolwiek liczne przeszkody nie dozwalały nam zadość uczynić temu słusznemu wezwaniu, nie omieszkał Zarząd wydrukować osobno tego zaproszenia ze szczegółowym programem i między swych członków rozesłać, a tym sposobem przynajmniej zadokumentował łączność naszą, jaką okazał i Oddział Stanisławowski po otrzymaniu zaproszenia naszego na Rokietę.

Zaszczytny też spadł na Zarząd obowiązek przyjęcia dnia 7 lipca b. r. bardzo licznych gości z Czerniowiec, do którego to gospodarstwa zaproszony został nasz Zarząd przez czerniowieckie Towarzystwo bratniej pomocy za pośrednictwem delegata p. Hankiewicza i komitetu urządzającego.

Wyjednano u Wydziału Kasynowego, że w jego lokalnościach odbywały się posiedzenia Zarządu i Walne Zgromadzenia itp. mniejsze czynności. Pomijając szczegółowe wyliczenie licznych czynności Zarządu i uchwał zapadłych w ciągu jedynastomiesięcznej działalności na ośmiu odbytych posiedzeniach, nadmieniamy tylko, że liczba korespondencyj i przesyłek od zawiązania się faktycznego Oddziału wynosiła 134 (nie wliczając do tej liczby ogólnych odezw i zaproszeń). Dyplomów wydano 49. I pod względem materyalnym, zapewniony ma nasz Oddz. byt i dalsze istnienie. Najprzód wdzięcznością powodowani podnosimy zasługi Szanownego Wydziału, który 200 złr. wsparł naszą instytucyę i pana Leopolda Wajgla, któremu zawdzięczamy 40 złr. w. a. z wycieczki czerniowieckiej. Wpisowe i roczna wkładka od wielu członków uczyniła poważną sumę, a jeśli tylko wszystkie zaległości u pp. Członków zostaną spłacone, będziemy w stanie pomyśleć o drugiem schronisku, o opędzeniu wysokich wydatków na sprostowanie drogi, ścieżek, mostków itp. przeszkód na Czarnohorze, na utrzymanie przewodników górskich, na kasyno w Żabiu, na zbiory naukowe będziemy w możności zająć,

się przemysłem iście zdumiewającym huculów, polepszeniem ich bytu starając się dostarczać im zarobku i udoskonalając ich wyroby. Jestto zadanie dopiero przyszłości, jak i wiele innych spraw, ważnych dla nauk i umiejętności, jak badanie Czarnohory pod względem geologicznym, topograficznym, przyrodniczym i etnograficznym.

Krótki czas istnienia naszego Oddziału aż nadto usprawiedliwia Zarząd przed zarzutem, że mało zrobił; czyniliśmy wszystko, co nie przekraczało naszych sił i granic możebności, szczędziliśmy grosza przed zbytkowemi wydatkami; z czystem sumieniem możemy powiedzieć, iż pełniąc obowiązki staraliśmy się o postawienie młodej instytucyi na silnych i trwałych podstawach, dbaliśmy o jej wzrost i dobrą sławę. O ile nam się to udało, rzeczą to Szanownego Zgromadzenia, ocena do Niego należy. Przewodnią myślą Zarządu było dotychczas i nadal będzie: działać dla dobra Oddziału Czarnohorskiego niezmordowanie w tej błogiej nadziei, że szczerej, bezinteresownej i sumiennej dla ogółu pracy Bóg pobłogosławi.

STAN KASY

Oddziału Towarzystwa Tatrzańskiego w Kołomyi

z końcem roku 1878.

Przychód:

1. Wpisowe od nowych 40 cdonków	40 złr.	— ct.
2. Wkładki roczne uczyniły dotąd	234 „	50 „
3. Od Wydziału Towarzystwa Tatrzańskiego subwencya . .	100 „	— „
4. Od p. Przybyłowskiego depozyt Tow. Tatr.	100 „	— „
5. Od p. Wajgla z wycieczki Czerniowieckiej	40 „	— „
Razem . .	514 złr.	50 ct.

Rozchód:

1. Na schronisko Czarnohorskie	160 złr.	— ct.
2. Wydatki na wycieczkę na Rokietę	30 „	— „
3. Wydatki administracyjne (t. j. druki i ogłoszenia, 2 pieczęci i księgi, służba, porta i korespondencye i t. p. wydatki drobne	49 „	58 „
Razem . .	239 złr.	58 ct.

Zestawienie:

Przychód	514 złr. 50 ct.
Rozchód	239 „ 58 „
Pozostaje majątku	274 złr. 92 ct.

Mówię **dwieście siedmdziesiąt cztery złr. 92 ct. w. a.**, z której sumy złożono na książeczkę kasy zaliczkowej Nr. 318 w Kołomyi 210 złr., a w kasie Podskarbiego zostało 64 złr. 92 ct. w. a.

W Kołomyi dnia 28 grudnia 1878.

X. Mikołaj Martini
Podskarbi.

Członkowie komisyi kontrolującej:

Leopold Wajgel. — Marceli Turkawski. — Ludwik Maciulski.

Ranek w Górach.

Wyzłocone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole — lasy skryte w cieniu,
Toną jeszcze w mgle perłowej,
Co w porannem oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,
I ta rwie się w chmurek stada...
Jak pajęcza, wiotka przędza,
Na krawędziach skał osiada;

A z pod sinej tej zasłony,
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, ciemnych snów zbudzony
Taki jasny, wonny, świeży.

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą,
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą;

I blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie,
Cudowności świat się piętrzy
W wyzłoconej swej koronie.

Góry wyszły jak z kąpieli,
I swem łonem świecą czystem,
W granitowej świecą bieli,
W tem powietrzu przezroczystem;

Każdy zakręt, każdy załom,
Wyskakuje żywy, dumny;
Słońce dało życie skałom
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza —
Gra przelotnych barw i cieni,
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już zdrój srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy...
Już się żywszy odblask ślizga
Po jeziorek sinej tarczy...

Już pokraśniał rąbek lasu...
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny — a z szałasu
Dolatują śpiewne echa...

Przez zielone łąk kobierce
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma,
I powietrze chciwie chwyta —
Dusza wybiedz chce oczyma
Upojona, a nie syta;

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona jak z zaklęcia...
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

El...y.

KILKA KARTEK

Z KAUKAZU.

(Ustępy z nieogłoszonej dotąd drukiem podróży, odbytej w roku 1873)

PRZEZ

Dra A. Rehmana.

I.

Z Anapy do Tyflisu.

aukaz jest krajem nadzwyczaj urozmaiconym.

W kilka godzin po przebyciu cieśniny Kerczeńskiej, łączącej morze Azowskie z Czarnem, wynurza się z morza na wschodnio-południowym horyzoncie kilka zaokrąglonych, ogołoconych z drzew, wypalonych od słońca i spłowiałych pagórków; są to najdalej na zachód wysunięte uskoki głównego pasma gór kaukazkich, które od brzegów morza Kaspijskiego aż po Czarne i Azowskie, ciągnie się nieprzerwanym łańcuchem, sięgającym pojedyńczemi wierzchołkami wysoko w krainę wiecznych śniegów, bo do 18.000 stóp nad poziom morza. Tak wschodnie jako i zachodnie kończyny tych gór zbiegają stromo w morze, a cały ich łańcuch, aczkolwiek silnie rozgałęziony i porysowany głębokiemi dolinami, jest połączony głównym grzbietem w ten sposób, że przedstawia olbrzymi, nieprzebyty mur graniczny, dzielący Azyę od Europy.

Niepozorne pagórki witające przybywającego z zachodu wędrowca w bliskości miasteczka Anapy, przech dzą ku południowi w jednostajne pasmo wyniosłych wierzchołków, a w ciągu dwudniowej podróży z Anapy do Poti rozwija się bezustannie przed oczami wędrowca najwspanialsze panorama górskich krajobrazów. Pojedyńcze wierzchołki, dzikie, skaliste, niedostępne, zbiegają tutaj w morze tak stromo, że komunikacya lądowa jest w wielu miejscach niemożebną. Brzeg morza przedstawia tutaj wszędzie jednostajną prawie równą linię; nie ma na całym tym obszarze ani jednej zatoki, skręty zatrzymują się w znacznej odległości od brzegów, a podróżni i towary dostają się na ląd za pomocą łodzi.

W znacznych odstępach ukazują się pomiędzy górami głębokie, wązkie doliny, poprzecinane potokami. Stoki gór zbiegające w morze są prawie zupełnie ogoło-

cone z lasów i skąpo tylko porosłe niepozornym zarostem krzewiastym albo zielnym; ale gdzie doliny są obszerniejsze, tam boki ich są gęsto pokryte ciemnozieloną szatą lasów, które wstępują niekiedy i na wierzchołki gór, ile razy te przybierają postać kopułowatą. Ponad temi kopułami sterczą zazwyczaj skaliste grzbiety lub ostro zakończone wierzchołki, ogołocone zupełnie z roślinności, tak wysokie, że wszystko, co się znajduje po za niemi, jest dla wędrowca zakryte. W ciągu dwudniowej podróży raz tylko obniżają się cokolwiek góry nadbrzeżne i rozstępują się w ten sposób, że odsłaniają krajobraz wewnętrzny, złożony z olbrzymiej grupy górskiej, której wierzchołki pokryte wiecznemi lodami, oblane światłem wschodzącego słońca, dają się bardzo dokładnie rozróżnić pomimo kilkunastomilowej odległości.

Okolica nadbrzeżna jest bardzo mało ożywioną. Wojownicze plemie Abhazów, znane z kilku krwawych epizodów ostatniej wojny, mieszka w aułach ukrytych we wnętrzu gór i nie schodzi nigdy na wybrzeża. Jedynem większem miastem, w którem okręty nieco dłużej się zatrzymują, jest Suchum Kale. Inne osady nadbrzeżne, z kilku lub kilkunastu domków złożone, kupią się około fortec nadbrzeżnych i stannic kozackich, rozciągniętych wzdłuż brzegów kordonem, a cała okolica milcząca i ponura, robi wrażenie, jak gdyby była zupełnie niezamieszkała.

Od miasteczka Suchum Kale góry nagle się obniżają i przechodzą szybko w południową równinę, płaską, zaledwie na kilka metrów nad poziom morza wzniesioną, pokrytą nieprzerwanem pasmem lasów moczarowatych. Okolica ta wdzierająca się klinem pomiędzy górskie pasma północnego i południowego Kaukazu jest Kolchidą starożytnego świata, a obecnie nosi nazwę Mingrelii.

Miasto Poti połączone z Odessą i krymskiemi portami linią parostatków, które pod względem wygody, porządkn i bezpieczeństwa w niczem pierwszorzędnym żeglugom świata nie ustępują, zostało zbudowanem na ostrowie zamkniętym z dwóch stron ujściem rzeki Rionu i morzem, a z trzeciej niezgłębionemi moczarami, w jakie cała Mingrelia obfituje. Założone w ostatnich czasach ma powierzchowność miasta zupełnie nowego, ulice jego szerokie, proste, wyznaczone w regularnych odstępach. Ale klimat niezdrowy jest powodem, że nikt nie osiada tutaj na stałe; każdy z przybyszów, dorobiwszy się w ciągu kilkuletniego pobytu skromnego majątku, powraca do ojczyzny, ażeby ratować resztki nadwątlonego zdrowia. Dlatego też, chociaż przypływ cudzoziemców jest liczny, miasto bardzo powoli się podnosi, bo nikt nie buduje się na stałe. Do najporządniejszych budynków należą hotele utrzymywane bez wyjątku przez cudzoziemców; inne domy są to budy drewniane zamieszkałe przez kupców, kramarzy i rękodzielników rożnych narodowości, jak Gruzinów, Ormian, Greków, Rosyan, Niemców i Francuzów. Ponieważ potrzeby miejscowe są nadzwyczaj ograniczone, przeto podróżni padają zazwyczaj ofiarą zdzierstwa krajowców; ceny po hotelach są nadzwyczaj wygórowane; łóżko we wspólnym pokoju kosztuje 2 rub. za jedną noc, a za kieliszek wina krajowego, którego butelkę można dostać w Tyflisie za 15 kopijek, żądają w hotelu 20 kopijek. Gdym gospodarzowi Francuzowi robił wymówki z powodu przesadnych cen, odpowiedział mi szorstko: „Nie jesteś Pan jeszcze na Kaukazie, zobaczysz co będzie dalej“. I miał rzeczywiście słuszność. Rosyjska kolonizacya ma to wspólnego z angielską, że w którąkolwiek świata stronę zawita, sprowadza natychmiastową drożyznę, jakoż ceny na Kaukazie są tak wysokie, że kosztorys zrobiony na podstawie europejskich stosunków, mógłby narazić podróżnika na bardzo nie miły zawód.

Ażeby osuszyć miasto, poprzecinano jego ulice systemem rowów, które wodę miały odprowadzić do morza. Ale pozycya jest tutaj tak niską, że przy każdym

silniejszym wietrze zachodnim woda morska wstępuje do kanałów i rozlewa się po okolicy. Wskutek tego ulice nie obsychają prawie nigdy, a rynek zajmujący środek miasta jest tak błotnistym, że wozy towarowe grzęzną na nim powyżej osi i ledwie przy pomocy kilkunastu par bawołów mogą być wydobyte.

Z tem wszystkiem, jeżeli podróżnik przybywający na tutejsze brzegi nie jest obojętnym na piękno przyrody, Poti może zrobić na nim bardzo przyjemne wrażenie, bo bujna i nadspodziewanie urozmaicona roślinność nadaje mu znamię wiecznej świeżości. Maleńka wysepka na Rionie wysunięta nieco w morze, przedstawia się zdaleka jak pagórek najświeższej zieloności, a wyniosłe drzewa rosną tak obficie i są tak gęsto oplecione dzikiem winem, że tworzą jednostajne ściany zielone, po za które nie zdoła się przedrzeć oko wędrowca. Po ogrodach tutejszych udają się znakomicie rośliny zamorskie, wymagające ciepłego klimatu jak: *Liriodendron*, *Catalpa*, *Ailanthus*, *Hibiscus*, *Hortensia* i *Myrtus*; morwy, pomarańcze i cytryny wytrzymują również pod gołem niebem i rodzą oficie. Ale ogrody otaczające domostwa ulic zewnętrznych, przypierają bezpośrednio do moczarów, zamykających miasto od strony lądu. Głębokość ich jest przeważnie tak wielką, że przystęp do wnętrza jest niemożebnym, a wyobrażenie o nich mogą dać tylko mateczniki lasów litewskich. Są one porosłe olszyną, w pośród której mieszają się pojedyńcze okazy wierzby i dębów, ale rośnie tutaj i inne ze wszech miar ciekawe drzewo, spokrewnione z orzechem włoskim, nazwane przez botaników *Pterocarya caucasica*, ważne z tego powodu, że obecnie żyje wyłącznie tylko na Kaukazie, nad morzem Kaspijskiem i Czarnem, a w dalekiej przeszłości, w epoce formacyj trzeciorzędnych, żyło także w środkowej Europie na północy od Alp, zkąd ustąpiło wskutek gwałtownych zmian klimatycznych, jakim uległa Europa pod koniec epoki trzeciorzędnej. Gałęzie drzew są tutaj gęsto pooplatane dzikim chmielem i innemi roślinami powojowatemi, zwierciadło wody pokrywa wysoki szuwar trawiasty, a na brzegu jego rosną bujno kolczate jeżyny i paprocie, poplątane drobnemi pełzaczami, spinającemi się na ich wierzchołki. Jak wygląda wnętrze tych moczarów, o tem trudno powiedzieć, bo głębokość wody jest tak wielką, że przedarcie się po za pierwszy szereg drzew, byłoby połączone z niebezpieczeństwem życia.

Klimat Mingrelii jest niesłychanie wilgotny. Na całych wybrzeżach Śródziemnego i Czarnego morza nie ma drugiej okolicy równie obficie skrapianej; deszcze padają tutaj w zimie i w lecie, a ilość wody spadającej w ciągu jednego roku jest pięć razy większą aniżeli w południowej Rosyi. Dzień zupełnie pogodny należy do zjawisk wyjątkowych, niebo jest prawie ciągle zachmurzone, a z ponad moczarów wznoszą się nocą tumany mgły bardzo szkodliwe dla zdrowia mieszkańców. Chociaż klimat nie oszczędza i krajowców, to szczególnie niebezpiecznym jest on dla przybyszów. Po kilkodniowym zaledwie pobycie zapadają oni częstokroć na zjadliwą febrę bagienną, która jest nieuleczalną i chociaż nie zabija odrazu, to pozostawia skutki swoje w organizmie na całe życie.

Gdy okręt nasz przybijał do brzegu, czekała tam na nasze przyjęcie gromadka krajowców, a przy pomoście stał mały, czarny, ułomny Francuz i podając uprzejmie rękę wychodzącym deklamował donośnym głosem:

— Panowie i panie! najwygodniejszy, najpiękniejszy i najtańszy hotel w całem Poti jest hotel francuzki; czyja łaska proszę za mną.

Ponieważ wybór był trudnym, przyjęliśmy propozycyę i poszli w miasto pod przewodnictwem naszego cicerone. Zaledwie uszliśmy kilkadziesiąt kroków, począł lać deszcz tak rzęsisty, że sprowadził małe zamięszanie w naszej gromadce, złożonej z mężczyzn, kobiet i dzieci. Ktoś zapytał, czy nie ma bliższego hotelu, a na to nasz przewodnik wskazał na bladą tarczę słońca kryjącą się za chmurami i wyrzekł:

— Patrzcie państwo na ten wspaniały zachód słońca, na jutro będziemy mieć najpiękniejszą pogodę.

— Czy tutaj często deszcz pada? — zapytał ktoś z gromadki.

— Tutaj leje więcej jak potrzeba, ale za jutrzejszą pogodę ręczę, proszę się na mnie spuścić.

Znużony pięciodniową przeprawą morską udałem się na spoczynek i zasnąłem wkrótce, marząc o wycieczkach botanicznych, do których potrzebowałem rzeczywiście pogody. Ale przespawszy zaledwie godzinę, zerwałem się nagle przebudzony rzęsistym potokiem wody, spadającym z sufitu prosto na twarz moją. Na dworze szumiał wiatr towarzyszący gwałtownej ulewie. Posunąłem łóżko o dwa kroki, co nie na wiele się przydało, i rozpiąwszy parasol nad głową, przepędziłem niespokojnie resztę nocy. Nazajutrz rano lał deszcz jak z cebra. Gdy ktoś z podróżnych robił przewodnikowi wymówki, że jest fałszywym prorokiem, odrzekł z zimną krwią:

— Tutaj nie obejdzie się ani jeden dzień bez deszczu, ale wolimy, gdy zacznie padać rano, bo wówczas można się spodziewać, że przestanie około południa.

I mówił rzeczywiście prawdę, bo deszcz padał codziennie z krótkiemi przerwami, a w ciągu kilkodniowego pobytu w Poti nie zrobiłem ani jednej wycieczki za miasto, z którejbym nie powrócił przemoknięty, jak to mówią, do suchej nitki.

Wyznaję otwarcie, że bezustanna ulewa nietylko przeszkadzała mi w wycieczkach, ale działała demoralizująco na mój umysł, bo wysuszenie i przechowanie zbiorów stawało się z powodu wilgoci niemożebnem. Rośliny ułożone w papierach czernieją, gniją i pokrywają się pleśnią w ciągu kilku dni. Tylko pora jesienna daje większe prawdopodobieństwo pogody, ale nie opłaca wycieczek, bo roślinność jest najwięcej urozmaiconą na wiosnę i w lecie.

W tym stanie rzeczy Mingrelia należy do tych krajów, które o ile budzą ze wszech stron ciekawość naturalisty, o tyle niezwykłe w zwiedzaniu stawiają mu trudności. Życie drogie, lud niechętny, komunikacya utrudniona, miejscowości niedostępne, brak wszelkiej wygody i klimat zabójczy przedstawiają cały szereg przeszkód, których zwalczenie wymaga niezwykłej energii i poświęcenia. Ofiarą klimatu padł tutaj jeden ze znakomitszych naturalistów Schowitz. Dlatego też podróżni przybywający z zachodu, starają się skrócić o ile możności swój pobyt w tych stronach, a Mingrelia chociaż jest najbliższą Europie, jest dotąd najmniej zbadaną pomiędzy wszystkiemi częściami Kaukazu.

Rzeka Rion (Phasis starożytnych) jest tak głęboką, że parostatki mniejszych rozmiarów mogą ją przebywać na odległość sześćdziesięciu wiorst od ujścia. Brzegi jej niskie są wszędzie pokryte najbujniejszym pierwoborem, a drzewa rosną tak gęsto i są tak obficie poplątane dzikiem winem, że robią w wielu miejscach wrażenie jednostajnych ścian zielonych. Uroczo wyglądają te olbrzymie masy zieloności, gdzie koryto rzeki nagle się skręca, lub gdzie jest przerwane małemi wysepkami. Z tem wszystkiem krajobraz nadbrzeżny jest milczący, ponury, dziki i nieprzystępny. Można sobie wyobrazić, że dla nieustraszonych żeglarzy greckich, którzy przed 2000 lat przybyli poraz pierwszy do tutejszych brzegów, rzeka Rion przedstawiała tyle uroku, ile dla dzisiejszych podróżników Ogowai, Lualaba lub inne rzeki centralnej Afryki. Ale trudności, jakie ówczesni cywilizatorowie mieli do zwalczenia, były bez porównania większe, bo dzisiejsi pionierzy korzystają ze wszystkich odkryć nowoczesnej cywilizacyi, nie mówiąc już o wyższości broni. Tutejsza ziemia musiała jednakże dla starożytnych Greków mieć nadzwyczaj wiele uroku, albo ogromne obiecywała im korzyści, bo cywilizacya grecka przedarła się głęboko do wnętrza Kaukazu. Na całym obszarze Gruzyi, w okolicach górzystych,

dzikich i niedostępnych istnieją do dziśdnia osady, których mieszkańcy różnią się od sąsiadów powierzchownością, strojem i zwyczajami, a których język zdradza ich greckie pochodzenie.

Miasto Poti jest połączone z Tyflisem zapomocą kolei żelaznej. Wybudowanie tej kolei było połączone z niesłychanemi trudnościami, bo została poprowadzoną w prostym kierunku na północnym brzegu Rionu, od ujścia tejże rzeki aż do miasta Kutais, przez lasy pierwotne i niedostępne moczary. Dla ustalenia gruntu trzeba było sprowadzać materyał ze znacznej odległości, a oprócz trudności terrenu, robotnicy, prawie bez wyjątku cudzoziemcy, musieli walczyć ze zjadliwym klimatem i niewygodami wszelkiego rodzaju, jakoż prawie dziesiąta część tych, którzy budową byli zajęci, leży pogrzebana wzdłuż wału kolejowego. Podróż w wagonie jest tutaj bardzo zajmującą, ponieważ pozwala badaczowi zajrzeć do wnętrza tutejszych pierwoborów. Na prawo i na lewo, w odległości kilku kroków od wału rozpoczyna się bezdenny, przepaścisty moczar, porosły zrzadka trzcinami i oczeretami, ponad które wznoszą się wyrosłe konary drzew, poplątane dzikiem winem, spadającem w postaci festonów na zwierciadło wody. Drzewa rosną dość rzadko; trudno oznaczyć na pewne do jakich gatunków należą drzewa składające tutejsze zarosty, bo pociąg postępuje z szybkością, ale obok olch i dębów widziałem tutaj kilka okazów kaukazkiego orzecha *(Pterocarya caucasica)*. Zdaje się, że moczarowata gleba nie bardzo sprzyja rozwojowi drzew leśnych, bo rozwój liścia jest upośledzony, gałęzie zamierają przedwcześnie, a z pośrodka moczarów sterczy wiele pniów zupełnie z liści ogołoconych. Stacye kolei żelaznej znajdują się w bliskości osad mingrelskich, położonych na ostrowach wśródleśnych, otoczonych ze wszech stron moczarami. Osady takie składają się z kilkunastu maleńkich chatek drewnianych, zbudowanych z okrąglaków, pokrytych korą, albo szuwarem. Maleńkie obszary ziemi uprawnej, obsadzone kukurydzą i kilka sztuk bawołów używanych do zaprzęgu, są całem bogactwem mieszkańców.

Taką jest cała Mingrelia. Mało jest na ziemi okolic, któreby na małych obszarach łączyły tak potężne kontrasty, jak ta część Kaukazu, bo moczary Mingrelii przypierają do samego podnóża gór północnych, których pojedyńcze wierzchołki sięgają wysoko w krainę wiecznych śniegów. Kto chce przekonać się, jak silnie fizykalne warunki okolicy oddziałują na moralne usposobienie i rozwój człowieka, niech porówna tylko Abhazyę z Mingrelią. Tam góry niebotyczne, krajobraz otwarty i urozmaicony, jasne słońce i czyste powietrze, a tutaj ponure pierwobory, albo bezdenne moczary, widok zamknięty, powietrze mgliste i wilgotne, przepełnione zjadliwemi miazmami; w górach ziemia płonna zaledwie zdoła wyżywić człowieka, ale Czerkies, chociaż ubogi i głodny jest swobodny, wesoły i rozmowny, dumny, a odwaga jego graniczy z zuchwałością — mingrelska gleba należy do najbujniejszych w świecie, a pomimo to mieszkaniec jej jest leniwym nędzarzem, całe życie posępny, milczący, na pozór cichy i pokorny, a rzeczywiście chytry, podstępny i skłonny do okrucieństwa. Czerkies nakrywa głowę czapką baranią, odsłaniając z dumą wyniosłe swoje czoło — Mingrel zawija ją baszłykiem i chowa twarz tak, że mu oczu nie widać; Czerkies kocha się w broni i rujnuje się na strzelbę a kindżał uważa za największą ozdobę swojego stroju— Mingreł jest napozór bezbronnym, ale kryje zazwyczaj pod ubraniem nóż zdradziecki; Czerkies nie może żyć bez konia, którego uważa za swojego najlepszego przyjaciela i nieodstępnego towarzysza—Mingreł nie lubi opuszczać swojej dzikiej kryjówki, a tylko ostateczną zmuszony potrzebą zakłada do ciężkiego i niezgrabnego dwukołowego wózka parę bawołów i wlecze się z miejsca na miejsce z zimną krwią i spokojem ślimaka. Młody Czerkies, gdy poczuje skłonność do życia

małżeńskiego, kradnie swą narzeczoną i na grzbiecie swego rumaka do rodzinnego sprowadza ją aułu — w Mingrelii zaś handel kobietami był zawsze najzyskowniejszą gałęzią przemysłu, a rodzice sprzedawali swe córki, słynne z urody, do haremów perskich i tureckich.

Góry północnego i południowego Kaukazu łączą się ze sobą za pomocą płaskiego, połogiego grzbietu, którego najwyższe wzniesienia poruszają się pomiędzy czterema i pięcioma tysiącami stóp. Grzbiet ten noszący nazwę Imeretyi jest zarazem działem wodnym dla całej okolicy, ponieważ wody płynące ku zachodowi łączą się w Rionie i wpadają z nim do morza Czarnego, gdy przeciwnie wschodnie potoki zbiegają do rzeczki nazwanej Keresz łączącej się powyżej Tyflisu z Kurą, która uchodzi do morza Kaspijskiego. Roślinność Imeretyi jest zupełnie odmienną od tej, jaką widzieliśmy nad Rionem. Znaczne obszary ziemi są i tutaj pokryte lasami, ale są to lasy górskie, czyste, świeże i przejrzyste, a kilka drzew zawsze zielonych nadaje im urok wiecznej świeżości. Drzewo bukszpanowe dochodzi tutaj do czterdziestu stóp wysokości i do stopy grubości i dostarcza bardzo cennego materyału wywozowego, bo po wyniszczeniu bukszpanów w Turcyi i Grecyi, Kaukaz zasila obecnie tym materyałem cały świat ucywilizowany, a potrzeba jest tak wielką, że przy nieoględności i bezsumienności tutejszych przedsiębiorców wypada lękać się, ażeby i tutejsze lasy bukszpanowe nie uległy temu samemu losowi, co w Grecyi i Turcyi. W sąsiedztwie bukszpanu rośnie tutaj wszędzie ostokrzew (*Ilex aquifolium*), o liściach nastroszonych ostremi kolcami, pospolity zresztą i w południowej Europie, nieco rzadziej wawrzynośliw (*Prunus Laurocerasus*), a około Kutais znajdują się obszerne zarosty słodkich kasztanów. Najpiękniejszą ozdobą tych lasów jest rododendron pontyjski, wydający olbrzymie bukiety kształtnych czerwonych kwiatów, hodowany u nas powszechnie po szklarniach. Ale wymienione powyżej drzewa trzymają się przeważnie stanowisk niższych, w dolinach gorących, zasłonionych przed wiatrami górskiemi i nikną na wysokości trzech tysięcy stóp, ustępując miejsca lasom bukowym, których powierzchność przypomina żywo lasy naszych Bieskidów. Imeretyjska gleba jest mniej plenną, ale nadaje się bardzo dobrze do uprawy wina, które znaczne mieszkańcom tutejszym przynosi korzyści. Klimat po wierzchołkach gór i miejscach otwartych jest bardzo przyjemny i zdrowy, ale w dolinach zbiegających ku zachodowi panują febry równie niebezpieczne jak w Mingrelii. Zdaje się, że wiatry zachodnie wiejące od morza Czarnego, zabierają szkodliwe wyziewy mingrelskich moczarów, i osadzają je w dolinach u podnoża gór położonych. Wioski tutejsze robią już daleko korzystniejsze wrażenie, domy kamienne są lepiej kryte, a uprawa ziemi staranniejsza. Ale Imeretyniec ma wiele wad wspolnych z Mingrełem, a chociaż ruchliwszy i zabiegliwszy, jest również nieprzystępny, skryty, skłonny do zdrady i podstępu.

Zmienia się powierzchowność okolicy, jak tylko miniemy siodło łączące oba systemy gór, nazwane tutaj Suramskim Perewałem i dostaniemy się na obszary starożytnej Georgii, a obecnej Gruzyi. Góry są tutaj znacznie wyższe, doliny obszerniejsze, dużo skał, a mało wody; wpływ olbrzymich obszarów stepowych zalegających południowe wybrzeża morza Kaspijskiego jest tutaj widocznym, bo powietrze jest przeważnie suche, a ilość opadu wodnego nagle się zmniejsza, wskutek czego lasy kryją się po szczelinach i cienistych zakątkach we wnętrzu gór, a stoki ich są zaledwie gdzieniegdzie pokryte drobnym zarostem krzewiastym, albo niepozorną roślinnością zielną. Ilość opadu wodnego zmniejsza się tutaj o tyle, że utrudnia nawet uprawę ziemi, a rolnik musi uciekać się do sztucznej irrygacyi. Pomimo to Gruzini są najinteligentniejszym ludem kaukazkim, wznieśli się na wysoki stopień cywilizacyi, wywalczyli sobie supremacyę nad innymi ludami ościen-

nymi i zachowali ją aż do początku bieżącego stulecia. Wioski tutejsze są daleko obszerniejsze, domki małe, ale kamienne, przykryte płaskim dachem w stylu oryentalnym. Gruzini różnią się językiem i zwyczajami od Mingrełów, Imeretyńców i Abhazów i bywają przez nich uważani za przybyszów, którzy ich ujarzmili i ich ziemię sobie przywłaszczyli. Że ziemie tutejsze różne przechodziły koleje, to nie ulega żadnej wątpliwości; na całym obszarze Gruzyi znajdują się niezliczone mieszkania ludzkie, kute w skałach po najniedostępniejszych miejscowościach, porzucone od niepamiętnych czasów. Kto byli mieszkańcy tych nadpowietrznych osad, trudno powiedzieć, bo znikli zupełnie, nie pozostawiwszy żadnych innych śladów po sobie.

II.

Tyflis i jego mieszkańcy.

Dzisiejsza stolica Gruzyi i siedziba namiestnictwa kaukazkiego, Tyflis, jest położona w kotlinowatej dolinie po obu brzegach rzeki Kury. Okolica w bliskości Tyflisu ma już charakter czysto stepowy; pagórki zbiegające ku rzece są zupełnie z drzew ogołocone, pokryte krótką trawą, albo zeschłemi ziołami, a tylko gdzieniegdzie po jarach i zagłębieniach widać ciemne smugi zarostów krzewiastych, złożonych przeważnie z kolczatego gatunku, nazwanego *Paliurus aculeatus,* którego ciemna zieloność silnie odbija w porze letniej od przepalonej i spłowiałej gleby. Urocza postać wawrzynów pozostała daleko za Suramskim Perewałem, a buki rosną dość obficie w sąsiednich górach, ale najbliższe okolice Tyflisu nie żywią ani jednej rośliny, któraby dochodziła do dwóch sążni wysokości, a stosunki te nadają otoczeniu tego miasta charakter posępnej, bezbarwnej jednostajności. Gdzie spadek gór jest naglejszy, tam boki ich sterczą niekiedy w postaci skalistych żeber, również ogołoconych z roślinności. Po jarach i zagłębieniach ściekają zimą i na wiosnę dość obfite potoczki, które w porze letniej wysychają zupełnie, a rzeka Kura czerpie wówczas swoje zdroje w odległych górach na granicy Armenii położonych, stan jej wody jest bardzo niskim, woda ma przeważnie ciemną, błotnistą barwę i jest zanieczyszczona częściami ziemnemi.

Obecny Tyflis składa się z trzech części: europejskiej ucywilizowanej, azyatyckiej zamieszkałej przez Persów i Tatarów i niemieckiej, nazwanej tutaj pospolicie kolonią.

Europejska część miasta powstała po przyłączeniu Kaukazu do Rosyi, wskutek czego odznacza się dość korzystną powierzchownością. Główne ulice są szerokie, wysadzone szeregami drzew akacyowych. Domy piętrowe stawiane w stylu europejskim, mieszkania parterowe zajmowane przeważnie przez kupców wszystkich możebnych narodowości, a wystawy staranne i gustowne przypominają mimowoli Europę. Najpiękniejszym budynkiem jest niezaprzeczenie pałac namiestnika, otoczony z dwóch stron ogrodem, starannie założonym i wzorowo utrzymanym. W środku miasta znajduje się inny ogród obszerny, przeznaczony dla użytku publiczności, ozdobiony wodotryskami, a chociaż dość dobrze założony, robi w porze letniej bardzo posępne wrażenie, bo rośliny nie dość starannie skrapiane, tracą świeżość swoją, a na drzewach, krzewach i gazonach osiadają grube pokłady pyłu, wskutek czego nikną wszystkie odcienia zieloności, ustępując miejsca posępnej, szaropopielatej barwie. Zgubny wpływ stepowego klimatu na rozwój roślinności jest tutaj

widocznym, bo drzewa europejskie rosną bardzo powoli i ulegają skarłowaceniu. Z tem wszystkiem ogród ten jest wielkiem dla miasta dobrodziejstwem, bo jest jedynem ustroniem, w którem można odetchnąć na chwilę swobodniej, zdala od zgiełku i wrzawy ulicznej.

Ale pozór cywilizacyi niknie, jak tylko oddalimy się od środka miasta, bo wązkie ulice, domy bez dachów, a czasami i bez okien przypominają nam natychmiast, że jesteśmy w Azyi, a nieporządek na ulicach i zaduch rozchodzący się z ciasnych dziedzińców jest wspólny tym zaułkom ze wszystkiemi innemi miastami oryentu.

Z zakładów publicznych zajęło mię najwięcej tak zwane muzeum kaukazkie i ogród botaniczny. Muzeum jest pomieszczone wraz z biblioteką publiczną we własnym budynku i zostaje obecnie pod kierunkiem znanego podróżnika i naturalisty Dr. Raddego. Znajdują się tutaj bogate zbiory zwierząt i roślin kaukazkich, ale przechowanie ich nie zawsze zadawalnia systematyka. Przy ustawieniu zwierząt nie pominięto względów estetycznych, co dla codziennych gości nie jest rzeczą obojętną; nie źle jest obmyślaną grupa złożona z wielbłąda leżącego na ziemi, opadniętego przez kondory, jak również i inna, przedstawiająca dzika w paszczy tygrysa. Oprócz tego znajduje się tutaj wielka rozmaitość wyrobów krajowych, stara broń, próby ubiorów i wiele zabytków archeologicznych.

Ogród botaniczny, położony w malowniczej, skalistej dolinie o kilka wiorst za miastem, przedstawia się zdaleka jak grupa drzew i krzewów, której żywa zieloność tem przyjemniej wpada w oczy, że górują nad nią wszędzie nagie, przepalone i spłowiałe ściany skaliste. Drzewa takie, jak: *Paulownia imperialis*, *Catalpa syryngaefolia*, *Sterculia platanifolia*, *Magnolia grandiflora*, *Koelreuthera paniculata* rosną tutaj co prawda powoli, ale rozwijają się normalnie, kwitną i owocują corocznie i świadczą wymownie, coby się dało zrobić z tej gleby, gdyby jej nie brakowało jednego tylko do rozwoju roślinności niezbędnego warunku, to jest wilgoci. Wodę czerpie ogród za pomocą rur podziemnych z gór sąsiednich. Udają się tutaj nadto wszystkie drzewa południowej Europy; oliwy, granaty, mirty i wawrzyny wytrzymują zimę bez żadnej osłony, a w maleńkiej szklarni żyje wiele roślin ozdobnych, pochodzących z krain tropikowych. Ale też na tem kończy się i cała działalność tutejszego ogrodu botanicznego, a mieszkańcy Tyflisu uważają go jedynie i wyłącznie za miejscowość nadającą się dobrze do urządzenia pikników, jakoż w porze gorącej można tutaj codziennie napotkać kilka towarzystw, które przybywają z miasta, ażeby przywiezione ze sobą zapasy spożyć pod osłoną tutejszej groty i odpocząć po tej pracy w miłym cieniu drzew i zarośli.

Nowy Tyflis jest w połowie zamieszkały przez cudzoziemców, a mianowicie Rosyan, Polaków, Niemców i Francuzów, a w połowie przez krajowców, prawie bez wyjątku Ormian i Gruzinów. Rosyanie i Polacy przedstawiają miejscową inteligencyę, pozostają prawie bez wyjątku w służbie rządowej i zajmują wysokie stopnie jako wojskowi i urzędnicy. Niemcy i Francuzi trudnią się handlem i rzemiosłami. Ormianie tworzą najbogatszą klasę ludności i reprezentują poniekąd stan bankierski, a pod względem charakteru nie najlepszej używają opinii. Ponieważ rozporządzają wielkiemi kapitałami, przeto wyzyskują lichwą zubożałą szlachtę gruzyjską i mieszczaństwo, a są niebezpiecznymi współzawodnikami wszystkich zagranicznych przedsiębiorców. Z tem wszystkiem nie sądzę, żeby porównanie Ormian z Żydami było uzasadnionem, bo posiadają wiele zalet domowych, obcych wschodnim Izraelitom. Fizyognomie Ormian są w ogóle sympatyczne i nie mają w sobie nic oryentalnego, a można często napotkać pomiędzy nimi typy zbliżone do staropolskich, a złudzenie jest tem większem, że narodowy strój polski

jest także strojem Ormian dzisiejszych. Można tutaj widzieć ten sam kontusz, żupan, czapkę i spodnie, też same palone buty, i tę samą karabelę przy boku, jakie zdobiły przodków naszych za panowania Sasów, a zdaje się, że nawet zwyczaj golenia głów i brody i upodobanie do wąsów zostało do nas przez Ormian przyniesione. Gruzini tworzą tutaj uboższe mieszczaństwo i trudnią się drobnym przemysłem, uprawą ogrodów i szachrajstwem, trzymają szynki i mniejsze restauracye. Wielu z nich należy do zubożałej szlachty gruzyjskiej i szczyci się swojem pochodzeniem, a w ubocznych uliczkach miasta można nieraz napotkać książęcą mitrę nad szyneczkiem lub sprzedażą pieczywa, chociaż tytuły takie nie popłacają, a firma taka jak: „Czajnoje zawiedjenie kniazia Hercheulidze“ żadnych właścicielowi nie przynosi korzyści.

W porze letniej upały w Tyflisie są nieznośne i dlatego kto może, siedzi w domu przez dzień cały i używa miłego wczasu przy zamkniętych okiennicach. Ale zmienia się nagle fizyonomia miasta, gdy słońce zniknie pod horyzontem; otwierają się okiennice wszystkich domów, we wnętrzu mieszkań ukazują sią rzęsiste światła, a mieszkańcy zasiadają do wspólnej wieczerzy. Za niedługą chwilę płaskie dachy gruzyjskich domów nagle się zaludniają kobietami i dziećmi, daje się słyszeć dźwięk gitary towarzyszący monotonnym śpiewom gruzyjskim, przez ulice miasta przeciągają gromady młodzieży, krzykliwe ich śpiewy przerywają liczne wystrzały z broni palnej, a zgiełk i wrzawa trwają do późnej nocy. Gruzini są w ogóle lekkiego i wesołego usposobienia i korzystają z każdej sposobności do zabawy, a wesołość ich graniczy często z lekkomyślnością. Gruzin podochocony, najmuje całą bandę grajków i przy odgłosie dzikiej muzyki kroczy tryumfalnie przez główną ulicę miasta, rozrzucając drobną monetę pomiędzy gawiedź uliczną. Żądza chwilowej rozkoszy zabija u Gruzinów zmysł zachowawczy, nie liczą się oni nigdy z przyszłością i dlatego upadek materyalny pomiędzy ludnością gruzyjską w Tyflisie i na prowincyi robi w ostatnich czasach zastraszające postępy, a w ślad za nim idzie i demoralizacya, jak świadczy zwiększająca się z każdym dniem liczba procesów kryminalnych o fałszerstwo wekslów, fałszywe bankructwa i inne tym podobne oszustwa.

Kolonia niemiecka pod Tyflisem liczy, jak i kilka innych w okolicy, również zaledwie kilkadziesiąt lat istnienia. Zostały one założone w celu podniesienia i rozszerzenia uprawy ziemi i odpowiadają znakomicie celowi, bo sprowadziły do kraju żywioł pracowity, czynny i zabiegliwy, a w obecnym stanie może jedyny, który umie wyzyskać naturalne bogactwo ziemi. Niemcy tutejsi trudnią się wyłącznie rolnictwem, a kolonia tyfliska robi zdaleka wrażenie olbrzymiego ogrodu i zaopatruje miasto dostatecznie w owoce, jarzyny i nabiał. Założona na lewem brzegu rzeki Kury, na glebie równej i niskiej, posiada tę korzyść, że ogrody jej mogą być nawodnione z rzeki zapomocą prostych rowów, podczas gdy ogrody w górnej części miasta położone, otrzymują swą wodę z gór sąsiednich, ze znacznej odległości, której przypływ pomimo wysokiej opłaty jest niepewnym, bo murowane wodociągi bywają przez deszcze nawalne po części zapchane, a po części tak uszkodzone, że owoc całorocznej pracy rolnika i jego nadzieje bywają niekiedy w ciągu kilku godzin zniszczone. Domki kolonistów ocienione wyniosłemi drzewami dostarczają w czasie letnich upałów dla zamożniejszej ludności miasta miłego schronienia i przynoszą znaczny dochód właścicielom. Niemcy tutejsi zachowali w zupełności swoją religię, język, strój, zwyczaje i skłonności, nie garną się do oświaty, lecz starają się wyłącznie o podniesienie dobrobytu, jakoż znajdują się pomiędzy nimi ludzie bardzo zamożni.

W tej części miasta znajduje się także rządowy ogród aklimatyzacyjny miejski. Zdaje się, że brakuje mu dwóch najniezbędniejszych warunków, światłego kierownictwa i odpowiedniego uposażenia, bo w chwili, gdy go zwiedzałem, znajdował się w stanie wielkiego zaniedbania. Robiono w nim tylko wtenczas próby nad hodowlą jedwabników zapomocą chińskiego drzewa, t. z. *Ailanthus glandulosus,* które dość dobrze się udawały.

Azyatycka część miasta znajduje się również po lewym brzegu rzeki Kury, a początek jej sięga ni mniej ni więcej tylko piątego stulecia, bo około roku 445 stolica książąt gruzyjskich ze starożytnego Mcchetu tutaj przeniesioną została. Ta część miasta zamieszkana wyłącznie przez Persów i Tatarów przechowała do dziś dnia swój oryentalny charakter, a chociaż powierzchowność jej nie bardzo przyjemne robi wrażenie, to jednakowoż wszystko, co się tutaj nasuwa przed oczy wędrowcowi, jest tak dziwnem i oryginalnem, że zapoznanie się z nią powinno być pierwszym obowiązkiem przybysza. Ulice są tutaj wązkie, zacienione i niekiedy tak ciasne, że więcej jak dwie osoby równocześnie wyminąć się nie może; domki maleńkie, parterowe, o płaskich dachach, częściowo zanurzone w ziemi, są zazwyczaj bez okien, opatrzone maleńkiemi drzwiami, albo zupełnie z frontu otwarte, gdy są przeznaczone na sklepy albo magazyny; służące za mieszkanie składają się zazwyczaj z dwóch części, podziemnej, czyli piwnicy i nadziemnej. Te ciasne ulice i domy zanurzone w ziemi wyrodziły się przez wzgląd na klimatyczne stosunki, ponieważ w porze skwarów letnich ulice są bezustannie prawie zacienione, a izby podziemne nie tak łatwo się ogrzewają. Wynika ztąd jednakowoż inna niedogodność, a mianowicie ta, że utrzymanie porządku w uliczkach wązkich, wypełnionych od rana do wieczora tłumami ludzi, jest nadzwyczaj trudnem, wskutek czego są one zimą i latem wypełnione błotem i gnojem zanieczyszczającym powietrze, a woń w takich zakątkach obraża srodze powonienie ucywilizowanego mieszkańca Europy.

Oryentalista przepędza większą część swego życia na ulicy, a zamyka tylko swoje kobiety i dzieci w ciasnych i dusznych domostwach. Kobiet i dziewcząt nie widać tutaj wcale, ukazują się one tylko na dachach domów po zachodzie słońca. Zgiełk i wrzawa po ulicach panuje tutaj od świtu aż do późnego zmroku; czy kto potrzebuje czy nie, opuszcza mieszkanie o wschodzie słońca, a powraca do niego niekiedy dopiero wieczorem. Oryentalista jest z natury ruchliwym i rozmownym, i potrzebuje się koniecznie wygadać. Kupcy i handlarze stojący za straganami zaczepiają przechodniów i namawiają do kupna towarów, a drobniejsi handlarze noszą swój dobytek na głowie, albo na ramieniu i przebiegając ulice zachwalają donośnym głosem wysoką wartość swych towarów i swoją uczciwość, a im Tatar jest gorszym oszustem, tem częściej wzywa na świadectwo Ałłaha. Pod węgłem domów siedzi szeregiem z skrzyżowanemi nogami czereda niedorostków, dmucha na rozżarzone węgle, na których piecze okazałe kaczany kukurydzy i zaprasza przechodniów do spróbowania tego przysmaku. Zapach pieczonej cebuli zwraca naszą uwagę w jednę albo w drugą stronę i odkrywa nowy rys oryentalnego życia, jakiemi są publiczne kuchnie na wschodzie. W olbrzymiem nieoszklonem oknie frontowem, tak wielkiem, że łącznie z małemi drzwiami, służącemi do wejścia, zajmuje całą ścianę domu, uwija się wysoki i chudy Pers, przepasany białym fartuchem, około małego kamiennego piecyka, dmucha na węgle i miesza warzechą w wielkich naczyniach; myje on co chwila ręce, ale wyrzuca odpadki kuchenne na ulicę i obryzguje przechodniów pomyjami, zapraszając ich równocześnie do odwiedzenia swojej garkuchni i cieszy się z tem wszystkiem powodzeniem, bo ma gości od rana do wieczora. Wyznawcy proroka siedzą na ziemi i jedzą

rękami szaszłyk, czyli mięso pieczone na drucie żelaznym, piław, to jest ryż z baraniną i rodzenkami, kiobab, czyli kotleciki z mięsa i cebuli, przypominające postacią nasze kiełbaski parowe, a zamiast chleba otrzymuje każdy z nich porcyę ławaszu, tj. olbrzymi płat ciasta pieczonego na blasze, tak cienki i wiotki, że zastępuje równocześnie miejsce serwety. Zbłąkany cudzoziemiec doznaje tutaj szczególnych względów, bo siada na ławce i gdy zechce, może używać noża i widelca. Kuchnie te są nadzwyczaj tanie, i bywają często odwiedzane przez żołnierzy rosyjskich, a gdy pan major albo pułkownik zmuszonym jest płacić w europejskiej dzielnicy za obiad dwa albo trzy ruble, to niezamożny podoficer dostaje tutaj za siedm kopijek cztery potrawy i dzbanuszek wina krajowego i powraca do domu z nie mniejszem od swego przełożonego zadowoleniem.

Do najwięcej zajmujących szczegółów na starem mieście należy tutejsza łaźnia i skład towarów karawanowych, nazwany karawanserajem. Tyflis słynie od niepamiętnych czasów na całym wschodzie z powodu swych gorących źródeł siarczanych. Biją one z ziemi w samym środku tutejszej dzielnicy, a obecnie są ujęte w rury i nakryte odpowiednim budynkiem. Główna część jego składa się z obszernej izby murowanej; z pięciu czy sześciu rur umieszczonych w ścianach wydobywa się woda i spada w kamienne wanny zanurzone w podłodze. Jest ona tak gorącą, że tylko za dodaniem wody rzecznej może być użytą do kąpieli, ale w tym stanie korzystają z niej tylko chorzy. Oryentalista w inny sposób pojmuje przyjemność kąpieli; zaledwie spragniony wodnego żywiołu wędrowiec wejdzie do izby kąpielowej, staje na usługi jego dwóch albo trzech Tatarów na wpoł nagich, kładą go na drewnianej niziutkiej ławce, zlewają sowicie gorącą wodą, i myją za pomocą mydła. Potem przychodzi właściwy oprawca i rozciera muskularną dłonią, na pozór powoli i łagodnie, ale dotkliwie, każdą część ciała, wygina i zrywa silnie ręce, nogi, kark, zawija całe ciało w bawełniane powojniki i powtarza jeszcze raz operacyę nacierania, szarpie i przewraca swoją ofiarą tak gwałtownie, że ta zazwyczaj wysokie swoje zadowolenie bolesnym jękiem objawia. Nacieranie ciała, wyginanie i łamanie członków trwa niekiedy do dwóch godzin, a zazwyczaj tak długo, dopóki znękany organizm nie zapragnie spoczynku; wówczas zawijają nieszczęsną ofiarę w wojłoki i wynoszą do sąsiedniej, chłodniejszej izby gdzie zapada w głęboki, kilkogodzinny sen. Cała ta operacya odbywa się w tak barbaryński sposób, że zdarzały się liczne przypadki skaleczeń, jak np. złamanie żebra, albo nadwerężenie mięśniów stawowych. Z tem wszystkiem jest pomiędzy cudzodzoziemcami osiadłymi w Tyflisie wielu takich, którzy ten rodzaj kąpieli zaliczają do największych przyjemności w życiu; twierdzą oni, że skutek kąpieli objawia się w kilka dni potem niezwykłą świeżością i lekkością całego organizmu, i wraca nawet nadwątlonemu organizmowi siłę młodzieńczą.

W niedalekiem sąsiedztwie tych łaźni znajduje się słynny tyfliski karawanseraj. Nazwa ta oznacza właściwie dom przeznaczony na przytułek dla podróżnych, a domy takie, stawiane przez rząd istnieją na całym wschodzie, a przedewszystkiem w Persyi i Armenii, gdzie podróżni są zmuszeni przebywać obszary bezludne i bywają narażeni na rozliczne niebezpieczeństwa ze strony klimatu ludzi i zwierząt. Tyfliski karawanseraj jest właściwie wielkim magazynem, służącym do przechowania towarów przywożonych przez karawany z Persyi i przedstawia labirynt piwnic i sklepów, ustawionych w szeregi porozdzielane chodnikami, a cała ta robota kryje się pod powierzchnią ziemi. Tylko główna nawa jest szeroka na kilkanaście stóp, nisko sklepiona, równa i przez światło górne licho oświetlona. Od tej nawy rozchodzi się w różnych kierunkach kilkadziesiąt ciemnych korytarzy, które biegną pod ziemią w nieregularnym kierunku, łączą się ze sobą

i przedstawiają chaos, w którym zoryentowanie się dla świeżo przybywającego jest niemożebnem. Oprócz dwóch głównych wejść, prowadzących do głównej nawy, jest tutaj kilka innych otworów, za pomocą których można się wydobyć i z pobocznych korytarzy na powierzchnię ziemi. Podziemia te mają jednę wielką zaletę, że promienie słoneczne nie dochodzą do nich zupełnie, wskutek czego i ciepłota jest w nich zimą i latem jednostajna, a w czasie skwarów letnich chłodna i przyjemna; ale wieczne błoto pokrywające chodniki, wilgoć ściekająca po ścianach, zapach stęchlizny i brak światła dziennego czynią dla cudzoziemca pobyt w tych podziemiach nieznośnym. Pomimo to kupcy nietylko przechowują tutaj swoje towary, ale używają także tych jaskiń na mieszkanie, ustawiają w korytarzach swoje stragany, wystawiają przy blasku nędznej łojówki swoje towary na sprzedaż i zachęcają przechodniów do ich kupowania.

Chociaż kupiectwo jest głównem zatrudnieniem tutejszej persko - tatarskiej ludności, to nie braknie śladów swojskiego przemysłu, bo na starem mieście znajdują się fabryki dywanów, materyj bawełnianych i jedwabnych, broni i ozdobnych przedmiotów metalowych, znanych w Europie pod nazwą wyrobów kaukazkich. Wyroby tutejsze rozchodzą się rzeczywiście na wszystkie strony, ale najwięcej jest ożywiony handel z Persyą. Karawany liczące po dwieście wielbłądów opuszczają Tyflis w porze wiosennej bez przerwy, a niektóre z nich docierają do samego Teheranu, zkąd powracają obładowane towarami perskiemi. Oryginalnym jest widok takiej powracającej do kraju karawany; trudy i niewygody podróży dają się zarówno we znaki ludziom jak i zwierzętom, a dzikie ogorzałe twarze jeźdźców i ich strój obszarpany harmonizują dziwnie z wychudłemi ciałami wielbłądów. Obraz tyfliskiego dworca kolei żelaznej maluje się w ciągu całej podróży bezustannie w umysłach jednych i drugich, bo zapowiada koniec trudów i mozołów, a widok jego bywa przez wielbłądy i jeźdźców dzikim okrzykiem radości witany. Gdy karawana stanie przed dworcem, wielbłądy rzucają się same na kolana, ażeby ułatwić jeźdźcom zdjęcie towarów, a gdy tylko poczują swe garby uwolnione od nieznośnego ciężaru, głoszą brzydkim i chrapliwym rykiem swą radość i dobrze znaną ścieżką puszczają się same ku rzece, ażeby zwilżyć swe podniebienia i odświeżyć kąpielą znękane ciała. Idą za przykładem zwierząt i ludzie i udają się do łaźni na starem mieście, gdzie muskularna ręka Tatarzyna przywraca nadwątloną równowagę ich organizmowi.

Zdaje się, że potężny rozwój stosunków handlowych przyczynił się do upadku rolnictwa w okolicach Tyflisu, bo łatwiej jest kupić kawałek chleba za zyskane na handlu pieniądze, aniżeli siać go i czekać, aż dojrzeje, a to tem więcej, że stepowy klimat tej części Kaukazu stawia rolnikowi daleko większe trudności, niż na północy, trudności takie, które tylko połączonemi siłami mogą być zwalczone. Przyjrzyjmy się z bliska tutejszym warunkom klimatycznym. Ciepłota jest w zimie bardzo łagodną; większa ilość całorocznego opadu jest przywiązana do tej pory, a deszcze zwilżają w niej ziemię dość obficie. Pada czasami i śnieg, lecz niknie zazwyczaj po kilku godzinach. Ale na wyżynach sąsiedniej Armenii, chociaż znacznie dalej ku południowi wysuniętych, gleba pokrywa się corocznie skorupą śniegu grubą na dwie do trzech stóp, która ginie dopiero w miesiącu maju i pochłania znaczną ilość ciepła, wskutek czego wiosna na całym obszarze Gruzyi jest chłodna, wietrzna i bardzo nieprzyjemna. W pierwszych dniach miesiąca lipca 1873 r. było w Tyflisie tak zimno, że bez paletota trudno było wyjrzeć na ulicę. Ten stan powietrza trwa w zasadzie do połowy miesiąca czerwca, a przejście do lata jest nagłe, bo w ciągu kilku dni chłód wiosenny zamienia się w skwar letni, trwający zazwyczaj do końca miesiąca września. Upały pod koniec lipca są tak

silne, że sprowadzają często przypadki zapalenia mózgu, albo udaru. Lato jest tutaj zupełnie suche; jasne, stepowe niebo przyświeca przez całe lato okolicy, a deszcz jest o tej porze zjawiskim niezwykłem i wyjątkowem; zdarza się i tutaj niekiedy, że po kilku nadzwyczaj gorących dniach ukażą się około południa na niebie obłoki i wytworzą ciemne masy chmur, które pędzone szalonym wichrem przesuwają się z niezwykłą szybkością ponad okolicą i straszą grzmotami i piorunami, ale cały opad wodny ogranicza się do kilku grubych bryłek gradu, a te suche nawalnice nie tylko nie odświeżają roślinności, ale szkodzą jej widocznie, bo obsypują ją tumanami pyłu, który osiada na liściach i gałązkach w postaci grubych pokładów. Jesień jest pogodna i bardzo przyjemna, ale opad wody również ograniczony.

Jasną jest rzeczą, że wobec takich stosunków ilość opadu wodnego nie wystarcza tutaj do wyżywienia roślin, a uprawa ziemi udaje się tylko tam, gdzie nawodnianie jej za pomocą wody sprowadzanej z rzek, albo z górskich potoków jest możebnem. System irrygacyjny jest wynalazkim dalekiej przeszłości, bo napotykamy go u najstarożytniejszych narodów, jak u Egipcyan, Indyan i Chińczyków, a liczne zabytki opuszczonych i zniszczonych wodociągów, stawianych z niezwykłym trudem i olbrzymim nakładem przekonują nas wymownie, że i na Kaukazie nawadnianie gleby wypada odnieść do bardzo odległej, zamierzchłej przeszłości. Niektórzy badacze przypuszczają, że upadek rolnictwa na wschodzie został spowodowany zmianą klimatu, jaka zaszła w tych stronach wskutek wytępienia lasów, ale przypuszczeniu temu sprzeciwia się stanowczo charakter tutejszej roślinności, przemawiający za tem, że stepy były zawsze stepami, a wytępienie maleńkich obszarków leśnych przywiązanych do szczelin i cienistych zakątków górskich nie mogło wywrzeć szkodliwego wpływu na całą okolicę.

Nawodnianie w Tyflisie odbywa się za pomocą wody czerpanej z rzeki i z potoku górskiego, płynącego od wioski Kadżory, odległej o kilka wiorst, leżącej o dwa tysiące stóp wyżej od miasta. Woda z rzeki może być użytą tylko dla miejscowości na lewym jej brzegu położonych, ponieważ ten jest zaledwie na kilka stóp nad jej poziom wzniesiony, a korzysta z niej wyłącznie prawie kolonia niemiecka. Całe miasto europejskie otrzymuje wodę z gór za pomocą wodociągu; rury podziemne rozprowadzają wodę po mieście, a każdy właściciel domu lub ogrodu zapowiada z góry, ile razy w tygodniu i na jaki przeciąg czasu chce korzystać z przypływu wody, a obliczenie należytości odbywa się na podstawie takiej deklaracyi. Jasną jest rzeczą, że w ten sposób administracya i dozór wodociągów są bardzo utrudnione i zwiększają wydatki, ale większe jeszcze przeszkody spoczywają w spadzistości terrenu, bo gdy główny kanał zostanie przerwanym, albo zanieczyszczonym, co się często zdarza po deszczach nawalnych, to i przypływ wody do głównej dzielnicy miasta zostaje odciętym, a wówczas nietylko plony ogrodów są zagrożone, ale brakuje po prostu wody do picia. Zaradza temu jedynie woda czerpana z rzeki, a dostawa jej reprezentuje tutaj pewien rodzaj rzemiosła, utrzymującego się od wielu lat w kilku rodzinach perskich i przechodzącego z ojca na syna. Rozwożą wodę na grzbietach końskich w skórzanych workach, nazywanych burdjukami, przedstawiających zazwyczaj udo konia lub bawołu, a niekiedy całą połowę zwierzęcia. Gdy pożar wybuchnie, wszyscy burdjuczni są obowiązani stawić się w odpowiedniem miejscu i dostarczać wody z rzeki. Nic dziwnego, że w tym stanie rzeczy gaszenie ognia jest bardzo trudnem zadaniem, a pożary w Tyflisie corocznie wielkie sprawiają szkody. W ostatnich czasach zawiązało się tamże towarzystwo akcyjne, które zamierza czerpać wodę z rzeki za pomocą maszyn parowych i zaopatrywać w nią całe miasto.

Ziemia tutejsza jest nadzwyczaj urodzajną, a każdy najmniejszy jej kawałek bywa wyzyskiwanym, jeżeli tylko nawodnienie jego jest możebnem. Uprawa ogranicza się wyłącznie do roślin pożywnych a o paszę jest nadzwyczaj trudno, w skutek czego hodowla bydła nie ma warunków bytu. Wygórowane ceny nabiału nie mogą zadziwiać, jeżeli zważymy, że karma musi być sprowadzaną z wielkiej odległości. Tatarzy mieszkający w mieście sprowadzają trawę z gór okolicznych na grzbietach osiołków, należących do drobnej, ale nadzwyczaj kształtnej, silnej i wytrzymałej rasy; osiołek obciążony trawą przedstawia niesłychanie zabawny widok, bo całe jego ciało niknie w pośród niemiłego dla niego pakunku, a środkiem ulicy postępuje tylko wielki stog siana, poruszany na pozór niewidzialną siłą.

W ogrodach tyfliskich hodują tylko owoce i jarzyny, zboża dostarcza Mingrelia, Imeretia i doliny gór sąsiednich. Im bardziej przechodzimy w krainę stepową, tem niekorzystniej przedstawiają się warunki potrzebne dla uprawy roślin zbożowych, ale okolica pagórkowata, u stóp gór położona, nadaje się znakomicie do uprawy wina, które przedstawia tutaj najkorzystniejszą gałęź rolnictwa. Wobec wątpliwości co do pochodzenia wielu roślin uprawianych przez ludzi, uważam za rzecz pewną, że właściwą ojczyzną winorośli jest Kaukaz i że hodowla tej rośliny ztąd na całą ziemię się rozeszła. Pagórkowate okolice Imeretyi i Gruzyi są jedyną miejscowością na ziemi, gdzie winorośl rośnie zupełnie dziko, w formie pierwotnej, niezmienionej przez kulturę; jagody jej są w tym stanie czerwone, nie dochodzą rozmiarów grochu i mają smak kwaśny, ale występują tak obficie, że bywają przez ludność miejscową w wielkiej ilości zbierane i opłacają dość dobrze trud podjęty. Ta pierwotna winorośl różni się postacią liści nietylko od wszystkich odmian hodowanych po ogrodach, lecz także od winorośli rosnącej dziko nad morzem Śródziemnem, np. w Grecyi, co mnie przekonuje, że ta ostatnia nie może być za pierwotną formę uważaną, lecz jest poprostu zbiegiem z ogrodów.

Najlepsze wina kaukazkie pochodzą z prowincyi nazwanej Kachetją (na wschód od Tyflisu), i noszą nazwę win kachetyjskich. Jagody dostarczające ich mają barwę blado czerwoną i są nadzwyczaj słodkie. Wina kachetyjskie odznaczają się właściwym, bardzo przyjemnym zapachem, ale są zbyt cierpkie, co rzeczywistą ich wartość w oczach cudzoziemca znacznie obniża. Europejczycy tutaj zamieszkali oswajają się z tą ich wadą i cenią je bardzo wysoko. Zdaje się, że ta gorycz jest sztucznie wywołaną; wina tutejsze są, jak wszystkie gorące, nietrwałe; ażeby zapobiedz ich psuciu się, rozcierają właściciele winnic znaczną ilość ziarn i płyn w ten sposób otrzymany, mięszają z winem. Do przechowania wina w większej ilości używają na Kaukazie naczyń glinianych, silnie w ogniu wypalanych; kufa taka, obejmująca zazwyczaj dwa do trzech tysięcy butelek, ma postać kulistą z wąskim otworem u wierzchu, a ściany jej są grube na pięć do dziesięciu cali. Gdy pierwsza fermentacya wina zostanie ukończoną, zlewają płyn do takich kuf, a zalepiwszy otwór gliną, zakopują je w ziemię, gdzie czasami przez kilkanaście lat pozostają. Majętniejsi właściciele winnic odkopują kufy przy ważniejszych uroczystościach familijnych i otwierają je własnoręcznie, a zgromadzeni goście i przyjaciele zachwycają się aromatem i czerpią drogocenny napój prosto ze źródła. Jeden z moich przyjaciół, który był po dwakroć uczestnikiem takiej uroczystości, upewniał mię, że wino czerpane z kufy świeżo otworzonej, różni się zupełnie smakiem i zapachem od tych, jakie pijaliśmy w Tyflisie. Nie sądzę, aby w tem twierdzeniu była jakakolwiek przesada. Jedynemi naczyniami, służącemi do przewożenia wina w kraju, są burdjuki ze skór bydlęcych, najczęściej końskich i bawolich, ale mniejsze worki robią ze skór kozich i owczych. Zdejmują w tym celu z wielką ostrożnością skórę zcałego bydlęcia, odcinają głowę i nogi, czyszczą

włosy za pomocą nafty, wywracają je na wewnątrz i zaszywają starannie wszystkie otwory z wyjątkiem jednego, który zawiązują. Burdjuki takie są bardzo mocne i trwałe, ale nie chronią bynajmniej wina przed szkodliwym wpływem powietrza, jakoż pozostawione przez dłuższy przeciąg czasu w tym stanie, traci ono swoje szlachetne przymioty. Wyznaję otwarcie, że niemiłego doznałem wrażenia, gdym po raz pierwszy ujrzał burdjuk bawoli i gdy mi powiedziano, że to rozsadzone i napęczniałe bydlę, pozbawione głowy, nóg i ogona, jest wypełnione najszlachetniejszym na ziemi napojem, a widok nieszczęśliwej ofiary stawał mi zawsze przed oczyma, ile razy w Tyflisie wino na stół podawano. Po handlach i restauracyach podają go zazwyczaj w perskich dzbankach glinianych o długiej wązkiej szyjce; ale kozi lub barani burdiuczek spoczywa w sali jadalnej na ziemi, a gospodarz odwiązuje zazwyczaj w obecności gości kiszkę utworzoną z nogi nieszczęśliwego zwierzątka i spuszcza powoli płyn do dzbanka, co nie zawsze i nie dla każdego jest zachęcającem do używania szlachetnego napoju.

Pierwsza moja wizyta w Tyflisie należała się p. Józefowi Chodźce, do którego miałem listy rekomendacyjne od dawniejszych jego towarzyszów broni, przebywających w Odessie. Jenerał Chodźko jest niezaprzeczenie jedną z najwybitniejszych postaci spółczesnych na Kaukazie, a jako uczony jest znany w Europie, bo paryska Akademia Nauk zamianowała go, w uznaniu zasług złożonych na polu geografii, swym członkiem-korespondentem. Pełnił on przez długie lata obowiązki naczelnika sztabu głównego w Tyflisie, jako taki rozpoczął i przeprowadził tryangulacyę całego Kaukazu, a w r. 1873 był już na pensyi. Generał Chodźko przyjął mię z niezwykłą uprzejmością, zajął się bardzo gorliwie moją podróżą i dołożył wszelkich starań, ażeby usunąć trudności, które nieobznajmionemu ze stosunkami miejscowemi cudzoziemcowi na każdym nasuwają się kroku. W czasie pobytu mojego na Kaukazie, liczył już przezacny Nestor polskich geografów siedemdziesiąty trzeci rok życia swojego, ale pomimo długoletniej i żmudnej służby wojskowej, cieszył się znakomitą pamięcią, wrażliwym i czynnym umysłem i wesołem usposobieniem, wskutek czego obcowanie z nim niezwykle wiele sprawiało mi przyjemności. Znał on doskonale cały Kaukaz od Poti aż do Baku i od stepów kabardyjskich, aż po granice Persyi i każde słowo jego miało dla mnie nieocenioną wartość. Przyznaję się otwarcie, że skromny plan mojej podróży nie zyskał sobie uznania przezacnego generała, namawiał on mnie usilnie do zwiedzenia południowych stron Kaukazu, i wypracował nawet w ciągu jednej nocy szczegółowy plan podróży, który dla mnie był niesłychanie zachęcającym, ale z powodu braku odpowiednich funduszów okazał się niewykonalnym.

W towarzystwie mojego sędziwego przyjaciela przyjrzałem się z bliska pracom tutejszego sztabu głównego i wyznaję otwarcie, że rozmiary tych prac i ogrom materyałów zebranych dla geografii Kaukazu, Turcyi azyatyckiej, Persyi i centralnej Azyi, przewyższył moje oczekiwania i obudził pewien niesmak, gdy zważyłem, jak mało korzyści odnosi z tych prac zachodnia Europa. Naczelnikiem sztabu głównego był wówczas pułkownik Stebnicki (zamianowany po wzięciu Karsu, w którem uczestniczył, generałem). Brał on czynny udział w wyprawie na Chiwę, gdyż wyznaczał drogę, którą udał się później gen. Kaufmann, a spostrzeżenia swoje ogłosił w rocznikach kaukazkiego Towarzystwa geograficznego. Nie jest to jedyna praca naukowa p. Stebnickiego. Dla mojej podróży okazał on również wielkie zajęcie, a oprócz wielu trafnych uwag, zawdzięczam mu bogatą seryę map tutejszej krainy, które w następstwie znakomite świadczyły mi usługi. Najwięcej zajęcia obudził we mnie Kaukaz, przedstawiony w płaskorzeźbie (bas-relief); praca ta była zresztą wystawiona, jeżeli mię pamięć nie zawodzi, na wystawie paryskiej

r. 1868, gdzie należne zyskała sobie uznanie. Nie mniej zajmującą znalazłem piękną płaskorzeźbę góry Gunib-dagh w Dagestanie, na której został rozegranym ostatni akt dwudziestopięcio-letniej wojny, nazwanej świętą, a która skończyła się wzięciem w niewolę Szamila. Gunib-dagh przypomina swą postacią na pierwszy rzut oka nasz Murań w Tatrach i jest ze wszech stron tak stromo ociosanym, że przystęp do jego wierzchołka jest tylko z jednej strony możebnym. Rozmiary tego wierzchołka są bardzo znaczne, a postać góry budzi mimowoli w pamięci wspomnienie płaskowierchów południowej Afryki. Fanatyczny dowódzca ludów dagestańskich, party ze wszech stron, schronił się z resztką swych wojowników na wierzchołek góry, gdzie zaopatrzony w znaczną liczbę bydła, wytrzymywał ku wielkiemu podziwowi całej Europy kilkunasto-miesięczne oblężenie. Jeden z rodaków, który brał udział w tej wyprawie, upewniał mię, że zdobycie góry udało się jedynie podstępem. Wojownicy zamknięci na górze, wystrzelawszy ostatnie naboje, byli zmuszeni walczyć kamieniami; gromadzili oni bezustannie stosy takich pocisków ponad wązkim jarem, prowadzącym na wierzch góry, a zrzucając odłamy skał razili szarżujące wojska tak gwałtownie, że wszystkie ataki okazały się bezskutecznemi. Oblegający uciekli się do podstępu. Rozpocząwszy pod wieczór fałszywy atak, podtrzymywali go przez noc całą, wskutek czego cały zasób nagromadzonych przez Czerkiesów kamieni został zużyty i prawdziwy szturm, przypuszczony nad ranem, pomyślnym został uwieńczony skutkiem. Wyjaśniła się równocześnie i zagadka tak długiego oporu, bo pokazało się, że Czerkiesi zabrali ze sobą znaczną ilość bydła rogatega, które dostarczało im potrzebnego pożywienia, a wierzchołek góry obfitował nadto w wyborną paszę i świeżą wodę. Gunib-dagh został wzięty szturmem dnia 25 sierpnia 1859 roku, a zaszczyt dokonania tego dzieła przypadł w udziale księciu Barjatyńskiemu, który jako wysoki urzędnik, wojownik i towarzysz, najlepsze na Kaukazie pozostawił po sobie wspomnienie.

Z innych Polaków, którzy jako ludzie naukowi pierwszorzędne wówczas w tych stronach zajmowali stanowiska, wymienię tylko profesora Zagórskiego, znakomitego lingwistę i badacza języków krajowych i dr. Telafusa, który z polecenia namiestnika odbył podróż po Persyi w celu zbadania początku i przyrody dżumy [1]).

Dużo potrzebowałbym miejsca, ażeby wypisać nazwiska wszystkich tych, z którymi zeszedłem się w ciągu mojego pobytu w Tyflisie i w dalszej podróży. Pobyt mój w tem mieście był bardzo przyjemnym, bo po kilku dniach doznawałem takiego wrażenia, jak gdybym znajdował się w domu, wśród grona dobrych znajomych i serdecznych przyjaciół. Polacy przebywający w Tyflisie przechowują, pomimo wieloletniego oddalenia od ojczyzny, wszystkie zalety narodowe i odznaczają się zarówno inteligencyą, jako też i charakterem. Zdaje się, że łączność towarzyska przyczynia się nie mało do przechowania tych zalet. Ażeby nie być posądzonym o stronniczość, muszę wyznać, że w ciągu dalszej podróży napotykałem i pomiędzy rodakami objawy tych srogich zboczeń umysłowych, jakim ulegają zazwyczaj członkowie ucywilizowanego społeczeństwa, gdy się znajdą w odosobnieniu, zdala od miejsc rodzinnych, otoczeni zewsząd wrogiemi żywiołami. Gdym uwagi moje nad tym przedmiotem objawił jednemu z najpoważniejszych

---

[1]) Dr. Telafus dotarł w ciągu swej podróży do wioski, z której rozeszła się po raz ostatni ta zgubna epidemia i zrobił to dziwne spostrzeżenie, że zapadli na nią i pomarli najprzód robotnicy, którzy przy kopaniu studni, czy też piwnicy, natrafili na cmentarz zadżumionych i rozkopali przez nieświadomość kilka grobów.

przyjaciół w Tyflisie, odpowiedział mi na nie słowy generała Jermołowa: „Kaukaz jest takim krajem, że jeżeli ktoś po pięcioletnim w nim pobycie nie zostanie złodziejem, nie zwarjuje, albo nie połączy swych losów z ofiarą prostytucyi, to tem samem zdobył sobie już prawo do pamięci u potomnych".

III.

Wycieczka w góry Osetyi.

Właściwym celem mojej podróży było zwiedzenie głównego pasma gór kaukazkich, i przyjrzenie się z bliska roślinności jednego z tych olbrzymich szczytów, sięgających w krainę wiecznych śniegów, i dlatego nie tracąc czasu, pożegnałem mych przyjaciół w Tyflisie i w dalszą puściłem się drogę, z zamiarem poświęcenia za powrotem kilku tygodni czasu dla zwiedzenia Kachetyi, co rzeczywiście później uskuteczniłem. Podróż po Kaukazie jest obecnie w ogóle bardzo ułatwioną, bo wszystkie ważniejsze miejscowości tego kraju są ze sobą połączone za pomocą sieci linij pocztowych. Chociaż jazda na perekładnej jest nadzwyczaj niewygodną i nużącą, to ma tę zaletę, że podróż odbywa się szybko i niewiele kosztuje. Tyflis jest nadto połączony z Władykaukazem, leżącym na północnych stokach gór, drogą murowaną pierwszorzędnej wartości, która przecina główne pasmo w prostym kierunku i przyczyniła się niemało do uspokojenia dzikich górali, a tem samem do zabezpieczenia podróżnego przed grożącem mu ze strony krajowców niebezpieczeństwem. Pojedyńcze stacye są na tej drodze co najmniej na czternaście wiorst odległe, a domki na stacyach nieźle urządzone, dostarczają podróżnemu dość dobrego schronienia na noc, a w razie potrzeby i kilkudniowego przytułku.

Droga ku górom prowadzi z Tyflisu w północnym kierunku, i mija w odległości jednej mili miasteczko Mcchet, którego początek sięga epoki przedchrześcijańskiej, bo do połowy piątego stulecia było stolicą książąt gruzyjskich, którą ztąd przeniesiono do Tyflisu. Mcchet ma charakter czysto azyatycki i składa się z kilku wązkich uliczek i małych kamiennych domków o krytych dachach; znajdują się tutaj resztki jednego z najstarszych soborów chrześciańskich, zbudowanego podobno w czwartem stuleciu przez króla Maryana. W niedostępnych skalistych ścianach gór, zasłaniających miasteczko od zachodu, widać w wysokości kilkudziesięciu sążni nad ziemią liczne otwory, prowadzące do kryjówek, które w odległej starożytności służyły ludziom za mieszkanie, a przy zagłębieniu gleby na drogę rozkopano w środku miasta stare cmentarzysko przedchrześciańskie, którego groby są wyłożone nadzwyczaj starannie jednolitemi płytami piaskowca; wiele naczyń glinianych, nieco starożytnej broni i innych przedmiotów służących do ozdoby, wydobytych z tych grobów, znajduje się w muzeum tyfliskiem, a kości przedhistorycznych bohaterów leżą rozrzucone około drogi. Nie znalazłem pomiędzy niemi ani jednej czaszki, któraby była godną przechowania.

Mcchet leży przy ujściu rzeczki Aragwy do Kury. Źródła Aragwy znajdują się na głównym grzbiecie gór kaukazkich, a dolina jej prosta, o spadku łogodnym i jednostajnym, dostarczyła znakomitego terrenu dla głównogo traktu krajowego. Po za Mcchetem góry znacznie się obniżają i przechodzą dość nagle w krainę otwartą, pagórkowatą, przypierającą bezpośrednio do podnóża głównego pasma. Zmiana w roślinności jest tutaj widoczną, bo ukazują się nagle drobniejsze zaro-

sty dębowe i grabowe, a ze wszystkich roślin stepowych, w jakie obfitują góry tyfliskie, pozostał tylko kolczaty krzew t. z. *Paliurus aculeatus*, który rzuca się na pola uprawne i jest bardzo trudnym do wytępienia. Widać tutaj ogólny ubytek gatunków zielnych, i przewagę form europejskich; po brzegach Aragwy rosną obficie drobniejsze wierzby, te same, które pokrywają dorzecza Wisły i Dniestru, ale gałęzie ich są tutaj poplątane nieprzebytym gąszczem jeżyn, dzikiego wina i powojnika *(Clematis Vitalba)*, co udziela tym zarostom charakteru egzotycznego. Gleba tutejsza nadaje się bardzo dobrze do uprawy roślin zbożowych, i uprawa jej jest wszędzie bardzo staranna. Średnie wzniesienie tej okolicy pagórkowatej nie przechodzi 2.000 stóp, bo główna osada, miasteczko Duszet, położone na wyniosłości, jest wzniesione na 2918 stóp nad poziom morza.

Stacya Ananur (2335 stóp) leży już na stoku głównego pasma i ztąd rozpoczyna się właściwa dolina Aragwy, wązka, zamknięta dwoma połogiemi, lesistemi bokami, o spadku dość łagodnym. Krajobraz nad Aragwą jest niesłychanie jednostajny i przypomina mimowoli formacye głębszych dolin w naszych Bieskidach. Boki gór są tutaj od podstawy aż do wierzchu pokryte ciemnym, posępnym, ale niezbyt bujnym lasem, w którym dęby i wiązy ustępują powoli miejsca bukom. Nagich skał nie widziałem tutaj nigdzie; na wierzchołkach kilku stromych pagórków wznoszą się starożytne wieże i baszty opuszczone przez ludzi. Osad jest tutaj bardzo mało, albo są niepozorne, zaledwie z kilku kamiennych domków złożone, a cała przestrzeń od Ananuru do Passanauru robi bardzo posępne wrażenie.

Stacya Passanaur (3621) leży w miejscu, gdzie dolina Aragwy ulega kotlinowatemu rozszerzeniu i zabiera inny potok, płynący z wązkiej, malowniczej doliny górskiej, od strony wschodniej. Jest to największa i najważniejsza osada na obszarze właściwych gór, a samo miasteczko złożone z domków po części drewnianych a po części murowanych, w stylu oryentalnym, otoczonych ogrodami, w których wszystkie nasze drzewa owocowe, a nawet i włoskie orzechy udają się doskonale, a rozrzucone nad rzeką wspaniałe okazy jesionów, budzą mimowolnie wspomnienie gór ojczystych. Widok od Passanauru ku górom jest bardzo zajmujący. Dolina Aragwy ulega za miastem nagłemu zwężeniu i zamienia się w wąwóz nazwany Gadamakarskoje Uszczele, oddzielający górny bieg tej rzeki od średniego; rozszerza on się nieco wyżej, ale przybiera zarazem charakter alpejskiej doliny, o bokach stromych, skalistych, porysowanych jarami i głębokiemi szczelinami, ogołoconych prawie zupełnie z drzew a pokrytych bujną roślinnością zieloną; zamykają tę dolinę od północy góry wysokie na siedm do ośmiu tysięcy stóp a nad niemi sterczy kilka wierzchołków wiecznemi pokrytych śniegami, co całej tej dolinie wiele dodaje uroku; spadek jej jest dość nagły, bo na obszarze dwudziestu wiorst dno jej podnosi się o 1300 stóp.

Następująca stacya Mlet (4,961) leży u podnóża gór zamykających od północy dolinę Aragwy, której źródła znajdują się o kilka wiorst wyżej i bywają zasilane przeważnie przez olbrzymie lodowce pokrywające góry sąiednie. Połączone źródła Aragwy spływają ku Mletowi wązkim, dzikim i nieprzystępnym alpejskim jarem. Mlet jest jedną z najstarszyeh osad górskich, złożoną z licznych domków kamiennych, zamieszkałych przez górali, ale wiele z nich stoi obecnie pustkowiem, ponieważ właściciele ich porzucili to ustronie po zabraniu kraju. Dla zebezpieczenia drogi od napaści plemion mieszkających w górach sąsiednich, założono w Mlecie silnie obwarowaną stacyę wojskową, a na niedostępnych wierzchołkach kilku okolicznych pagórków wznoszą się poczerniałe ruiny starożytnych zamków gruzyjskich.

Znajdujemy się tutaj u podnóża głównego grzbietu gór kaukazkich. Siodło, przez które prowadzi droga na północ i które rozdziela źródła Tereku od Kury, bywa tutaj nazywane krzyżową górą (krestowaja gora) i jest wzniesionem na 7979 stóp nad poziom morza. Przebycie głównego grzbietu było jeszcze przed niewielu laty połączone z nadzwyczajnemi trudnościami, i dawało się jedynie uskutecznić wierzchem albo piechotą; obecnie prowadzi na drugą stronę gór znakomicie założona i z nadzwyczajną starannością pielęgnowana droga murowana. W niewielkiej odległości za Mletem znajduje się przy drodze wspaniały wodotrysk, a wmurowana w tem miejscu w skałę tablica marmurowa zawiadamia, że ta droga została zbudowaną za namiestnictwa ks. Barjatyńskiego, a projekt na nią i przeprowadzenie budowy są dziełem pułkownika Statkowskiego. Budowa tej drogi miała więcej na oku cele militarne, aniżeli towarzyskie, bo dopiero po jej uskutecznieniu złożyły broń dzikie plemiona górskie i zaniechały dalszej walki, gdy ta wobec założonych wzdłuż drogi etapów wojskowych i łatwości komunikacyi, okazała się niemożebną. Cała droga, nazwana tutaj powszechnie wojenną gruzyjską drogą, jest rzeczywiście arcydziełem w swoim rodzaju; mógłbym ją porównać z zabytkami dróg budowanych niegdyś przez Rzymian, których liczne ślady przechowały się dotąd we Włoszech. Boki jej są po miejscach spadzistych i niebezpiecznych osłonione podmurowaniem; wszystkie źródła płynące ze stoków gór zostały ujęte w rury metalowe, a w kilku miejscach utworzono z nich nawet powabne wodotryski. Tylko brzegi głównych rzek zostały połączone trwałemi mostami, których liczba nie jest wielką; wszystkie potoki ściekające z jarów, tak stałe, jak i peryodyczne, spływają po drodze, której podłoga jest w takich miejscach zlekka zagiętą i wybrukowaną kostkami z granitu. Ponieważ dno takich potoków jest zrównane z drogą do jednakowego poziomu i ustalone do znacznej nieraz wysokości, przeto uszkodzenie jej przez wodę jest niemożebnem, a oczyszczenie z mułu i kamieni, naniesionych w czasie ulewnych deszczy, jest rzeczą jednej godziny. Wskutek tego i koszta utrzymania tejże drogi w porządku są daleko mniejsze, bo dowiedzioną jest rzeczą, że przy austryackim systemie budowania dróg, naprawa mostków i kanałów przepuszczających popod drogą wodę z górskich jarów i potoków, pochłania ogromne kapitały.

W wysokości dwóch tysięcy pięćset stóp nad Mletem znajduje się na uskoku góry, zamykającej dolinę od wschodu, mała wioska nazwana Gudaur a w niej stacya pocztowa. Gościniec spina się po tym boku prawie pionowo w górę i robi, jeśli dobrze policzyłem, czternaście skrętów od Mletu do Gudauru, a pomimo znacznej wysokości spadek drogi jest tak łagodnym, że konie idą w górę lekkim kłusem, prawie bez spoczynku. Boki góry są od spodu pokryte rzadkim zarostem leszczyny, który niknie w połowie drogi, ustępując miejsca jednej z najcharakterystyczniejszych krzewinek kaukazkich, jaką jest żółtokwiatowa azalea (*Azalea pontica)*; okazy jej nie przechodzą dwóch stóp wysokości i pokrywają się wczas na wiosnę licznemi bukietami wielkich pomarańczowych kwiatów. Listki ukazują się na wierzchołkach gałązek znacznie później, dopiero po odpadnięciu kwiatów; te ostatnie odznaczają się nieprzyjemnym zapachem, przypominającym woń, jaką wydają nasze węże. Miód gromadzący się w kwiatach ma własności jadowite i nie traci ich nawet wtenczas, gdy zostanie zebrany i przerobiony przez pszczoły, bo zdarzyły się liczne przypadki zatrucia takim miodem, a o jednym z nich wspomina nawet Xenofont w swym odwrocie dziesięciu tysięcy Greków z Małej Azyi. Krzewinka ta jest pospolitą w górach Kaukazu i Małej Azyi, gdzie ukazuje się na wysokości 5000 a ginie przy 7000 stóp wysokości, a rozsiedleniem swojem odpowiada dość dokładnie naszemu kosodrzewowi, który tutaj nie istnieje. Rozwój

jej opóźnia się znacznie na górnej granicy, bo gdy okazy, które widziałem nad Mletem, były już bez wyjątku w owocu, to w kilka dni potem znalazłem też samą roślinę na stokach Kazbeka w najpiękniejszym rozkwicie.

Wioska Gudaur składa się z kilkunastu chatek kamiennych, nazywanych w tej części kraju cachlami i jest już zajmowana przez Osetyńców. Stromy bok góry, po którym droga się spina, zasłania zupełnie widok, ale gdym stanął przed stacyą pocztową odsłonił się nagle przed memi oczyma najwspanialszy krajobraz alpejski, w postaci całej grupy olbrzymich wierzchołków, rażących wzrok swą śnieżną osłoną. Lodowa skorupa pokrywająca te szczyty, tworzyła jednę nieprzerwaną całość i zbiegała szerokiemi smugami w doliny, gdzie nikła pod zasłoną bliższych grzbietów skalistych. Nie było na tej wysokości ani jednego drzewka, ani jedneg, krzewu, ale cały uskok góry był pokryty najbujniejszą roślinnością alpejską i przedstawiał różnobarwną mieszaninę ziół wyniosłych, którą porównałbym tylko z łąkami halskiemi naszych Tatr. Ale rozmaitość form jest tutaj daleko większą, największa liczba roślin znajdowała się w tej chwili w pełnym rozkwicie. Wierzchołek góry, na której leży stacya pocztowa, sięga, jak sądzę, przynajmniej do 9000 stóp, a płaszczyzna, na której znajduje się wioska Gudaur jest zamkniętą od wschodu stromą ścianą zbiegającą od szczytu góry. Bujna roślinność otaczająca wioskę wdziera się dość wysoko na tę ścianę, ale na kilkaset stóp pod szczytem nikną wszystkie większe rośliny, ustępując miejsca jałowej darninie trawiastej, w pośród której prześwieca skalista gleba.

W pół godziny za stacyą droga mija właściwe siodło dzielące źródła Kury od źródeł Tereku; równocześnie otwiera się i widok na dolinę Tereku, uwydatniający różnicę pomiędzy północną a południową częścią gór. Spadek dolin północnych jest daleko naglejszy, aniżeli południowych, ich boki wyższe i stromsze, głębokie jary i mniejsze dolinki zbiegają ku rzece tak z jednej jak i zdrugiej strony, a wielka obfitość skał i ich śmiałe zakroje udzielają dolinie Tereku uroku wysoko alpejskich krajobrazów. Nadzieja ujrzenia tegoż samego dnia lodowców Kazbeka zawiodła mnie, ponieważ niebo zaciągło się od południa chmurami, a wierzchołki gór były niewidzialue. Zmieniwszy konie na stacyi Kobi, położonej u podnóża głównego grzbietu gór, dociągnąłem o zmroku do miasteczka Kazbek, i znalazłem się wkrótce w wygodnej i schludnej izdebce stacyi pocztowej, gdzie mogłem wytchnąć po trudach trzechdniowej podróży. Dowiedziałem się równocześnie, że pułkownik Statkowski, który bawił w tych stronach zajęty pracami inżynierskiemi i do którego miałem listy polecające, wyjechał przed kilku dniami do Władykaukazu i że powrót jego jest co chwila spodziewany.

Spałem tej nocy dobrze, jak zwykle po każdem większem znużeniu, a przebudziwszy się poznałem pomimo zasłonionych okien, że już dnieje. Gdym podniósł zasłonę, ażeby przyjrzeć się okolicy, wzrok mój został olśniony widokiem, który przewyższył wszystkie moje oczekiwania. Napróżno siliłbym się opisać słowami to, co ujrzałem, bo jestem bezwarunkowo przekonany, że słowa mogą dać tylko słabe wyobrażenie o przedmiocie, a najżywsza wyobraźnia nie zdoła odtworzyć rzeczywistości. Był to jeden z najjaskrawszych krajobrazów, jakie widziałem w życiu mojem, chociaż zwiedziłem dwie półkule ziemi. Stacya pocztowa znajduje się przy ujściu alpejskiej doliny, zamkniętej z obu stron niebotycznemi górami, po nad któremi sterczy zlodowaciały szczyt dumnego Kazbeka, w postaci olbrzymiej głowy cukru z wierzchołkiem zlekka zaokrąglonym. Góry najbliższe, wznoszące się bezpośrednio ponad mętne wody Tereku, odznaczają się łagodniejszemi zakrojami i żywą zielonością najbujniejszych łąk halskich, poprzerywaną gdzieniegdzie skalistemi żebrami i uskokami jaśniejszej barwy; po nad tem zielonem

przedgórzem sterczą dziko poszarpane grzebienie czarnych, nagich skał a nad niemi prześwieca wązką smugą śnieżna płaszczyzna, na której spoczywa niebotyczny wierzchołek Kazbeka. Była zaledwie czwarta godzina rano. Dolina Tereku była zasłana lekką mgłą, wywołującą złudzenie wielkiego jeziora alpejskiego, a w spodnich obszarach panował silny zmrok, który pozwalał co prawda, rozróżnić dość dokładnie najbliższe przedmioty, ale w głębszych jarach i kotlinach sprawiał wrażenie ciemnej nocy. Zlodowaciały szczyt Kazbeka był z jednej strony oblany purpurowem światłem pierwszych promieni wschodzącego słońca i odbijał małą cząstkę jego na dolinę, co najbliższym górom udzielało lekkiego różowego kolorytu; ale światło to dochodziło tylko do zielonych pagórków, nie dotykając skalistych grzbietów drugiego szeregu gór, których fantastyczne kształty rysowały się ostro na śnieżnej płaszczyznie, a cały ten chaos dzikich skał i lodowców miał za tło najczystszy błękit nieba, niezamącony ani jedną chmurką. Wrażenie jakie ten widok sprawił na moim umyśle, było tak silnem i przygniatającem, że wprawiło mię mimowoli w chwilową zadumę. Otwarłem drzwi balkonu przylegającego do mojego pokoju i przesiedziałem całą godzinę na kamiennej ławeczce, nie czując zupełnie zimna, które musiało być dotkliwem, bo gleba była w dolinie szronem pokryta. Mieszkańcy wiosek sąsiednich byli jeszcze w śnie pogrążeni, a głębokie milczenie jakie panowało w całej dolinie nadawało temu krajobrazowi coś wzniosłego i poważnego. Słońce zakryte przed oczyma mojemi podnosiło się szybko i oświecało stopniowo wierzchołki innych gór, a promienie jego odbite od śnieżnych płaszczyzn rozpraszały powoli mgłę zalegającą dolinę i rozjaśniały wnętrza głębokich jarów i zakątków górskich. Zmienił się za chwilę koloryt krajobrazu, ale nie stracił on wskutek tego swojej wielkości i uroku. Przyznaję się otwarcie, że mimowolny uśmiech wykrzywił mi usta, gdym wobec tego ogromu wspomniał sobie o górach ojczystej ziemi, a te Tatry, które były przedmiotem mych marzeń w młodości, wydały mi się jak nadęty karzeł wobec dumnego olbrzyma.

Wierzchołek Kazbeka wznosi się na 16,650 stóp nad powierzchnię morza, a zatem jest o dwa tysiące przeszło stóp wyższym, aniżeli Montblanc w Szwajcaryi, a dwa razy tak wysokim jak najwyższa góra w Tatrach. Poziom doliny w miejscu, gdzie się znajduje stacya pocztowa, został obliczonym na 5740 stóp i gdybyśmy całą naszą Łomnicę obciosaną aż do poziomu morza postawili na tym punkcie, toby jeszcze nie dorównała dumnemu władcy gór kaukazkich.

Dolina Tereku jest daleko lepiej zaludnioną, aniżeli dolina Aragwy. Dno jej rozszerza się w wielu miejscach, a gleba nadaje się dość dobrze do uprawy; żyto, owies i jęczmień dojrzewają co prawda późno, ale rodzą obficie, umożebniając w ten sposób istnienie licznym rodzinom osetyńskim. Widać wszędzie przy drodze obszary ziemi uprawnej, podzielone na małe cząstki, otoczone wałami kamiennemi, ale właściciele ich mieszkają w głębi jarów, albo na niedostępnych uskokach gór. Osetyńskie cachle odpowiadają postacią domkom, jakie widzieliśmy na równinach; są to maleńkie czworograniaste budynki o krytych dachach bez okien, o wązkiem wejściu, zamykalnem od wewnątrz za pomocą wielkiej płyty kamiennej i mają ściany nieproporcyonalnie grube, ułożone z odłamów skał, niepołączonych cementem, lecz wolno na sobie spoczywających. Pomimo to ściany te są nadzwyczaj trwałe i potrzeba wielkiej siły, ażeby je rozwalić. Barwa kamieni jest tak ciemną, i zlewa się z tłem gór okolicznych tak dokładnie, że wioski zawieszone w większej wysokości są dla oka zwykłego śmiertelnika prawie niedostrzegalne. Zdaje się, że wybór miejsca mającego służyć do założenia wioski, miał tutaj na celu obronność stanowiska, bo nie tylko że każda cachla jest sama dla siebie trudną

do zdobycia forteczką, ale domki te są zazwyczaj tak ustawione na pochyłości, że przystęp do wioski może być równocześnie z każdego z nich ostrzeliwany, a wioska jest oprócz tego otoczona wysokim wałem kamiennym. Liczba mieszkańców tej doliny zmniejszyła się znacznie po przyłączeniu Kaukazu do Rosyi, a wiele chat nad Terekiem jest obecnie zupełnie niezamieszkałych. Oprócz tych wiosek sterczą tutaj z wierzchołków kilku pagórków stare wieże i ruiny małych zameczków, zajmowanych niegdyś przez szlachtę osetyńską, a obecnie zupełnie opuszczonych.

Największą osadą w całej dolinie jest miasteczko Kazbek, położone po prawym brzegu Tereku, na pochyłości otoczonej z jednej strony niebotycznemi skałami. Miejscowość ta należy do książęcej rodziny tegoż samego nazwiska, osiadłej tutaj od niepamiętnych czasów. Zewnętrzne domy miasteczka są w ten sposób ze sobą połączone, że przedstawiają ze wszystkich stron jednostajne ściany obronne, opatrzone wązkiemi otworami, służącemi do umieszczenia broni ręcznej. Dwa tylko otwory prowadzą do wnętrza miasteczka, którego ulice są tak wązkie, jak na azyatyckiej dzielnicy w Tyflisie. Zdaje się że miasteczko musiało być dawniej daleko więcej zaludnione, bo wiele domów jest obecnie niezamieszkałych. Na przeciwnym brzegu Tereku znajduje się mała wioska Girgeti, złożona z kilkunastu cachli ustawionych na pochyłości, a nieco dalej sterczy z wierzchołka skalistego pagórka samotna baszta. Pagórek ten zbiega z trzech stron do potoku i jest tak niedostępnym, że kilku ludzi uzbrojonych kijami lub kamieniami może wytrzymać atak najliczniejszego nieprzyjaciela.

O mieszkańcach tej doliny nic prawie powiedzieć nie mogę. Widywałem tutaj co prawda ludzi pracujących około roli, napotykałem po drodze jeźdźców uzbrojonych od stóp do głowy, rozmawiałem z przewodnikami i pomocnikami pułkownika Statkowskiego, ale przekonałem się, że Osetyńcy, jeżeli nie są z natury milczący, skryci i podejrzliwi, to nienawidzą obcych i starają się uniknąć wszelkiego z nimi zetknięcia. O pożyciu ich i stosunkach rodzinnych też nie wiele z tego powodu powiedzieć mogę. Ich kobiety pędzą cały żywot w stanie niewolniczym, zamknięte we wnętrzu ciasnych mieszkań i tylko o zmroku, po zachodzie słońca, wychodzą na płaskie domy dachów, ażeby odetchnąć świeżem powietrzem. W ciągu trzechtygodniowego pobytu na stacyi Kazbek widywałem tylko kilka starych, prawie zgrzybiałych niewiast, które z kamiennemi naczyniami schodziły trzy razy dziennie do rzeki, dla czerpania wody. Innym razem, gdym zbierał rośliny ponad wioską Girgeti, ujrzałem gromadkę niedorostków, która z wielkim krzykiem biegła od wioski w moją stronę. Gdy gromadka do mnie się przybliżyła, dowiedziałem się o celu tych odwiedzin. Mieli oni liczne, bardzo piękne okazy kryształu górnego, w który obfitują tutejsze skały łupkowe, a które chcieli oddać mi za skromne wynagrodzenie. Znajdowały się w tem gronie i dwie młode dziewczynki, od czternastu do szesnastu lat wieku. Starsza z nich, przystojna brunetka, o regularnych rysach twarzy, miała na sobie ciężką suknię z żółtego adamaszku, okropnie spłowiałą i połataną; młodsza, rudowłosa blondynka, o nieregularnych rysach twarzy, była bardzo nędznie odzianą. Chciałem z niemi zawiązać rozmowę, ale bezskutecznie, bo dzieci oprócz trzech słów: „baryń, pakupi kristal“, nic więcej po rosyjsku nie umiały.

Zwyczaj kupowania żon rozpowszechniony na całym Kaukazie, istnieje także pomiędzy Osetyńcami. Małżeństwo przychodzi zazwyczaj w ten sposób do skutku, że rodzice młodych osób układają się naprzód o warunki, w czem kobiety przeważny biorą udział. Jeżeli Osetyniec jest tak biednym, że kupno jest dla niego rzeczą niemożebną, wówczas ucieka się do podstępu i przemocy i kradnie sobie

żonę z innego, ile możności najodleglejszego aułu. W wielu przypadkach wykradzenie dziewczyny jest prostą komedyą, ponieważ matka pana młodego porozumiewa się zazwyczaj z przyszłą świekrą, a gdy uzyska jej przyzwolenie, zawiadamiają wspólnie pannę młodą, która w oznaczonym czasie ukazuje się na miejscu, gdzie czeka na nią narzeczony z osiodłanym koniem. Zwyczaj nakazuje, ażeby cała wioska upomniała się o zwrot swojej własności i jeżeli miejsce jej pobytu zostanie odkrytem, wojownicza młodzież całego aułu urządza wyprawę, która kończy się zazwyczaj na kilku nieszkodliwych strzałach i dobrowolnem z obu stron zaniechaniu walki.

W kilka tygodni później miałem sposobność zajrzenia do mieszkania młodego szlachcica osetyńskiego, który nosił tytuł książęcy i służył kilka lat w wojsku, mieszkającego w niewielkiej odległości od Dżerakowa. W towarzystwie porucznika W. udaliśmy się konno w odwiedziny. Dwór księcia R. stał na pagórku, a chociaż otoczony wysokim murem, robił wrażenie najskromniejszego naszego folwarku. Gdyśmy zbliżali się do dworu, właściciel jego siedział właśnie na kamieniu przydrożnym, poznał z daleka mojego towarzysza, z którym kolegował w wojsku, przybliżył się na kilkanaście kroków i powitał nas obu uściskiem ręki. Był to młody mężczyzna wysokiego wzrostu, silnej budowy i jak każden szlachetny Osetyniec, bardzo przystojny; twarz jego była owalna, czoło wysokie, nos orli, oczy wielkie czarne, włosy na głowie krótko ostrzyżone, a czarna piękna broda spływała mu na piersi. Był ubrany w czapkę baranią, długi żupan z czarnego sukna, przepasany szerokim paskiem, za którym tkwił prosty czerkieski kindżał o rogowej rękojeści; nosił buty palone. Gdyśmy weszli w dziedziniec, gospodarz zamknął za sobą starannie drewniane wrota a równocześnie ukazało się kilku mężczyzn należących, o ile sądzę, do jego rodziny, którzy rozsiodłali nasze konie i puścili je na trawę. Mieszkanie księcia i jego rodziny składało się z dwóch wązkich parterowych skrzydeł, zajmujących dwa boki dziedzińca; budynki te były zupełnie tak samo stawiane, jak cachla najprostszego Osetyńca, a różniły się jedynie tem, że oprócz drzwi były opatrzone oknami wązkiemi jak w strzelnicy, a jeden z narożników wyskakiwał w czworoboczną, niską wieżyczkę, o płaskim dachu. Zaledwie ukazaliśmy się w dziedzińcu, gdy okienka prawego skrzydła wypełniły się głowami kobiet i dzieci, które przyglądały się nam z ciekawością.

Do prawego boku dziedzińca przypierał ogród, oddzielony wysokim murem kamiennym, w którym wyłom zastępował miejsce drzwi. Nasz gospodarz zaproponował odpoczynek w ogrodzie, na co zgodziliśmy się. Ogród składał się wyłącznie z drzew owocowych i bujnego trawnika; nie było tam zresztą ani jednego kwiatka, ani jednej grządki przeznaczonej dla uprawy jarzyn. Okok otworu wchodowego rósł olbrzymi okaz orzecha włoskiego, a w cieniu jego znajdowały się trzy ławeczki z darniny, na których usiedliśmy. Za chwilę ukazał się jeden z domowników z tacą w ręku, na której znajdowała się flaszka z czarnem piwem własnego wyrobu, chleb biały, ser i trzy szklanki, a równocześnie otoczyli nas mężczyzni, którym oddaliśmy nasze konie. Książe zaprosił nas do przyjęcia posiłku i jadł z nami, ale stojący obok mężczyzni pozostali niemymi i bezczynnymi widzami.

Rozpoczęła się pogadanka. Porucznik zapytał się gospodarza o zdrowia jego matki i sióstr (nie widział ich nigdy w swem życiu), na co książe odpowiedział z podziękowaniem, a potem zwracając się ku mnie zapytał zkąd pochodzę i jak się nazywam, a poczem następująca wywiązała się między nami rozmowa:

— Po co przyjechałeś na Kaukaz?

— Chciałem poznać waszych ludzi i wasze góry.

— Czy u ciebie w domu nie ma takich gór?

— Są, lecz nie takie wysokie i nie takie piękne.
— Cóż ci się tutaj tak podoba?
— Podobają mi się lodowce, skały, lasy i doliny, bo wszystko jest dla mnie nowem i odmiennem od tego, co dotąd widziałem.
— A możeś myśliwy?
— Nie.
— A czy nie biłeś się z Francuzami?
— Nie.
— A to dlaczego?
— Przedewszystkiem dlatego, że jestem wielkim przyjacielem i wielbicielem francuzkiego narodu, a potem, że nie byłem nigdy żołnierzem.
— No, ale przecież jesteś niemieckim poddanym, a Niemcy bili się z Francuzami?
— Mieszkam w Galicyi, a ta należy do Austryi.
— Ach prawda — odrzekł książe zlekka pomięszany — prawda, prawda, Galicya należy do Austryi, a Poznańskie do Prusaków. Niemcy wielcy ludzie, my pochodzimy od Niemców.
— Kogo rozumiesz pod tym wyrazem my? — Zapytałem podchwytując.
— My, to znaczy Osetyńcy, Gruzini, mieszkańcy Kaukazu.
— Ale na czemże opierasz swoje przypuszczenie?
— Niemcy są jedynym narodem w Europie, który zna użytek piwa, a Osetyńcy wyrabiają także piwo od niepamiętnych czasów — odrzekł książe, wskazując palcem tryumfalnie na flaszkę i szklanki napełnione czarnym napitkiem.
Przekonałem się w ciągu dalszej rozmowy, że sława niemieckich zwycięstw przedarłszy się w te strony, zawróciła głowę księciu i wielu jego towarzyszom.
W chwilę potem porucznik W. zapytał naszego gospodarza kiedy się żeni, a otrzymawszy odpowiedź, że za sześć miesięcy, odwrócił się do mnie i wyrzekł:
— Żebyś pan wiedział, jaką ma piękną narzeczoną, z pewnością najprzystojniejsza dziewczyna, jaką widziałem dotąd na Kaukazie.
Na te słowa nasz gospodarz zmarszczył brwi i wyrzekł szorstko:
— A tobie co do tego? jak śmiesz wtrącać się do rzeczy, które cię nic nie obchodzą?
— Ależ nie gniewaj się — odparł uprzejmie porucznik — jak ja będę się żenić, to nietylko przedstawię ci moją narzeczoną, ale cię i na wesele zaproszę.
— To u was tak — odrzekł urażony gospodarz. Osetyniec ma żonę dla siebie, nikt jej widzieć nie powinien i nikomu o niej mówić nie wolno.
Osetyńcy kochają się w broni tak samo jak wszystkie ludy górskie na Kaukazie, a kindżał uważają za najpiękniejszą część i największą ozdobę całego stroju i noszą go za pasem od rana do wieczora. Zamożniejsi miewają zazwyczaj po kilka sztuk tej broni, w ozdobniejsze stroją się zwykle w święta i uroczystości, lub gdy wybierają się w odwiedziny, a do codziennego użytku używają skromniejszego wyrobu. Okaz tej broni, który nasz gospodarz miał w tej chwili za pasem był prostym nożem z rękojeścią rogową, jakich używają okoliczni wieśniacy. Gdy porucznik zapytał go, dlaczego poprzestaje na tak skromnym kindżale, zbył zapytanie milczącym uśmiechem, a po chwili dodał:
— Są i ładniejsze; jeśli chcecie widzieć, to chodźcie ze mną.
Skorzystałem ze sposobności, ażeby przyjrzeć się z bliska mieszkaniu kaukazkiego księcia. Minąwszy dziedziniec weszliśmy do maleńkiej furtki, a potem po krętych, kamiennych schodach do izdebki, która zajmowała pięterko narożnej wieży. Pokoik ten mierzył co najwięcej siedm kroków wszerz i wzdłuż i był

opatrzony jednem wązkiem, nieoszklonem oknem, wychodzącem na drogę; powała była z desek, ale z wierzchu przysypana żwirem, ściany nie tynkowane, a podłoga wylepiona gliną i nakryta dywanem. Przy oknie stał prosty stół drewniany, na nim flaszka z wodą, szklanka, dwie książki rosyjskie, przybory potrzebne do palenia i kilka innych drobiazgów. W jednym rogu stało łóżko drewniane, a pod ścianą niska sofka kryta żółtym adamaszkiem. Ściana nad łóżkiem była pokryta również dywanem, na którym wisiało kilka sztuk doborowej broni, a w rogu izby stały trzy długie strzelby czerkieskie, krajowego wyrobu. Gdy gospodarz zdejmował pierwszą sztukę broni ze ściany, ażeby nam ją podać do rąk do obejrzenia, porucznik szepnął do mnie półgłosem po polsku:

— Niech się pan nie waży chwalić jego kindżałów, wytłumaczę panu później z jakiego powodu.

Broń była rzeczywiście doborowa. Porucznik oglądał ją okiem znawcy, chwalił wszystko, co nam zostało do rąk podane, ale uważałem, że umyślnie we wszystkiem wyszukiwał wady. Gospodarz słuchał tych uwag spokojnie, ale kilka z nich przyjął z ironicznym uśmiechem.

Dowiedziałem się później co znaczyła cała ta mistifikacya. Pomiędzy szlachetnymi Osetyńcami istnieje wiekami uświęcony obyczaj, że gospodarzowi żadnej prośby gościa odrzucić nie wolno, a uprzejmość czerkieska idzie nawet tak daleko, że jeżeli przedmiot jakiś spodoba się gościowi, to powinien darować mu go na pamiątkę. Nasz gospodarz posłuszny prastaremu zwyczajowi, pozbył się już w ten sposób kilku drogocennych sztuk broni i w skutek tego używał w ostatnich czasach kindżału tak prostego, że mu ze strony znawców i przyjaciół księcia żadne nie groziło niebezpieczeństwo.

Spędziliśmy w tym domu niespełna trzy godziny. Gdyśmy zabierali się do odwrotu, gospodarz zapytał nas w tonie obojętnym, czybyśmy nie zechcieli u niego przenocować, a otrzymawszy odmowną odpowiedź, sprowadził nas na dziedziniec, pomógł osiodłać konie, wyprowadził za bramę i pożegnał obu uściskiem ręki. — Gdyśmy opuszczali dziedziniec książęcej siedziby, wązkie okna lewego skrzydła były tak samo przepełnione głowami kobiet i dzieci, jak w chwili naszego przybycia.

Ale powróćmy w dolinę Tereku na stacyę Kazbek. Na trzeci dzień po mojem tutaj przybyciu powrócił z Władykaukazu pułkownik Statkowski, a gdym mu wręczył listy polecające, przyjął mię z tą samą uprzejmością, z jaką i inni rodacy w Tyflisie, a w ciągu trzechtygodniowego pobytu na stacyi, doznawałem prawie codziennie dowodów jego życzliwości. Bawił on w dolinie Tereku od wiosny, zajęty pracami inżynierskiemi, a mianowicie przeniesieniem drogi prawego boku doliny na lewy i wyznaczeniem linii dla kolei żelaznej, która miała połączyć w przyszłości Tyflis z Władykaukazem. Przeniesienie drogi zostało spowodowane niebezpieczeństwem grożącem jej od obrywów lodowych z Kazbeka, o których wspomnę za chwilę. Dla nadzoru i przeprowadzenia robót inżynierskich znajdował się przy pułkowniku oddział młodych inżynierów, złożony przeważnie z Polaków, którzy nie mniejszą od swego przełożonego odznaczali się dla mnie uprzejmością. Małośmy się stykali ze sobą w dzień, bo inżynierowie spędzali całe dnie przy pracy, a ja w górach zajęty zbieraniem roślin, ale wieczór łączył nas przy wspólnym stole, gdzie przy szklance herbaty i pogadance przerywanej śpiewem, czas wesoło i przyjemnie schodził.

W następną niedzielę urządziliśmy po południu wspólną wycieczkę do wąwozu Darjałskiego. Jest to niezaprzeczenie jedna z najwięcej zajmujących miejscowości na całym obszarze gór kaukazkich. Dolina rzeki Tereku jest pomiędzy stacyą Kobi i Kazbekiem dość obszerną i przyjmuje kilka bocznych jarów, nie

tracąc nigdzie charakteru właściwego poprzecznym dolinom alpejskim. Ale poniżej miasteczka boki jej schodzą się coraz bliżej a dolina zwęża się nagle i przybiera postać dzikiego i malowniczego jaru, noszącego powyższą nazwę. Zamknięty z obu stron niebotycznemi ścianami, z szarych, dziko poszarpanych, zupełnie z roślinności ogołoconych skał, jest on tak wązkim, że dno jego wystarcza zaledwie dla przepuszczenia mętnych wód Tereku, a dla przeprowadzenia drogi trzeba było łamać prochem uskoki skaliste i żłobić zagłębienia u podstawy ścian, których wysokość jest tak wielką, że promienie słoneczne w miejscach takich tylko w południe i to zaledwie przez pół godziny oświecają dno jaru.

Długość wąwozu wynosi, o ile sądzę, sześć do siedmiu wiorst. W połowie tej przestrzeni zbiegają ku Terekowi dwa poprzeczne, spadziste jary, a boki wąwozu rozstępują się cokolwiek, wskutek czego powstaje kotlinowate zagłębienie, otoczone ze wszech stron niebotycznemi ścianami, przedstawiające najpiękniejszą część całego wąwozu. Wrażenie, jakie wywiera ta miejscowość na przybywającym z jednej albo z drugiej strony wędrowcu, jest tem silniejsze, że w jarach bocznych i po uskokach skalistych występuje nieco obficiej zarost krzewiasty, którego zieloność łagodzi nieco dzikość tej miejscowości, a światło słoneczne łatwiejszy tutaj znajduje przystęp i oświeca przez kilka godzin dziennie jednę stronę kotliny.

Niemiłe sprawia wrażenie widok koszar wojskowych, wybudowanych w samym środku tego ustronia. Przeciwległy brzeg rzeki wyskakuje w pionową, na kilkaset stóp wysoką ścianę skalistą, na szczycie której sterczą poczerniałe mury starożytnej baszty, znanej w okolicy pod nazwą zamku królowej Tamary. Jest to jedna z tych nielicznych postaci średnich wieków, która przechowała się dotąd w pamięci tutejszego ludu, a Osetyńcy opowiadają wiele o urodzie, męstwie, bogactwach i srogim charakterze swojej władczyni. Istnieje między innemi podanie, że uroda królowej Tamary przyciągała w te strony mnóstwo bohaterów z najodleglejszych stron Kaukazu, i że każdy z nich został uszczęśliwionym, ale ani jeden nie powrócił w rodzinne progi, bo gdy po całonocnym pobycie w baszcie opuszczał to ustronie i szedł nad brzegiem przepaści, rzucał się na niego z nienacka uzbrojony Tatar i jednem uderzeniem strącał go w przepaść, a woda Tereku unosiła trupy tak pokaleczone, że poznanie osoby było niemożebnem. Pokazują do dziś dnia Osetyńcy na skalistej ścianie czerwone plamy, które uważają za ślady krwi tych nieszczęśliwych ofiar. Rosyjskiemu poecie Lermontowowi, który zwiedzał te strony, posłużyło to podanie za temat do niewielkiego, ale bardzo udatnego utworu.

Wspomniałem powyżej o niebezpieczeństwie, jakie zagraża wojennej gruzyjskiej drodze ze strony góry Kazbeka. Obrywanie się lodowców należy do rzędu tych groźnych katastrof, jakich widownią bywają niekiedy kraje alpejskie, a chociaż nie wydarza się bardzo często, to znanem jest przecież z kilku przypadków zaszłych w Szwajcaryi i górach Himalajskich. Ale zjawisko to przedstawia w dolinie Tereku tę szczególną okoliczność, że powtarza się niejako peryodycznie, w pewnych znacznych odstępach czasu. Śnieżna szata Kazbeka spuszcza się w dół ośmioma ramionami niejednakowej długości; największemi rozmiarami odznacza się lodowiec Dewdarakski, którego spodnia kończyna znajduje się na wysokości 7500 stóp nad poziomem morza. Dolina wypełniona tym lodowcem ma postać obszernego amfiteatru, zwężającego się dość nagle ku dołowi, a od spodu przybiera ona postać wązkiego, spadzistego jaru, zamkniętego wysokiemi skalistemi ścianami, którego ujście znajduje się po lewej stronie Tereku, w połowie drogi między miasteczkiem Kazbek i górnym początkiem wąwozu Darjalskiego, poniżej osetyńskiego aułu nazwanego Guleti. Rzeczka biorąca początek w tej dolinie nazywa się Ameliszka. Katastrofa, o której jest mowa, polega na tem, że z Dewdarak-

skiego jaru wybucha nagle z hukiem i trzaskiem, który mieszkańcy porównywają z grzmotami i wystrzałami z broni palnej, olbrzymi potok mętnej wody, unoszący potężne odłamy lodów, ogromne bryły skał, grubsze kamienie i drobniejszy żwir wraz z ziemią, krzewami i darniną i zasypuje tym materyałem dno doliny na obszarze kilku wiorst. Katastrofa taka zdarzyła się w bieżącem stuleciu pięć razy, a mianowicie w latach 1808, 1817, 1835, 1842 i 1855, ale najgroźniejszą była w roku 1835. Masa lodów, skał i ziemi wyrzuconych z jaru pokryła w ciągu kilku godzin dolinę Tereku pokładem grubym na pięćdziesiąt sążni a długim na dwie wiorsty. Wody Tereku zostały w swym biegu powstrzymane, a ponieważ rzeka ta bywa zasilana głównie potokami wpadającemi do niej w górnej jej części, przeto mieszkańcy Larsu, Dżerakowa i innych stacyj na północnych stokach gór położonych byli świadkami tego dziwnego zjawiska, że koryto Tereku nagle wyschło i pozostało w tym stanie przez kilkanaście godzin. Rzeka ta znalazłszy dalszy pochód przeciętym, wystąpiła z brzegów, utworzyła alpejskie jezioro, którego północna kończyna sięgała aż do miasteczka Kazbeku i dopiero po upływie ośmiu godzin czasu utorowała sobie podziemną drogę pod spodem zawału. Komunikacya pomiędzy Władykaukazem i Tyflisem została wskutek tego na kilka tygodni przerwaną, a otworzenie nowej drogi było z niesłychanemi połączone trudnościami. Lody strącone w dolinę i pokryte częściowo piaskiem i iłem, topniały bardzo powoli i znikły dopiero po przeciągu trzech lat, ale stopniowe ich znikanie powodowało bezustanne zapadanie się powierzchni zawału i kilkurazowe zaparcie rzeki.

Katastrofy takie nie pociągały za sobą straty w ludziach i dobytku, ponieważ mieszkańcy aułu Guleti przewidywali ich zajście po pewnych, nieomylnych oznakach. Na kilka tygodni przed zjawiskiem słychać było zazwyczaj silny łoskot łamiących się lodów, woda w rzeczce Ameliszce zmieniała swoją barwę, albo nikła zupełnie, a ile razy to nastało opuszczali oni wioskę i oddalali swój dobytek z jaru Dewdarakskiego. Pomimo to upewniał mnie jeden z moich przewodników, że przed przyłączeniem Kaukazu do Rosyi, za panowania królów gruzyjskich (prawdopodobnie pod koniec przeszłego stulecia) zdarzyło się, iż mieszkańcy tejże wioski, pomimo wszelkich oznak zapowiadających zbliżenie się zawału, za późno ją opuścili, wskutek czego wiele ludzi i wiele bydła zostało zasypanych gruzami.

Osetyńcy utrzymują, że zawał powtarza się co siedm lat, ale twierdzenie to jest nieuzasadnione, jak również pewną jest rzeczą, że nie każdym razem z jednakową występuje on siłą. O przyczynach tego dziwnego zjawiska różne i sprzeczne można napotkać mniemania. Osetyńcy wierzą, że Kazbek zrzuca co kilka lat swoją lodową czapkę i wywołuje w ten sposób katastrofę; w Alpach uważają ją za następstwo oberwania się lodowców i zesunięcia się ich w doliny. Pułkownik Statkowski, który badał te stosunki na miejscu, do innego przyszedł poglądu i przypuszcza, że przyczyna tego zjawiska leży wyłącznie w topograficznych stosunkach Dewdarakskiego lodowca. Dolina pokryta tym lodowcem ma średnią szerokość 175 sążni, a przy ujściu zwęża się nagle na pietnaście sążni, zamieniając się w wązką szyję, przyczem i spadek gleby staje się naglejszym. Ograniczenie lodowej płaszczyzny jest zależnem od ciepłoty lata; jeżeli lato jest gorącem, to rozmiary lodowca dość znacznie się zmniejszają a dolna jego kończyna cofa się ku górze; jeżeli lato jest chłodnem, lodowiec topnieje powoli i wówczas południowa jego kończyna sięga aż do samej szyi jaru, a gdy spoistość jej z glebą zostanie wskutek ciepłoty nadwerężoną, to lodowiec załamuje się z trzaskiem, wskutek czego mniejsze lub większe jego odłamy spadają na dół, zapychają szyję jaru i powstrzymują swobodny odpływ rzeczki Ameliszki. Skały i kamienie obsuwające się z gór sąsiednich spadają na ten próg lodowy, zapora z każdym rokiem

się zwiększa a rzeczka Ameliszka wytwarza ponad nim niewielkie, lecz obfitujące w wodę jeziorko, jak się o tem przekonano w czasie dwóch ostatnich przypadków. Jeżeli wskutek znaczniejszej ciepłoty lata, albo po nawalnych deszczach, które się niekiedy tutaj w lecie zdarzają, pokład lodów pokrytych gruzami roztaje, lub też wskutek ciśnienia wody powstanie podziemna przerwa, to próg zamykający dolinę zostanie nagle przerwanym, woda z jeziorka puści się gwałtownie jarem, unosząc ze sobą odłamy lodowca, a obrywając po drodze boki jaru, zdoła nagromadzić tyle zasobów stałych, że wystarczą one do wytworzenia zawału w dolinie Tereku.

Ponieważ pierwotna gruzyjska wojenna droga została poprowadzoną po dnie doliny, nąd samą rzeką, przeto za jedyny sposób zabezpieczający ją od uszkodzenia w przypadku zawału uważał pułkownik Statkowski przeniesienie jej do takiej wysokości, w którejby przez materyały wyrzucone z jaru dosięgniętą być nie mogła, a w tym celu trzeba ją było przenieść z prawego boku doliny na lewy i nad tem właśnie pracowali w tej chwili inżynierowie. Oprócz tego polecono mieszkańcom aułu Guleti czuwać nad samym lodowcem i ułatwiać rzeczce Ameliszce odpływ w ten sposób, ażeby zapchanie się szyi i wytworzenie opisanego progu nie nastąpiło.

Roślinność w dolinie Tereku jest w ogóle bardzo ubogą i nie wytrzymuje porównania ani z Alpami, ani z naszemi Tatrami. Uderza tu przedewszystkiem brak wyższych drzew i zarostów krzewiastych, a skały tutejsze rażą swą nagością wzrok wędrowca, którego oko oswoiło się w Europie z rozmaitością barw, właściwą okolicom górskim. Jedynemi drzewami, jakie tutaj się udają, są nasze brzozy i osiki, lecz i te są przywiązane do pewnych ograniczonych miejscowości, osika rośnie bowiem tylko około kaplic i kościółków i jest prawdopodobnie sztucznie podtrzymywaną a brzoza wyrasta w dolinie Tereku w drzewko skromnych rozmiarów, ale powyżej siedmiu tysięcy stóp karłowacieje i naznacza tutaj prawie wszędzie górną granicę roślin drzewiastych, tak samo, jak i w północnej Europie wysuwa się najdalej ku biegunowi. Brak innych drzew w dolinie Tereku i ubóstwo tutejszych zarostów uderza tem więcej, że północne i południowe stoki gór są miejscami dość dobrze zalesione, ale fakt ten stoi w ścisłym związku z fizykalnemi warunkami całego kraju, ponieważ główne pasmo gór kaukazkich jest ze wszech stron otoczone stepami i tworzy integralną część wielkiej zachodniej azyatyckiej krainy stepowej, wskutek czego lasy rozwijają się tutaj tylko pod wpływem wyjątkowo korzystnych warunków. W dolinie Tereku ilość opadu jest bardzo nieznaczna, a stoki gór obsychają z łatwością. U podnóża naszych Tatr suche lato jest wyjątkowem zjawiskiem, a każdy dzień pogodny bywa z utęsknieniem przez podróżnych witany; tutaj jasne słońce przyświeca od miesiąca maja aż do końca jesieni, a chociaż zdarza się dość często, że wierzchołki pokrywają się chmurami, to chmury te są tak rzadkie, że wyjątkowo tylko ulegają skropleniu, a ilość opadu wodnego nie wystarcza do wyżywienia drzew roślejszych.

Drobniutkie gatunki spirey, zbliżone bardzo postacią do tych, jakie zamieszkują stepy nad Bohem, są jedynemi krzewinami, jakie rosną po skałach otwartych w dolinie Tereku. W głębi cienistych i wilgotnych jarów zarost krzewisty jest obfitszym, ale gatunki, jakie tu napotykałem, mało różnią się od krzewów środkowej Europy i należą przeważnie do rodzaju *Rhamnus*, *Evonymus*, *Ribes*, *Sorbus*,

---

[1]) Porównaj Statkowskiego: Kratkaja zapiska o diejstwiach w 1865 godu expedycyi dla iźsledowania pryczyn proizchożdienia peryodyczewskawo Kazbekskawo zawała. (Z kartami). Zapiski Kaukazkawo adtjeła ruskawo imperatorskawo geograficzewskawo Obszczestwa. Tom VII, 1766.

Rosa, Viburnum, Salix, Lonicera itp. Rośnie w szczelinach skał tutejszych wiele ciekawych, tym tylko okolicom właściwych utworów zielnych, ale liczba ich jest dość ograniczoną i wyznaję otwarcie, że spalone od słońca i spłowiałe pagórki około Tyflisu budziły we mnie więcej zajęcia, aniżeli niebotyczne skały w dolinie Tereku. Gdzie spadek gór jest łagodniejszym, albo gdzie zlekka nachylone płaszczyzny przypierają do podnoża ścian skalistych, tam rozwija się niesłychanie bujny zarost zielny, złożony z różnych bławatów, dryakwi, dzwonków, szałwij i wielu roślin główkozrosłych, ale i tutaj liczba form nie jest tak wielką, ażeby miała dostarczyć badaczowi zajęcia na dłuższy przeciąg czasu. Kto pragnie, ażeby obfite zbiory botaniczne wynagrodziły koszta i trudy podróży podjętej w te strony, ten musi szukać roślin w wyższych dolinach, na granicy tutejszych lodowców.

Nie miałem zupełnie zamiaru dostania się na szczyt Kazbeka, ale pragnąłem koniecznie poznać jego lodowce i dlatego rozpatrzywszy się nieco w dolinie Tereku, ułożyłem plan dalszej wycieczki w góry, a pułkownik Statkowski odstąpił mi w tym celu jednego z swych najlepszych przewodników. Dnia 27 lipca 1873 roku stawił się rzeczywiście przed wschodem słońca Osip Hucinwoł na stacyi, uzbrojony w kindżał, długą strzelbę i toporek, z koniem dla mnie i w towarzystwie wieśniaka z sąsiedniego aułu, który miał nieść nasze bagaże. Poranek był pogodny, ale ponad wyższemi dolinami przeciągały szare chmury, a przewodnik zapytany, czy można liczyć tego dnia na pogodę, spojrzał ku Kazbekowi i odrzekł z kwaśną miną: „Kak Boh dast' budjet i pagoda“.

Gdy część moich bagaży została przymocowaną do siodła, a druga znalazła się na barkach pomocnika, dosiadłem dzielnego rumaka i ruszyłem ku rzece a przewodnicy szli zwolna za mną. Kierunek naszej drogi wskazywała dolina, która od lodowców Kazbeka zbiega w prostym kierunku ku stacyi pocztowej, ale droga prowadzi wierzchem, po nad prawym bokiem tejże doliny, ponieważ w wielu miejscach jest ona zupełnie niedostępną. Minąwszy rzekę wjechaliśmy w wązką uliczkę, przechodzącą przez środek wioski Girgeti, a w niewielkiej odległości za nią dostaliśmy się do małego gaju brzozowego, nazwanego świętym. Brzoza rośnie tutaj jeszcze bardzo dobrze, a pola należące do wioski znalazłem na tej wysokości obsiane żytem. Po nad wioską i po nad tym gajem wznosi się wyniosła góra, tworząca ostatni uskok lewego boku doliny wzmiankowanej; jest ona pokryta bardzo bujnym zarostem zielnym a na szczycie jej znajduje się maleńka kaplica, nazywana tutaj monasterem. Kaplic takich i figur jest w tych stronach bardzo wiele, a Osetyńcy są ludem bardzo nabożnym i odbywają gromadnie dalekie pielgrzymki do miejsc, które uważają za święte. Postępując zwolna w górę znaleźliśmy się wkrótce przy monasterze, zkąd bardzo piękny otwarł się widok na dolinę Tereku. Od monasteru zboczyliśmy na lewo i straciwszy z oczu śnieżną kopułę Kazbeka, zaczęli wznosić się w górę po pochyłych stokach, pokrytych najbujniejszym zarostem zielnym. Równie bujną zieloność widywałem tylko na połoninach Czarnej Hory i w górach Bukowiny, ale tam zarost ten składa się przeważnie z traw, podczas gdy tutaj trawy nikną wpośród obfitości roślin zielnych, upstrzonych niezliczonemi kwiatami o wielkich rozmiarach i żywej barwie. Najbujniejsze łąki w Tatrach, położone w krainie lasów, nie dają jeszcze wyobrażenia o tych zarostach, bo rozmiary tutejszych bławatów, dryakwi, szałwij przewyższają o dwa albo trzy razy największe zioła naszych łąk halskich. Łąki takie wznoszą się w dolinie Tereku do ośmiu tysięcy stóp wysokości, ustępując powyżej miejsca chudej darninie trawiastej, przypominającej tłoczki naszych Tatr.

Po trzechgodzinnej jeździe przez te łąki znaleźliśmy się w lekkiem kotlinowatem zagłębieniu, zasianem odłamami skał, a ponieważ dalsza droga przedsta-

wiała większe trudności, przeto puściliśmy spętanego konia na paszę, a przewodnicy ukryli starannie siodło i wszystkie inne zbyteczne przedmioty pomiędzy kamieniami, ażeby nie dźwigać niepotrzebnych ciężarów. Aneroid kieszonkowy pokazywał w tem miejscu 8200 stóp wzniesienia, co znaczy, że na wysokość równającą się naszej Łomnicy dostałem się na koniu, nie będąc zmuszonym po drodze do zsiadania i nie czując najmniejszego znużenia.

Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy w dalszą drogę piechotą, a zboczywszy na prawo znaleźliśmy się wkrótce po nad stromym i przepaścistym brzegiem, tworzącym bok doliny, przez którą wody Kazbeka spływają ku Terekowi. Słyszeliśmy wyraźnie szum potoku płynącego w znacznej głębokości pod nami, ale nie widzieliśmy wody, bo była zasłoniona uskokiem góry. Zmieniła się tymczasem i pogoda, bo chmury pokryły wierzchołki wszystkich gór i spuszczały się zwolna ku dolinom. Szczyt Kazbeka był niewidzialnym, ale z po za zasłony chmur przeświecała wielka płaszczyzna śnieżnej barwy; był to lodowiec Orciri, cel naszej wycieczki.

Brzeg góry, na którym znajdowaliśmy się, był pomimo silnego spadku porosły zarostem krzewiastym, złożonym z kilku gatunków, pomiędzy któremi najobficiej występuje rododendron kaukazki. Jest to niezaprzeczenie najokazalsza roślina gór tutejszych, bo chociaż nie przechodzi wysokością czterech stóp, to liście jej są wielkie, jajowatej postaci, grube i sztywne i nie odpadają na zimę a na wierzchołku każdej gałązki znajduje się bukiet złożony z czterech do siedmiu kwiatów, przechodzących rozmiarami największe kwiaty szklarniowych azalei; barwa ich jest śnieżno-biała a zapach przyjemny. Krzew ten ukazuje się poraz pierwszy na wysokości 7200 stóp, a zatem tam, gdzie ustaje tutejsza azalea i gdzie brzoza biała ulega skarłowaceniu, a ginie przy sprzyjających warunkach dopiero na wysokości 9500 stóp i zastępuje w tych stronach miejsce naszego kosodrzewu, który na Kaukazie nigdzie nie rośnie. Rozwój tej krzewinki postępuje powoli od dołu ku górze; pierwsze okazy na jakie natrafiłem dnia tego, były już odkwitłe i osadziły dawno owoce, ale postąpiwszy o kilkaset stóp w górę znalazłem wiele innych kwitnących, a okazy, jakie widziałem tegoż samego dnia na wysokości dziewięciu tysięcy stóp, były skarłowaciałe, przygniecione do ziemi i miały pąki kwiatowe tak słabo wykształcone, że uważam za rzecz wątpliwą, czy rozwój kwiatów w ciągu bieżącego lata mógł jeszcze nastąpić. Alpejskie rododendrony rosnące w górach Szwajcaryi i na naszej Czarnej Horze nie dają wyobrażenia o okazałości tej rośliny, bo gdy tamte rozmiarami swemi i postacią zbliżają się więcej do typu borówek, to kaukazki rododendron odznacza się większemi rozmiarami, formami wykończonemi i jest więcej spowinowacony z typami himalajskiemi tegóż rodzaju.

W pośród niezliczonych okazów rododendronu mieszało się na obrywie i kilka innych krzewinek. Znalazłem tutaj drobne, skarłowaciałe i nigdy niekwitnące okazy naszej brzozy, która w tej postaci wznosi się do 8400 stóp nad poziom morza. Rosły tutaj i drobniutkie wierzby alpejskie, właściwe krainie kosodrzewu w naszych Tatrach. Ziemia po brzegach takich zarostów żywi już znaczną ilość ziół alpejskich, o krótkich łodyżkach i wielkich kwiatach, spokrewnionych dość blisko z roślinnością naszych Tatr, bo należących do rodzajów *Anemone, Alsine, Cerastium, Saxifraga, Aster, Erigeron, Hieracium, Anthemis, Campanula, Gentiana, Veronica, Centaurea i k. i.*

Posuwaliśmy się zwolna w górę zajęci zbieraniem roślin i układaniem ich w papiery, nie zważając, że bok góry staje się coraz stromszym i że spuszczenie się po nim ku lodowcom jest prawie niemożebnem. Ażeby ułatwić sobie przystęp

do nich, trzeba było zboczyć na lewo i dostać się na połogie siodło, z którego przystęp był łatwiejszym. Tak też zrobiliśmy. Wydobywszy się z jaru, spostrzegłem na lewo na pagórku małą piramidę kamienną, którą wziąłem w pierwszej chwili za znak trygonometryczny, ale wywiódł mię z błędu mój przewodnik, upewniając, że i to jest miejsce święte, do którego ściągają raz do roku nabożni Osetyńcy z okolicznych aułów. W szparach pomiędzy kamieniami znalazłem tutaj rzeczywiście liczne ślady takich odwiedzin w postaci lampek, potłuczonych flaszek, kawałków odzieży, nici, drutu i szkła, a na wierzchołku piramidki spoczywała głowa ozdobiona parą pięknych rogów, należących do antylopy właściwej tutejszym górom, nazwanej przez Osetyńców turem. Zapytany o znaczenie tych przedmiotów przewodnik tłumaczył się niejasno, mieszając osetyńskie wyrażenia z rosyjskiemi i zakończył uwagą, że „kozła ubili i zjedli, a głowę ofiarowali Panu Bogu".

Gleba na tej wysokości była pokryta drobnym żwirem, w pośród którego sączyły się maleńkie potoczki, ściekające zwolna z płatów śniegu, jakie przechowały się w zagłębieniach pomiędzy skałami. Po brzegach tych potoczków rosło kilka skalnic i innych roślin alpejskich, różnych od tych, jakie napotkałem poniżej. Spadek góry stawał się coraz znaczniejszym, a pochód w górę coraz bardziej nużącym. Stanąwszy na siodełku ujrzałem przed sobą ogromną płaszczyznę, pokrytą jednostajną skorupą stwardniałego śniegu, z pośród którego sterczało kilka ciemnych wysp skalistych. Wierzchołek Kazbeka był zakryty przed oczyma naszemi, bo chmury połączyły się w jednostajną powłokę, tworzącą nad głowami naszemi jasny, mglisty dach i spływały się w niedającej się oznaczyć odległości ze śnieżną płaszczyzną. Spuściwszy się na kilkaset kroków w dół, znalazłem się nad brzegiem lodowca nazwanego Orciri. Aneroid pokazywał w tem miejscu 10.200 stóp wzniesienia nad poziom morza, ale lodowiec spuszcza się jarem znacznie niżej, bo dolna jego kończyna została oznaczoną na 9.040 stóp. Grubość lodowej skorupy wynosiła na brzegu od półtora do dwóch metrów, a topniejąca woda, ściekając zwolna ku spodowi porobiła w tym brzegu liczne jamy i zagłębienia; promienie słoneczne działają równocześnie niszcząco i na powierzchnię lodowca, która zaklęka się na niezliczonych punktach i przedstawia obraz słabych fal wodnych, nagle zamrożonych; ale gdzie słońce nie dochodzi, tam powierzchnia lodu jest zupełnie równa. Barwa śniegu nie wszędzie jest jednostajną, bo gdy kopuła Kazbeka jaśnieje najczystszą białością, to brzegi płaszczyzny lodowej, przypierające do skał, wyglądają, jak gdyby były zlekka czarnym pyłem obsypane, a język lodowy spuszczający się w wązki jar u stóp naszych, odznaczał się brudno-ziemną barwą. To zabrudzenie tutejszych lodów jest następstwem ustawicznego wietrzenia skał sąsiednich, które rozsadzane w porze zimowej przez wodę marznącą w ich szczelinach, spadają w czasie roztopów w mniejszych lub większych odłamkach po stromych brzegach, rozrzucając równocześnie ziemię i drobny żwir. Głazy spadające na lodowiec spuszczają się zazwyczaj po nich w doliny, gdzie tworzą z biegiem czasu nasypy, znane w Alpach pod nazwą moren; drobniejsze kamyki i ziemia spadająca z niemi pozostają na miejscu i powodują ciemną barwę lodu. Ta skłonność skał tutejszych do wietrzenia sprawia zapewne, że i woda w potokach i rzekach górskich jest zawsze brudna i pomieszana z ziemnemi cząstkami. Powierzchnia lodowca była w kilku miejscach połupana w poprzeczne szczeliny, głębokie na kilka metrów, które są skutkiem bezustannego obsuwania się masy lodów po pochyłej i nierównej płaszczyźnie.

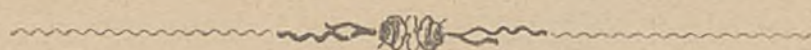
Roślinność na tej wysokości znalazłem bardzo zajmującą. Prawie wszystkie formy należą do rodzajów reprezentowanych obficie w Tatrach i Alpach, ale przedstawiają odmienne gatunki. Tylko *Dryas octopetala* jest wspólną obu krainom, a pomimo ogromnej odległości, dzielącej Kaukaz od Tatr, nie mogę dopatrzyć

się żadnej różnicy pomiędzy okazami z tych dwóch stanowisk. Do najozdobniejszych utworów należą tutejsze pierwiosnki; jeden gatunek, jaki dnia tego zebrałem, nie ustępuje w niczem najpiękniejszym auryklom ogrodowym.

Wspomniałem powyżej, że z lodowej płaszczyzny, zalegającej podnóże Kazbeka, sterczy w tem miejscu kilka odosobnionych, ciemnych, skalistych wysepek. Poznanie roślinności wysepek takich jest w ogóle rzeczą bardzo pożądaną, bo chociaż nie zawiera ona żadnych form odrębnych, wyłącznie takim stanowiskom właściwych, to może udzielić bardzo ważnych wskazówek co do wieku niektórych roślin i ich wędrówek. Ponieważ nie było zbyt późno, przeto postanowiłem dostać się do jednej z takich wysepek. Pozostawiwszy wszelkie niepotrzebne przedmioty w ukryciu, ruszyliśmy w obranym kierunku. Pochód był trudnym, bo powierzchnia lodowca odtajała i oślizgła i ażeby uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa wyszukiwaliśmy miejsca najnierówniejsze, co nam nie mało drogi przysporzyło. Jakoż po niemałym trudzie spostrzegłem z niezadowoleniem, że źle oceniłem odległość, bo była ona w rzeczywistości większą, aniżeli przypuszczałem na oko. Pomimo to postanowiłem wytrwać w zamiarze i szedłem, nie zważając na znużenie. Ale równocześnie mglista powała, która zawisła nad naszemi głowami i zasłaniała nam szczyt Kazbeka, poczęła obniżać się i zakryła zupełnie naszą wysepkę. Straciwszy z oczu cel wyprawy, straciłem i większą część odwagi; ale i ta przykrość nie powstrzymała nas w pochodzie i posuwaliśmy się jeszcze dość długo w przypuszczalnym kierunku, nie mając pewności czy dobrze idziemy. Ale płaszczyzna lodowa stawała się coraz spadzistszą a pochód był coraz trudniejszym. Wieśniak towarzyszący nam pośliznął się, upadł na ziemię i znikł nagle we mgle; zjechał on przynajmniej na czterdzieści kroków w dół, gdzie zatrzymał się z trudem, wbiwszy silnem uderzeniem laskę w śnieg, której na szczęście swoje nie wypuścił z rąk, a powróciwszy do nas oświadczył kategorycznie, że on „nie durak“ ażeby łamał kark za kwiatkami i że ani kroku dalej się nie ruszy. Poczciwy Hucinwoł nie opuścił mię w tem przykrem położeniu i poleciwszy nam odpocząć przez chwilę, oddalił się, ażeby wybadać dalszą drogę. Powrócił on po dwudziestu minutach i powiedział mi to, na co byłem przygotowanym, a mianowicie, że nie jest pewnym, czy idziemy we właściwym kierunku i że spadzistość lodowej płaszczyzny jest dalej jeszcze większa i nie radzi narażać się na niebezpieczeństwo. Usłuchałem zdrowej jego rady i zaniechałem dalszego pochodu, a strzegąc pilnie śladów zostawionych przez nasze obuwie na lodzie dostaliśmy się wkrótce do miejsca, gdzie były ukryte nasze rzeczy.

Wyznaję otwarcie, że świeża otucha wstąpiła we mnie, gdym zamiast oślizgłej, spadzistej, zlodowaciałej płaszczyzny poczuł znowu ziemię pod nogami. Pozostałych kilka godzin poświęciłem zbieraniu roślin i szedłem w tym celu bezustannie w górę, trzymając się brzegów lodowca. Nie jestem w stanie powiedzieć gdziem doszedł, bo mgła była tak gęstą, że towarzysze moi stawali się w odległości kilkunastu kroków niewidzialnymi, ale to wiem, że na punkcie, od którego odwrót się rozpoczął, aneroid pokazywał 11.400 stóp angielskich wzniesienia nad poziom morza.

Powróciliśmy w dolinę tą samą drogą, którąśmy tutaj przybyli. Wieczór przepędziłem w gronie miłych towarzyszy, którzy spóźnionym moim powrotem byli już cokolwiek zaniepokojeni. Dzień następny przeznaczyłem na uporządkowanie roślin przyniesionych z ostatniej wycieczki, a trzeciego dnia rano ruszyłem w dalszą drogę przez wąwóz Daryałski do Władykaukazu.



SPIS MCHÓW

zebranych i oznaczonych

z wycieczek w Tatry w 1876 i 1877.

PRZEZ

Dra Tytusa Chałubińskiego.

(Patrz Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego tom III. str. 28).

Amblystegium irriguum. *Wils.*
Andraea rupestris. *L.*
— sparsifolia. *Zett.*
Anodus Donianus. *B. E.*
Anoectangium compactum. *Sch.*
— Sendtnerianum. *B. E.*
Atrichum undulatum. *L.*
Barbula convoluta. *H.*
— fallax. *H.*
— fragilis. *Wils.*
— gracilis. *Schw.*
— inclinata. *Schw.*
— paludosa. *Sahw.*
— ruralis. *L.*
Brachyodus trichodes. *W. &. M.*
Brachythecium cirrhosum. *Schw.*
— plumosum. *Sw.*
— rivulare. *B. E.*
Bryum argenteum. *L.*
— Duvalii. *Voit.*
— fallax. *Milde.*
— pallescens. *Schl.*
Bryum turbinatum. *H.*
Campylopus flexuosus. *L.*
— Schimperi. *Milde.*
Campylopus Schwartzii. *Sch.*
Catoscopium nigritum. *H.*
Cinclidium stygium. *Sw.*
Cynodontium gracilescens. *W. & M.*
Dicranella Grevilleana. *B. E.*
Dicranodontium circinatum. *Wils.*
Dicranoweisia Bruntoni. *Sw.*
Dicranum flagellare. *H.*
— longifolium. *H.*
Diphyscium foliosum. *L.*
Encalypta commutata *N. & H.*
— rhabdocarpa. *Sch.*
Ephemerum serratum. *Schrb.*
Fissidens adianthoides. *L.*
— decipiens? *Not.*
— gymnandrus? *Buse.*
— osmundoides. *H.*
— pusillus. *Wils.*
Geheebia cataractarum. *Sch.*
Grimmia anodon. *B. E.*
— elatior. *B. E.*
— elongata. *Kaulf.*
— funalis. *Sch.*
— Hartmanii. *Sch.*
— pulvinata. *L.*
— torynata *Grev.*
Gymnostomum curvirostre. *H.*
— rupestre. *Schw.*
— — var. compactum.

Gyroweisia reflexa. *Brid.*
— tenuis. *Schrd.*
Hymenostomum crispatum. *N. & H.*
— tortile. *Schw.*
Hypnum aduncum. *H.*
— alpestre. *Sw.*
— exannulatum. *Gümb.*
— falcatum. *Brid.* var. gracilescens.
— fluitans. *H.* var. falcatum.
— ochraceum. *Wils.*
— pallescens. *Sch.*
— stramineum. *Dicks.*
Leucobryum glaucum *L.*
Neckera pennata. *Hall.*
— Sendtneriana. *B. E.*
Orthothecium chryseum. *Sch.*
— intricatum. *Hartm.*
Orthotichum anomalum. *H.*
— cupulatum. *Hffm.*
— fastigiatum. Br.
— stramineum. *Hsch.*
Plagiothecium pulchellum. *H.*
Pleuridium nitidum *H.*
Pogonatum aloides. *H.*
Polytrichum gracile. *Menz.*
— sexangulare. *Flörke.*
Pottia latifolia. *Schw.*
Pottia truncata. *L.*
Racomitrium aciculare. *L.*
— fasciculare. *Schrd.*
— patens. *Dicks.*
— protensum. *Al. Br.*
Rhabdoweisia denticulata. *Brid.*
— fugax. *H.*
Seligeria pusilla. *H.*
— tristicha. *Brid.*
Sphaerangium muticum. *Schrb.*
Sphagnum cuspidatum *Ehr.*
— Girgensohni. Russ. var. squarrosulum.
— Mülleri. *Sch.*
— rigidum. *Sch.* var. compactum.
— squarrosum. *Pers.*
— — var. squarrosulum.
Tetraplodon mnioides. *L.*
Tetrodontium repandum. *Fk.*
Thuidium decipiens. *Not.*
Timmia austriaca *H.*
— megapolitana. *H.*
Trematodon ambiguus. *H.*
Ulota crispula *Br.*
Webera acuminata *H. & H.* var. minor.
— polymorpha *H. & H.*
— — var. brachycarpa.
Zieria julacea. *Dicks.*



Niespodziewanym i bardzo niezwykłym faktem jest obecność delikatnych, drobniutkich mchów z rzędu: *Cleistocarpae*, na wysokości przeszło 820 metrów, od północnej strony Tatr.

Dotąd znalazłem ich trzy gatunki, a mianowicie: *Pleuridium nitidum, Sphaerangium muticum* i *Ephemerum serratum*, (odmiana bardzo charakterystyczna i dotąd nieopisana.

Wszystkie trzy rosną na polach uprawnych leżących ugorem i owocują w początkach lata.

Pleuridium nitidum znajdowałem nadto w wielu innych, daleko jeszcze wyższych miejscowościach. Stałym towarzyszem pomienionych trzech gatunków jest *Barbula recurvifolia*, najczęściej płonna, tudzież *Pottia truncata*, bez porównania jednak rzadsza od poprzedniej.

WYCIECZKA
NA CZARNOHORĘ

PRZEZ

WŁODZIMIERZA HANKIEWICZA.



W miesiącu sierpniu r. 1876. krótko przed wycieczką urządzoną przez Stanisławowski oddział Tow. Tatr., przedsięwziąłem po długiej wędrówce po naszem żyznem Podolu podróż w góry. Znane mi już były nasze góry, znane uczucia i wrażenia jakiemi one napełniają umysł i duszę, lecz mimo to cieszyłem się niewymownie, nadarzyła mi się bowiem sposobność zwiedzić nieznaną mi dotychczas krainę, królowę naszych gór karpackich, Czarnohorę. Przypomniałem sobie godło naszego Towarzystwa:

W góry! w góry, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię!

i ruszyłem w drogę.

Z Buczacza przez Stanisławów, Nadwórnę i Delatyn przybyłem drugiego dnia do Tatarowa. Noc była ciemna, gęsta mgła rozścieliła się wzdłuż doliny, słychać było tylko szmer wartko po kamykach pomykającego Prutu. Jadąc zwolna spytałem przechodzącego gościńcem hucuła o mieszkanie leśniczego. Hucuł usłużny nie zbył mię tylko pokazaniem, lecz odprowadził na miejsce, gdzie jakby dawny znajomy serdecznie powitany i na nocleg przyjęty zostałem.

Wstałem rano, zanim słońce zeszło. Leśniczy zawiadomiony o moim zamiarze przysposobił do dalszej wycieczki. Pośniadawszy, wyruszyłem równo ze wschodem słońca wraz z dwoma dobrze z tutejszemi górami obznajomionymi przewodnikami w dalszą podróż, w dwa konie, z których jeden objuczony był potrzebami

podróży, drugi zaś miał mi służyć jako wierzchowiec. Zostawiwszy gościniec rządowy po prawej stronie, przeprawiłem się na lewo przez Prut, którego brzegiem postępowałem w kierunku południowym. W niespełna godzinę drogi nagina się dolina ku wschodowi. Wśród tej doliny, a mianowicie od jej załomu, rozsiedliła się po obu brzegach Prutu wieś Worochta, gdzie wstrzymałem się u podleśniczego celem otrzymania bliższych wyjaśnień. Czyste powietrze dnia pogodnego dozwalało z pagórka, na którym zbudowaną jest podleśniczówka, przypatrzyć się z dołu tym pięknym górom, odgraniczającym od południa naszą krainę od węgierskiej. Od głównego pionu zbiegają rozliczne odnogi zniżając się dosyć łagodnie, w Prutu dolinę. Od strony północnej zamyka rzeczoną dolinę dział Worochciański, zmierzający od szczytu, zwanego Kitylówką, w kierunku południowym, do głównego pionu. Grzbiet tej odnogi stanowi dział między Prutem a Czeremoszem. Z pod szczytu Kitylówki wypływa Ilcia, dopływ Czeremosza. Inne odnogi od końca namienionego pasma gór, zamykają poprzeczne, mocno zagłębione i zwężone doliny, które przerzynają górskie potoki i raźno jako gór dzieci, wijąc się gdyby wąż i szemrząc jak gdyby były niezadowolone z przeszkód tu i owdzie napotykanych, pomykają w kierunku prostopadłym, ażeby swojemi wodami zasilić nurty Prutu.

Zanim opuściłem obrane stanowisko, dozwalające mi rozglądnąć się po całym doliny obszarze, zwróciłem zwrok mój ku południowi, gdzie na krańcu widnokręgu, dostrzegłem dumnie wznoszący się szczyt góry, kształtem do głowy cukru podobny. Oczarowany i w zadumę pogrążony tym widokiem, spytałem po chwili o nazwę tego ogromu. „Taż to Howerla, najwyższy szczyt Czarnogóry — rzecze przewodnik — pod jej szczytem dziś nam nocować, a pana jak gdyby do miejsca przykuł. Spieszmy, bo droga daleka, a ztamtąd widoki piękniejsze“. Usłuchałem więc i ruszyłem dalej.

Wkrótce opuściliśmy wieś, a zaraz za wsią dostaliśmy się w las. Stoki głównego pionu zalesione są przeważnie lasem świerkowym. Tylko głównym grzbietem odnogi ciągną się pojedyncze halizny służące jako pastwiska, albo sianożęcia. Jest to hucuła zwyczajem gór grzbietami torować sobie ścieżki, nazwane przez nich plajami; on zawsze chce być wolny, zawsze chce mieć daleko otwarty widnokrąg, nie zważa na to, jaką wskutek tego wyrządza szkodę. Spostrzegłem także tu i owdzie stromo obniżające się stoki, w zamiarze rozszerzania pastwiska zupełnie z drzewa ogołocone; ale zamiar nie został osiągnięty, bo raptowne ulewy uniosły z sobą długowieczną pracę przyrody, a nagie skały zostały jako dowód nierozsądku i wandalizmu. Hucuł to pierwszy lasu nieprzyjaciel; on w pochodzie swoim znaczy sobie drogę narąbywaniem drzew, a nie spocznie nie rozłożywszy silnej watry.

Kto o czem, a leśnik o lesie; ale cóż mam robić, gdy scieżka zwolna i nieznacznie wznosząca się, ciągle lasem wiedzie. Jesteśmy wśród lasu w dosyć obszernym i głębokim wondole, który myśliwiec nazywa głuchą knieją, i trafnie; cisza wokoło, przez złączone korony drzew promienie słoneczne ledwie się przedrzeć zdołają; charakter poważny i jak zwykle w dobrze zwartych świerkowych lasach melancholiczny; a mimo to wywiera on na człowieku wrażenie przyjemne, rozbudzające myśl poważną. Paprocie, porosty i mchy znamionują, że się znajdujemy w krainie górskiej; gonne i zdumiewających rozmiarów świerki, wznoszą się w górę, gdyby piramidy egipskie, wzrost ich potęgują znamienicie z gór zniesione i tu osadzone namuły, zasilone znaczną przymieszką próchnicy. Rozmyślając nad utworzeniem się wierzchniej warstwy gleby, tej macierzyńskiej karmicielki wszystkiego co żyje, przypomniałem sobie wiersz umieszczony na stronicy 25 w dziele Rossmaesslera „der Wald“. Przytaczam go więc na tem miejscu:

Unablässig saugt die Lippe
Der Verwitterung an der Felsenklippe;
Fest Gebundnes muss gelöst zerfallen.
Und da fühlt das Starre Regung,
Was geruht bekommt Bewegung,
Mit dem Bache muss es thalwärts wallen.

Unten wird es Muttererde,
Ruft der Pflanze: leb' und werde,
Sei Vermittlerin für höh'res Leben!
Darum ist es tiefe Wahrheit,
Unsres Seins Erkentnissklarheit:
Dass wir alle an der Scholle kleben.

Przypatarzmy się jeszcze tym zasobom, które przyroda nagromadziła tutaj od początku stworzenia. Tu przedstawia się nam początek i koniec, obok życia roślinnego; śmierć nieubłagana powaliła na ziem swierków kolosy; w pośród drzew najsilniejszego rozwoju, utrzymują się poprzednio obumarłe świadki przeszłych stuleci, i stoją jako pomniki dawnej wielkości, bez gałęzi i wierzchołków, obnażone z kory, a podziurawione przez dzięcioły, szukające owadów. Tam zaś dalej sterczy w pośród młodzi staruszek świerk, którego wiatry pozbawiły wierzchołka. Zczerwoniałe szpilki świadczą o dokończonym kresie życia. Wszerz i wzdłuż leżą powalone drzewa, jakgdyby umyślnie sporządzony zasiek. Wiatry złośliwe i swawolne rozgospodarzyły się w tem miejscu na piękne, a otworzywszy lukę rozpoczęte dzieło zniszczenia szerzą coraz dalej. Nie jest to wprawdzie las dziewiczy, gdyż człowiek pociągał już z niego użytek, a lubo odległy i nieprzystępny, siekiera już i tutaj zawitała; wszelako las ten nie stracił jeszcze wszystkich znamion lasu dziewiczego. Obraz wzniosłego dzieła przyrody, dzika romantyczność, życie i śmierć walczące na każdym kroku, przemaga nawet najsilniejszą, czyli raczej najtwardszą duszę do upokorzenia się wobec tej wielkości i wspaniałości dzieł Stwórcy.

Opuszczam tę miłą dla mnie ciszę leśną i spieszę dalej, ciągle brzegiem Prutu. Minąłem bagnistą polanę Luh, przeszedłem spory szmat lasu i około południa zdążyłem do polany zwanej Bukowiną. Zastanowiłem się nie mało, spostrzegłszy wśród nieprzejrzanej przestrzeni leśnej kilka zamieszkałych domów. Maleńki ogródek, kawałek łąki leśnej a przy tem kilka sztuk bydła, to cały na utrzymanie hucuła i jego rodziny starczący dobytek. Spieszyłem, więc nie mogłem się zatrzymać, a zresztą w domu oprócz młodej dziatwy wiekiem złamanych starców, nie zastałbym nikogo. Postępując w tym samym kierunku, ciągle lasem, pod którego cieniem wiedzie nieznacznie wznoszący się plaj, stanąłem około drugiej godziny z południa na polanie, zwanej Hawrylec, w pośród której znajduje się koliba i okół dla bydła rogatego. Bydła tego dozorowała mniej więcej 20-letnia dziewczyna i dwóch niedorostków. Zdziwiło mię, że w tak dalekiem ustroniu leśnem powierzono dozorowanie całego jednej huculskiej rodziny majątku słabej dziewczynie. Jeden z przewodników moich, który znał pasterkę od lat kilku, oświadczył mi atoli, że rzadko znajduje się pasterz, któryby był tak nieustraszony, tak sprytny i jak ona zapobiegliwy. Pomyślałem sobie więc, że tylko dziewy gór, wyrosłe wśród tych wzniosłych szczytów i nieprzejrzanej okiem lasów matni tak śmiałe być mogą.

Tu na tej polanie cokolwiek nad brzegami Prutu wzniesionej, rozłożyłem się taborem, gdyż tak konie jako i my potrzebowaliśmy spoczynku. Wprawdzie nie byliśmy zmęczeni, lecz głód nam dokuczał. Kawałek zimnej pieczeni i szklanka wina stanowiły cały posiłek. Lubo przywykłem do takich obiadów, lecz otwarcie wyznać muszę, że może nigdy jeszcze z takim nie spożywałem smakiem. Kilkudniowa wędrówka po górach wyleczyłaby zupełnie skarżących się na brak apetytu. Jakkolwiek nie wiele czasu potrzebowaliśmy dla naszego posiłku, wszelako wstrzymać musieliśmy się cokolwiek dłużej, aby konie wypoczęły. Zszedłem więc do Prutu, w zamiarze bliższego poznajomienia się z nim. Prut płynie tutaj wązkiem korytem, spadek jego znaczny, koryto kamieniste i skaliste, tu i owdzie znajdują się większe zagłębienia, wyborne miejsca do kąpieli i ulubione siedliska pstrągów; woda czysta jak kryształ dozwala policzyć każdy na dnie koryta spoczywający kamyczek. Stojąc nad brzegiem dostrzegłem w niedalekiej odległości rybaka. Odkrycie to ucieszyło mię mocno, tembardziej że hucuł smukły jak jodła, oparty o skałę, pod cienistym lasu okapem, zważający cierpliwie na każde wędki drganie, przedstawił mi obraz dotąd niewidziany. Daremnie łudziłbym się na opis tej chwili, żałowałem, że nie jestem malarzem, ażebym z ukrycia zdjąć mógł ten widok przepyszny. Zbliżyłem się do rybaka i zawiązałem z nim rozmowę. Dowiedziałem się od niego, że dzierżawi rybołostwo od skarbu nadwórniańskiego, już nie pomnę za jaką kwotę, począwszy od wsi Worochty aż po Howerlę. Obowiązany on jest ściśle przestrzegać ustawy, zaś we własnym interesie musi dozorować — w czem mu zresztą dopomagają pasterze — ażeby nieproszeni goście nie uszczuplali jego prawa. Według jego twierdzenia, pstrągów w Prucie niewiele, lecz zawsze więcej jak w Czeremoszu, gdzie bezustanny niepokój po całym lesie, ciągłe spławianie drzewa, wolne rybołostwo i nieprzestrzeganie przepisów ustawy, przyczyniają się do coraz większego ryb zmniejszenia. Dzisiejszy połów był dosyć znaczny, trzydzieści pstrągów rachowanych w saku nie zdołał rybak odszukać, odkupiłem więc od niego tylko dwanaście, które miał przy sobie, za cenę żądaną centów 30. Będzie dobra, pomyślałem sobie wieczerza, którejby mi nie jeden smakosz pozazdrościł.

Nie zatrzymując się dłużej, rozstałem się z hucułem i wróciłem do przewodników i koni, zkąd po małej chwili wyruszyliśmy dalej. W pół godziny dotarliśmy do Fokarskiego gronia. Odtąd rozstajemy się z Prutem, który u stóp Fokarskiego gronia wązkim zworem, w kaskadach pomyka na dół, i tylko szmerem swoim, jak gdyby z rozstania się z górami rodzinnemi był niezadowolony, zdradza swoje istnienie.

Plaj wiodący grzbietem Fokarskiego gronia, najeżony kamieniami i zasiany drobnym żwirem, wznosi się z początku łagodnie a dalej coraz to stromiej. Postępując zwolna, dostrzegłem odmienny lasu charakter. Postawa jego, to jest wierzchnia warstwa gleby, płytka i mało w próchnicę zamożna, jest gęsto bryłami kamieni przetkana, a wzrost drzewa ustaje czem dalej w górę postępujemy, rozgałęzienie jest silniejsze i więcej obniżające się. Z doświadczenia wiedziałem, że zbliżamy się do krańca lasu. Powyżej przedstawiłem obraz lasu na dole, gdzie spokój i cisza panuje, gdzie każda roślina swobodnie się rozwija, gdzie wreszcie pewna bytu swego, dumnie w górę się wznosi. Tutaj zupełnie inaczej, pozrywane przez wiatry wierzchołki, połamane gałęzie, głęboko i daleko pomiędzy skał szczeliny zapuszczone korzenie, świadczą o ciągłej walce. Jest to straż przednia, która zwartym szeregiem wytrwale stawia opór groźnym i licznym nieprzyjaciołom, która walczyć musi o swój własny byt, zapewniając podjętą walką spokój i swobodę poniżej rozsiedlonej spokrewnionej rodzinie. Nie omyliłem się, że dochodzimy do

górnej lasu granicy. Wkrótce wyszliśmy z niego i znaleźliśmy się na połoninie, zasypanej odłamami skał i grubem kamieni rumowiskiem.

Gdyśmy las opuścili, słońce już zaszło. Po nocy błądzić trudno, trzeba było pomyśleć o noclegu. Skoro zbliżyliśmy się do znajdującej się tutaj stajki czyli koliby, zewsząd opadły nas psy, niedozwalając przekroczyć granicy powierzonej ich dozorowi. Głos watażki powstrzymał psy w ich zapędzie; rozstąpiły się wprawdzie na boki, lecz mrucząc nie spuszczały nas z oka, jak gdyby nam nie dowierzały. U stajki pozdrowiłem watażkę i prosiłem, by nam pozwolił przenocować, bądź to w stajce, bądź też w jej pobliżu. Hucuł znany z gościnności, serdecznie nas powitał i na nocleg przyjął. Wkrótce przystąpiono do dojenia owiec, a uprzątnąwszy się z tą czynnością, rozeszli się pasterze oglądnąć, czy wszystko jest w porządku. Po chwili usłyszałem wystrzał z przeciwnej strony drogi, a w końcu trzeci. Odgłos rozległ się po całym lesie i odbijając się o nagie szczyty tysiącznem echem, zwolna ucichł. Pasterze używają tego środka zwykle w celu wystraszenia niebezpiecznego dla trzody zwierza. Gdy się wszyscy poschodzili i ja wszedłem do wnętrza koliby. Pasterze i moi przewodnicy obsiedli watrę, ponad którą zawieszony był kociół dosyć obszernych rozmiarów. Watażka krzątał się około sporządzenia wieczerzy. Ugotowawszy mamałygę, wyrzucił ją z kociołka na talerz drzewiany, odciął kawał dla mnie, obdzielił pasterzy a resztę postawił przed przewodnikami. Dla mnie przysposobił nadto bundza i mleka a dla przewodników, do których sam się przysiadł, maczankę. Zanim rozpoczęliśmy wieczerzać wyjąłem flaszkę wódki i wręczyłem ją watażce, by wszystkich poczęstował. Połowa przyniesionych pstrągów upieczona na mocno rozgrzanym kominie, służyła mi za przekąskę po wódce. Drugą połowę przeznaczoną na drugie śniadanie dnia następnego, przyrzekł watażka uwędzić. Po wieczerzy każdy z mieszkańców koliby obdarzony przezemnie tytoniem, z czego bardzo byli zadowoleni, zajął się sprzątaniem; ten wypłukiwał dojnice, ów karmił psy żentycą, inny przysposabiał drzewo do watry. Wszystko spełniali na skinienie watażki, gdyż on tu ich panem i władzą. Ja miałem spać na tapczanie, nałamano więc drobnej choiny, która rozpostarta na desce, zastępowała materac. Przed udaniem się na spoczynek pomodlił się każdy, ja zaś wyszedłem przed kolibę i usiadłem na kamieniu, by się przypatrzyć przecudnej gwiazdzistej nocy. Wszystko już spoczywa, a ciszę uroczystą tego majestatycznego ustronia przerywa tylko głuchy szum lasu i szmer pobliskich strumyków, które w harmonijną całość ujęte, modlitwie się równają. Zdaje się jak gdyby ten harmonijny śpiew przyrody wzywał człowieka do wzięcia udziału w przecudnym chórze, zdaje się upominać go do złożenia hołdu Stwórcy wszechświata.

Byłbym długo jeszcze myślał i marzył, gdyż posrebrzone blaskiem księżyca lasy i gór szczyty, gęsta mleczna mgła zalegająca dolinę, świeże i lekkie powietrze, rozmaitość ostro zarysowanych krajobrazów, nęciły wzrok ciągle w inną stronę. Tu wśród tej dla malarza, poety i marzyciela nieprzebranej skarbnicy natchnień i obrazów, nie byłbym się pozbawiał tych chwil przyjemnych, gdyby przebudzony watażka nie zwrócił mej uwagi, że noc krótka a wschodu słońca na szczycie Howerli oczekiwać trzeba. Usłuchałem dobrej rady i udałem się na spoczynek.

Zaledwie zorza ranna zaczęła rozpraszać ciemność nocną, wstałem i z jednym przewodnikiem udałem się od Zaroślaka na szczyt Howerli. Nie o podal od koliby wznosi się dosyć obszerny taras zasiany wielkiemi bryłami kamieni, porośniętemi kosodrzewiną. Ponad tym tarasem wznosi się drugi. Oba tarasy ujęły w swoje ramiona stromo obniżające się stoki Howerli. Z wyższego wypływa strumyk i po krótkim pochodzie zrzuca swoje wody z kilkunasto - sążniowej wysokości, tworząc wodospad nazwany tutaj hukiem, wiecznie bowiem pluska, szemrze i szumi. Stoki

zamykające ten załom są miejscami skaliste. Kosodrzew wspólnie z olchą górską podjęły tutaj walkę na życie lub śmierć w celu opanowania skalistych urwisk. Kosodrzew pełzając po ziemi, jak gdyby z nienacka chciał ująć nieprzyjaciela, zapuszcza swoje korzenie w szczeliny skał, a wywalczywszy jakie takie stanowisko i często oberwaniem się jednego głazu, zagrożony byt, pokrywa swojemi elastycznemi i w różnych kierunkach daleko sięgającemi gałęziami nagie upłazy skaliste. Dostrzegłem i tu niestety, że pasterze w źle zrozumianym interesie wyrębują kosodrzew i pozbawiają życia tych nieustraszonych szermierzy.

Ścieżka wiodąca na szczyt Howerli zasiana gęsto grubym żwirem i przetkana bryłami kamiemi, wije się gdyby wąż. Wejście nie jest niebezpieczne, ale dosyć uciążliwe. Dla dostania się na szczyt potrzebowaliśmy $2\frac{1}{2}$ godziny. Przeliczyłem się mocno, spoglądając bowiem na Howerlę od Zaroślaka myślałem, że najdalej w godzinę u szczytu staniemy. Słońce już zeszło i ozłociło szczyty, w którego promieniach perły rosy przebijały jak kryształy. Widnokrąg ztąd obszerny i jak daleko wzrok zasięgnie okiem bujać możesz. Istny labirynt dołów i wąwozów, werteb i jarów, przesmyków i kotlin i Bóg wie jak tam nazwać wszystkie te rozmaitych kształtów zagłębienia. Z tych wszystkich wklęsłości mgła jeszcze nie ustąpiła, jak gdyby umyślnie, by żądnemu zawsze nowych wrażeń turyście przysposobić miłą niespodziankę. Jeszcze chwilkę promienie słoneczne zawitają w dolinę i odsłonią nam nowe widoki, które mgła ukrywa przed nami. Mgła ustąpiła, widok wolny. U podstawy góry, w zachodniej wązkiej dolinie leży Worochta; na wschodzie, we więcej rozszerzonej dolinie, którą Czarny Czeremosz płynie, Żabie. Na krańcu widnokręgu w północnym kierunku leży Kołomyja, dalej na zachód Stanisławów. Inne osady i miasteczka rozsiedlone wpośród krętych dolin, zasłaniają przed okiem widza wznoszące się poprzeczne pasma gór. Przypatrzmy się bliżej tym górom rozmaitych kształtów. Jak daleko oko sięga, policzyć można wszystkie szczyty; wznoszą się one gdyby kopuły ręką przyrody zbudowanych kościołów. Tam ostrogłowy Chomiak, tu w sąsiedztwie skaliste Szpyci, dalej Czarnohora, tam wreszcie piękne góry bukowińskie, a tu na południe szczyty gór węgierskich. Tyle pięknego i tak rozległego panorama wymarzyć sobie trudno, co chwila zmieniają się krajobrazy, jeden piękniejszy od drugiego i zdaje się, że gdyby się człowiek cały w nie wpatrywał, zawsze jeszcze odkryje coś nowego i zajmującego. Pierwszy widok tego majestatu wprowadza w zadumę i sprawia tak silne wrażenie, że na chwilkę wszelka myśl ustaje, ażeby później ochłonąwszy z podziwu, płynąć nieprzerwanem pasmem podobnie tutejszym strumykom, wydobywającym się z piersi gór i zmierzającym wesoło i swobodnie zawsze dalej i dalej.

Tu z tego szczytu chciałbym przemówić do tych, którzy po za kraju granicami gonią szukać wrażeń. Tu wrażenia silniejsze, gdyż potęguje je uczucie miłości, przed tobą jak daleko ku północy okiem sięgniesz kraj rodzinny, nasze wody, góry nasze, piękne lasy a heń dalej pola żyzne. Szum tutejszych lasów dźwięczy, gdyby głos ojczysty, szmer strumyków, równa się dźwiękowi mowy rodzinnej. Słusznie też poeta mówi:

Gdzie ty znajdziesz w obcej stronie
Takich jezior takie tonie!
Takie góry nad wodami!
Takie niebo nad górami!

Przeszło godzinę poiłem się temi uroczemi widokami, zmieniając jeden krajobraz po drugim i byłbym jeszcze pozostał na miejscu, lecz mgła gęsta, zimna

i wilgotna, osłoniwszy szczyty, zakryła przed nami wszystkie podziwu godne piękności, a że lekko byłem odziany, a mgła i wiatr północny dokuczać mi poczęły, więc za radą przewodnika, zeszliśmy ze szczytu i skryliśmy się po stronie południowej, tuląc się do skały.

Wyczekując ustąpienia mgły, przewodnik już dobrze ze mną obznajomiony, począł mi opowiadać o Doboszu. Legendę tę całkiem podobnej treści, a odmienną tylko co do miejsc, słyszałem nieraz od bojków w górach samborskich. Według opowiadania hucuła Dobosz miał swoje schroniska pośród skał tutejszych gór; tu miał pieniądze zakopać, a w Kosmaczu, we wsi graniczącej od północy z gminą Żabie, poległ od trzy razy poświęconej kuli, wskutek zdrady kochanki. Dzisiaj jeszcze wskazują w Kosmaczu ogród, w którym Dobosz życia dokonał.

Gdy hucuł skończył swoją opowieść, mgła się przerzedziła, wróciliśmy na szczyt, zkąd poczęliśmy schodzić do Zaroślaka. Przybywszy na miejsce, zastałem konie osiodłane. Wypiłem szklankę ciepłego mleka, a gdy przewodnik, który mi towarzyszył, pośniadał także, obdarzony przez watażkę sporym kawałkiem bundza, pożegnałem wszystkich i wszystko i ruszyłem w dalszą wędrówkę z tem przekonaniem, że tych chwil przyjemnych i tu odniesionych wrażeń nie zapomnę, jak długo życia.

Po krótkim pochodzie stanęliśmy pod szczytem zwanym Szpyci, z którego skalistej piersi Prut wytryska. Szpyci podobne kształtem do Howerli, z wyjątkiem podłużnego grzbietu. Więcej strome i skaliste, to też i śnieg dłużej się tutaj utrzymuje a często wcale nie ginie. Zdążając po pod szczyt, przeszliśmy na połoninę .ciągnącą się aż po Czarnohorę, ponad wyższą granicą lasu. Mniej przystępne i więcej poorane stoki, opanowuje tutaj kosodrzew, więcej łagodne porastają bujne i pożywne trawy.

Tu przedstawia się nam znów inny obrazek. W niedalekiej odległości, postępuje naprzód pasterz z fujarą, tutaj trombitą zwaną, z której dostawszy się na szczyt, wydobywa tony żałosne. Zdaje się jak gdyby swojej braci pozostałej w dolinie, wypowiadał tęsknotę za niemi i wzywał ich, ażeby go odwiedzili, gdyż on nie może opuścić swojej trzody. Za nim postępuje stado owiec, zaś po boku i z tyłu owczarskie psy pilnując stada, jako najlepsi i najbardziej troskliwi pasterze. Warto jest przypatrzyć się, jak pies owczarski zawraca od stada odbiegłą owcę, jak on jej drogę zachodzi, by się dalej nie oddalała, jak wreszcie, gdy go owca słuchać nie chce, szczęką ją zwolna w inną stronę kieruje. Najwięcej zachodu mają z kozami. Te stworzenia zawsze wesołe, sprytne i zgrabne, oddzielają się często od stada i wspinają się po skałach dla psa nieprzystępnych, w którym razie pies wstaje i szczeka, jak gdyby ostrzegał je przed grożącem niebezpieczeństwem i do powrotu nawoływał.

Bydła zastałem na połoninie mało, ogólna nędza wkradła się i tutaj.

Nieobznajomiony z temi górami, wyobraża sobie pewnie, że na tych połoninach od osad odległych wpośród tych skał i szczytów nie masz żadnego życia. Wszelako tak nie jest. Jak tylko śniegi stopnieją, a połoniny zaczynają pokrywać się zielenią, co zwykle przypada około zielonych świątek, wybierają się pasterze z powierzonemi ich pieczy trzodami w góry, gdzie pozostają aż do pierwszych mrozów. Wypędzanie bydła w połoniny stanowi dla hucuła największą uroczystość. Pasterzy odprowadza w góry w stroju świątecznym niemal wszystko co żyje i może. Życie góralskie skreślił Korzeniowski w pieśni górala, która lubo wszystkim znaną być musi, przytoczę w całości, ponieważ osnutą jest wyłącznie na tle życia hucułów czarnohorskich:

Czerwony pas, za pasem broń,
I topor, co błyska z dala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń,
To strój, to życie górala!

Gdy świeży liść okryje buk,
I Czarnogóra zczernieje,
Niech dzwoni flet, niech ryczy róg;
Odżyły nasze nadzieje!

Pękł rzeki grzbiet, popłynął lód,
Czeremosz szumi po skale;
Nuż w dobry czas, kędziory trzód
Weseli kąpcie górale.

Połonin step na szczytach gór;
Tam trawa w pas się podnosi,
Tam ciasnych miedz nie ciągnie sznur,
Tam żaden pan ich nie kosi!

Dla waszych trzód tam paszy dość
Tam niech się mnożą bogato,
Tam runom ich pozwólcie róść,
Tam idźcie na całe lato.

A gdy już mróz posrebrzy las,
Ładujcie ostrożne konie,
Wy z plonem swym witajcie nas,
My z czarką podamy wam dłonie.

W dnie niedzielne i świąteczne na połoninach ruch niezwykły. Mieszkańcy u podnóża rozsiedlonych osad, starcy i młodzi, mężczyźni i kobiety, pieszo i konno spieszą w góry. Jedni z nich przychodzą odwiedzić bydełko, drudzy po bryndzę, inni po żentycę, zaś wszyscy razem, ażeby odetchnąć świeżem powietrzem i przypatrzyć się po tysiąc razy widzianym szczytom, które nigdy dla nich uroku nie tracą, i których nikt więcej od nich nie ukochał.

Południe dochodzi, pogoda śliczna, czysty szafir przeźrocza i lekkie gdyby nitki srebrzyste powietrza fale dozwalają wzrokiem daleko sięgnąć. Za mną więc na Czarnohorę, od której wiedzie nazwę całe pasmo gór pokuckich, za mną więc na szczyt, od którego wypożyczyliśmy nazwę dla naszego oddziału.

Z pod szczytu Szpyci, w niedalekiej odległości od źródła Prutu, wypływa Bystrzec. Między tym potokiem a u wstępu wspomnianą Ilcią, rozległ się odprysk gór obniżający się dosyć stromo w wązkich dolinach namienionych strumieni. Grzbietem wiedzie plaj od Howerli i od Szpyci, przez Maryszeską Wielką, Małą i Kostrzycę do Żabiego. Oprócz stromej pochyłości od podstawy, jakoteż przy końcowych wyżynach, plaj ten dogodnym nazwać można. Zalecam go turystom, ponieważ zdążając w góry tą drogą, ma się więcej otwarty widnokrąg, aniżeli postępując doliną Czeremosza, wskutek czego nadarza sposobność dokładniejszego poznania tych gór utworu, jako też uchwycenia licznych a bardziej zajmujących

obrazków przyrody. Pomiędzy potokiem Bystrzec i Dżembronią prowadzi działem wodnym plaj obniżający się w dolinie Czeremosza. Od Czarnohory wiodą trzy plaje, jeden przez Skoruszną, drugi przez Jawornik, trzeci zaś potokiem Szybeni. Wszystkie kończą się w dolinę Czeremosz. Czeremosza Czarny wypływa z pod szczytu Komanowe i niemal równolegle do głównego pionu tworzy wązką, lasem ciągnącą ku zachodowi otwartą dolinę. Zasilony wodami poszczególnionych strumieni, od połączenia się z Ilcią nagina się ku wschodowi. Po obu jego stronach rozsiedliła się w Żabiu dosyć obszerna dolina, która zwężać się poczyna w Krzyworówni. Pagórkami ponad Ilcią, nad górnym biegiem Czeremosza i jego dopływów pobudowane mieszkania hucułów przedstawiają malowniczy widok. Dolinę Czeremosza zamyka od północy przeciwległe pasmo gór, poorane licznemi górskiemi potokami.

Z głównego trzonu w niedalekiej odległości od źródeł Czarnego Czeremosza przy granicy węgiersko-bukowińskiej wypływa Czeremosz Biały i dąży, tworząc granicę między Galicyą a Bukowiną, w kierunku północnym. W Uścierykach łączy on swoje wody z wodami Czeremosza Czarnego. Między oboma w końcu namienionemi rzekami, wznosi się pasmo gór, rozszerzające się ku dolinie coraz więcej.

Grzbietem tego, jako też pierwej namienionych odprysków ciągną się połoniny, gdy stoki ich porasta las.

Odpocząwszy nieco zacząłem po krótkiej od dnia wczorajszego pozostałej przekąsce schodzić ze szczytu. Ależ to trudno, na każdym kroku niemal przedstawia się coś nowego. Ot i karawana jak gdyby wśród puszczy Sahary. Maleńka zachodzi różnica. Tam nieprzejrzana równina — tu wzniosłe góry; tam szare, bezużyteczne piachy, tu śliczną traw zielenią przyozdobione połoniny; tam wielbłądy, tu małe i zgrabne konie huculskie po kilka razem związanych, objuczone berbenicami napełnionemi bryndzą albo żentycą zmierzają ku domowi w towarzystwie hucułów, którzy krętemi i ponad przepaściami wiodącemi ścieżkami postępują przed i za końmi. Koń huculski nadzwyczaj wytrwały, zmyślny a jak koza zgrabny, jest nieocenionym w wędrówce po górach. Przepaście, które człowiek skłonny do zawrotu głowy przebywa nieśmiało i z obawą, koń tutejszy mija spokojnie i śmiało. Konie czystej rasy huculskiej, obecnie są rzadkością. Rozmnożenie tej rasy przyspożyłoby wiele korzyści i podniosłoby dobrobyt górskiej ludności. Dawniej nie było gospodarza, któryby nie miał konia, majętniejsi utrzymywali dosyć liczne stada; dzisiaj inaczej, majętnych gospodarzy mało, stada ich zeszczupiały, a biedniejsi nie mają wcale żadnych koni.

Rozpatrując się po połoninach przykro mi było, że musiałem rozstać się z niemi. Trudno było tu pozostać, pożegnałem się z niemi i zacząłem schodzić na dół. Minąłem krainę kosodrzewiny i ścieżką wiodącą pod cienistym lasu okapem, przełażąc często przez złomy ogromnych rozmiarów, przez które konie przeskakiwały, wyszedłem z lasu na polanę, odkąd ścieżką mniej stromą doszedłem do jeziora, znajdującego się tu na wysokości 4500 stóp nad poziomem morza wzniesionej.

Plaj, którym schodziliśmy, wije się w niedalekiej odległości od potoku Szybeni. Strumień rzeczony pomyka nadzwyczaj szybko, a rzucając swoje wody ze skały, tworzy liczne wodospady i malownicze kaskady, a szmerem swoim przerywa uroczystą ciszę.

Jezioro, o którem wspomniałem, powstało w nowszych czasach, prawdopodobnie w przeszłem stuleciu. Powstanie jego wyobraziłem sobie w ten sposób, że potok Szybeny podmulił sobie stoki gór, które stanowiły jego brzegi, a gdy te się usunęły, wypełnił swojemi wodami powstałą wklęsłość. Przypuszczenie to utwier-

dzają wśród jeziora znajdujące się drzewa, których wierzchołki sterczą ponad wodą. Drzewa te dowodzą, że usunięte stoki porastał las. Jezioro rzeczone obfitowało przed kilkunastu laty w pstrągi, które łowiono najczęściej nocą. Na tratwę siadało dwóch rybaków, jeden z pochodnią w ręku a drugi z przyrządem podobnym do harpuny, lecz znacznie mniejszy. Pstrąg ciekawy zbliżył się do światła, a ugodzony widłami, ciekawość życiem przypłacił.

Ztąd przechodząc z jednego na drugi brzeg Szybeni, zeszliśmy w dolinę Czeremosza, którędy przez krasny Łuh około wieczora doszliśmy do wsi Żabiego. Wójt żabiowski postarał mi się o podwodę i na noc całą ruszyłem przez Krzyworównię i górę Bukowiec, która dzieli dorzecze Czeremosza od Rybnicy do Kosowa. Gdyby nie ta okoliczność, że spieszyć musiałem, byłbym przenocował w Żabiu, gdzie zaproszony byłem przez wójta na nocleg. Drugiego dnia byłbym spławem odbył podróż do Kůt. Podróż taka jest o wiele więcej zajmująca. Nagie skały, cieśniny, dzika romantyczność, piękne gór kształty, żyzne, barwne łąki, zręczność hucułów i rozmaitość krajobrazów, nie pozwalają spocząć myśli, i wabią wzrok ciągle w inną stronę. To świat zupełnie inny, wszystko piękne i wzniosłe, wszystko zastanowienia godne, wszystko pouczające.

Hlibowicki, rodak tutejszy, tak się o tych pięknościach wyraża:

Tam ty brate w połonyni,
W stepi, w lisi — na caryni,
Szczaściem śmijeś koždyj kut;
Tož pred wsimy pobožusia,
Smiło skažu — ne bojusia
Raj siahał až tu po Prut.

Sześć dni w Tatrach.

WYCIECZKA BEZ PROGRAMU

PRZEZ

Tytusa Chałubińskiego



zadko tak wielu skarg na pogodę w Tatrach, jak w ubiegłem lecie. W istocie lipiec i sierpień do połowy był bardzo dżdżysty. Najzawziętsi „taternicy“ (tak zowią w Zakopanem tych, którzy dużo po Tatrach chodzą) zaledwie mogli upatrzyć stosowną chwilę by „wyskoczyć“, na swoje ulubione „wirchy“, a i tych często taka spotykała „psota“, że za powrotem wyglądali raczej jak podróżnicy z pod bieguna północnego. Inni znów pocieszali się, że wśród kilkodniowych deszczów lub śniegów mieli chwile „wspaniałe, przypominające stworzenie świata, a mianowicie odłączenie wody od lądów, światła od ciemności“ itp.

Zmuszony w drugiej połowie sierpnia opuścić Zakopane, wróciłem tamże dopiero we wrześniu, znękany moralnie i fizycznie, z małą już nadzieją pokrzepienia się na siłach. Wróciłem z deszczem, choć termometr stał najwyżej z całego lata. W parę dni barometr zaczął spadać a pogoda się polepszyła [1]), nie podobna było odwlekać. Uorganizowałem sobie wycieczkę „bez programu“, byle przeżyć kilka dni w górach.

W Zakopanem zaledwie kilka pozostało osób. Z wytrawnych taterników jeden tylko p. Stanisław Kruszyński, dr. fil. obecnie kończący specyalne studya rolnicze w Dublanach, zgodził się chętnie na tak utytułowaną wyprawę. Dobraliśmy sobie dziesięciu walnych górali.

Dla Boga, a pocóż tyle! No naturalnie dla tego, aby nam było weselej. Bylibyśmy może wzięli i więcej, ale już i pozoru brakło do tego.

---

[1]) Przepatrując moje notatki dostrzegam; że największą część wycieczek moich zwykle pogodnych, robiłem przy średnim stanie barometru i przy osławionym zachodnim wietrze.

I tak w orszaku naszym było nieprzymierzając jak w owej dawnej piosence, malującej niby to pogrzeb Malborougha na którym:

L'un a porté ses bottes
Et l'autre a porté les siennes.

Większa część górali czekać nas miała w Roztoce, my zaś z mniejszą liczbą pojechaliśmy wózkiem niezmordowanego w jeździe i śpiewie Marcina Tadziaka. Że w Tatrach i na Podolu wszystko i wszędzie jest piękne, byle słonko świeciło, o tem wiedzą wszyscy, którzy choć na chwilę tam byli. Ale wiedzą też taternicy, że mając dalszą wycieczkę przed sobą, odległości przedwstępne, zwłaszcza przez Bukowinę, przez którą się już tyle razy jechało, wcale nie są zabawne. Nie mówię już o złej, kamienistej drodze, o niewygodnem siedzeniu. Do pierwszej oddawna się przyzwyczaiło. O drugiem mówią górale kiedy im się robi uwagi, że mogliby lepiej urządzać siedzenie: „kto chce dobrze siedzieć, niechaj siedzi doma".

Najwięcej się przykrzy w czasie tych wstępów strata czasu i to pogodnego. By więc skrócić, a raczej osłodzić ów wstęp do wycieczki, trzeba sobie dobrać takiego naprzykład Marcinka. Para wcale dobrze wyglądających siwków, porządna uprząż; wozek mniej wprawdzie pokaźny ale wypróbowanej wytrzymałości; powódki (lejce) skrzyżowane — oto ekwipaż. Marcin jest postępowym; dotychczas zaledwie 3 czy 4 górali mają takie powódki. Twierdzą bowiem w ogóle, że „mądry koń obejdzie się bez tego". Goście są wprawdzie innego zdania, a co rok zdarzające się wypadki, głośne dopominanie się o rozsądniejszą uprząż, może przecie kiedyś poskutkują. Teraz sam Marcinek; małego wzrostu, szczupły ale krzepki i wielce ruchliwy a o konie staranny. „Na mnie ta funta mięsa nie ma, ale chłop jak się patrzy" — mówi on o sobie. Byle usłyszał muzykę, już mu się usta nie zamkną; w drodze miejsce tańca zastępuje mu nieustanne zeskakiwanie i wskakiwanie na wózek, w miarę tego jak jedzie pod górę lub z góry, galopowanie po kamieniach lub wskoczenie na koń, gdy jedzie przez wodę. Najlepszym świadectwem dla niego jest, że go wszyscy górale lubią.

Oddawszy należytą cześć „Głodówce", na której kilka minut przynajmniej wytchnąć trzeba, jedziemy ku „Łysej". W tem miejscu biedny Marcinek musi za każdym razem wytrzymać kilka pocisków, jakich mu, bez złej myśli wprawdzie, nie szczędzimy z powodu wywrócenia nas niegdyś w gliniastą wodę. Humorystycznie a z sumiennością historyografa opisał tę przygodę p. Bronisław Rejchmann (Ateneum, grudzień 1877 r.). Marcin istotnie nic a nic nie był winien, bo po ulewnych deszczach wszystkie wyboje zostały wodą zalane. Był jednak wielce zmartwiony, a to dlatego, że „jak mi Bóg miły, to mi się pierwszy raz w życiu przytrafiło".

— Nie frasuj się Marcinku — rzecze mu na to wówczas prof. Wrześniowski, w komiczno-patetycznym tonie — to tylko pierwszy raz najtrudniej.

Marcinek nie mógł się odrazu opamiętać, czy to żart czy na seryo było powiedziane, teraz już się tylko śmieje [1]).

---

[1]) Z powodu Głodówki muszę tu nadmienić, że jakkolwiek widok ztąd jest piękny, a motywa prawie też same co z Jaworzyny Rusinowej i Gęsiej Szyi, jednakże z tego ostatniego punktu daleko jest więcej imponujący. Polecam go też wszystkim idącym do Morskiego Oka przez Waksmundzką. Wspaniały ten obraz tem jest milszy i tem bardziej wraża się w pamięć, że zresztą droga ta jest lesistą, jednostajną, a zboczenie przez tak zwany Suchy Wirch wcale nie jest utrudniającem.

Przybywamy do Roztoki. Cicho tu, głucho, nie witają nas jak niegdyś wystrzały uprzejmego górala Franka Doruli z Poronina, który gospodarząc tu dawniej (w roku bieżącym trzymał on w lecie schronisko przy Rybiem), nigdy sobie tej satysfakcyi nie odmawiał. Wokoło schroniska wiatr tylko szumi, bydło z pastwisk już spędzone a i naszych też górali nie ma jeszcze. Miarkując po mojej zmęczonej fizyognomii wnosili może, że dziś zanocujemy w Roztoce i dlatego się nie spieszą. Nadchodzą wreszcie. Po krótkim odpoczynku żegnamy się z Marcinkiem, powierzając mu uspokajającą depeszę do rodziny. Postanawiamy, aby korzystając z pogody i ciepła zajść na noc, jeśli się da, do Wielkiej (po węgiersku i niemiecku Felka), w której na miejsce dawnego, przez lawinę zburzonego schroniska, węgierski klub karpacki nowe, wspaniałe i wygodne urządził.

Ulewne deszcze poznosiły kładki na Białej Wodzie, idziemy więc nie dołem nad potokiem, ale wyższą drogą wzdłuż „Szerokiej". Piękną tę dolinę zna wielu turystów, bo tędy idzie się od nas i na Polski Grzebień i choć rzadziej pod Lodowy, przez Szeroką i przez Rówienki do Staroleśnej i do Zielonego Stawu pod Gerlach; na Żelazne Wrota, na Czeskie, Wysoką, Rysy. — Droga leśna poprzerywana polanami i żlebami, z których częsty widok na prostopadłe ściany Młynarza, na Gerlach, Ganek, Wysoką.

Coraz bardziej rosną pola owych wieczystych śniegów rozścielonych u spodu Żelaznych Wrot od Gerlachu do Ganku. W końcu doliny cudna, przeźrocza, spokojna jeszcze w tem miejscu Biała Woda, ze swemi kilku skałami, wabiącemi różnobarwnym kobiercem mchu i ziela. To też droga ta ze wszystkich lesistych najmniej się przykrzy.

Znów maleńki wypoczynek przy schronisku, jakie tu wystawił baron Salamon „pod Wysoką" właściwiej mówiąc pod Żelaznemi Wrotami i znów dalej i wyżej. Idziemy systematycznie, wolno ale za to z bardzo krótkiemi odpoczynkami, prawie o zachodzie słońca jesteśmy dobrze nad granicą lasów, w długiej, prawdziwie alpejskiej dolinie wiodącej do przełęczy zwanej „Polskim Grzebieniem".

Nie troszczmy się wiele, że wieczór zapada. Droga wprawdzie długa, ale dobrze znajoma, nawet bardzo wygodna, zresztą mamy jakąś szansę oświetlenia księżycowego, choć niebo nie zupełnie jeszcze czyste. W najgorszym razie na przypadek ciemności lub niepogody, będziemy nocować gdziekolwiekbądź, byle jeszcze w krainie kosodrzewiny. Mamy namiot, zapasy, orkiestrę i spiewaków, a powietrze „Wirchów" już czarodziejski wpływ swój wywiera.

Pomimo że idziemy wciąż w górę, już pierś swobodniej oddycha, zdaje się, że za każdym krokiem sił przybywa, a raczej, że cię skrzydła jakieś na wpół unoszą, bo istotnie nogi nie czują już ciężaru ciała. Skracamy czas muzyką. Mamyż bo muzykę dobraną. To tęskne, dzikie a tak urocze dźwięki staroświeckiej pieśni, którą Sabała (Jan Krzeptowski), z nienaśladowanym przez żadne młodsze siły, akcentem wygrywa. To znów rzeźkie, różnorodne, z całego Podhala zebrane pieśni i tańce, które Bartek Obrokta, niewątpliwy talent, biegłym smyczkiem wyrzyna. Instrument Sabały jest rozpaczliwy, powiedziałbyś niemożliwy prawie. Nie są to bowiem skrzypce, ale jak on je zowie „gęśliki", coś przypominającego niby skrzypce, ale w pierwotnej formie, jakie dziś można widzieć jeszcze np. w muzeum Mozarta w Salcburgu.

Mimo największej biegłości grajka, niepodobna tu uniknąć nieraz skrzypienia lub dojmującego pisku. A jednak w górach muzyka ta nietylko nie razi, ale jest pożądaną, upragnioną. Jest ona harmonijnem dopełnieniem prawdziwie tatrzańskich wrażeń. Tak jak wprawny już taternik zapominać musi o nierówności drogi, o skałach zawadzających jego krokom; jak nie odwróci jego uwagi od cudnych efektów

światła, od śmiałych konturów dzikiej turni, jakieś przejście wydające się mniej wprawnemu już „karkołomnem“, jak głód lub pragnienie, upał lub zimny nieraz przeszywający wiatr nie zmniejszy uroku tych majestatycznych obrazów, tak samo wadliwość konstrukcyi owej gęśli, jakiś ton ostry i zbyt przenikliwy, nie zatrze głębokiego wrażenia melancholijnej, ale bujnej pieśni dawnych „zbójników“ lub ochoczej, skocznej lubo nieco wrzaskliwej melodyi na wpół dzikich „juhasów“. — Przytem Sabała jest niewyczerpanym w perifrazach i fioriturach; rzadko kiedy dwa razy jednę melodyę w zupełnie ten sam odda sposób. Do tańca górale dzisiejsi wolą muzykę Bartka, Kowala i innych dobrych skrzypków, ale wszyszy się na to zgadzają, że dawnych pieśni nikt już tak nie zagra, jak Sabała. Przed kilku laty, wybrałem się z kilku turystami i kilkunastu góralami, aby od „Osobitej“ ostatniej w łańcuchu zachodnim Tatr góry, przejść graniami (grzbietami) całe polskie Tatry. W przeddzień rozpoczęcia tej kilkodniowej wycieczki przybył do Zakopanego p. Robert W., krzepki gimnastyk i chętny towarzysz do gór.

— Pójdź pan z nami — rzekłem do niego.

— Najchętniej, ale proszę, aby pan... (znany i zasłużony artysta muzyczny z Warszawy), z którym przyjechałem, mógł iść także. Silny jest i chodzi dobrze.

Napróżno przedstawiałem mu niepraktyczność tego zamiaru. Wiadomo, że najwytrwalsi piechury, nawet strzelcy z dolin, nie mogą bez poprzedniej wprawy chodzić na większe wycieczki w górach. Nie będę tu opisywał przygód pana... przez ciąg jednego dnia jaki z nami przebył, dość na tem, że przed wieczorem był tak znużony, że wśród równej zresztą drogi po jakiejś grani, padł jak nieżywy, ani ruchu ani słowa nie można było z niego wydobyć. Zbiegliśmy się wszyscy, starając się go ocucić z tego jakby letargu — napróżno, nawet oczu nie otworzył.

— Jasiu — zawołałem wtedy na Sabałę — zagraj-no temu panu, bo to też muzykant (przepraszam, ale nie umiałem się zrozumialej wyrazić), to mu pewnie najlepiej pomoże.

— A zaraz, proszę ich Miłości — rzecze Sabała, który i w mowie jak w muzyce ma swoje staroświeckie formy.

Dobywa coprędzej swoich „gęślików“ z rękawa czuchy, w którym je zwykle nosi i dalejże jakąś pieśń góralską.

— A toż cooo!? — zapytał otwierając oczy i machinalnie podnosząc się pan... Sabała grał dalej a pan.... dzięki tej muzyce zabrał się do herbaty, którą pokrzepiony, mógł z przewodnikami swemi zejść w Chochołowską Dolinę, zkąd na noc dostał się szczęśliwie do Zakopanego. Odtąd śmiejemy się z Jaśka, że i umarłych swoją muzyką wskrzesi.

Zanim dojdziemy do Polskiego Grzebienia, przełęczy na przeszło 6500 stóp wysokiej, a jeszeze dobry kawałek drogi i ciemny zmrok zapada, powiem Ci szanowny czytelniku, że Sabała ma lat około 70, jest suchawy, ale krzepki, skóra twarzy prawie pargaminowa, wzrok nieco przymglony, ale rysy twarzy wyraziste i piękne. Całe życie był strzelcem na swoją rękę; ubił dużo niedźwiedzi, a innej zwierzyny bez liku. Pomimo osłabionego wzroku, ubiegłej jeszcze jesieni strzelał do niedźwiedzia, którego nikt lepiej od niego nie „wyszlakuje“.

— A jakżeż wy to Janie z takiemi oczami możecie chodzić jeszcze na niedźwiedzia?

— Eh, proszę ich Miłości, to już tak jest, albo ty mój albo ja twój, — odrzeknie nieustraszony strzelec, dla którego zresztą, jak dla większej części górali, narażenie życia należy do takich małostek, że i mówić co o tem nie ma. Latem i zimą nie zagrzeje miejsca w domu. Rządna gaździna (gospodyni), żona jego i dobre, pracowite dzieci prowadzą gospodarstwo, i dzięki temu p. Jan źle się nie ma.

Czasem dla ochoty weźmie się do kosy i siekiery. Ale wnet zaopatrzywszy się w kierpce (obuwie ze skóry, rzemieniem do nogi przywiązane), i naładowawszy torbę, idzie z „gęślikami“ do lasu lub w hale. Na Orawie, Liptowie, na kilka mil wokoło, wszędzie go znają i wszędzie „radzi widzą“, tak dla jego muzyki, jak i przypowiastek, tudzież doskonałego humoru [1]). Kiedyś przed laty przyciśniętemu jakiemiś opłatami, wyprowadzono ostatnią krowę na sprzedaż. Jasiek usiadł przy drodze i grał, „żeby jej“ (krowie) „weselej było opuszczać zagrodę“.

— A jakoż to wy Janie wcale się nie trapicie, że wam resztę statku zabierają?

— Eh, smutkiem żyć to się nie opłaci — rzecze nasz filozof i gra dalej.

Muszę Ci się przyznać czytelniku, że z Jasiem w bardzo życzliwych jesteśmy stosunkach.

— Oj Jasiu, Jasiu — mówię mu kiedyś — jaka to szkoda, żeśmy na świat nie przyszli oba tak ze sto lat wcześniej, bylibyśmy może razem i „po za buczki“ wyskoczyli“ [2]). Możebyśmy co prawda i razem kiedy zawiśli za żebro na haku, jak Janosik, ale zawsze szkoda.

— O hej! (zn. a tak) — rzecze śmiejąc się Jan, któremu aż się oczy zaiskrzyły i potarł nos rękawem, bez żadnych naglących powodów, ale tak sobie z przyzwyczajenia.

Sabała jest nieodzownym członkiem każdej wycieczki, bo rad z nami chodzi. A nie sądź, aby to znów było tak bardzo łatwą lub zwyczajną rzeczą; choć grzeczny i uprzejmy, nie rad idzie między ludzi, a przez wieś nawet kroczy jakby przez las nie patrząc po stronach i grając na piszczałce lub na gęślach.

Przy plebanii tylko przystanie na chwilę, zwłaszcza jeśli to jest wieczorem, a nawet w nocy i zagra jednę albo drugą „staroświecką“, bo wie, że „Jegomość“ to rad słyszą. Wiadomo, że zacny i pełen zasługi pleban zakopiański, nie znosi spiewów i muzyki po drogach, po ulicach we wsi, ale Sabała stanowi wyjątek i słusznie. Przecież i policya paryzka tak czujnie powściągająca zbyt jaskrawe ruchy tancerzy w Mabille, codziennie z pobłażaniem patrzyła przez długie lata na wcale nie dwuznaczny sposób tańczenia kontradansa przez pana Chicard, wynalazcy, jak mówią kankana; à tout Seigneur tout honneur.

Po ogłoszeniu nowego prawa o pijaństwie, Sabała bojąc się, aby go śpiewającego i grającego po drodze nie wzięto za pijaka, mówił, że sobie musi kupić garnek, i że w garnek będzie spiewał, by go daleko nie było słychać.

Ale oto przeszliśmy już rozległe, coraz bardziej ku południowi zwrócone tarasy. Dolina, jak wszędzie w Tatrach rozszerza się u góry; piętra coraz stromsze i bliższe jedne drugich. Kosówkę już zostawiliśmy daleko za sobą. Coraz mniej trawy, a coraz więcej nagich głazów; czujemy to nogami, bo dojrzeć już nic nie można; dobrze ciemno, spokój w około, muzyka i spiew przycichły, ale idzie się rzeźko; obecna chwila nie troszczy nas wcale, i to właśnie tłumaczy dotykalny i zbawienny wpływ takich wycieczek na zmęczony lub stroskany umysł. Wielkie słowa przyrody, sama ta nawet uroczysta cisza wśród drzemiących granitowych olbrzymów, przemawia do nas podnosząc serce i krzepiąc do trudów i boleści życia.

Mijamy „Zmarzły Staw“. I tu dziś cicho, ale nie zawsze tak bywa. W sierpniu 1876 roku wracając z „Wysokiej“ wyskoczyliśmy sobie w kilku na Polski Grzebień. Dzień był

---

1) W różnych miejscowościach, różnie go też zowią: Janko Sablik, Janek Czakor; Krzeptowski jest nazwiskiem rodziny; Sabałą nazywają go od posiadłości, którą po ojcu odziedziczył.

2) „Wyskoczyć po za buczki“, znaczy do dziśdnia iść na zbój, zostać zbójnikiem.

pogodny, lecz po południu powstał silny wiatr północny. Zbliżając się do Zmarzłego Stawu z podziwieniem słyszymy coraz wyraźniejsze, w końcu bardzo donośne dźwięki, jakby ogromnej szklannej harmoniki. Tony wysokie i nizkie, ale nie związane w harmonię, owszem rażące dzikim rozstrojem. Badamy przyczynę. Lód, który tu mniejszemi lub większemi wysepkami przez całe lata się utrzymuje, stanowił jądro, około którego na znacznej przestrzeni potworzyły się nowe, duże, mniej więcej równoległe kryształy i sople. Silny wiatr wstrząsał powierzchnią wody i powodował uderzenie o siebie tych improwizowanych klawiszów. Jeszcze na paręset stóp wyżej stawu dochodziły nas te jaskrawe rozdźwięki. Śmiejąc się pytaliśmy wzajemnie, czem mogliśmy obrazić względnego zresztą zwykle dla nas ducha tych dzikich miejsc, że nam taką kocią muzykę wyprawia. A zawziął się był nie na żarty. Na przełęczy raz tylko wówczas spojrzeliśmy na słońcem jeszcze oświeconą węgierską stronę i nagle otoczyła nas zimna, gęsta mgła.

Wicher przejmujący, zmuszał do rychłego powrotu. Wkrótce i śnieżne krupy zaczęły ciąć po twarzach. Jednemu z górali wiatr zerwał kapelusz i głęboko w Wielką Dolinę zaniósł. Spiesznie zaczęliśmy zstępować ku niezakrytemu jeszcze owemu zaczarowanemu jezioru. Ale mgła uprzedzała nas. Przechodząc mimo niego słyszeliśmy wciąż owo charivari, teraz już z pod gęstej białej zasłony wychodzące. Nie ręczę czy pod tą zasłoną, rade z psoty nam wyrządzonej, zimne postaci górskich duchów nie wyprawiały harców po owej lodowej klawiaturze. W godzinę potem z pogodą zstępowaliśmy w cichą i ciepłą dolinę Białej Wody.

Dziś Zmarzły Staw był cichy, ciemność nie dozwalała rozróżnić czy dużo lodu przetrwało przez lato. Wspinamy się nareszcie ku samej przełęczy. Lekkie tylko mgły okalają sam wierzchołek Gerlachu a i te przepędzane są silnym, lecz już bardzo wysokim prądem północnego wiatru. Przed nami od południa niebo czyste i jasne. Księżyc dopisał. Jeszcze parę kroków w ciemności po śliskim, na tatrzańskich przełęczach zwykłym łupku i otóż jesteśmy na Polskim Grzebieniu. Długi ten grzbiet, łączy Gerlach ze Staroleśniańskim Szczytem, leżącym ku północno-wschodowi. Światło księżyca oblewa nas odrazu. Po za dwumilową prawie Doliną Wielką, błyszczą osrebrzone blaskiem faliste równiny Spiżu. Obieramy sobie najwygodniejsze miejsca i rozkładamy się swobodnie. Wiadomo, że siadać na wycieczce jest to szukać zmęczenia i bólu nóg. Górale nigdy nie siadają, chyba przy wieczornem już ognisku przed spaniem. Dobrze nam tu i mamy mocne postanowienie rychło ztąd nie ruszać. Pokrzepiamy się resztą ciepłej jeszcze herbaty, którą Wojciech Raj nieodzownie na wszystkie nawet szczyty przynosi; skrzypki i śpiewy znów zabrzmiały. Czyby się zdziwił Gerlach wesołej i naraz tak gwarliwej drużynie, dość, że uchylił lekką gazę obłoków, którą czoło swe snać do snu przysłonił i z wyraźnym pobłażaniem dobrotliwie na nas spojrzał. To mu się nie koniecznie często zdarza. Powitaliśmy go głośnym okrzykiem, ba nawet Jaś Gronikowski „wygarnął“ z jakiejś rusznicy, którą na podobny cel z sobą zabrał.

Gerlach połknął sam ten hołd, bo w tem miejscu nie ma go z kim tak dalece podzielić. Nie ma innych ścian, po którychby się echo rozlegać mogło. Widocznie korzystając z dobrego humoru olbrzyma, młodociany, bo jeszcze przepołowiony księżyc, idąc gdzieś z śmiejących dolin spizkich, zaczął się spinać na jego boki i ramiona. Śmieliśmy się, że w młodocianej swej niewiadomości idzie tą samą drogą, co niegdyś przy pierwszej wyprawie na Gerlach nasi Zakopianie i że mu się nie uda tędy dosięgnąć szczytu. Tak się stało, po jakiejś godzince musiał zejść, jak oni wówczas do „kotliny“, zostawiając nas więcej niż w półcieniu. Czas był ruszać, bo droga do pierwszego stawu Wielkiej Doliny bardzo spadzista a i potem jeszcze daleka. Przy wodospadzie dopadliśmy znowu światła księżyco-

wego, a wkrótce około 11-tej w nocy znaleśliśmy się w schronisku. Przepych, komfort! rozumie się tatrzański. Obszerna, dachem objęta weranda, na około duże izby, okna, klamki i zamki, piece nawet, rzecz dotychczas tylko w tem jednem miejscu w Tatrach praktykowana. Zastaliśmy jeszcze i jakiegoś stróża w schronisku. Był to spiżak, mówiący jak się przy rozstaniu pokazało aż trzema językami, ale aż do następnego rana górale nasi mieli go za niemowę. Widocznie przerażony był tak licznem, z gór naniesionem towarzystwem, orkiestrą i butną miną górali. Kto wie czy nie miał jakiejś wątpliwości co do legalnego stosunku naszego grona zresztą społeczeństwa; czy mówiąc wyraźniej, nie wziął nas raczej za „zbójników“ niż za turystów.

Rozgospodarowaliśmy się jak najwygodniej. Turyści tuszy pana Stanisława i mojej, są zdania, iż drzewo, z którego sporządzane są tapczany w schroniskach, jest bardzo twarde. Otylsi mają to wprawdzie za przesąd. Bądź co bądź górale nasi w jednej chwili nanieśli kilka worków drobniutkich gałązek kosówki, które z wielką umiejętnością ułożyli drzewiastym końcem na spód a kitką do góry, z czego powstaje wcale nie zły materac. Szymek jest w tej manipulacyi niezrównany. Czuchy, szale idą na wierzch i robi się posłanie, na którem jeżeli nie przespać, to przynajmniej wygodnie przeleżeć można do rana, a to już na tych wyżynach w zupełności wystarcza do pokrzepienia sił. Brak apetytu i bezsenność zdarzają się dość często u taterników na dłuższych wycieczkach, zwłaszcza wysoko. Po zejściu na doliny apetyt i sen wracają, zdaje się z procentem. Niekiedy i górale ulegają temu.

Nie bez zazdrości słuchałem chrapania p. Stanisława, który spał jak zabity. Leżąc jednak wygodnie „nie skarżyłem na losy“. Owszem porównywałem wykwitne zalety tego noclegu z inną bezsenną nocą, jaką przed kilku laty w tej samej przepędziłem dolinie. Było to w wilią owej pierwszej wyprawy na Gerlach, o której nieraz jeszcze wspomnieć mi przyjdzie. Byliśmy w licznem towarzystwie i pod przewództwem ks. Stolarczyka. Nie miałem wówczas z sobą namiotu. Rozłożyliśmy się przy ruinach dawnego schroniska. W nocy powstał tak zimny północny wiatr, że ani bliskość ogniska, zaledwie zresztą dającego się podtrzymać, ani przykrycie się wszystkiemi rozporządzalnemi manatkami, nie było w stanie uchronić nas od kompletnego kostnienia. Spać się chciało, ale nie było można. Musiałem z kilku chudszymi towarzyszami zabawiać się tańcem a raczej skakaniem koło ogniska. Z jakże nierównie większą zazdrością niż dziś względem p. Stanisława poglądałem na smacznie śpiącego „Jegomości“, który wyzuwszy się dla komfortu ze swoich długich butów, urągał nagiemi piętami przejmującemu wichrowi. Niektórzy z towarzyszów spali także ale nie w takiej wyzywającej postawie, owszem zwinięci w kłębek. O jakże nierównie słodszą wydała mi się noc dzisiejsza. Snadź w nagrodę skromności moich wymagań, zasnąłem parę godzin nad ranem.

Miły Czytelniku, pozwól, abym à propos pięt „Jegomości“ opowiedział ci jeszcze jedno ze wspomnień moich z tej doliny, a to o innych znowu piętach i z innej, choć równie mało sennej nocy. Zresztą jestem zupełnie w swojem prawie. Opisując ci wycieczkę w góry, nie mogę przecież przedstawiać oczom twoim rysunku lub fotografii, przebywanych przezemnie okolic. Mogę ci tylko wyrazami udzielić moich wrażeń i myśli. Nie jestem temu winien, że tej nocy zamiast snu, te właśnie obrazy cisnęły mi się na oczy. Uwierzysz mi, gdy ci powiem, że bądź co bądź, wolałbym spać. Słuszność za to wymaga, abym żadnej do ciebie nie miał pretensyi, jeśli i ty zechcesz zasnąć w tem miejscu, choćby to niekoniecznie nawet było w nocy, ale ja muszę się wygadać.

Owóż było to w sierpniu 1875 r.; około 20 osób, licząc przewodników, wybrało nas się na Gerlach. Jak dziś zeszliśmy wieczorem z Polskiego Grzebienia, tylko, że było zupełnie ciemno, wskutek czego p. Br. D. pośliznąwszy się, wybił sobie „godną“ dziurę w łokciu, a przeto został wysortowanym nazajutrz z liczby idących na szczyt i musiał się pocieszać kąpielą w Szmeksie. Noc była chłodna. Tym razem miałem z sobą namiot i choć także spać nie mogłem z wieczora, ale wypoczywałem dość wygodnie wraz z czterema towarzyszami, więcej bowiem namiot nie mógł objąć. Z górali tylko Maciej Sieczka, chroniąc się przed wiatrem, wsunął się nadetatowo w kącik namiotu, tak, że mu na zewnątrz same tylko nogi wystawały, rozumie się do góry piętami. Maciej Sieczka, znany przewodnik, całe owo lato nie był w Zakopanem, zajęty w kopalniach kamienia młyńskiego, który sam odkrył w Tatrach. Spotkawszy go idącego na trzechdniowy urlop do domu, zaprosiłem na wyprawę. Przytaczam te szczegóły dlatego, że o obecności jego nikt z nieidących razem z nami wiedzieć nie mógł.

Tymczasem dwaj moi nieodstępni przewodnicy Szymek Tatar i Wojciech Raj, którzy i dziś dobrze się wysypiają w schronisku, wówczas będąc z kim innym na wycieczce, nie zdążyli wrócić do Zakopanego. Dałem im tylko znać raniutko przy Morskiem Oku, gdzie właśnie nocowali, że ruszamy na Gerlach. Pobudziwszy oni więc swoich „gości“ raniej, niżby ci sobie życzyli, przeprowadzają ich przez dolinę Pięciu Stawów i Zawrat do Czarnego Stawu, a około 4tej popołudniu zwracają się znów przez dolinę Pięciu Stawów i przez Polski Grzebień, i około 11 w nocy dopędzają nas na noclegu w Wielkiej Dolinie. Nawiasem mówiąc, zrobili ten kurs o głodzie; ich zapasy bowiem były wyczerpane. Tu i owdzie tylko nie zwalniając kroku, udało się któremu „osmyknąć“ garść borówek, obficie wszędy w Tatrach rosnących. Ognisko przygasło, wszystko w głębokiej pogrążone ciszy. Kto może, śpi, kto nie, to choć udaje. Naraz słyszę lekkie kroki. Zatrzymują się przy namiocie i dolatuje mnie cichy szept:

— Patrzaj no Wojtek, a toż to pięty Maćkowe.

— A hej, — odrzeknie tamten.

Parsknąłem śmiechem i wysunąłem się pocichu do nich z namiotu.

— Jakimże u Boga sposobem mogłeś Szymku poznać Maćka po piętach, kiedyś go się tu nie spodziewał?

— A dy to przecie jego szwagier, — rzeknie Wojtek.

Ot tobie i argument, myślę sobie. Znam ja też przecie także blisko ćwierć wieku te Maćkowe nogi, które nietylko po mistrzowsku chodzą po górach, ale któremi gdy Maciej — choć dziś już tylko z powagą — tańczy, to rzeczywiście robi wrażenie, że wcale nie tyka ziemi. Z tem wszystkiem, gdy w ogóle góralskie nogi są zręczne i małe, nietylko w nocy ale i w jasne południe nie podjąłbym się rozróżnić Maćkowej pięty. Prawda, że nie jestem jego szwagrem. Ta uwaga usprawiedliwiła nieco we własnych oczach brak bystrości obserwacyi, co dla przyrodnika nie jest bardzo pochlebnem.

Ale powrócimy do naszej dzisiejszej wycieczki. Wstałem o świcie. Muszę nawet pochwalić się, żem się sprawił pocichu, by nie przerwać bez potrzeby snu mego towarzysza, aż zbadanie stanu pogody pozwoli zrobić jakiś projekt na dzień dzisiejszy. Jeśli szczyty będą zamglone, możemy tu sobie siedzieć w Wielkiej

Dolinie i dłubać granaty, które jak wiadomo bywają tu i bardzo piękne. Dynamitu wprawdzie z sobą nie mamy, ale 10 Zakopian z ciupagami mogliby dobry kawał skały na dzień rozkruszyć. A i młotek mamy po temu. W razie wielkiej niepogody za dwie godziny najdalej jesteśmy w Szmeksie. A jeśli pogoda posłuży, a no, zobaczymy. Jakoś czuję, że mógłbym trochę lepiej chodzić, niż wczoraj. Zobaczymy więc. Otóż masz? Aneroid północy spadł jeszcze na milimetr. Wyjrzyjmy na świat. Na dolinach jakoś pogodnie, a i szczyty czyste. Tylko przez Polski Grzebień wiatr północny wygania jakieś niemiłe chmury i huczy, roztrącając się o krawędzie.

Tak samo huczy w Zakopanem „halny“ ciepły wiatr, przypominając ryk oceanu. Rozumiem, dlaczego wtedy wszystkie strumienie grają *fortissime*. Zdaje mi się też naturalnem, że ten naprzykład północny wiatr, przedzierający się przez grzbiety blizko 2,000 stóp nademną sterczące, spada w dolinę i ostrem zimnem przejmuje. Ale przyznaję się najotwarciej, że nie rozumiem dlaczego w Zakopanem wśród jesiennych chłodów, a nawet i w zimie, południowy ciepły wiatr spada także w dolinę i to z taką gwałtownością, że biada zbożu, dachom, a nawet ludziom i zwierzętom.

Półgodzinna obserwacya, nie bez podszeptów jakiegoś niby przeczucia, a może tylko skrytej ochoty, doprowadza mnie do wniosku, że możnaby spróbować Gerlachu. [Aneroid ma dla mnie zwykle głos doradczy. Zresztą zamglą się szczyty, poprzestaniemy na odwiedzeniu dobrze już wprawdzie znanej „kotliny“. P. Stanisław zbiera tatrzańskie trawy, ja tam także coś zbieram. Są to, że tak powiem, pobudki legalizujące w imieniu niby to nauki, każdą wyprawę na wirchy. A nuż się uda piękna pogoda. Tak nam się życzliwie wczoraj Gerlach uśmiechał!

Budzą się potrochu wyspani w ciepłej izbie górale. Budzi się i p. Stanisław. Propozycyę moją uznają za rozsądną. O wschodzie słońca już jesteśmy z drugiej strony stawu na grani spadającej ku wschodo - południowi. Idziemy niesłychanie powoli, nieomylny to środek znalezienia wieczorem „drugiej pary nóg“, jak się moi górale wyrażają. Dosięgamy granic kosodrzewiny i niebawem jesteśmy „w kotlinie“.

Jeśliś ciekawy budowy tatrzańskich gór, szanowny czytelniku, to znasz już tę kotlinę z wybornego opisu wycieczki X. Stolarczyka [1]), ze wspomnień p. Walerego Eljasza [2]). Wiele interesujących szczegółów znajdziesz także w opisie pana Dezso [3]).

Trafnie X. Stolarczyk porównał kształt Gerlachu do podkowy obróconej środkiem do północy, a której bardzo wydłużone ramiona zbiegając ku południowi tworzą między sobą zagłębie. Środek w którym łączą się ramiona podkowy, złożony z głównej kolosalnej masy granitu, najeżony jest licznemi turniami. Ramiona również mnóstwem oderwanych od niego szczytów zakończone, biegną coraz niżej aż do granic kosodrzewiny i tu już prawie są zaokrąglone.

Dodać należy, że końce ramion łączy z sobą przełęczowaty wał, tak, iż zagłębie owo istotnie jest kotliną. Ztąd nazwa słowacka „na kotłu“. Góra należy do wsi Garłuchowa, który dziś przerobiono na Gerlsdorf. Ztąd Gerlsdorfer Spitze, lub Gerlach a właściwie Garłuchowska Góra i Szczyt.

Kotlina zasłana jest głazami po większej części wielkimi i mocno pomiędzy sobą osadzonymi. Z małym też wyjątkiem tu i ówdzie wysterczających głazów

---

[1]) „Czas“ z roku 1875, 14—16go października.
[2]) „Kłosy“ 1876 r.
[3]) „Jahrbuch des Ungarischen Karpatenvereines“ 1876 r.

cała jej powierzchnia jest dość równą, zlekka ku głównym szczytom podniesioną. Ponad nią w głębi, ku głównej masie góry, wznosi się wyniosły próg z jednolitej skały, jak we wszystkich prawie tatrzańskich dolinach. Po tej skale spływa nie zbyt obfita woda, która jednak zaraz niknie pod głazami i tylko gdzieniegdzie wzdłuż kotliny usłyszysz szmer strumienia w wielkiej głębi przedzierającego się wśród kamieni[1]).

---

[1]) Zastanawiając się nad powstaniem dzisiejszego stanu rzeczy w kotlinie, przekonywamy się naprzód, że pierwiastkowe jej wyżłobienie było bardzo głębokie. Powtóre, że głazy zaścielające ją, są rumowiskiem powstałem i naniesionem przeważnie z głównej, środkowej masy góry, nie zaś z bocznych turni. Chociaż bowiem do dziś dnia jak już wspomniałem, ramiona owej podkowy najeżone są turniami rozpadającemi się także od wieków, a nawet ostatnie ich kończyny, szczególniej zachodnia ściana zupełnie są zaokrąglone i w części już roślinnością pokryte, to jednak widocznem jest, że tu odłamy skał potworzyły boczne wzniesienia, upłazy, nasypy, zwężające pierwiastkową szerokość kotliny w taki sam sposób, jak się to dzieje w każdej prawie innej górze. Potrzecie nakoniec przekonywamy się, że epoka, w której kotlina tak wysoko zasypaną została, jest bardzo odległą i że przedstawiała warunki bardzo różne od dzisiejszych. Wspomnieliśmy już, że głazy zapełniające kotlinę, są ponajwiększej części wielkie. Otóż zdarza się tu i gdzieindziej, że i dziś odrywają się wielkłe głazy, jednakże każdy nowy przybytek rumowisk, który zwykle po zimie najbardziej się pomnaża, składa się przeważnie z odłamów mniejszej objętości. Widocznie więc inne musiały być warunki kruszenia się skał, których wielkie odłamy zapełniają kotlinę. Zważając zaś na prawie równą powierzchnię kamiennego łożyska kotliny, tudzież na wał wznoszący się ku południowi i łączący oba ramiona podkowy, niepodobna prawie nie przypuścić, że cała kotlina była niegdyś łożyskiem olbrzymiego lodowca, po którego powierzchni szła morena od głównych szczytów Garłuchowskiej Góry. Odniósłszy znów powstanie tej moreny do epoki lodowej, łatwiej może pojmiemy łupanie się turni na głazy większych rozmiarów, wiemy bowiem jaką rolę odgrywa w rozsadzaniu skał zamarzła woda.

Uwagi też godnem jest, że „wietrzejący“ granit Garłuchowskiej Góry przedstawia na powierzchni, gęste, mocno żółte, nawet pomarańczowe plamy. W ogóle spotykamy to często na południowej stronie Tatr. Badając dalej, widzimy, że plamy te a raczej piętna są zawsze nieco zagłębione i odpowiadają blaszkom oligoklazu, jednego z dwóch gatunków feldszpatu, znajdujących się stale acz w różnym stosunku w granicie tatrzańskim. Oligoklaz najpierwej ze wszystkich części składowych granitu ulega rozkładowi. Związki rozpuszczalne uchodzą z wodą, pozostaje zaś rodzaj gliny (kaolinu), która znów bardzo łatwo barwi się cząstkami żelaza, znajdującego się także w różnych postaciach, lubo zawsze w małej ilości w granicie tatrzańskim i ulegającego również wpływom atmosferycznym. Całe warstwy gliny i piasku gliniastego, jakie z rozkładu granitów nagromadziły się przez wieki, mają z południowej strony Tatrów najczęściej barwę żółtą. Na północnej stronie głazy wietrzejące bardzo rzadko przedstawiają owe żółte piętna, a nigdzie też glina i piasek nie mają tej barwy, tylko szarą i blado-żółtawą. Czy różnice te na południu i północy zależą od ilości żelaza zawartego w granicie czy od innych czynników (np. od wpływu światła??)

Odpowiedź mogłyby dać tylko analizy porównawcze, ale takich, w tym celu robionych dotąd nie ma wcale.

Muszę tu wspomnieć o jednej jeszcze acz negatywnej właściwości granitów tatrzańskich, a mianowicie o braku kryształów kwarcu w ogóle, a szczególniej kryształów przejrzystych. W istocie prócz drobnych oddzielnych kryształów tworzących się niekiedy na płaszczyznach spojenia piaskowca łupkowego, których po-

Powyżej progu obszerny z samych już prawie nagich, litych skał utworzony amfiteatr; na lewo śnieg wieczysty, przy którym bardzo często dojrzysz kozice. Jeszcze głębiej skała nagle wznosi się pionowo, i jak wspomnieliśmy w coraz wyższe, liczne, rozszczepia się turnie. Pomiędzy temi mnogie galerye i zachody, istny labirynt. Z opisu p. Dezso widno, że przewodnicy spizcy prowadzą turystów od Wielkiej Doliny po nad „kotliną“, zachodnim grzbietem. Według mnie najmniej utrudniającem jest przejść samą kotlinę po prawej stronie; doszedłszy zaś pod ów próg skalisty, po którym ścieka woda, wziąść się zupełnie w górę na lewo, aż do wysokości owych zachodów pomiędzy najniższemi turniami środka góry. Tu już Zakopianie znają dobrze jak wybrać lepszą drogę. Pierwszy raz przechodziliśmy równie jak i X. Stolarczyk po owych „garbach“ charakterystycznie opisanych i odszkicowanych przez p. W. Eljasza. Dziś omijamy to twarde i rzeczywiście niebezpieczne miejsce, kierując się dość długo na północo-wschód, dopóki znów skręcając więcej ku zachodowi, nie zaczniemy się piąć na ramię jednego z najwyższych szczytów. Ztąd spuszczamy się ku zlebowi biegnącemu z pod głównego szczytu w dolinę Batyzowiecką i utrudzającą, ale wcale już nie „karkołomną“ drogą, wychodzimy na główny szczyt.

Żadna z gór nie robi tak ponurego wrażenia jak Gerlach. Składa się na to i kształt jego i rozległość i jakby potęgująca się z powodu rozlicznych jego szczytów dzikość i martwość. Nawet barwa skał jego smutniejsza jest niż gdzieindziej; smutniejsza, bo prawie czarna. Wspinając się na niegościnne jego wierzchołki, tak wiele wrażeń, tak wiele przedmiotów zajmuje uwagę, że szczerze wyznać muszę, nie umiem sobie dotąd zdać sprawy, czemu przypisać należy ten żałobny charakter. Wprawdzie niektóre inne góry np. Wysoka, posiadają go także, ale tylko przy pewnem oświetleniu, lecz kształt Wysokiej sprawia, że wrażenie ogólne daleko mniej jest ponurem. Czy sama skała bardziej poczerniałą jest w Gerlachu niż w innych wirchach; czy w większej ilości pokrywa ją czerniejący (zwłaszcza ku jesieni) porost, czy cienie rzucane przez liczne jego turnie z jednych na drugie, czy wszystkie te okoliczności razem wzięte, dość że tak jest w istocie. Tylko

---

wstanie odbywa się wszędzie w równych warunkach; prócz cienkich warstewek krystalicznej powłoki z wykształconemi końcami drobniejszych jeszcze piramid sześciobocznych, także na powierzchni dotknięcia dwóch warstw tegoż piaskowca, jakich w innych górach a szczególniej w Szwajcaryi napotykamy tak wiele, w Tatrach są nadzwyczajną rzadkością. Zda się, że przyczyną tego jest brak lodowców i wielkich ilości śniegów wieczystych. Jedyną małą druzę zupełnie przejrzystego kwarcu znalazłem niegdyś w jedym ze zlebów Lodowego, wokoło którego największa ilość wieczystych śniegów dotąd leży. Owóż w głównej masie środkowych skał Gerlachu, na wysokości już około 8000 stóp, znajdujemy odsłoniętą, kilkadziesiąt stóp przynajmniej długą warstwę przedstawiającą na przestrzeni wyraźne, dość duże słupy sześćścienne zakończone piramidą, kryształy są brudne i nieprzejrzyste. Z warstwy tej z wielką łatwością dają się oddzielić spękane już po większej części szczotki krystaliczne. Widocznie ulega ona łatwemu pękaniu się tak, że w niedługim stosunkowo czasie i te kryształy znikną. Czy nie możnaby przypuścić, że i ta wyjątkowa zresztą obfitość kryształów świadczy o istniejących tu niegdyś lodach. W bliskości owej warstwy krystalicznej napotykamy też wśród granitu, żyły łupku mikowego ciemno zielonego zawierającego granaty. Idzie ona w kierunku takichże warstw, znajdujących się obficie z drugiej strony Wielkiej Doliny i zawierających jak wiadomo dużo brzydkich a niekiedy znów nadzwyczaj pięknych granatów; kryształy granatu, które zebrałem na Gerlachu są wszystkie mało kształtne.

spód pojedynczych turni, owe galerye i zakręty pomiędzy niemi, są jakoś dziwnie jaśniejsze, prawie białawe, co w gruncie nie łagodzi ogólnej żałoby, ale ją prawie podnosi. Wielka część szczytów i krawędzi utworzona jest z oddzielnych częstokroć wysoko wybiegających, ogromnych słupów granitu, które jakkolwiek są czworograniaste, z daleka jednak robią wrażenie jakby cała góra składała się z bazaltu. Posępny charakter Garłuchowskiego Szczytu wpływa mimowoli na wszystkich. Nie widziałem aby kiedy najweselszy i najżwawszy góral zatańczył sobie na nim, jak się to przecież i na Lodowym i na Łomnicy i szczególniej na Krywaniu praktykowało. Nawet mój „adjunkt“ Józek, szesnastoletnie, żwawe chłopię, któremu nigdy najtrudniejsze i najuciążliwsze kilkudniowe wycieczki nie odbierają chęci wyciąć „góralskiego“, jakiś tu poważnie nastrojony. Sumiennie za to bierze się do odszukania między głazami szklannego słoika mieszczącego mnóstwo biletów z nazwiskami zwiedzających. Znajdujemy nasze bilety dawniejsze, znajdujemy bilety wielu innych taterników różnych narodowości. Przed paru laty znaleźliśmy tu pocieszny bilet p. Still, nauczyciela szkółki elementarnej z Nowoleśnej (Neu-Walddorf) na Spiżu, znanego strzelca i taternika, który, przed niewielu laty uchodził za jedynego przewodnika na Gerlach i był istotnie pierwszym z Węgrów, który znalazł drogę na najwyższy szczyt tej góry.

Na trzeci dzień później siedząc w dość licznem gronie na szczycie Łomnicy, widzimy trzech podróżników podążających ku nam, dwóch młodych idących mniej wprawnie i trzeciego starszego, ale którego ruchy zdradzają krzepkiego i wprawnego taternika. Był to ów p. Still. Lat około 70 szczupły, zawiędły lecz zwinny, zręczny i wesoły. Mówił nam, że to było dziewięćdziesiąte i któreś wejście jego na Łomnicę. W rozmowie ktoś zrobił wzmiankę o Gerlachu:

— Alboż panowie znacie Gerlach — zapytał.

— Byliśmy tam onegdaj — odrzekłem.

— Aj, aj, to być nie może.

— Dla czegoż nie?

— To tak chyba na którym z niższych szczytów.

— Nie, na najwyższym.

— Być nie może w żaden sposób.

— A jednakże byliśmy tam i znaleźliśmy bilet z waszem nazwiskiem, któryście na parę dni wprzódy zostawili i na którym jest napisane: „Johan Still in persona das heisst in meiner eigenen Person...“ dalej szła data i nazwisko osób, z któremiście przyszli.

— A no to widzę, że naprawdę byliście tam panowie; ale któż u Boga pokazał wam drogę?

— A te oto Zakopiańskie zuchy rzekną — wskazując Wojciecha Raja i jego towarzyszów. Znajdują oni drogę wszędzie.

— Sapristi! — rzecze kiwając głową Still, który się widocznie uważał „in persona“ za monopolistę Gerlachu, a tu na raz spotyka cały tuzin konkurentów. Dziś na Gerlachu ciepło, jasno, spokojnie, ale jednak nie wesoło, to też łaskawy Czytelniku nie będę Cię tu trzymał długo, chociaż, jeśli Cię kiedy zdejmie ochota, a nogi dopiszą, to ręczę Ci, że niechętnie szczyt ten opuścisz, naglony przypomnieniem, że już czas, bo droga z powrotem daleka i niełatwa. Powszechnie jest uznanem, że widok ztąd nie jest tak wdzięcznym i miłym, jak z wielu innych mniej wyniosłych szczytów. Ale nie mniej przeto jest zajmującym. Jako z najwyższego punktu Tatr (8414 stóp) i to w pośrodku najpotężniejszych mas granitowych obszarów, najłatwiej się ztąd zorjentować co do położenia i stosunku łańcuchów i wirchów. Szczególniej zająć Cię musi widok grzbietów ku wschodo-

północy. Pod stopami karlejący grzbiet Polskiego Grzebienia; rozszczepiony łańcuch ku Sławkowskiemu Szczytowi na prawo, a więcej ku północy łańcuch przez Jaworowe Sady do grûpy Lodowego i znów na prawo do Dumnej Góry, Łomnicy i Kezmarskiego Szczytu. Zwróć się na lewo ku zachodowi, co za przerażający majestat tych dzikich, poszarpanych grzbietów przez Żelazne Wrota ku Wysokiej. Poglądając na zapełnione głazami doliny, na owe w części już ziemią zarównane upłazy, w części zaś nowemi rumowiskami pokryte osypiska, przekonywasz się w jednej chwili, że te rozległe grzbiety i łańcuchy, dziś jeszcze wyniosłemi najeżone turniami, musiały przed wieki przenosić wysokością najwznioślejsze dzisiejsze szczyty, że niegdyś wraz z niemi daleko wyżej ku niebu sięgały. Dopełniwszy różnych poszukiwań, zanotowawszy stan aneroidu, wyzbierawszy co się wynaleść dało z roślinności lub charakterystycznych skał na około samego szczytu, zabieramy się do odwrotu, a szkoda, bo miałbym ci jeszcze co opowiadać Czytelniku o tej skalistej pustyni. Nie mogę jednak nie wspomnieć o jednym gościu, który się tu znalazł, nie dziś wprawdzie lecz przed paru laty, gdyśmy także kilka godzin tu siedzieli. Był to biały motyl, który korzystając z ciepła i pogody w oczach naszych z kotliny wznosił się aż po najwyższe szczyty góry. Co go też mogło skłonić do tej fantastycznej wycieczki? Nie kwiaty go tu nęcić mogły. Zgodziliśmy się z góralami, że to już taka w nim natura taternika i taki wpływ cudnych naszych Tatr. Jeśli kiedy szanowny Czytelniku będziesz na szczycie Gerlachu, spojrzyj z samego wierzchołka, a lepiej jeszcze o kilka stóp pod wierzchołkiem, na ostatnie jego turnie panujące bezpośrednio nad grzbietem Żelaznych Wrot. Wierzchołki tych turni tworzą cudowne kształty gotyckiej świątyni o kilku wieżach i wieżyczkach.

Złudzenie jest tak wielkiem, że doprawdy możnaby prawie zdjąć plan tej budowy. O ile wiem, nikt ze zwiedzających Szczyt Garłuchowski nie zwrócił dotąd na to uwagi[1]). No, czas już wielki schodzić, ale czyż mamy schodzić tą samą drogą? — Od razu wszyscy zgadzamy się, że wartoby przecież poszukać nowej. Czyby nie spróbować jednego z dwóch kolosalnej długości zlebów, prowadzących do Batyzowieckiej Doliny? Jeden z nich dosięga istotnie samego wierzchołka Gerlachu i zaprasza prawie do takiej próby, jest bowiem u góry bardzo położysty. Ale kto zna Tatry, wie, że temu ufać nie można. Jakimś instynktem wspólnym nikt z nas nie zaproponował nawet tej drogi. Drugi zleb, także pod wierzchołek prowadzi. To właśnie ten sam, do którego po licznych zakrętach i zniżeniu się z jednego z najwyższych szczytów, dochodzi się z kotliny, przed samem wejściem na główny wierzchołek. Oddawna przepatrzyliśmy, że w prostej linii bieży on w Dolinę Batyzowiecką, ale czy „puści dołu“ (=na dół), czy nie kończy się jaką prostopadłą ścianą? — Wystaw sobie Czytelniku, że rozrzucono olbrzymiej wysokości komin, ale w taki sposób, że dwie ściany przyległe zupełnie odjęto. Dwie pozostałe utworzą jakby rynnę pochyloną w kierunku spadzistości góry. Widocznie

[1]) Na najnowszej karcie sztabu generalnego, wielka, na najwyższym progu Batyzowieckiej doliny sterczące turnia, oznaczona jest nazwiskiem słowackiem „Kostiołek“. Podejrzewam że zbierający nazwiska miejscowe inżynier, został wprowadzony w błąd. Turnia ta niczem nie przypomina kościoła i też zwie się właściwie „Batyzowieckim Szczytem“, a wielka góra zamykająca dolinę od zachodu „Kończystą“. Nazwa Szczytu Batyzowieckiego bywa błędnie używaną dla „Kończystej“. Kościółkiem zaś jak sądzę nazwali Słowacy owe wysoko już na samym Gerlachu sterczące turnie, które i od strony Batyzowieckiej Doliny kształty kościółka zachowują, lubo z pod szczytu Gerlachu daleko się malowniczej przedstawiają.

przez całą wysokość góry wielkie bloki granitu oddzielały się w jednej linii. Ściany tego rozległego komina, czy jeśli wolisz tej rynny dość są chropawe, lub mają występy dozwalające tak dobrze piąć się do góry jak i zstępować. A więc próbójmy. — W najgorszym razie jeśli u dołu zejścia nie ma, trzeba będzie z tysiąc stóp wrócić do góry i przedzierać się do turni okalających kotlinę od zachodu. Schodzimy niepewni przyszłości. Bardzo często oparci dłoniami o skałę, spuszczamy się lub zeskakujemy na zbyt nisko pod nogami wystające nierówności. Przy pewnej wprawie nie nazywa się to złą drogą. Po godzinnej pracy otucha w nas wstępuje. Droga prawie coraz lepsza. Jeszcze pół godziny, — jesteśmy nad doliną w najwyższym jej punkcie, a raczej tuż pod najwyższym jej progiem. Już widzimy śnieg wieczysty, zaścielający tuż pod nami stopy Gerlachu. Fakt ten jednakże nie uspakaja nas jeszcze. Owszem, tu to właśnie leży owa zagadka „czy puści dołu?“ — Istotnie sam zleb ku dolinie staje się niemożliwym do zejścia. Spadki prawie pionowe. Wojtek Raj i Szymek Tatar idą przodem przepatrzeć drogę. My odpoczywamy tymczasem. Jest to zwykły regulamin. Wojtek spostrzega naprzód jeden, potem niżej drugi kij wetknięty w szczeliny skały. Widocznie strzelcy z doliny wychodzą tędy na boczne turnie Gerlachu. Nadzieje nasze zamieniają się w pewność. Zlebem dalej nie zejdzie, a więc zejdzie granią. Ale którą? — Na jednej z nich — w tej chwili zleb oddziela nas od niej — Wojtek spostrzega ładną laskę nie uronioną przypadkiem, ale postawioną ostrożnie w jakimś załamie skały. Snadź zawadzała idącemu. Józek ma niepochamowaną chętkę iść po nią. Ale w tej chwili Wojciech Raj bystrym okiem dostrzega, że lepiej będzie zejść granią, na której stoimy. „Nie baw się Józek, nie baw się“ — woła na syna. — Zapomniałem Ci powiedzieć, szanowny Czytelniku, że Józek jest rodzonym i pierworodnym synem Wojciecha, a z dziadka i pradziadka taternikiem. Wielce on żałuje, że nie ma czasu spróbować karkołomnej wyprawy na drugą stronę zlebu i sądzę, że ta laska jeszcze mu się kiedy przyśnić gotowa. Po dwóch godzinach całkowitego i niezbyt pospiesznego pochodu, gdyż po drodze i zbieramy rośliny i rozglądamy się po turniach — stajemy nareszcie w dolinie tuż pod najwyższym jej progiem. Ztąd już nie widzi się wcale najwyższego piętra, a że jak wspomniałem pod samym progiem stoi wielka zaokrąglonych konturów turnia (właściwy Szczyt Batyzowiecki), przeto przychodzący z dołu mogą mieć złudzenie, że owa turnia kończy dolinę i należy już do Żelaznych Wrót. Tymczasem za nią jest jeszcze obszerna przestrzeń zapełniona głazami, a za nią dopiero wschodnia część łańcucha Żelaznych Wrót [1]) Dolina Batyzowiecka w górnej swej części przewyższa dzikością, ale zarazem majestatycznością swoją inne tatrzańskie doliny. Od zachodu zamknięta jest Kończystą, która od tej strony wygląda jak kolosalny portyk gotyckiej świątyni. Niezliczone ostre turnie wybiegają prostopadle ku niebu, a całość ich stanowi piramidę o bardzo szerokiej podstawie. Barwa całej góry jest perłowo szara z licznemi pod same szczyty sięgającemi blado zielonemi smugami. Na prawo od Kończystej z po za Żelaznych Wrót wznosi się ciemny, niebotyczny szczyt Wysokiej w postaci także piramidy, ale o bardzo wązkiej podstawie. To przeciwieństwo barw i konturów nadaje dolinie szczególny wygląd i urok. Urok ten podnosi się do niesłychanego efektu, jeśli w dolinę spoglądamy, pomiędzy godziną 2 a 4 popołudniu, z Gerlachu

---

[1]) Zdaje się, że z tego ostatniego piętra możnaby dostać się łatwo zlebem pomiędzy Gerlachem a Żelaznemi Wrotami na sam grzbiet tych ostatnich. Czy jednak z drugiej strony zejście nad śnieżne pole pod Gerlachem jest możliwe, trzebaby zbadać od strony Zielonego Stawu.

przez wązkie okno przypadkiem z czworogrannych słupów utworzone. Znajduje się ono w zachodnim ramieniu podkowy, ale już w bliskości środkowej masy szczytów (patrz opis ks. Stolarczyka). Godzina popołudniowa dlatego jest najpożądańszą, że wtedy słońce będąc jeszcze bardzo wysoko, jest już po za Kończystą. Nie ma więc w dolinie promieni prostych, ale za to dostateczna ilość złamanych i odbitych. Daje to tak cudny efekt światło-cienia, że owa perłowo-zielona barwa Kończystej zdaje się być w ciągłym ruchu. Jednocześnie Wysoka wygląda zupełnie czarno. Dodawszy do tego kamieniste, zupełnie puste łoże doliny i tylko mały skrawek stawu, który czerwoną barwą świeci na lewo od Kończystej, łatwo sobie przedstawić, że widok ten jest najoryginalniejszym, nietylko w Tatrach ale w jakichbądź innych górach.

Mniej nadzwyczajny, ale jednak oryginalny i zdumiewający widok czeka cię naprawo ku Gerlachowi. Z żadnego punktu w Tatrach nie wygląda on tak wspaniale, a obok tego rzec można tak prawdziwie. Prawdziwie, bo naprzód widzisz, że główne najwyższe szczyty są trzy [1]), powtóre, że szczyt najwyższy wraz ze swemi dwoma towarzyszami nie leży wprost nad kotliną, ale właściwie po nad zachodnim ramieniem „podkowy“, czyli że owe trzy szczyty panują jednocześnie nad kotliną i nad doliną Batyzowiecką. Ztąd wynika, że Gerlach wraz z Kończystą i wschodnią częścią Żelaznych Wrot stanowi dopiero symetryczną jedność, tj. górę o trzech ramionach, z których środkowy jest owem zachodnim ramieniem kotliny. Wspanialej zaś niż zkądinąd dlatego wydaje się ztąd Gerlach, że widzisz nie same szczyty sterczące naprzykład nad Polskim Grzebieniem lub Żelaznemi Wrotami, ale że one zstępują w samą dolinę nieprzerwanie i przeto w tej oddali kształty ich nabywają smukłości i wyniosłości, której z innych punktów nie mają. Jak igły wystrzelają one tu w górę.

Idąc wzdłuż Doliny Batyzowieckiej ku stawowi, najlepiej też występują wszystkie inne turnie środkowej masy Gerlachu, a jest ich bardzo wiele. Wystaw sobie Czytelniku ostrokończysty wzgórek zarosły niezbyt gęsto świerkami, a będziesz miał zdrobniały obrazek tych Gerlachowych turni.

Im niżej schodzimy w dolinę, choć zawsze jeszcze po nagich głazach, tem weselej usposobioną jest nasza gromadka, z każdym krokiem spokojniejsza o nocleg w warunkach rozsądnych, tj. w krainie już kosodrzewiny. Bądź co bądź nocleg bez watry (zn. ogniska) jest rzeczą mniej przyjemną. Zanim zejdziemy tak nisko, że ramię kotliny zasłoni nam wszystkie piękności Gerlachu, rzućmy jeszcze raz

---

[1]) Zadziwić musi każdego czytającego opis p. Dezso, ks. Stolarczyka i mój niniejszy, że turysta węgierski mówi o 2, ks. Stolarczyk o 5 a ja o 3 głównych szczytach Gerlachu. Któż ma słuszność? Łatwo jednakże się to tłumaczy. Środek góry składa się, jak mówiłem, z wielkiej liczby poszarpanych, piramidalnych turni, z których jedne sterczą nad drugiemi coraz wyżej w kierunku północnym. Idąc pomiędzy temi turniami, wcale nie można się zorjentować, bo jeden szczyt zasłania drugi wszystkie bowiem są kolosalnych rozmiarów. Stojąc znów na samym wierzchołku góry, nie łatwo ocenić wysokość i znaczenie każdego ze stosunkowo bliskich szczytów. Widocznie p. Dezso opisał dwa szczyty dlatego, że je jako główne oceniał z dołu od południo-wschodu; wtedy trzeci główny szczyt, zasłoniętym jest przez szczyt najwyższy. Ks. Stolarczyk naliczył pięć najbliższych siebie szczytów i słusznie, ale tylko zdaleka ocenić można o ile który z najbliższych ma prawo liczyć się do głównych.

Dlatego to twierdzimy, że najprawdziwsze pojęcie o budowie góry, o wielkości i znaczeniu szczytów można mieć dopiero z Batyzowieckiej Doliny, zkąd je wszystkie najłatwiej ocenić.

okiem na niego. Droga nasza, ów zleb „wygodny“ wydaje się prostą choć pochyloną rysą na jego olbrzymiem ciele. Równolegle od tej rysy ale powyżej, spostrzegamy ów drugi zleb, który nas tak zdradziecko zapraszał do siebie, i który na sam szczyt wybiega. Po drodze wystudyowaliśmy go z wielu punktów. Aby dać o nim wyobrażenie, muszę znów powrócić do mego trywjalnego porównania. Zleb ten znów jest jakby rozwalonym kominem, ale któremu jednę tylko odjęto ścianę. Cały jest pochyloną otchłanią tu i owdzie zatkaną olbrzymim odłamem skały. O zejściu tamtędy ani mowy. Tak przynajmniej wygląda zdaleka. Nie możemy się oderwać od widoku Gerlachu. Jest on tu równie wspaniałym jak pięknym, czego doprawdy z żadnego prawie innego punktu powiedzieć o nim nie można. Zawsze był tylko strasznym i ponurym. Jednego wszakże z nas nie wzruszają te zachwycające kontury. Wojtek Raj, który bez kłębka i nici wprowadza nas i wyprowadza z tego labiryntu, obstaje przy swojem, że to „brzydka i straszna góra“, i daje jej przezwisko, którem nie chcę ci psuć dobrego wrażenia, jeśliś je miły Czytelniku z mego opisu był w stanie uzyskać.

Jesteśmy już przy drugim progu doliny. Z pod prostopadłej skały tryska dosyć obfity strumień żywiony owemi wieczystemi śniegami w górze, lecz przebywający wyższe tarasy po pod głazami, pierwotnem łożyskiem doliny. Znajdujemy tu z Józkiem w wielkiej obfitości rzadki bardzo mech, który wszędzie indziej zaledwie w drobnych ilościach spotkać można. Skutkiem tego humor nasz podnosi się jeszcze, a to znów odbija się jak echem na całem gronie. Odtąd idziemy „herbikiem“. Jest to niby grobla dość wyniosła, zieloną trawą pokryta. Bieży środkiem doliny w zupełnie prostej linii aż do stawu. Najbardziej wątpiący umysł musi rozpoznać w tej grobli „środkową morenę“ przedwiekowego lodowca.

Słońce ma się ku zachodowi i jakieś połamane promienie uderzają o zwierciadło stawu. Po ogromnych nadbrzeżnych głazach, przechodzi poważnie stado kóz dzikich. Smagłe ich kontury, w czarnych sylwetkowych obrazach rzucone są na jasny jeszcze horyzont. Przywódzca stada ogromny kozioł, wspaniale pozuje na jakiejś płaskiej skale. Biedne płochliwe mieszkanki gór, spieszcie zaspokoić wasze pragnienie, bo która z was się opóźni, musi długo potem czekać. Józek dłużej nie wytrzyma. Przeraźliwe „hi haa“ spłoszy was i każe szukać pokoju między turniami. Przepyszny widok stawu przy tem oświetleniu. Spokojne, w poczerniałe głazy oprawne zwierciadło wody, odbija ciepły koloryt nieba, zasłanego tu i ówdzie lekkiemi ognistemi smugami.

Ale trzeba nam się spieszyć. Zniżamy się jeszcze o jedno piętro, z którego progu liczne już szumią wodospady. Jesteśmy w kosówce. Po lewym brzegu doliny schodzimy na suchą, ze wszystkich stron krzakami otoczoną maleńką równinkę. Razem z nami schodzą górale pozostawieni w „kotlinie“ z pakunkami. W ciągu kilku minut staje namiot, ogień wesoło strzela dokoła i — „herba“ (herbata) gotowa.

Jest to wielce przyjemna chwila w czasie wycieczki, rozumie się, jeśli służy pogoda. I jakże mogłoby być inaczej. Nogi wywiązawszy się przez ciąg jakich 12 lub 15 godzin z położonego w nich zaufania, w skromnem uczuciu zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku, wyszukują sobie najwygodniejszego położenia. Pierś nie potrzebując już pracować jak machina parowa, swobodnie wdycha czyste, cudne, tatrzańskie powietrze, ożywione po skwarnym dniu łagodnem tchnieniem wieczoru. Brzuch zauważywszy nie bez upokorzenia i przykrości, że w ciągu dnia był zaledwie tolerowanym, że niejeden z turystów radby go może idąc na szczyty zostawić wraz z innemi pakunkami u spodu góry, teraz w prawowitem poczuciu pokrzywdzenia, zrazu z dyskrecyą a wkrótce z natarczywością przypomina, że i jemu przecież coś się należy. Mózg wreszcie, dla którego przyjemności głównie przed-

sięwzięto wyprawę, rad, że nie potrzebuje już rozciągać ścisłej kontroli nad powierzonemi jego pieczy członkami, rad, że nogi, ręce, żebra itd. w całości mniej więcej doprowadził do noclegu, zaczyna teraz rozbierać doznane wrażenia. Jedne z nich nieprzyjemne, niedbale rzuca do jakiejś dziurawej szufladki, oczywiście dlatego, by je co najrychlej uronić. Drugie, przyjemne, troskliwie do najlepszej chowa skrytki, by ci je na każde zawołanie w pełnym wdzięku i świeżości pokazać. Ileż to razy wśród ponurych lub ciężkich chwil życia błyśnie ci obraz tak uroczych wspomnień, że same te wspomnienia orzeźwią cię i pokrzepią!

— A to byście co zjedli — rzecze Wojtek Raj, przerywając moje pseudo-psychologiczne dumania. I daje do wyboru bigos, gorącą kaszę. A w ślad za nim Wojtek Ślimak godzi na mnie z odegrzanem na drewnianym rożenku kurczęciem. Nie broniłem się dzisiaj, jadłem bigos i kaszę. Dopuściłem się nawet paru kawałków kurczęcia, ku wielkiej radości moich poczciwych Wojtków.

Ciemność już zupełna i w około najuroczystsza cisza. Jaskrawo odbija od tego gwar wesołej gromadki górali i jaskrawiej jeszcze bujny płomień, podsycany obficie kosówką. Wsuwam się do połowy w otwarty namiot, aby zyskać ramy do tego zawsze powtarzającego się a zawsze świeżego obrazka. Górale pokończyli wszystkie przygotowania do noclegu, posilają się skromnę strawą i obsiadają ognisko. Czy spojrzysz na siedzących z tamtej strony ognia, na te wyraziste, inteligentne rysy, uwydatnione obok głębokich cieniów jasnym czerwonawym odblaskiem płomienia; czy na czarne sylwetkowe postacie siedzących po tej stronie, każde z tych swobodnych dzieci gór stanowi nieoceniony model dla artysty. Sabała na jakimś, trochę wyżej podniesionym głazie, panuje nad gromadką. Że też on zawsze musi obrać jakiś punkt, jakąś przybrać postawę, co go od drugich wyróżnia. Już wydobył „gęśliki“ dostraja je i oto już brzmi butna a zarazem taka rzewna nuta „Kościeliskiej“ pieśni. Naturalnie Józek już się porwał do tańca, jakby poczuł gwałtowną potrzebę rozruszać sobie trochę nogi. Grajek spogląda na chłopca z uśmiechem, porusza jedną nogą do taktu, to już jest u niego nieodzownem i przechodzi w „drobnego“. Lecz wkrótce uśmiech ten przybiera wyraz smutny, prawie bolesny. Jasiek patrzy przed siebie, ale już nie widzi swego otoczenia, już myślą nie jest z nami, on patrzy w przyszłość. I to się za każdym prawie razem powtarza, gdy grać zacznie. Z motywu do motywu przechodzi i już się wtedy nie łatwo z nim dogadać. On wtórzy myślom swoim, gra dla siebie. Ileż razy, gdy towarzysze zajęci są jaką czynnością, on wymyka się niepostrzeżenie, wybiera jakąś samotną urwistą skałę i stanąwszy na niej z nienaśladowaną swobodą i wdziękiem, gra jeszcze rzewniej, jeszcze tęskniej. Poznawszy ten jego obyczaj, staram się zawsze z za jakiegoś krzaka lub głazu napatrzeć się, nasłuchać się tego typu „ostatniego staroświeckiego górala“.

Że Jasiek nie o przeszłości marzy wtedy, świadczy ten uśmiech tęskny i smutny. Kiedy on myśli o przeszłości to uśmiech jego jest wesołym. Wszakże według własnego świadectwa tego poety filozofa, on „ani jednego dnia w życiu nie był nieszczęśliwym“. Ale przyszłość ta zawsze niepewna. Czy w przyszłem życiu będzie mógł błądzić po swoich ukochanych wirchach? „Bo ja i tam długo na jednem miejscu nie usiedzę“ — mówi on o sobie.

Księżyc wszedł równie świetnie jak wczoraj, i wkrótce blask jego złagodził znacznie dziki charakter całego obrazu. Zlekka jakby nieśmiało zarysowują się kontury odległych szczytów. Radbyś zatrzymać to nowe wrażenie co najdłużej, ale godzina późna. Rozsądek i znużenie radzą wyspać się przedewszystkiem.

Ognisko wpół przygasa, górale jeden po drugim zawijają się w czuchy, kładą obróceni plecami do „watry“ i natychmiast usypiają. Śpią smaczno a jednak

czujnie. Jeśli ogień zbyt przygasa, zawsze się znajdzie który z nich co go natychmiast drzewem zasili. Sabała i tu zachowuje się oryginalnie. Nie plecom samym porucza regulowanie ciepła, ale rękę jednę na nich opiera i jak przy graniu machinalnie nogą takt znaczy, tak w nocy śpiąc smacznie, odbywa tą ręką powolny miarowy prawie ruch. To otwiera dłoń, to ją zamyka. W kilka minut cały obóz już spoczywa. Tylko Wojtek Raj musi nieodwołalnie jeszcze jednej dopełnić czynności. Zagląda do namiotu, otula nas, obwija w koce i kołdry, wypytuje czy jeszcze kto czego niepotrzebuje.

No dziś noc jest ciepła, nie trudno mu będzie znaleść miejsce przy ognisku. Inaczej się dzieje, gdy noc zimna i wietrzna. Wtedy Wojtek po skończeniu swej inspekcyi znajduje w koło „watry“ tak ściśnięty łańcuch swych towarzyszy, że i igły nie zmieścisz. Posiada on jednak w takim razie sposób równie prosty, jak skuteczny. Dorzuca na ogień znaczną ilość kosówki, płomień się wzmaga, gorąco bije silnie na około, ręka Sabały ściąga się i otwiera coraz częściej; wszyscy świadomo czy nieświadomo cofają się od zbytniego żaru, łańcuch się rozrywa i Wojtek zajmuje w nim należne mu miejsce.

* * *

Spaliśmy wszyscy wybornie. O świcie wynurzam się z namiotu. Niebo gwiazdziste, na szczytach błyszczy rumiana zorza. Porównywam stan aneroidu z wczorajszym, spadł jeszcze o dwa milimetry. Ale pogoda wyborna, ani jednej chmurki, ani najmniejszego wiatru. Budzą się górale; odbywamy orzeźwiające ablucye w strumieniu.

— No dzieci, co dziś robimy?

Wojtek jakby mi w mózgu czytał.

— Eh, wiecie co, bobyśmy szli na Wysoką.

Bez głosowania przyjęto, zwijamy obóz, nawet „herby“ nie gotujemy, szkoda czasu, pośniadamy na pierwszym odpoczynku. Odprawiamy jednego górala z depeszą do domu. Przez kotlinę Gerlachu, Polski Grzebień, Roztokę, już o 5ej po południu był w Zakopanem.

Przechodzimy ukosem nizki już w tym punkcie grzbiet biegnący od Kończystej i znajdujemy się w dolinie leżącej między tąż Kończystą z jednej a Tępą z drugiej strony. Mamy pokuszenie przejść jeszcze dalej na lewo przez Osterwę nad piękny staw Popradzki. Ale rozwaga każe wciągnąć w rachunek pewne niewiadome, wszak dzień krótki. Idziemy suchą dość połogą, zresztą mniej powabną doliną ku szerokiej a wzniosłej przełęczy. Po drodze mamy sposobność przypatrzenia się świstakowi, który nie dalej jak o trzydzieści kroków przypatruje się nawzajem. Rzecz to bardzo rzadka tak blisko zejść to zwierzę. Objaśniamy sobie jego naiwność chyba tem, że urodzony w tej dolinie zapewne jeszcze nie widział tu ludzi i nigdy nie był spłoszonym. Prawie pod samą przełęczą jest trochę wody. Śniadamy. Ztąd najłatwiej wejśćby można na Kończystą. Zaledwie parset kroków wyżej, dochodząc do przełęczy spostrzegamy jedyny z po za niej wyglądający wysmukły stożkowaty czubek. To Wysoka! Z każdym krokiem dalej czubek ten rośnie i wnet wyrasta w kolosalną piramidę. Znając prawie wszystkie większe szczyty w Tatrach, prawie wszystkie większe doliny i grzbiety, nie trudno przy pewnej wprawie skombinować sobie z jakiegokolwiek nieznanego jeszcze punktu plan drogi i obrać właściwy kierunek. Ostatecznie zostaje tylko jeszcze tu i owdzie pytanie, czy ten lub ów zleb, ta lub owa grań „puści lub nie puści“. No, zobaczmyż tutaj. Po za ową szeroką i bardzo już połogą najwyższą częścią doliny,

otwiera się naraz stroma przepaść a na jej dnie znany nam dawno „Zmarzły Staw“ pod Żelaznemi Wrotami. Jednym rzutem oka górale nasi dopatrują jakiegoś zlebu, który „acz niemiły“ ale „puszcza“. W pół godziny jesteśmy przy stawie. Dziś on wcale nie jest zmarzłym, ale za to tak mętnym jak nigdy żaden staw na tej wyżynie w Tatrach nie bywa. Bierzemy się mocno na lewo, aby się dostać do czerwieniejącej zdala „buli“ (turnia o zaokrąglonych i nieco spłaszczonych kształtach), leżącej od południa pod Wysoką. Z prawdziwym żalem rozstajemy się z okolicą Zmarzłego Stawu, bo to z po nad niego uśmiecha się nam szczerba Żelaznych Wrót, przez którą dwa razy już przechodziliśmy na północną stronę Tatr do Zielonego Stawu. Oto właśnie przecinamy w poprzek drogę, która tam wiedzie, i która z obudwu razy tyle miłych wspomnień w nas budzi. Pierwszy raz było to przed dwoma laty. Szliśmy z „Jegomością“ od Popradzkiego, gdzie nocowaliśmy po zejściu z Wysokiej. Było nas przeszło trzydziestu a w tej liczbie grono wytrawnych taterników, jak ks. Sutor, prof. Świérz, pp. Dembowscy i kilku innych. Śniadając po nad tak zwaną przez górali Pustą Doliną powyżej Zmarzłego Stawu spostrzegam pod nami na wielkich polach śniegu blado-czerwone smugi. Zjawisko to znane w górach skandynawskich pod nazwą krwawego śniegu, zależy od maleńkiego mikroskopijnego wodorostu. Są to kulki napełnione purpurowym, silnie światło łamiącym płynem.

Na kilkanaście cali w głąb całe obszary śniegu przejęte są tym tworem[1]).

Żywo też stoi mi w pamięci wrażenie, jakiegośmy wówczas wszyscy doznali, przeszedłszy zwartą kolumną przez ową szczerbę Żelaznych Wrót. Z tej strony droga do niej przykra, ale bezpieczna. Stromym kamienistym zlebem dosięgając wązkiego siodełka, czyli właściwiej mówiąc samej szczerby, wchodzi się między wysokie, prawie prostopadłe ściany. Z drugiej strony przepaść, tylko po pod samą ścianą północną, na prawo nad urwiskiem usypanem z rodzaju zielonawej glinki, powstałej z rozłożonego granitu, trzyma się przez całe lato przylepiony szmat stwardniałego śniegu. Po tym śniegu, zgięty we dwoje, bo ściana granitowa u spodu tylko jest wyżłobiona, a na górze szorstko wystaje, może przejść człowiek jako tako bezpiecznie, a iść tak trzeba kilkadziesiąt kroków, bo rzadko gdzie można się wyprostować. Potem zwracamy się w lewo na ostrą wązką grań, także zwykle śniegiem pokrytą, lecz po której „już wozem przejedzie“ według uświęconego wyrażenia przewodników zakopiańskich, co znaczy, że już ztąd trudniej kark skręcić, jeśli się mocno na nogach trzymasz. Widok z grani na tę prawdziwie piekielną bramę, zwłaszcza gdy schyleni towarzysze jeden za drugim przez nią przechodzą, jest niesłychanego effektu. Nadzwyczajna ostrość konturów, różnica oświetlenia jednej a drugiej ściany, niewypowiedziana dzikość w około a do tego widok na południe i na północ, na zielone łąki, uprawne pola i wzgórza odległych okolic, nadają obrazowi urok niezwykły nawet w Tatrach, gdzie przecież począwszy od Zawratu o podobny rodzaj widoków na pozór nie trudno. To też ulegasz wrażeniu, którego się nigdy nie zapomina. Na wniosek mój, abyśmy w tem miejscu urządzili wypoczynek, bo wszakże tu codzień się nie chodzi, przystano od razu. — Rozsiedliśmy się na grani wśród śniegu i głazów. Przy posiłku Sabała jął prawić powiastki, któremi nas do konwulsyjnego pobudzał śmiechu. „Jegomość“ gwałto-

[1]) Przesłałem znaczną ilość osadu zebranego po roztopieniu śniegu prof. Rostafińskiemu, który zajął się jego badaniem. Zdaje się, że mętność Zmarzłego Stawu zależy od ogromnej ilości tego wodorostu, gdyż woda spływa doń właśnie od owych czerwonych śniegów.

wnie musiał się trzymać za boki, a przy jego olbrzymiej prawie postaci, zdawało się, że skała, na której siedział, trzęsie się i gotowa runąć.

Drugi raz przeszliśmy tę samą drogę w roku zeszłym w towarzystwie profesora Aleksandrowicza. Z wycieczki na Krywań zeszliśmy dnia poprzedniego na nocleg do schroniska przy Szczerbskim Jeziorze, a nazajutrz przez Mięguszowską Dolinę na Żelazne Wrota. Cała kilkudniowa wycieczka ułożoną została wyłącznie dla profesora Aleksandrowicza. Był to poniekąd obchód jubileuszowy; właśnie 25 lat minęło jakeśmy z nim razem i z profesorem Jurkiewiczem pierwszy raz zwiedzali Tatry. Chciałem tedy aby mu, po tylu latach znów przybyłemu, co najwięcej w najkrótszym pokazać czasie. Zaprowadziłem go „po drodze“ i na owe czerwone śniegi, aby zjawisko to u nas rzadkie własnemi oczami oglądał. Wchodzimy na Pustą Dolinę, śniegi są ale bielutkie.

Że jednak przed kilku dniami śnieg w Tatrach padał, musiał pokryć warstwy wieczyste. Odgarnęliśmy miękką wierzchnią skorupę i dobraliśmy się do blado purpurowego łoża. Rozpierzchnięci w dolinie, zbieramy się w ścisłą kolumnę, aby przebyć ów zleb kamienisty ku szczerbie. Nigdy wprzódy i może już nigdy więcej zleb ten ponury i dziki nie zabrzmi takim wesołym i hucznym gwarem. Było nas około czterdziestu. Zawsze wesoły, pogodny humor szanownego jubilata, jego wrażliwość na piękności przyrody, tryskający przy każdej sposobności dowcip, wprawił całe nasze grono w najlepsze usposobienie. W przeciągu ćwierci wieku jak nie był w Tatrach prof. A. przybrał nieco na tuszy, a chociaż twierdził, że poprzedniego już dnia gdzieś tam na Krywaniu, zgubił przodkującą a wydatną część swej cyrkumferencyi, jednakże zauważyliśmy, że w miarę coraz bardziej stromej drogi, coraz więcej botanizował, szukając tam nawet roślinności, gdzie już ostatnie jej ślady zginęły. Ponieważ nie było czasu do stracenia, postanowiliśmy prosić go, aby zechciał nam przewodniczyć, aby prowadził kolumnę. Odgadł manewr, ale poddając się z uprzejmością naleganiom, objął przywództwo i — trzeba być sprawiedliwym, prowadził nas doskonale.

Z westchnieniem mijał zapraszające do spoczynku tu i owdzie „kanapkowatości“, nie chcąc aby, gdy spocznie, trzydziestu kilku towarzyszów czekało pod nim wisząc częstokroć więcej na łokciach, niż stojąc na ślizkiej i niepewnej ścianie. Odwracał się wtedy ku nam i z szczerym, choć czasami nieco kwaskowatym uśmiechem, potrząsając wzniesioną do góry ciupagą „za mną“ wołał, jakby do opóźniających się towarzyszy. „Idziemy“, krzyczeli górale wśród serdecznego śmiechu. Gdyśmy dosięgli szczerbiny, szanowny profesor ze łzami zachwytu i wzruszenia powitał uroczy majestat tego miejsca. I nie jego jednego powieki łzą zabłysły.

Z żywem wspomnieniem tych miłych chwil oglądaliśmy się na ową szczerbinę, dopóki nam jej nie zasłoniły ponure turnie „Ganku“.

Jeżeli Cię miły czytelniku mało zajęły wspomnienia moje z Żelaznych Wrót, to jeszcze mniejbym Cię ubawił opisywaniem drogi, którą teraz oto do owej rdzawo zabarwionej „buli“ odbywamy, choćby właśnie dlatego, że jest wcale nie złą, bo umiarkowanie stromą. At sobie zwyczajna, tatrzańska droga pod górę, jeśli tylko drogą nazwać się godzi, całe morze kamieni i łomów, z których ani na tysiącznym jeszcze noga ludzka nie postała, choć tam strzelcy i turyści chodzą. We dwie niespełna godziny jak opuściliśmy Staw Zmarzły, jesteśmy już nie tylko na „buli“ ale i po nad nią na wysokości blisko 7600. Zostawiamy na tarasie pakunki pod opieką Sabały i jego muzyki, a sami wchodzimy w zleb wschodnio-południowy, prowadzący wprost na wierzchołek góry. Jest to jeśli nie najprzykrzejszy to z pewnością najmniej bezpieczny zleb tatrzański. Granit w części zwietrzały i sliski, rozkruszony; to znów po bokach wystający wprawdzie w wielkich i nie-

zbyt pochyłych ale za to cienkich taflach, które, gdy staniesz na nich, wysuwają się częstokroć z pod siebie. Tu też więcej jak gdziekolwiek indziej okazała się niezbędną ściśniona kolumna przy wejściu i zejściu. Gdyśmy szli z „Jegomością“ przed dwoma laty, zaledwie ktoś z idących naprzód stąpił na taki głaz ruchomy, poczuł, że ten wysuwa mu się z pod nogi, lekko zeskoczył na bok, ale głaz zwolna wysuwał się dalej. Szczęściem przewodnik o pół kroku niżej będący, zdołał go na chwilę powstrzymać, drugi i trzeci za nim idący szybko dopomogli i zmienili kierunek upadku. Przy większych odstępach w łańcuchu, po kilku sekundach już żadna siła ludzka nie byłaby w stanie zatrzymać skały, którąby „wymiotła“ ze zlebu nieoględnych śmiałków. W małą godzinę jesteśmy na szczycie. Jasno i ciepło. Gęsto obsiedliśmy kończysty czubek góry. Jeśli Gerlach usposabia posępnie, to Wysoka przeciwnie. Tańczyć wprawdzie nie można, bo nie ma gdzie, ale za to śmiech i gwar wesoły.

Widok ztąd równie piękny jak ciekawy i pouczający. Ztąd jednocześnie i grupę Gerlachu i szczególniej Krywania doskonale opatrzysz, nie mówiąc już o zachodnich szczytach. Jeden tylko zarzut można zrobić temu punktowi, to jest że z niego nie widzisz Wysokiej, bo ona istotnie każdej panoramie tatrzańskiej nadaje szczególny wdzięk wykwintnemi swojemi kształty.

O trzeciej popołudniu schodzimy ze szczytu. Szybko robimy tę samą część drogi, którą obeszliśmy szczyt góry i bierzemy się ku „Wadze“ przełęczy, między ramieniem Wysokiej i Rysami. Będziemy tam najdalej w ciągu półtorej godziny[1]). Zanim jednak tam dojdziemy, bierze mnie ochota opowiedzieć Ci szanowny czytelniku ustęp z jednej małej lecz twardej wycieczki. Właściwie sumienność turysty skłania mnie do tej gadatliwości, bo oto zeszedłszy z Wysokiej tym szkaradnym zlebem, przypominam sobie, że jest w Tatrach jeszcze gorszy i nierównie gorszy. Tylko że tego to już w żaden sposób nie zobaczysz, choćby cię istotnie płocha chęć wzięła szukać przykrych zlebów. Nie znajdziesz przewodnika, któryby się zgodził przeprowadzić cię tamtędy. Rzecz się miała tak: przed kilku laty wypadł mi jakiś gwałtowny, botaniczny „interes“ do doliny Pięciu Stawów. Wybieram się na parę dni z synem moim; nawiasem mówiąc nie radzę ci z nim chodzić na wycieczki, jeśli nie jesteś wypróbowanym taternikiem pierwszej wody. Ponieważ zwykle nasza droga jest przez Zawrat, przeto p. Alfons S. młody taternik chcąc użyć porannej przechadzki, odprowadza nas na tę przełęcz. Prócz Wojciecha Raja, Tatara i Ślimaka mamy z sobą Józka, naturalnie dużo młodszego niż dzisiaj, a objuczonego jak zwykle „trąbą“ (zn. duża, zielona puszka do roślin), deseczkami mieszczącemi obfite zapasy bibuły itd. Ponieważ Józek zaczął dopiero w owym roku zarabiać sam na siebie, nie miał przeto jeszcze swej własnej czuchy ale ojcową. A że ta była na niego srodze długą, więc zarzuciwszy ją na swą dużą torbę, zawiązywał pod szyją rękawami. Rozumie się, że wyglądał jak kópka siana, Dla oszczędności obuwia zwykł chodzić na Zawrat i wszelkie „piarżyste“ drogi boso. Pod „Zmarzłym“ rozmyślamy się. Przez Zawrat już się tyle razy chodziło,

---

[1]) Nazwa „Wagi“ używana od kilku lat dla tej przełęczy, nie zdaje mi się właściwą, choć bodaj czy się nie ustali. Turyści węgierscy w opisach zowią ją „Wysokim Grzbietem“. Szczyt sterczący nad Morskiem Okiem właściwem, czyli tak zwanym Czarnym Stawem, zowią Zakopianie Rysami, węgierscy i niemiecy turyści „Morskookim Szczytem“ Meer-Augenspitze), Słowacy zaś „Wagą“. Przypominam sobie jak w kłopocie z powodu takiej obfitości nazwisk, Zakopianie nie mogąc odstąpić od uświęconego miana „Rysów“, i nie wiedząc co począć z „Wagą“, przeznaczyli tę nazwę dla owej przełęczy.

czyby nie można przejść szczelinką między Kozim Wirchem a Granatami? Jakiś tam zlebik świeci w górze śniegiem. Spróbójmy.

— Eh! znam ja ten zlebik — rzecze Szymek — bom tamtędy raz od Pięciu Stawów chodził.

Przy indagacyi pokazało się, że przed wielu laty dźwigał tamtędy tęgiego kozła na plecach, a miał dobre powody do obrania tej romantycznej drogi.

— A puści tam?

— No, puści przecie, puścić musi, ale kto to wie jak tam teraz wygląda. Wdrapaliśmy się po mokrych, ślizkim mchem obrosłych progach pod ów śnieg.

Zlebik stromy, śnieg podmyty, ale z pomocą rąk i nieledwie zębów, wyrębując tu i ówdzie schody w zmarzłym śniegu, dostaliśmy się do szczerbiny. Tu naprzód wita nas gwałtowny, mroźny wiatr, że na nogach utrzymać się trudno. Spojrzyjmy w dół, gdzie schodzić trzeba — prostopadła wązka przepaść, zawalona zatrzymującemi się w załamach i zakrętach kamieniami.

— No, nie słodko coś wygląda!

Szymek i Wojtek Raj spuszczają się naprzód, zsuwając i zwalając w przepaść ogromne zaległości głazów, aby nam potem z góry na głowę nie spadły. Ślimak zostaje przy nas w odwodzie. Józek zostawiony jest własnemu przemysłowi. Utorowano kilkanaście stóp, spuszczamy się w otchłań. Józek na końcu. Nasi przewodnicy oczyszczają drogę niżej, my czekamy. Po kilku minutach znów opuszczamy się trochę niżej.

— Nie puszcza! — krzyczą z dołu — niech czekają!

Tym razem czekamy coś bardzo długo — czekamy zawieszeni na łokciach, wparci między wąziutkie ściany otchłani. Józek, który sobie wyszukał jakiejś innej odnogi zlebiku, w żaden sposób nie mógł znaleść oparcia na nogi. Zrobił więc grymas wyrazisty i wydał głos bardzo do jęku zbliżony. Ojciec dosłyszawszy, wychyla się pod nami nad jakąś sterczącą „turniczkę“ a spostrzegłszy kłopotliwe położenie chłopca krzyknie:

— Rozszerzaj się Józek — rozszerzaj się!

Pomimo niedogodności położenia, śmiejąc się nie mogliśmy oczu oderwać od Józka. I tak już dosyć szeroki ze swoją torbą i za dużą czuchą, teraz zrobił się literalnie szerszym niż dłuższym. Ale przestroga była skuteczną. Powiększywszy rozpartemi rękami i nogami tarcie o boki czeluści, powoli zjechał na upatrzony jakiś próżek wystający dobrze pod nim ze skalnej ściany i oparł przecie na nim nogę. Wkrótce słyszymy z dołu, że tam „po grani już wozem przejedzie“. Wiemy już co to znaczy. Zsuwamy się kilkanaście stóp, potem po gzymsie jakiejś grani „przewijamy“ w bok a potem znów „dołu“. I tak przynajmniej sto kilkadziesiąt stóp; potem zleb stał sie trochę położniejszym. Na prawo nad nami sterczą sklepieniem wysunięte nad przepaścią długie bloki spękanych granitów. Pod nami mała rumowiskami zawalona dolinka, a raczej zatoka doliny Pięciu Stawów. Oczywiście zeszliśmy i to bez przypadku, ale nie życzę nikomu tej na pół napowietrznej podróży. Rozumie się, że najlepiej na tém wyszedł pan Alfons, bo musiał po znacznem kołowaniu wejść jeszcze na Zawrat od doliny Pięciu Stawów tak, że mu ta przechadzka z pewnością za cztery Zawraty starczyła.

Ale otóż jesteśmy na Wadze. Krótko tu bawimy, widoki ztąd na wszystkie strony zajmujące, a choć nam dobrze znane, nigdy ich się dość napatrzeć nie można. Ale dzień ku schyłkowi. Zdawałoby się, że bez namysłu obierzemy drogę do Czeskiego i Doliny Białej Wody, gdy nagle, nie wiem już dobrze w czyjej głowie, zabłysła myśl pójścia jeszcze na Rysy, a ztamtąd wprost na dół do Morskiego Oka. Wszakże to wycieczka bez programu!

W kilkanaście minut stoimy na jednym, potem na drugim szczycie Rysów. — P. Stanisław, który tu jest pierwszy raz, wyskoczył przed nami jeszcze, aby się dłużej nacieszyć widokiem uchodzącym powszechnie za jeden z najpiękniejszych w całych Tatrach. Co za rozmaitość. Pod stopami w straszliwej przepaści Morskie Oko, a dalej nieco „Rybie“ jakby jakieś zaklęte zwierciadła wśród labiryntu granitowych kolosów. Zdaje ci się, zawisłeś w powietrzu nad tym czarownym obszarem. To złudzenie powiększa się, jeśli naraz odwrócisz się w przeciwną stronę. Tu bowiem jakby powtórzone te same motywa, ale prawie nad tobą. Bo choć stoisz na 7300 stóp, ale Wysoka i mało jej ustępujący Ganek prostopadłemi ściany sterczą wyniośle nad głową twoją, a u stóp ich śnieżna dolina ze Zmarzłym Stawem [1]) i niższe od niego Czeskie, ze swoim pysznym wodospadem. Jeszcze inne stawy widzisz w Mięguszowskiej Dolinie zamkniętej od północy szczytami tegoż nazwiska. W głębi przed tobą Baszta, Hruby Wirch i Krywań jakby oddzielna twierdza z licznemi niebotycznemi wałami, różniącemi się od siebie barwą i cieniem. Zaglądasz ztąd i na wyniosłą Dolinę „Żabiego“ także z dwoma stawami. Z góry podziwiasz prostopadłe ściany Młynarza i oko twoje z przyjemnością odpoczywa na zielonej barwie lasów i gór odległych a potem wybiega w dal, na tchnące życiem pola. Tu najłatwiej pojmujesz dla czego Wojtek Ślimak powiada, że „kiedy tak stoję na wirchu a słonko jasno świeci, to mi świat kwitnie [2]). O w pół do szóstej zaczynamy schodzić. Mamy zaledwie jeszcze dwie godziny dnia. Nie ręczę czy pomiędzy czytelnikami znającemi Tatry, nie znajdą się tacy, którzy pomysł szukania nowej drogi tędy i o tej godzinie nie nazwą grzecznie: bzikowatym. Zejść, zejdziemy, to pewna, ale jak i kiedy? Uzuchwaleni jednak trzydniowem powodzeniem, nie wahamy się ani na chwilę. Tuż pod szczytem „przewijamy“ na północną stronę grani wiodącej ku Żabiemu, potem zaraz spuszczamy się do zlebu od strony Morskiego Oka. Ślimak i Tatar przed wielu laty schodzili tędy każdy raz jeden. Pierwszy z „Jegomością“ drugi wracając z polowania (ręczyć nie można czy nie z kozłem na plecach). Obudwom droga ta nie zostawiła przyjemnych wspomnień. Ale bo też schodzili samym zlebem, obok śniegu. Dziś zaś rychło opuszczamy przykry i bardzo śniegiem wypełniony zleb, a idziemy na prawo granią.

Tatar i Ślimak pobiegli naprzód, aby się przekonać czy „puści“. Raj wyszukuje co najdogodniejszych spadków. Zdziwienie nasze wzrasta za każdym krokiem. Nie tylko, że zejść można, ale śmiało polecić mogę zejście z Rysów wszystkim turystom i turystkom, które były w stanie odbyć stereotypowy spacer przez Zawrat do Rybiego [3]). Już snadź zapisano było w księdze przeznaczeń tatrzańskich,

---

[1]) Nazwa „Zmarzłego Stawu“ bardzo często powtarza się w Tatrach, używaną jest bowiem dla wszystkich najwyższych zbiorników wody, w których mniej lub więcej lodu przez lato nawet nie topnieje.

[2]) Nie dobrze rozumiem dla czego porównywano Rysy (Meeraugenspitze) ze szwajcarską Rigi. Zapewne dla wielości dostrzeganych ztąd jezior. Według mnie kardynalna między niemi zachodzi różnica w tem, że Rigi leżą zewnątrz głównego łańcucha Alp, który też ztamtąd najlepiej się przedstawia, Rysy zaś choć mniej wysokie od swych potężnych sąsiadów, ale za to leży w pośrodku nich, należąc do głównych grzbietów tatrzańskich. Do widoku z Rigi najprędzej porównaćby można widok z Hawrania (lepiej jeszcze z przełęczy między Hawraniem i Muraniem), który w istocie przedstawia najdokładniejszą a zarazem najpiękniejszą panoramę Tatr.

[3]) Można rozłożyć wycieczkę na trzy dni: 1) z Zakopanego na nocleg do szałasu pod Wysoką, 2) Jak najraniej przez Czeskie, Wągę na Rysy. Tam trzeba być

że ta wycieczka powiedzie nam się w zupełności. Prawie trzy czwarte drogi schodzimy po bardzo wygodnych stopniach, po większej części mchem, trawą lub przynajmniej ziemią pokrytych. Grań bieży niezbyt pochyło a równolegle do pionowo-stojących a przeszło 3000 stóp wyniosłych skał ciągnących się od Rysów do Mięguszowskiej. Jest to droga jedna z najoryginalniejszych a zarazem najpiękniejszych w Tatrach. Tak łatwo, tak wesoło schodzi się w tę majestatyczną otchłań. Chciałoby się iść tędy jak najdłużej. Dziś jednak niepodobna się długo zatrzymywać. Słońce już zachodzi. Ku dołowi wygodne stopnie ustępują miejsca drobnemu żwirkowi i piargom. Trzeba iść wolniej, jeśli nie potrafisz razem z nami zsuwać się po podobnych drogach. Jest to bardzo prosty sposób lokomocyi. Obierasz miejsce najwięcej pochyłe, i stojąc giętko na nogach, własnym ciężarem suniesz wraz ze żwirkiem sięgającym ci nieraz wyżej kostek kilka, kilkanaście, czasem kilkadziesiąt kroków.

Napotkawszy jaką przeszkodę, jaki głaz większy lub ustaloną ziemię, wyskakujesz szukając naprzód okiem dalszej ruchomej podstawy. Chodzi więc tylko o zręczne utrzymanie równowagi; a jak to idzie szybko! — Jeszcze niżej ku szyi wyginającej się już na prawo po nad Morskiem Okiem (t. zw. Czarnym Stawem), piargi coraz większe. Już ślizgać się niepodobna, musimy iść wolno po głazach. Ta część drogi jest najmniej dobrą, choć tak zwykłą w Tatrach, że i na myśl nie przyjdzie narzekać na nią, tem bardziej, że pochyłość już tylko bardzo nieznaczna. Mrok zapada, stajemy nad Morskiem Okiem i już dobrze po ciemku, odgadywać musimy niewyraźną „perć“ (ścieżkę) wiodącą po prawej stronie stawu. Po lewej byłoby nierównie bliżej, ale zdaje się, że nie przejdzie, przynajmniej po nocy niepodobna ani próbować. We dwie godziny zeszliśmy z Rysów i dochodzimy do wału oddzielającego Morskie Oko od głębszej doliny „Rybiego“. Należy nam się „herba“ i będzie wnet.

Tymczasem dajemy sygnał do schroniska na przeciwnym końcu stawu. Więc wystrzał jeden i drugi i ogólny, donośny krzyk, świstania a potem „dawaj tratwę“ tubalnym głosem Gronikowskiego wyartykulowane. Możeś ciekawy Czytelniku, na kogo mogliśmy wołać, kogo się spodziewać w schronisku, kiedy Franek Dorula już od tygodnia przeszło z założonemi w tył rękami i z właściwym mu szykiem przechadzał się po Poroninie, wywiózłszy ztąd sienniki i poduszki. My jednak byliśmy pewni, że tu na nas ktoś czeka. Wybierając się na wycieczkę, nietylko, że zorganizowałem pocztę od siebie do rodziny, ale i w odwrotnym kierunku. Że zaś stanowczo nie wiedzieliśmy gdzie pójdziemy, trzeba było wybrać gońca, któryby wyszedłszy we dwa dni po nas z Zakopanego, mógł doręczyć mi list adresowany „w Tatrach“. Wybrałem do tego Wojtka Gewonta, który jest w stanie podołać takiemu zadaniu. Dałem mu wskazówki w jakich mniej więcej schroniskach mogliśmy nocować w razie pogody, a gdzie nas ma szukać aż do Szmeksu włącznie wrazie deszczu lub śniegu. Na wypadek nadzwyczajnych jakichś kierunków, na drzwiach schroniska znalazłby parę słów kredą napisanych, wskazujących przynajmniej stronę świata. Otoż Wojtek widząc trzeci dzień pogody, powinien był domyśleć się, że możemy nocować przy Rybiem, mniejsza o to z której strony tam przybędziem. Po hucznej tedy salwie, natężamy ucho. Słychać jakiś silny głos, ale baczni górale z samej intonacyi wnoszą, że „to nie Wojtków głos“. Maleńkie światełko zabłysło w tej chwili w schronisku i odbija się w wodzie.

---

najdalej na 1 lub 2gą po południu; najpóźniej o 3ej lub 4ej zacząć schodzić. 3) Wypoczynek przy Rybiem i do domu.

Postanowiliśmy zejść nad Rybie. I znów wołamy. Teraz dwa głosy słychać i jeden z nich niewątpliwie Gewontowy.

— Dawajcie tratwę — krzyczy Gronikowski.

— Nie ma wioseł — była odpowiedź. Wiosła po sezonie schowane.

Z zupełnym spokojem rozkładamy się nad wodą. Choć wioseł nie ma, ale dwóch Zakopian jest w stanie i całą tratwę skomponować nietylko wiosła.

Tymczasem księżyc z za Rysów wygląda i spokojne wody jeziora, jakby śniąc urocze snują złudzenia. Potoki, śniegi, szczyty gór i ciemne smugi kosówki oblane drgającym blaskiem, w lekkich, tajemniczych jakichś kreślą się zarysach, w głębinie Rybiego.

Na ponawiane od czasu do czasu „dawaj tratwę!“ — odpowiada nakoniec pożądane „zaraz“.

Zaimprowizowane wiosła jakoś wolno funkcyonują, tratwa zaledwie się porusza. Ledwie za pół godziny będzie tutaj, ledwie za godzinę będziemy w schronisku. Czyż nie lepiej było obejść piechotą naokoło stawu, tak jak zrobił Wojtek Raj, aby za wczasu „zgotowić“ wieczerzę?

Jeśli można było w zupełnej ciemności odnaleść chodnik nad Morskim Okiem, to przy księżycu spacer naokoło Rybiego, przy dobrze wychodzonej perci, byłby żartem; już oddawna bylibyśmy na miejscu. No, doprawdy, że nie dla zmęczenia nie zrobiliśmy tego — ale — z lenistwa. Tak dobrze nam tu leżeć. Nareszcie tratwa przybija; pomagamy gałęziami smereku wiosłować i sterować. Muzyka brzmi i Józek nie zaniedbuje rozgrzać sobie nogi „góralskim“. W szałasie już spoczywa trzech turystów, Wiedeńczyków, których W. Gładczan przeprowadził nieodzownym gościńcem przez Zawrat. Muszą być bardzo zmęczeni, kiedy ich ani tak cudna noc , ani nasza muzykalna przeprawa nie wywabiła na ganek. A może równie jak ów stróż schroniska w Wielkiej Dolinie, nie przypuszczają, aby w tej porze uczciwi ludzie mogli się tu zjawić i to od strony nieprzystępnych skał, na które i samo oko z nieśmiałością się wdziera. Kto wie, czy mimo znużenia nie udają tylko spiących a zatarasowawszy się w oddzielnej komorze, nie trzymają ręki na rewolwerach, postanawiając drogo przynajmniej sprzedać życie.

Gewont przyniósł listy i to dobre listy, przyniósł świeże zapasy, nawet jabłka na kompot, które Raj wybornie umie przyrządzać. — Dobranoc.

*
* *

Życzę Ci czytelniku abyś zawsze tak dobrze spał jak my w schronisku przy Rybiem, czyli jak się teraz w Zakopanem coraz częściej słyszeć zwykło przy „Morskiem Oku“. — Z powodu nazwy „Morskiego Oka“, muszę Cię ostrzedz, że jeśli kiedykolwiek napadnie Cię ochota pojechać do Zakopanego „dla poznania Tatrów“ na trzy lub cztery dni, jak się to dość często zwykło praktykować, to Cię Morskie Oko nie minie. Wołasz przewodników i pytasz jak się wziąć do wycieczki. Zakopianie są bardzo grzeczni i rozmowni. Wśród pogadanki góral już Cię wybadał i zakwalifikował. Albo jesteś kompletnym miejskim — bez urazy — niedołęgą, wtedy pojedziesz wózkiem do Roztoki — jeśli nie na samo miejsce; albo chodzisz jako tako choć po równej drodze, może już i dopuściłeś się Kościelisk, Strążysk lub na Gubałówkę, zaproponuje Ci drogę przez „Waksmundzką“. Albo uważasz się za wytrawnego turystę, a to na mocy tego, że zwiedzając Szwajcaryę byłeś na Rigi — koleją, lub przeszedłeś przez Grimsel albo wreszcie wszedłeś na Faulhorn itd. Nawiasem mówiąc, z ubolewaniem spoglądasz w takim razie na Zakopian, chodzących w kierpcach i nie znających dobrodziejstwa szwajcarskich

kamaszy o funtowej podeszwie, gęsto wielkiemi nabitej gwoździami, ani długiego również szwajcarskiego kija. Jeśli nie jesteś egoistą, to nawet w duchu już zamierzasz zreformować pod tym względem poczciwych tatrzańskich górali, którym Pan Bóg dał takie dobre nogi a takie nędzne obuwie i ciupagi. W tym tedy trzecim wypadku będziesz przeciągnięty przez Zawrat i Świstówkę.

O czwartej możliwej choć znacznie rzadszej kategoryi pomówimy później.

Owóż w każdym z powyższych przypadków, dodawszy do kwalifikacyi twojej przebytą drogę, sumy okażą się równe tj., że znajdziesz się jeszcze przed dojściem do celu wycieczki zbitym, znużonym, zbolałym, ledwie dyszącym i wyrzucającym sobie z goryczą lekkomyślność, która Cię tu zawiodła, na drogi tak różne od wygodnych alei Saskiego, Strzeleckiego lub jakiegobądź innego ogrodu. Coraz bardziej niecierpliwisz się „onaczysz“ (zn. męczysz, nudzisz) przewodnika pytaniami „a czy daleko jeszcze do tego Morskiego Oka“ — „a kiedyż tam będzie to Morskie Oko“ itd. — Napróżno góral pociesza Cię z dziesięć razy: że „zaraz za tym brzeżkiem“ — że już nie „precz“ (zn. nie daleko). Napróżno chwali Cię „jakto oni dobrze chodzą, ho, ho, mogliby iść i na Gerlach itp. — Wszystko to coraz mniej pomaga, czujesz się — dobitym.

Wreszcie spostrzegasz przed sobą wysokie skały zamykające pionowo horyzont, no, tu już wyraźnie swiat deskami zabity, przecież dalej iść niepodobna. Jeszcze jeden „brzeżek“ i stajesz nad wielkiem zwierciadłem wody, u stóp owych skał prostopadłych.

— A więc to, to jest Morskie Oko! — nie pytając już wykrzykasz.

— A hej — przytakuje góral, z politowaniem spoglądając na twoją pocieszną — naturalnie w tej tylko chwili fizyognomię.

Nie wierzże mu na miłość boską o przyszły taterniku! jeśli Ci istotnie prawda miła.

— Jakto rzekniesz, więc on mnie okłamuje?

No, niby tak po trochu, ale czyni to z dobrego serca. Wprowadza Cię w błąd rzeczywiście, ale głównie przez litość nad tobą i tylko niekiedy łączy się z tem mała cząstka krótkotrwałej niechęci, jeśliś go przez drogę „godnie wyonaczył“. Dla niego wprawdzie to przed czem stoisz było, jest i będzie zawsze „Rybie“, a Morskie Oko tam nad Rybiem wysoko. Ale w głowie górala odbywa się taki mniej więcej proces myślenia: „Ta bieda i tak już ledwie łazi; choćby i chciała iść wyżej, to ci się jeszcze gdzie przekopyrtnie, jeszczebyś to musiał na plecach dźwigać. Zresztą to się i na górach nie rozumie! Czy ta, czy druga woda między skałami, to mu tam wszystko jedno“.

Zwykle ma słuszność.

Wprawdzie gdy się wyspisz choć na twardym tapczanie, gdy cię góral gorącą „herbą“ otrzeźwi, nakarmi, chętnie się z ganku rozpatrujesz w tej dziwnej ustroni. Jeśli nie masz wodowstrętu (sit venia verbo), to i na tratwie chętnie usiądziesz i każesz się przewieść na drugą stronę. — Tam, trzeba być sprawiedliwym, twój przewodnik nigdy nie zaniedba się zapytać, „a możeby chcieli zobaczyć Czarny Staw co tam jest wysoko?“

Tej drugiej nazwy tyle razy powtarzającej się w Tatrach, używają przewodnicy jako niby *petit nom de guerre* dla właściwego Morskiego Oka. — „A niech sobie tam będzie“ — odpowiesz spojrzawszy na stromą pięćset stóp pnącą się perć, „nie ma czasu, musimy się spieszyć“ — niewiadomo po co — „do domu“.

Góral jest w porządku, a i tobie się zdaje, że jesteś także, już masz dosyć „Morskiego Oka“.

Jeśli jednakże znajdujesz się w czwartym możliwym wypadku, tj. jeśli naprawdę masz kwalifikacyę na taternika, jeśliś się tak urządził, że możesz choćby nie cały dzień ale przynajmniej większą część dnia pozostać na miejscu, to każdy góral najchętniej cię doprowadzi do rzeczywistego „Morskiego Oka", bo oni wszyscy dumni są z niezwykłych piękności swoich gór. Gdybyś mnie zechciał kiedy posłuchać szanowny Czytelniku i nie kwapił się do powrotu, to radziłbym Ci, zamówiwszy sobie, rozumie się, odpowiednią pogodę, pójść z nad Morskiego Oka nie oglądając się po za siebie tak około 150 do 200 kroków pod górę ku Żabiemu i to koniecznie między pierwszą a czwartą po południu. Potem zwróć się nagle i spojrzyj w Morskie Oko, czy, jeśli je tak wolisz nazywać Czarny Staw. Przyznasz mi wtedy, że to jest równie cudny jak niezwykły efekt. Wysokość tych częścią czarnych, częścią blaskim słonecznym oblanych prostopadłych ścian, podwaja się przez odbicie w wodzie. U góry i u dołu niebo. Patrzysz w zwierciadło stawu jakby przez jakiś olbrzymi czarodziejski pierścień, jakby na drugi świat pod tobą, albo przynajmniej na drugą stronę kuli ziemskiej. Co dziwniejsza, że gdy przy oświetleniu właściwem tej porze dnia, zieloność powlekająca tu i owdzie boki jakiej turni, daleko prędzej uderza wzrok twój w wodzie, bo jest jakby werniksem powleczoną, aniżeli na skałach po nad wodą, gdzie gubi się w matowej, szarej lub czarnej przestrzeni, tem bardziej ulegasz złudzeniu, że tam w dole widzisz świat inny; niechże jeszcze lekki wietrzyk zmarszczy zwierciadło wody, cały ten drugi obraz drga życiem, którego nie mają ponure kolosy sterczące nad jeziorem.

Wracając raz jeszcze do nazwy Morskiego Oka i Rybiego Stawu, jeśli mi nie wierzysz Czytelniku, zapytaj z wyłącznieniem tego „wyonaczonego" przewodnika wszystkich górali z północnej i południowej strony Tatr, zapytaj wszystkich dawniej a z małym wyjątkiem i dziś piszących o Tatrach, poradź się wszystkich kart tatrzańskich, a przekonasz się, że mam słuszność. Zajrzyj przedewszystkiem do Staszica, który te miejsca z sumiennością, staraniem i zadziwiającą ścisłością badał wtedy, kiedy jeszcze nie bywało w Zakopanem podobnych tobie — zawsze bez urazy — taterników, pytających co chwila dla czego to jeszcze tak daleko do tego Morskiego Oka.

Wszystkie te uwagi mające niby służyć ku pożytkowi i zbudowaniu twemu szanowny Czytelniku, stanęły mi w myśli, gdym dobrze wyspany wyszedł na ganek schroniska, przed wschodem słońca, podziwiając nie wiem po który już raz zawsze świeży i zawsze uroczy obraz. Nasi turyści z nad „modrego Dunaju" spoczywają jeszcze. Po niejakiej chwili wychodzi jeden z nich, jakiś młody doktor, ale już nie pamiętam czego. Zaczyna zwykłą rozmowę wypytując o szczegóły miejscowości o naszą wycieczkę itd.

— A i my byśmy chcieli też być choć na Gerlachu lub Łomnicy.

Spojrzałem bliżej na jego zmęczoną figurę i zapytałem Gladczana:

— A jak oni tam szli wczoraj?

— Eh, kiepsko — rzecze węzłowato przewodnik.

Turysta musiał w tej chwili dostrzedz na twarzy mojej, jakiś giest wątpiący, bo dodał:

— A dlaczegóżby nie, to przecież musi być coś w guście Zawratu, a myśmy wczoraj tam byli.

— No, niekoniecznie — rzekę — Zawrat to właściwie nie wycieczka, ale gościniec tatrzański, którędy na wycieczki i damy chodzą.

W tej chwili dwaj pozostali wynurzyli się także ze schroniska, ale z postawą jeszcze mniej obiecującą.

— Mnie się zdaje — dodałem — że panowie, przeszedłszy Polski Grzebień będziecie mieli dość.

Nie byli jakoś ciekawi ani „wyższego“ stawu ani nawet nie przewieźli się tratwą przez „niźni“.

Gdy Gladczan po paru dniach wrócił do domu, opowiadał, że przyszedłszy do Szmeksu istotnie mieli dość.

Pogoda trwa zawzięcie. Przez całe lato takiej nie było. Odbywamy naradę. Tak nam tu dobrze, iż postanawiamy pozostać przez większą część dnia. Mamy wszak zupełne do tego prawo. Więc kto z wędką na pstrągi, kto do kąpieli w stawie, kto bawi się jeżdżąc na tratwie. Potem zbieranie roślin w jakich niedostrzeżonych jeszcze zakątkach. Kapela też nie próżnuje, więc i podłoga schroniska dudni. Aż dobrze z południa wyciągamy do Roztoki.

Tu już po każdej wycieczce z urzędu muszą się odbyć ogólniejsze tańce. Istotnie jakoś tu więcej ochoty. Nawet Szymek, odłożywszy nieco na bok powagę tańczy i tańczy doskonale, a zdarza się czasem, że jak zacznie to i cztery godziny zrzędu nie spocznie. Ale to tylko w deszcz, kiedy dalej iść nie można. Dziś pogoda, więc załatwiamy się w parę godzin. Namiot i część pakunków odprawiamy z depeszą do domu. Nad wieczorem powoli jakby z niechcenia ciągniemy do Jaworzyny. Już jesteśmy na nizkiej przełęczy oddzielającej Jaworzyńską Dolinę od doliny Białki, już „Kościeliska“ nuta zwiastuje nas zdaleka. Zewsząd wylegają ciekawi oglądać mniej zwykłych w tej porze gości. Na widok choć już zmniejszonego, ale zawsze dość licznego pocztu górali, z muzyką i śpiewem, poznają nas od razu. Dobrze bo też jesteśmy tu znani. Już uprzejma gosposia z oberży, znakomitość w sztuce kulinarnej, stoi przede drzwiami i kiwając głową, uśmiechem oznajmia, że nas poznaje, choć się już w tym roku nie spodziewała.

Jaworzyna węgierska, mocno przypomina Zakopiańskie „Hamry“. Podobne położenie w wąwozie, takie same domki robotników, zwierzyniec, czarne żuzlami wysypane drogi. Są tu kuźnice a teraz i młyn do mielenia „smereków“ (zn. świerków) na papier. Wesoły i śpiewny ludek z przyjemnością zużytkowywa świeżo przybyłą kapelę i znów podłoga dudni długo wieczór. Jest dla odmiany i dobre piwo; „herba“ kipi obficie, gwar wesoły. Nawet jakiś rodzaj maskarady urządza się na prędce. Ktoś z miejscowych facetów przebiera się za konia czy wielbłąda, ku wielkiemu przerażeniu żeńskiej połowy towarzystwa. — Wyszukajcie mi na jutro rano M. Dobranoc chłopcy!

*

* *

Znów pogoda. Wyszukano M... Jest to dawny robotnik; *per modum* przewodnik po miejscowych górach; w chwilach zaś wolnych od zatrudnień, a tych ostatnich ma bardzo mało, oddaje się „palence“ (zn. wódce). Szkoda; widocznie chłop niegdyś tęgi w ostatnich latach bardzo podszarzany. Kiedyś robiąc kilkodniową wyprawę w pasmo Murania, wziąłem go z sobą, nie dla wskazywania drogi, bo przy Zakopianach to jest zbytecznem, ale dla zebrania nazw miejscowych dla turni, regli, dolin i t. d. Pomimo, że wówczas „palenka“ mniej jeszcze dała mu się we znaki, biedak po pierwszym dniu tak był „zmachany“, żeśmy go ledwie dowlekli na nocleg „hipnąwszy“ co prawda po tęgiej wycieczce na kilka szczytów, przez regle i wzgórza, przez niepraktykowane drogi do Żdżaru i to już późno w nocy. Pomimo mniej wesołych wspomnień z owego czasu M... chętnie opowiada turystom jako to on nas wodził po Hawraniu, Trystarskiej, Szerokiej, Bielskiej itd. Z widoczną też radością nas powitał.

— Poprowadzicie nas dziś przez „Nowy“ na Jagnięcą Zagrodę? — Zapytałem.

— A czemużby nie — rzecze.

— No, to dalej w drogę.

Idziemy przez ten piękny świerkowy lasek, tuż za oberżą. Potem na prawo „Między ściany“ przez dolinę oddzielającą Murań od Kiczory [1]). Patrząc na piękne rozłożyste turnie Murania i Hawrania na przykład z Gubałówki, sądziłbyś Czytelniku, że to oddzielna jedna góra. Ani byś odgadł, że to tylko bok bardzo długiego pasma, a jeszcze mniej domyśliłbyś się, aby w nim mogłyby się mieścić takie długie i szerokie doliny, takie kolosalne wąwozy, żleby. A jakaż to pyszna roślinność. Lasy mieszane, dużo buków, jaworów (właściwie klonów jaworowych), skoruszy (jarzębiny). Zaraz widać że to wapień.

M... przy ochoczej kapeli nieidzie ale tańczy, przypominając lepsze lata. Podchodzimy pod „Nowy“. Obszerny, niezbyt spadzisty żleb, aż pod sam Murań wybiega. Nad żlebem zaś, przez całą jego długość sterczy prostopadły, wyniosły biały grzbiet. Z tej strony nie znałem jeszcze „Nowego“ a miałem tu specyalny bryologiczny interes. Po tamtej stronie grzbietu wąwozy i żleby głębokie, zawiłe i strasznie urwiste. Przemierzyliśmy je przed kilku laty we trzech z Szymkiem Tatarem i Wojtkiem Rajem, i na wspomnienie tego dnia wszyscy trzej głośnym wybuchamy śmiechem. A było tak. Wracaliśmy z jakiejś dłuższej wycieczki wózkiem od Zdżaru ku Podspadom. Było to późną jesienią i gruby śnieg leżał na całem pasmie wierzchem. Spojrzawszy w tajemnicze głębie wąwozu pod „Nowym“, pytam moich towarzyszów, czyby niewarto go poznać bliżej. Idziemy. Gąszcz lasu, wilgotne, śliskie, a bardzo strome ściany, zakręty, ustępy, progi, wiodą wciąż w górę. Ani końca. Nie wiem jak długo trwało zanim dostaliśmy się na jakąś przełęcz, zkąd znowu po błotnistem rąbanisku niesłychanie długo musielismy schodzić ku Podspadom.

— No, ale też ta droga to już nie z masłem — rzecze tak wytrwały zawsze Wojtek.

— A no, bo też to przecie środa.

Trzeba wiedzieć, że Wojtek nader skrupulatnie obserwuje posty. Zeszliśmy nareszcie na jakąś łączkę przy drodze.

— Wojtku jeść!! — krzyknąłem w niebogłosy.

— Wojtku je-e-ść!!! — jeszcze przeraźliwiej i jeszcze półtonem wyżej. Co prawda, nie byłem ja tak głodnym, ale chciałem Wojtkowi zrobić przyjemność.

— A chwała-ż Bogu—rzecze uradowany, że choć raz jeden nie trza was nukać. I jął wydobywać różne zapasy. Odpoczywaliśmy przy ognisku i pokrzepiali się „herbą“ i jadłem.

— A możebyście jedli jaja — pyta Wojtek — nakupiłem na Węgrach umyślnie dla was.

— Dobrze Wojtku, gotuj jaja.

Wojtek „nagotowił“ aż siedem. Zjadłem dwa, resztę oddałem moim towarzyszom. Nie pamiętam jak wyszli z tego zadania, aby podzielić pięć na dwie równe części, ale wiem, że jedli oba. Gdy zaś potem Wojtek suchy chleb maczał w herbacie, rzekłem śmiejąc się:

— Patrzajno Szymku jak się to Wojtek boi masła, a jaja to zajada.

— He, he, he, — zaśmiał się grubym basem Szymek i zwracając się do Wojtka:

— Przecie do jaja nic nie trza dokładać i będzie z niego kurczę, a do masła dokładaj co chcesz, to cielęcia nie będzie.

---

[1]) Kiczora i Magóra dwie często w Tatrach i Beskidach powtarzające się nazwy; dawne, bo już przez Ptolomeusza przytaczane.

Purpurą spłonął Wojtek, który choć biegły w przepisach kościelnych, a nawet kanonicznych, wyraźnie na tym punkcie się załapał.

Dochodzimy pod Murań. Spoczywamy. M... im bliżej „Jagnięcej Zagrody", tem więcej opowiada jak tam źle wejść, wielu to nie weszło choć się grubo zakładali. Zakopianie zaczynają go brać na fundusz. Szymek siedząc poważnie i nie wyjmując z ust fajeczki, rzecze półgłosem jakby po długim namyśle:

— Ja ta chyba już nie pujdem, bo się bojem.

— Dajcież spokój — rzecze stojący przy nim Raj, jakby mu chciał dodawać odwagi — przecieżby on (M...) nas na pewną śmierć nie prowadził; przejdziemy może. — M... brał to na seryo.

Wchodzimy na stromą grań, potem pod same ściany szczytu Murania. Wystaw sobie Czytelniku ściany paręset stóp raczej nad tobą pochylone niż prostopadłe, i tak cały szczyt w około. W jednym tylko miejscu pnie się po ścianie wąziuchna i mniej wygodna perć i ta w znacznej już wysokości zagrodzona wysokim progiem a raczej barykadą kilka stóp długą, wązką a w dodatku od strony przepaści pochyłą. Na wiosnę górale przesadzają przez tèn próg jagnięta na pyszną szczytową halę (zn. pastwisko górskie), i nie zaglądają do nich aż w końcu lata, aby je znowu poprzesadzać z powrotem do domu. M... wyzuł się z kierpcy, zdjął z siebie wszystko co zdjąć mógł bez obrażenia naszej wstydliwości i zabierał się nie bez widocznego zakłopotania do dania nam przykładu. Tymczasem Józek dawno już z całym swoim zwykłym pakunkiem przeszedł na drugą stronę i my już się za nim przebieramy. W rzeczy samej próg ten jest niemiły. Możnaby go w półgodziny tak urządzić, że i jagnięta by były zawarte i M... nie potrzebował by się tak rozbierać. Szczęściem, że mu górale dolali dobrze araku do herbaty, tak mniej więcej pół na pół, bo by go było w koszuli dobrze „wygwizdało" na hali, choć dzień był pogodny i niby ciepły. Podziwiał też cudowne skutki tej „herby" bo mu Zakopianie wmówili, że była czysta, tylko że tak mocno naciągnęła. Wystawiam sobie, że jagnięta mają tu rozkoszne życie. Rozległa, pochyła płaszczyzna aż do samego szczytu bujną, śliczną paszą zarosła. Tu i owdzie trochę kosówki, jakby na schronienie od burzy i deszczu. Tylko niestety orły z pod Łomnicy, czasem je tu odwiedzają wybierając dziesięcinę. Jest także podanie, że razu pewnego, sprzykrzywszy sobie zbyt jednostajny choć wygodny żywot, wszystkie jagnięta jednogłośnie postanowiły i wykonały wycieczkę. Naprzód jedno stanąwszy nad urwiskiem i wyjrzawszy na ten piękny, obszerny świat—wyskoczyło. Za nim po kolei wyskoczyły wszystkie—w przepaść. Zdążamy na szczyt, ale niestety chmury osiadły na wirchach i przecudna panorama Tatr tym sposobem zepsuta. Pierwsze to nasze i ostatnie na tej wycieczce niepowodzenie. Po paru godzinach schodzimy. Ow próg z powrotem jeszcze mniej miły, bo trzeba na czworakach spuszczać się z głową mocno ku dołowi pochyloną. Wszelako M... przeszedł jeden z pierwszych, widać, że mu pilno było do serdaka (zn. kożuszek krótki bez rękawów i czuchy.

— A czybyśmy nie zdążyli na noc tak naprzykład do Żdżaru.

— A czemu nie — rzecze M... —przez Podspady, Cesarką (zn. szosą).

— Ale ba, jabym myślał przez wirchy.

— A no, co to, to już nie.

— Eh, przecież owsy już posprzątane, toby łatwiej było niż wtedy, byle się tylko z regli wydostać.

— Eh, nie; to już nijak, zapewniał M... a Zakopianie śmieli się do rozpuku na wspomnienie owej dawnej wycieczki.

Schodzimy dalej inną stroną góry, zrazu lasem, potem po jakimś rąbanisku zarośniętem cudownemi malinami, z których mi było trudno wywabić moich

górali. W oberży czeka nas wieczerza wytworna, bo nawet z kompotem, do którego zrobienia musiał się jednakże aż Wojtek przyczynić, gdyż owoce w tych stronach mało są znane i nasza gosposia tego zadania rozwiązać sama nie była w stanie. Przyjechał też i Marcinek po nas a obrządziwszy koniki, przytupuje już skocznie i już słychać jego „ej dyna dyna dyna“.

Tymczasem M... odebrawszy z powodu żartów, jakicheśmy się względem niego dopuszczali, hojniejszą niż może się spodziewał zapłatę, już zakomenderował „palenki“ i zebrawszy sobie jakieś auditorium na stronie, opowiadał co to on z nami miał za biedę, zanim nas na Murań wyprowadził.

— Widzi się że tęgie chłopy, a jak przyszło przejść przez próg to jak baby.

Zakopianie słuchając z boku zanosili się od śmiechu, nie przerywając mu wcale.

— Słuchajcie-no Wojtku, rzekę do Ślimaka, wyprawcie tego biednego M... z karczmy, niechże przecie choć raz w rok jaki grajcar do domu przyniesie.

Ślimak, człek miłego melancholijnego oblicza, surowych obyczajów i niesłychanie delikatnego obejścia, ale przytem jako dawny wojak stanowczy w postępowaniu, dobrawszy do pomocy Raja i Szymka, wziął się do dzieła. — Najprzód wciągnęli do kompletu gospodynię, która oświadczyła krótko i węzłowato, że M... ani kropli palenki więcej nie dostanie.

— A ha, to taka wdzięczność — zawoła do żywego obrażony — a czy wiecie że żeby nie ja, tobyście ich tu dziś nie mieli, bo już chcieli chybać do Żdżaru na nocnik (sic!).

Nowe huczne śmiechy. Nic nie pomogło. M... wyłączony za nawias, zawiedziony w całodziennych nadziejach musiał rad nierad wrócić dziś do domu na trzeźwo. Górale tańczyli długo.

* * *

Nie wiele Ci już mam do powiedzenia szanowny Czytelniku. Znów pogoda. Marcinkowe siwki wypocząwszy dobrze, wiozą nas wszystkich rzeźko do domu. Mijamy Jurgów ostatnią węgierską wioskę, z niezbędną osadą cyganów wybierających trybut od przejezdnych. Ciało cyganów zaledwie szczątkami jakiegoś odzienia tu i owdzie obwieszane. Każdy z nich przypomina mniej więcej ten most nieopodal od ich lepianki wiszący nad Białką, a który jej wcale także nie przykrywa. Wiedziony metodą ścisłego rozumowania dzisiejszych, nie tyle tak zwanych, jak raczej tak siebie nazywających pozytywistów, znalazłem w tem nowy dowód wpływu otoczenia na człowieka, mianowicie na człowieka natury. Cyganie mają do tego pewne prawa. Ciekawy byłbym, jeśli kiedy przecież ten most się zawali i jeśli, co jest mało prawdopodobnem, postawią tam nowy, w jakim czasie odzienie cyganów przestanie także być dziurawem?

Jeśli, o Czytelniku, nie smakujesz w moich hipotezach, to bądź przynajmniej wyrozumiałym. Zaręczam Ci, że jeśli w dziesięciu siądziesz na wózek Marcinka i poddasz się kłusowi po takiej drodze jak ta, którą jedziemy, to z pewnością nic lepszego nie sprodukujesz. Za to oszczędzę Ci Bukowiny i z przyległościami. Oto już widać Poronin. Za półtory godziny będziemy w Zakopanem. Ależ na miłość boską ledwie południe! i przy tem pogoda; nie spodziewają nas się w domu tak rychło.

— A gdyby tak obejrzeć Sichłe i Toporowe Stawki?

— Zgoda.

Opuszczamy Marcinka i jego wózek, dając mu *rendez-vous* w Jaszczurówce, sami zaś puszczamy się piechotą pod „Mur za Sichłem“. Jest to grań nie wysoka ale prostopadła nad potokiem, i co prawda, nie wiem na pewno, czy ją tak kto

nazywa, ale zdaje się, że tak się zwać powinna prędzej, niż wioska tuż przy niej leżąca. Sichłe bowiem jest znów inna wioska wyżej ku reglom.

Że tędy od stworzenia Tatr żaden turysta nie chodził; to pewna, bo cóżby tu robił. A jednak ciekawą jest formacya błotnistej i kamienistej doliny, która od „Suchej Wody“ tu właśnie wybiega. Mieszkańcy Sichłego pilnie dziś pracują w polu; zbierają owies. Ale zdziwieni muzykalnym i widocznie próżniaczym naszym orszakiem, przystają i przypatrują się nie bez pewnego zgorszenia. Zdawało mi się, że jakaś matrona z wyraźną ironią mruknęła:

— Ot, Zakopianie świata dokończają.

Ale to podobno co innego było powiedziane i nie wiem czyby to i miało sens. — Lasem i mnóstwem dróg leśnych dochodzimy wreszcie do głównego Toporowego Stawu. No, możeby jaki mało wymagający pejzażysta i upatrzył nad nim jaki punkt do zrobienia szkicu. Ale dla nas piękny staw to nie nowina. A cóż tu pięknego. W koło gęste smereki, brzegi mało wzniesione, długa, mętna, czerwona woda, której nawet do zrobienia „herby“ użyć nie można, bo już naciągnęła do syta smerekowych igieł. W górze za tem obszerne zarośla, torfowiska i mniejsze zbiorniki wody lub błota; ot i wszystko. Wynosimy się co prędzej zgodziwszy się jednomyślnie na to, że — mają rozum ludzie, którzy do Toporowych Stawów nie chodzą. Lepiej na nie patrzeć z góry, kiedy zwolna idziesz przez Waksmundzką na wycieczkę, lub kiedy szybko tamtędy wracasz przed nocą do domu.

Ostatni etap w Jaszczurówce. Wesoło. Przed zmrokiem wózek Marcinka wiezie do domu dziwaczną grupę siedzących w niemożliwych pozach taterników. Naturalnie zawsze z muzyką.

Gdyśmy nazajutrz jawili się u „Jegomości“ dla złożenia sprawy z wycieczki, gdyśmy mu opisali drogę z Gerlachu i Rysów, zawołał tenże z uśmiechem:

— Bodajże was Bóg oświecił! atożeście mnie prawie (zn. zupełnie) okradli!

Bodajże was Bóg oświecił, jest to wykrzyknik, którego „Jegomość“ używają w potocznej mowie w tych razach, gdzie inni, nie wyjmując i Ciebie, szanowny Czytelniku, powiedzieliby może „a niechże was donder świśnie“.

Jegomość, który po każdej wycieczce swojej tegoż samego dnia wieczorem zapewnia, że to już ostatni raz wyszedł w Tatry, a nazajutrz rano powiada, że jak znowu pójdzie, to się tak a tak musi urządzić, przebąkiwał całe lato, że pragnie jeszcze jednę dłuższą wyprawę odbyć, ale nam nie chciał powiedzieć jaką. Nie mógł zaś iść z nami, bo nie miał go kto zastąpić. Tak, do Gąsienicowych Stawów za to, idzie z parę razy razy na tydzień, bo to trwa tylko kilka godzin.

— A pocóżeście tajemnicę z tego robili, tożbyśmy się nie poważyli chodzić tam przed wami.

Łaskawy Czytelniku (zwracam uwagę twoją, że epitetu „łaskawy“ na końcu tego artykułu używam poniekąd jako *captatio benevolentiae*; gdybyś wiedział jak źle wyglądałem wychodząc na tę wycieczkę, i jak dobrze z niej wróciłem, kiedy własna żona oczom swoim wierzyć nie chciała, to darowałbyś mi niewątpliwie, że i Ciebie tak długo po Tatrach wodziłem. Poczucie odzyskania sił sprawiło, że pomimo wrodzonej powściągliwości pióra (muszę sobie oddać tę sprawiedliwość), pierwszy raz przedsięwziąłem skreślić moje wrażenia. Ale dla uspokojenia Cię, przyrzekam najuroczyściej, że się to nie powtórzy, choćby mi losy dozwoliły jeszcze oglądać nasze ukochane Tatry.

Zakopane 25 Września 1878 r.



DOLINA PRUTU OD DELATYNA DO CZARNOHORY

POD WZGLĘDEM GEOLOGICZNYM

skreślił

M. Łomnicki.


Stosunki geologiczne wschodniego Beskidu dotychczas są jeszcze bardzo małe zbadane. Dopiero poszukiwania dr. Paul'a i dr. Tietze'go, wydelegowanych z c. k. Zakładu Państwowego w Wiedniu rzuciły jaśniejsze światło [1]) na nieznaną do najnowszych czasów konfiguracyę stratygraficzną i tektoniczną gór kołomyjskich i stanisławowskich. Więcej już jest znanym Beskid zachodni [2]), a szczególniej od granicy Szląska. Na podstawie badań dokonanych przez obu wspomnianych geologów, tudzież własnych swoich spostrzeżeń zebranych w ciągu tegorocznej wycieczki, usiłowałem pokrótce skreślić obraz, przynajmniej w ogólnych zarysach,

---

[1]) K. M. Paul u. Dr. E. Tietze. Studien in der Sandsteinzone der Karpathen. Ihb. d. k. k. geol. R. A. 1 Hft. Wien. 1877.
K. M. Paul. Grundzüge der Geologie der Bukowina. Ihb. d. k. k. gelo. R. A. 3 Hft. Wien 1876.
Lipold. Geognostische Notizen über das Gebiet der Herrschaft Nadwórna. Naturw. Abh. herausg von W. Haidinger. Wien. 1849.
A. Alth. Ein Ausflug in die Marmaroscher Karpathen. Mitth. d. k. k. geogr. Gesellsch. Wien. 1858.

[2]) Hohenegger. Die geogn. Verh. der Nordkarpathen. Gotha. 1861.
K. M. Paul. Die nördliche Arva. Ihb. d. k. k. geol. R. A. Wien. 1868.
I. Niedźwiedzki. Beiträge zur Geologie der Karpaten. Ihb. d. k. k. geol. R. A. 3 Hft. Wien. 1876.
Dr. A. Alth. Stosunki topogr.-geologiczne kolei Tarnowsko-Leluchowskiej. Spraw. Kom. Fiz. Kraków. 1877.

stosunków geologicznych całej doliny Prutowej od jej wyłomu pod Delatynem aż po najwyższy grzbiet Czarnohory.

Całe pasmo Karpat pod względem swej budowy geologicznej i wynikającej ztąd rzeźby ogólnej należy do systematu gór łańcuchowych, złożonych z pasów równoległych czyli działów, zachowujących stale ten sam kierunek przeważnie Pł PłZ—Po PdW, i to samo nachylenie warstw głównie PdZ. Ztąd ta jednostajność mimo pozornej rozmaitości w stosunkach stratygraficznych, a niemniej i w petrograficznych, co właśnie ułatwia badanie tych gór.

Owe rozmaite piaskowce, łupki iłowe i piaskowcowe tudzież źlepieńce tworzą razem wzięte formacyę tak zwanego piaskowca karpackiego, który do rozmaitych zaliczano poziomów geologicznych, jedynie na podstawie wejrzenia petrograficznego. Działo się to w braku wszelkich wyraźnych wskazówek paleontologicznych. Dopiero od czasu, jak w niektórych horyzontach piaskowca karpackiego wykryto dobrze zachowane skamieliny, przekonano się, że cała ta wielokształtna formacya składa się z wielorakich ogniw tak utworów kredowych jak starszych trzeciorzędnych.

Najnowsze badania Dra Paula na Bukowinie a podjęte wspólnie z Drem Tietzem w Beskidzie kołomyjskim i stanisławowskim wykazały, że do tutejszego piaskowca karpackiego zastosować można prawie w zupełności ten sam podział jak w innych częściach łańcucha Beskidowego. Według tego rozróżniono w potężnie rozwiniętym systemacie warstw górnego dorzecza Prutowego następujące trzy główne ogniwa: *A.* og. dolne, *B.* og. średnie i *C.* og. górne. Oba pierwsze ogniwa odpowiadają rozmaitym utworom kredowym od neokomu aż po najmłodsze piątra kredy; górne zaś ogniwo należy do najstarszych utworów trzeciorzędnych (eoceńskich).

Ogniwo dolne czyli Ropianieckie odznacza się warstwami hieroglifowemi i fukoidowemi. Występują tu często pokłady sferosyderytu. Ogniwo to składają rozmaite łupki i cienko warstwowane piaskowce. Warstwy tego ogniwa są zazwyczaj wielokrotnie sfałdowane a nawet zygzakowato połamane. Dolne warstwy należą z pewnością do neokomskiego piątra utworu kredowego, czy górne zaś do tego samego piątra należą, czy też są już Aptienem albo nawet dolnym Albienem, na teraz pozostaje rzeczą nierozstrzygniętą.

Hieroglifami nazwali karpaccy geologowie różnokształtne, szczególnie robakowate, guzowate itd. wypukłości na spojach warstw, z których dlatego ogniwa najważniejszemi są formy zygzakowate do litery *M* podobne, zwane „strzołką" przez szląskich górników, tudzież wypukłości podkowiaste. Fukoidy są to wodorosty morskie, zwykle bardzo pięknie zachowane, tworzące najrozmaitsze desenie na popielatawych łupkach, a należące głównie do rodzajów: *Zoophycos* i *Chondrites.*

Ogniwo średnie czyli Białowiejskie (Magórskie), składa się z *a)* zielonych margli naprzemianległych z piaskowcami, a niekiedy z warstwami hieroglifowemi żółtawemi i łupkami fukoidowemi. Środek tego ogniwa zajmuje *b)* piaskowiec masowy (np. w okolicy Jamny, pomiędzy Mikuliczynem a Tartarowem..), którego warstwy ku górze stają się cieńszemi, a niekiedy przechodzą w *c)* żółtawe warstwy hieroglifowe lub zlepieńce, tudzież rozmaite łupki. Ogniwo to tak w dolnych jak górnych warstwach trudno wydzielić od dolnego i górnego ogniwa piaskowca karpackiego. Prawie wszystkie wyższe działy dorzecza Prutowego powstały z masowego piaskowca tego ogniwa, którego wiek odpowiada średnim i górnym piątrom utworu kredowego.

Ogniwo górne czyli eoceniczne składa się u spodu z *a)* zielonawych marglów i warstw piaskowca, nad którym leży *b)* piaskowiec wapnisty numuli-

towy z podrzędnemi warstwami łupku a wyżej *c)* żywiczne łupki menilitowe z szczątkami ryb, przykryte ławicami *d)* białawego i kruchego piaskowca. Ostatnie piątro najpotężniej rozwinęło się w dziale Czarnohorskim, gdzie przechodzi w gruboziarnisty piaskowiec, zawierający dużo łyszczyku i większych ziarn kwarcowych (piask. Magórski=Gródecki).

Na podstawie tego podziału przystępujemy do szczegółowego opisania doliny Prutowej.

Delatyn leży po lewym brzegu Prutu wraz z szeroko rozsiadłem zarzeczem po prawym jego brzegu w obszernej kotlinie. Nizkie podgórza zamykają tę kotlinę od północy i wschodu północnego a składają się przeważnie z iłów solnych, należących do ogniwa dólnego śródziemnomorskiego [1]), które przerywają Prut w Dobrotowie tuż po swem połączeniu się z potokiem Osławskim. Wyższe zaś wzgórza od zachodu i południa należą już do starszych utworów piaskowca karpackiego. Dno kotliny przykrywa glina rzeczna (Löss) i tworzy terasy; obocza zaś kotliny i wzgórza przyległe zajmuje starsza glina zwałowa (Berglehm). Zabudowania salinarne stoją na jednej z teras, utworzonych przez glinę rzeczną.

Iły solne sinawe i czerwonawe odsłaniają się już w Dobrotowie powyżej punktu, gdzie rozchodzą się gościńce do Nadwórny i Delatyna, w dobrach potoku Lutowieckiego. Znachodzą się tu gniazda gipsu wodojasnego i wielkoblaszkowego. Warstwy spadają ku południowemu zachodowi.

Wśród tych iłów występują szarawo sine łupki naprzemianległe z cienkiemi warstwami piaskowca hieroglifowego; są to warstwy ropianieckie przebijające się przez utwór mioceniczny.

Warstwy odsłonięte na dłuższej przestrzeni wzdłuż brzegów Prutowych od Dobrotowa ku Delatynowi składają się z naprzemianległych piaskowców i łupków piaskowych lub iłowych, na których znowu leży jasny i cienko uwarstwowany piaskowiec z międzyległą ławicą grubszą (do 2 m.). Wyżej jeszcze w stropie występują szare piaskowce z cienkiemi i jasnoszaremi łupkami. Wszystkie te warstwy są bardzo stromo ku PdZ nachylone.

W pobliżu samego Delatyna odsłaniają się znowu jasnoczerwonawe lub zielonawe iły naprzemianległe z sinawemi łupkami i podrzędnemi gniazdami gipsu. Przy Sołoneckim potoku z tych warstw wydobywają się źródła słone tuż przy gościńcu, gdy się z Nadwórnej i Łojowej do Delatyna zjeżdża. Wszystkie te warstwy od Dobrotowa aż dotąd zaliczają się zatem do utworu solnego (dolne śródziemno-morskie ogniwo).

Przed połączeniem się potoku Lubiżnieckiego z Sołoneckim w samym Delatynie tuż przy gościńcu wpadają w oko łatwo usypujące się, jasnoszare łupki z ubarwionemi podobnie pokładami piaskowca miękkiego i międzyległemi warstwami cienkich, krzemienistych i żywicznych łupków, żółtawo wietrzejących a najpodo-

---

[1]) Podczas tegorocznej wycieczki, jaką odbyłem wspólnie z Drem Lenzem w okolicę Wiktorowa i Sapahowa na zachód od Stanisławowa, przekonałem się, że podolskie iły rozwinięte nad gipsami (np. w Podłużu pod Stanisławowem) przechodzą bezpośrednio w podkarpackie iły solne. Widać to dokładnie w samym Wiktorowie, gdzie kreda lwowska (piątro senońskie), podobnie jak w Wołczyńcu pod Stanisławowem po ostatni raz występuje.

bniejszych do łupków menilitowych. Wejrzenie petrograficzne tych warstw przemawia za ich przynależnością do utworu eoceńskiego, który tu na ujściu obu wspomnianych potoków tworzy niejako wyspę wśród miocenu. Warstwy te spadają również ku PdZ.

Od mostu Zarzeckiego w górę wzdłuż Prutu odsłaniają się pokłady piaskowcowe, jasnoszare, kruche, zwietrzałe, podobne do piaskowców Dobrotowskich (mioceńskich). Pomiędzy dolnomioceńskie a eoceńskie warstwy wsuwa się pokład około 1 metra miąższy, złożony z brył otoczonych kilku do kilkunasto-centymetrowych. Bryły te złożone są z kwarcu, ortoklazu i chlorytu, a zawierają także drobne ziarnka magnetytu, kalcytu i sześcianki pirytu; głownemi atoli składnikami są kwarc i ortoklaz.

O kilkaset kroków poniżej cerkwi Zarzeckiej występują warstwy naprzemianległe piaskowców i łupków, które ku PłW opadają pod solną formacyę. Są to już łupki menilitowe (górnoeoceńskie). Dalej pod samą cerkwią trafiamy na białawy piaskowiec z upadem 20—25° ku PłW, po którym naprzeciw saliny Franciszka Józefa odsłaniają się cienkie i żywiczne łupki naprzemian z białawemi lub brunatnemi piaskowcami cienkowarstwowanemi. Te warstwy początkowo stoją całkiem pionowo, a dalej nachylają się coraz więcej ku PdZ, jednakże tuż przed kredowem utworem znowu nachylają się ku PłW. Lepiej to zetknięcie eocenu z kredowemi warstwami widzieć można pod zabudowaniami zarządu salinarnego. Tu też wykryto rogowce i rybie łuski rozsiane, a cechujące dla menilitowych łupków.

Omijając jasny piaskowiec leżący w spągu łupków rogowcowych, widzimy szereg warstw stromo ułożonych i wielorako połamanych, tudzież właściwe zlepieńce zielonawe, zawierające dość wyraźne szczątki organiczne: korale, kolce cydarytowe, mszywioły, małże i skorzysiak z rodzaju *Scalpellum*. Zlepieńce te należą już do utworu kredowego i jako takie mogą być ważnym poziomem kierowniczym w stratygrafii skał tutejszych. Po tym zlepieńcu rozwinął się szereg warstw złożonych z cienkich ławic piaskowca i łupków piaskowcowych. Piaskowce na spojach warstw okazują rozmaite hieroglify i fukoidy, a nawet ślady węgla brunatnego.



A. Warstwy hieroglifowe, *B.* Piaskowiec.

Powyżej wspomnianych warstw wialorako połamanych tuż za Delatynem na stokach Malawy po prawym brzegu Prutu występują łupki początkowo nieco pionowo ułożone, a dalej coraz bardziej ku PdZ nachylające się prawie do poziomu.

W tem też miejscu powyżej ujścia potoku Podhorskiego cały system warstw łamie się malowniczo w zygzaki.

Wspomnieć tu musimy jeszcze o dwóch potokach wlewających się od lewej strony do Prutu. Zbocza doliny potoku Lubiżnieckiego uchodzącego do Prutu w samym Delatynie, składają się z warstw menilitowych a ku górze z piaskowców białawych (Kliwa) lub szarawoczerwonawych (Hłuboka). Tryszczą tu często źródła żelaziste, i tworzy się miejscami ruda moczarowa. Jestto utwór eoceński. Zbocza doliny potoku zwanego Przemyskim, złożone z szarawosinych piaskowców hieroglifowych przypominają bardzo warstwy Ropianeckie. U góry ku Demaczowskiemu działowi spadają ku PłW. Sam grzbiet zajmuje żółtawobrunatne, mocno zwietrzałe i kruche piaskowce (dołujące pod eocenem). Jestto utwór kredowy. Zmieniając ku Dorze widzimy po lewym brzegu Prutowym wszędzie cienko uwarstwowane piaskowce i łupki piasczyste z hieroglifami i fukoidami na spojach. Takież piaskowce występują także w samej Dorze przy ujściu potoku Kamioneckokiego.

Dr. Paul i Dr. Tietze cały system warstw od saliny Delatyńskiej aż potąd zaliczają do ogniwa dolnego piaskowca karpackiego (Ropianeckie warstwy).

Dora. Przy samej Dorze poniżej kładki a po lewym brzegu Prutu są warstwy Ropianeckie znowu wielorako pogięte i połamane, a hieroglify są tu rzadsze. Występuje tu także zielony zlepieniec kilkoma ławicami. Powyżej zaś kładki na prawym brzegu ustają warstwy łamane, a odtąd odsłaniają się liczne ławice piaskowca zielonawego z szarym naprzemianległego. Od południowo zachodniej strony Dory wznosi się lesista Pańczeniuczka, złożona z piaskowców i łupków piasczystych, niekiedy zielonawych, a wyżej z żółtawobrunatnych piaskowców białawo kropkowanych. Piaskowce te i łupki leżą tu widocznie na warstwach Ropianeckich, na której to podstawie tudzież z powodu innego a właściwego wejrzenia petrograficznego zaliczają się do średniego ogniwa karpackiego.

Jaremcze. W Jaremczu występują znowu warstwy Ropianeckie z upadem PdZ. Dolne pokłady mają jednakowe nachylenie, górne zaś wielokrotnie są połamane. Ogniwo dolne zatem powtórnie zostało tutaj wydźwignięte.

Po nad temi warstwami leżą znowu zielonawe, usypujące się łupki z międzyległemi ławicami cienkiemi ale zwięzłemi, na których znowu rozwinęły się potężne pokłady piaskowca zielonawego, brunatnawego lub białawego z nieznacznym upadem ku PdZ. Te piaskowce przerywa Prut, tworząc znany wodospad (około $1^1/_2$ sąż. wysoki), i szypoty niedaleko ujścia potoku Żonki tuż za mostem, kędy droga przemija się na jego brzeg prawy. Odsłaniają się tu bardzo ciekawe hieroglify na spojach warstw wypłókanych na płask przez potok Żonkę, płynący w kierunku ich biegu PłPłZ—PdPdW. przy samem ujściu tego potoku występują na powierzchni zielonawych piaskowców wężowato skręcone wypukłości, złożone z wałka środkowego i mniej wyraźnych, bocznych, w poprzek karbowanych.

Jamna. Od wodospadu przebija się droga wzdłuż biegu tych samych piaskowców, a mniej więcej równolegle do skrętu rzeki, zwróconej kolanem ku PdZ. Aż do samej prawie Jamny droga przewija się mozolnie pomiędzy bryłami tego piaskowca kilku i kilkunastosążniowej objętości, zwieszonemi groźnie z stromych zboczy lub stoczonemi do samego łożyska rzeki. Piaskowiec ten jest drobnoziarnisty, białawy a wietrzeje brunatnawo (ogniwo średnie).

Przed samą Jamną, gdzie łożysko Prutu, płynącego ciągle zwartą doliną, zwraca się ku południowi, leżą na opisanym powyżej piaskowcu masowym cieńsze ławice piaskowcowe, przechodzące ku górze w zielonawe łupki. Wszystkie te warstwy mają PdZ nachylenie. Łupki zielone należą już do dolnego eocenu.

Na skręcie koryta Prutowego ku północy na wschód od Jamny (na Rywnem) pojawiają się znowu Ropianeckie warstwy, po których mały potoczek spływający tworzy przy samej drodze mały wodospad. Ztąd zwraca się drogą znowu ku południowi i wkracza powtórnie w poziom masowego piaskowca, który opuszcza dopiero pod samym Mikuliczynem, gdzie znowu występują jamnickie łupki zielone, spadające bardzo łagodnie ku PdZ.

Mikuliczyn leży w obszernej kotlinie na ujściu Prutca do Prutu. Od zwężenia się tej kotliny na południowym końcu miasteczka aż do Żeńca, potoku wypływającego z pomiędzy działu Chomiakowskiego a Jawornickiego, panują te same piaskowce, jakie widzieliśmy pomiędzy Jaremczem a północnym końcem Mikuliczyna. Początkowo tworzą te piaskowce cienkie ławice, a dopiero dalej ku południowi rozwinęły się w potężne warstwy odrywające się ogromnemi bryłami z zboczów doliny Prutowej. Tuż za Mikuliczynem mają te warstwy nachylenie PłW, dalej spadają ku PdZ a przed zakrętem koryta Prutowego ku debrze Żenieckiej znowu zwracają się upadem ku PłW.

Mając na uwadze oba działy złożone z masowego piaskowca, — pierwszy Jamnicki, w którym pochylenie warstw jest głównie PdZ i drugi Leśniowski, gdzie upad jest przeważnie PłW, przedstawia się nam kotlina Mikuliczyńska jako łęk ogromny, którego dno zajmują owe łupki zielonawe (eoceńskie).

Tartarów. Od ujścia Żenieckiego potoku skręca się gościniec nagle ku PdW za korytem Prutowem, wrzynającem się przeważnie w kierunku biegu warstw wcale odmiennego nachylenia, aniżeli piaskowce, któreśmy opuścili. Są to skały przeważnie łupkowe, zwykle krzemieniste i miejscami w cienkie oddzielające się płyty, a spadają znowu ku PdZ.

W samym Tartarowie po prawym brzegu Prutu odsłania się ściana wysoka, złożona z samych warstw cienkołupkowych, bardzo stromo ku PdZ nachylonych. Tu znalazłem w odłamach ciemno brunatnych lub ciemno popielatych, zwięzłych białawo lub żółtawo wietrzejących łupków, podobnych raczej do zbitego wapienia, często rozsiane łuski rybie, a nawet bardzo wyraźny odcisk ryby, około 3 dm. długiej. Kręgosłup i wyrostki ościste są bardzo dobrze zachowane. Pojedyńcze kręgi środkowe mają przeszło 1 cm. dł., a niektóre ości do 4 cm. dł. Szkoda tylko, że nie mogłem całego wydobyć odcisku. Są to zatem te same łupki eoceńskie, jakie poznaliśmy tuż przy Delatynie.

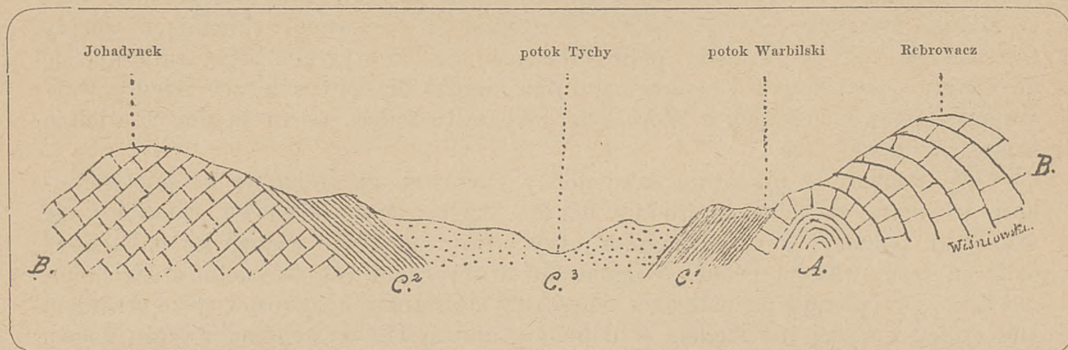
Po tych łupkach dalej ku południowi aż do uścia Prutca górują znowu piaskowce, odpowiadające takimże w Lubiżni pod Delatynem.

Z głównego gościńca zbaczamy dróżyną prywatną i jedyną za biegiem Prutu ku Worochcie. Niedaleko za Tartarowem spadają warstwy znowu ku PłW. Jawią się tutaj miękkie, nieco ugniatalne iły sine i czerwonawe z międzyległemi ławicami piaszczystemi, które również jak cały szereg warstw Tartarowskich do górnego ogniwa piaskowca karpackiego, czyli do eocenu się zaliczają.

Przy ujściu potoku Warbilskiego po prawym brzegu Prutowym występują znowu krzemieniste łupki, wewnątrz czarne, na zwietrzałej powierzchni białawoszare, nadzwyczaj podobne według Paula i Tietzego do węgierskich łupków Smilnieńskich, a również eoceńskich, podobnie jak w Mikuliczynie.

Po za ujściem Warbilskiego potoku na prawym brzegu Prutowym, wybijają się znowu warstwy hieroglifowe z bardzo licznymi i pięknymi fukoidami, przeważnie z rodzaju *Chondrites* i *Zoophycos*. Bardzo piękne odciski tych wodorostów znachodziłem u podnóża Rebrowacza tuż przy moście, kędy droga od krzyża przydróżnego na prawy brzeg Prutu się zwraca. Warstwy te tworzą tutaj bardzo wyraźne siodło z upadem ku PłW i PdZ, a przykryte u góry masowym piaskowcem (PdZ),

z którego składa się dział Rebrowacko-Magórski przypominają takież warstwy między Jaremczem a wodospadem Prutowym. Bardzo pouczającem jest następujący przekrój od Rebrowacza aż po Jahodynek wyjęty z obszerniejszej rozprawy Dra Paul'a i Tietze'go. Już na małej przestrzeni pomiędzy Rebrowaczem a Warbilskim potokiem występują tu wszystkie trzy ogniwa piaskowca karpackiego.



A. Warstwy hieroglifowe i fukoidowe. *B.* Piaskowiec masowy. C^1. Czarne, krzemieniste, biało wietrzejące łupki, C^2. Łupki rogowcowe i z odciskami ryb, C^3. Piaskowiec.

Worochta. Przed samą Worochtą wkraczamy w obszar szarawosiwych łupków, naprzemianległych z ławicami piaskowca. Łupki te z upadem PdZ leżą na masowym piaskowcu Rebrowackim. Im wyżej ku stropowi tych warstw, tem bardziej mają przewagę łupki, a ławice piaskowca stają się coraz podrzędniejszemi. Po lewym brzegu Prutu wsuwają się pomiędzy te warstwy czarne łupki iłowe, bardzo cienkie, a zawierające jakieś niewyraźne, ostrostożkowate, przypłaszczone skamieliny, przypominające nieco bakulity; towarzyszą im także warstwy zwięźlejsze, żółtawo wietrzejące z innemi hieroglifami, aniżeli Ropianeckie. Na razie pozostaje rzecz nierozstrzygniętą, czy te utwory, rozwinięte na masowym piaskowcu, należą do wierzchnich jeszcze ogniw kredy czy też do eocenu. W stropie warstw wspomnianych jawią się znowu dyzodylowe łupki cienkowarstwowe, należące już z pewnością do eocenu; znachodzą się one tutaj w towarzystwie piaskowców, zawierających dużo łuszczek mikowych.

Od Worochty aż do Ardżeluzy zwarta dolina Prutu jest równoległą do biegu warstw czyli podłużną a zatem odsłaniają się tu tylko warstwy eoceńskie; powyżej atoli zwraca się znowu ku PdZ i staje się poprzeczną doliną.

Zawojela. Przed tą połoniną na prawym brzegu Prutu spostrzegamy znowu mocno połamane warstwy, co przemawia jak w Delatynie i Jaremczu za osiągnięciem granicy jednego, a początkiem innego utworu piaskowca karpackiego. Rzeczywiście tuż przy ujściu potoku Hawryleckiego wydźwignęły się znowu warstwy hieroglifowe wejrzenia dolnokredowego. Dział Kostrzycko-Kukulski, przez który Prut powyżej Zawojeli się przełamuje, zaliczają Dr. Paul i Dr. Tietze na tej podstawie do ogniwa dolnego i średniego.

Połonina Zawojelska znajduje się w rozszerzeniu doliny Prutowej na trzech terasach bardzo wyraźnie rozwiniętych. Są to dawniejsze brzegowiska kilkakrotnie zmniejszającego się łożyska Prutowego.

Czarnohora (Zaroślak-Howerla). Ominąwszy Foreszczynkę i Fokarską groń, a postępując ciągle lewym brzegiem Prutu, jesteśmy już niedaleko grzbietu głównego Czarnohorskiego pasma. Przedtem jednakże rozrywa Prut jeszcze dział

Maryszewsko-Koziniewski, złożony z piaskowców wcale różnych od Kostrzycko-Kukulskich. Piaskowce te są gruboziarniaste, niekiedy stają się źlepieńcowatymi i zawierają bardzo wiele łyszczyku.

Z tych samych piaskowców składa się całe pasmo Czarnohory. Nachylenie ich jak przeważnie w całej dolinie Prutowej jest południowo-zachodnie. Ku grzbietowi Czarnohory występują jeszcze cienkie łupki piaskowcowe, przepełnione blaszeczkami łyszczyku (Pożyżewska). Wszystkie te piaskowce, składające szczyty Czarnohory, tak ze względu petrograficznego jak stratygraficznego, zaliczają się do utworu eoceńskiego. Przypominają one bardzo piaskowce leżące między warstwami łupków eoceńskich w Worochcie, z tą atoli różnicą, że tu są one w wielkie masy spiętrzone.

W ogólności z przekroju całej doliny Prutowej od Delatyna aż po Czarnohorę widzimy, że dolne i średnie ogniwo czyli utwory kredowe rozwinęły się więcej ku północy, a górne ogniwo czyli utwor eoceński więcej ku południowi czyli ku źródłowiskom Prutu. Neogeniczne utwory solne (ogniwo dolne śródziemnomorskie), przypierają na podgórzu od północy do starszych utworów tylko w samym Delatynie, a wyżej już nigdzie w dolinie Prutowej nie występują, z czego znowu wnosiny, że Karpaty wydźwignęły się dopiero po eoceńskiej epoce, a mioceńskie morze od północy je oblewało. Siła, której zawdzięczają swe powstanie Karpaty, nie przestawała być czynną i w neogenicznym okresie, a nawet, jak przypuszczają i do dziśdnia działa statecznie[1]). Dowodem tego są wydźwignięte warstwy iłów i piaskowców solnych między Dobrotowem a Delatynem (jak w całym podkarpackim pasie solnym).

Ślady lodowców na Czarnohorze są tak wyraźne jak w Tatrach. Pierwszą o nich wiadomość podali Dr. Paul i Tietze, opisując szczegółowo moreny kotliny, zwanej Zaroślakiem na północnym stoku Howerli, najwyższego punktu Czarnohorskiego pasma ($1081·3^0 = 6487·8'$ wied.). Tę samę kotlinę zwiedziłem w czasie tegorocznej wycieczki.

Najlepiej przedstawia się cała kotlina Zaroślacka, stanowiąca dno dawniejszego lodowca, z nad wodospadu Prutowego, (który przypomina mi nieco siklawę z Pięciustawów tatrzańskich). Środkiem kotliny od wodospadu ciągnie się szeroki zwał złożony z usypisk i brył ostrokrawędzistych; dzieli on tę kotlinę na mniejszą wschodnią i większą zachodnią połowę. Jest to morena środkowa. Po obu bokach tej kotliny podobne występują zwały, ale już nie tak wyraźne, bo przekształcone częściowo najnowszemi stoczyskami. Są to moreny boczne. Wreszcie od północnego wschodu zamyka tę kotlinę ogromny zwał poprzeczny już na samej górnej granicy lasów. Jest to morena czelna; na jej końcu wschodnim zabudowała się staja. Morena ta przypomina naturalną groblę istniejącego tu niegdyś stawu. Prut wrzyna się w samą środkową morenę, gdy tymczasem dawniejsze lodowce dwoma masami spływały na prawo i lewo od dzisiejszego wodospadu. Dno tej kotliny zajmują obecnie grzązkie torfowiska (młaki w Tatrach), a kosodrzew porozrywanemi płatami wkracza tutaj w górną granicę świerczyn, karlejących na stokach wschodnich i zachodnich.

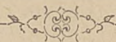
Powyżej wodospadu w zwartej kotlinie znacznie mniejszej niż dolna na samych źródłowiskach Prutu występują jeszcze trzy moreny czelne, z których pierwsza po nad samym wodospadem się przewija a za nią jeszcze dwie, bardzo wyraźne

[1]) Dr. Paul u. Tietze. Studien in der Sandsteinzone der Karpathen. Ihb. d. k. k. geol. R. A. XXVII. 1 Hft. Wien. 1877. str. 128.

bliżej grzbietu granicznego. Tym sposobem w owej kotlinie powstały trzy pomniejsze kotlinki, których dno przerznięte licznemi ściekami również jak dolnej kotliny, jest moczarowatem. Na stokach tej kotliny w wysokości około 5500′ bieleje płatami po żlebach śnieg zimowy (jeszcze 28 lipca), jako ostatni zabytek dawnych lodowców. Czelne moreny, począwszy od pierwszej największej, są granicami dolnego lodowca, które w miarę zwiększającej się średniej ciepłoty rocznej szczuplejąc, ku górze się posuwały, aż wreszcie całkiem znikły.

Podobne, bardzo wyraźne ślady widziałem także w drugiej sąsiedniej kotlinie od wschodniej strony Zaroślaka na Pożyżewskiej. I tu istnieje najpierw większa kotlina zaparta moreną czelną; i tu występuje środkowa morena, odgraniczająca wyraźnie dwa lodowce, jeden wschodni mniejszy a drugi zachodni o wiele większy. Z obu tych lodników pozostały tylko dwa potoki, przełamujące czelną morenę, złożoną z ogromnych brył, kilkusążniowej nieraz objętości. I tu występuje glina lodnikowa jak w zaroślackich morenach, a dno kotliny również jest moczarowate i zajęte płatami kosodrzewiny, wkraczającej chłodnemi torfowiskami w górną granicę lasów (około 4200 stóp). Tu również zabudowała się staja na czelnej morenie. Z południowego zbocza kotliny spada ciągłemi kaskadami potok, przedzierający się przez te same warstwy zwięzłego piaskowca jak na Zaroślaku. Powyżej tego wodospadu występuje również mniejsza kotlina górna, odpowiadająca takiejże nad Zaroślakiem pod Howerlą, a dno jej przerzynają także pomniejsze moreny czelne, których dla mgły nadciągajęcej dalej badać nie mogłem. O takich samych zwałach wspominał mi p. Lober, tutejszy nadleśniczy, w innych częściach Czarnohorskiego pasma (np. na Dancierzu).

Pożądanem byłoby w najbliższej przyszłości należyte zbadanie lodowego okresu wzdłuż całego grzbietu Czarnohorskiego i dokładne wykreślenie moren na obszerniejszej mapie hypsometrycznej, a tym sposobem mielibyśmy odtworzony obraz szczegółowy, w jakim kierunku się rozlewały i jak nizko sięgały ówczesne lodowce.



O KONIU HUCULSKIM

PRZEZ

JANA GREGOROWICZA.

darzało mi się nieraz słyszeć a nawet czytać, że konie huculskie w Karpatach Kołomyjskich, w okolicy Czarnohory pochodzą jużto z rasy arabskiej, jużto tatarskiej lub czerkieskiej, wogóle dano im pochodzenie wschodnie. Takie przyznawane im pochodzenie nieoparte na żadnej podstawie, wzięto z porównania ich zalet do zbliżonych cnót koni lepszej rasy. Ponieważ koni tych od wielu lat używam i robiłem próby wychowania od łosząt bez krzyżowania, mając na oku czystość rasy, nie przyznaję im pochodzenia czysto oryentalnego, jakkolwiek nie odmawiam im przymiotów cennych.

Rasa ta jestto zabytek koni tureckich z owych czasów, kiedy Bukowina odcięta od gór naszych Czeremoszem Białym i Czarnym należała do Turcyi; widać to po składzie konia, po maści przeważnie karej, po grubości karku i bujnym poroście grzywy i ogona — a są to właśnie znamiona rasy tureckiej, dziś już tu huculską zwanej. Koń-hucuł jestto miejscowy zawód, który przy obfitości zdrowej paszy i wody staje się silnym, pełnym temperamentu, a zrodzony i wychowany na terenie górskim, wyrabia od młodości muszkuły i staje się zwrotnym i pewnym do chodu. Przytem, jeżeli mało za młodu do pracy bywał używany, jest do późnych lat wytrwałym. Wychowany w klimacie ostrym i górskim, bez stajen, w zimie i w lecie pod gołem niebem zahartowany, nie sięga wzrostem wyżej 14-tej miary, a zwykła miara jego przeciętna jest 13.

Jestto pewnik doświadczony, że tak bydło, jak i konie, sprowadzone w góry z obszarów podolskich po kilku latach zwodzą się, tracą wzrost, jakkolwiek rozrastają się w grubość kości; również i koń z gór, chowany na równinach, traci przymioty konia górskiego. Dobry koń huculski ma krzyż i piersi szerokie, w pęcinach nizkie, kark tłusty, głowę małą, czoło szerokie; w przodzie jest wyższy z linią grzbietną równą, w ruchach swobodny i lekki; oko ma pełne, wzrok bystry skutkiem nawyknienia do baczności w chodzie, bo po skałach i wertepach, tudzież

na pastwiskach stąpać jest przymuszony; płoszony często przez zwierza dzikiego, gotów zawsze do ucieczki. Ztąd pochodzi, że koń górski wzięty do jazdy zwykle jest płochliwy. Wypasany przez lato na szerokich stepach połonin hula po nich i wyrabia sobie nogi do biegu, dlatego często dużemu koniowi dorówna w kłusie. Huculski koń ma kopyta silne, twarde, zatłuczone na skalistych drogach; wzięty do pracy musi być okuty, inaczej bowiem nie można go użyć. Po wszystkich wsiach górskich są kowalami Cyganie, którzy, jakkolwiek niezgrabnie kują, ale zato mocno; każdy nawet gwóźdź na kopycie jest tu wydatny. Koń huculski żyje lat do 20 i wyżej. Wzięty do pracy łatwo się poskramia i ujeżdża, zwykle jest osiodłany; pierwszą próbę odbywa do Kossowa, cztery do sześciu mil, i z powrotem do domu, objuczony kukurudzą z początku pół korcem, a uwiązany do siodła lub ogona drugiego konia musi za nim postępować. Po takiej dopiero próbie umęczony, daje się dosiadać. Skutkiem noszenia ciężarów każdy tutejszy koń, pomimo grubych pokładów pod siodłem odparza grzbiet i boki, po czem już na zawsze pozostają białe łatki na odparzonych miejscach, porosłe białym włosem; łatki takie tworzą często jakby naturalne odmiany maści na koniu. — Konie huculskie jako wierzchowe przy miernym temperamencie są najlepsze; z tych bywają wygodne stępaki. Jazda na dobrym stępaku dorównywa jeździe bryczką; robiłem sam próbę i jadąc z Żabiego do Kossowa (5 mil drogi), dostałem się tam równocześnie z tym, co bryczką jechał, gdyż zanim się on bryczką na na górę wydostał, już go ćwierć mili wyprzedziłem.

Kłusaki z ostrym temperamentem są nieporównane, lecą kłusem jak kula; niosą lekko, gdy drugi obok galopować musi. Gorszy jest już do wierzchu kłusak z gwałtownym ogniem; siedząc na nim trzeba być zawsze bacznym, gdyż się zrywa do unoszenia, a do galopu jest płochliwy. Takie konie kupują chętnie Ormianie z Kut i uczą ich do wierzchu ćwierć galopu (emblatora); jazda to wygodna i prędka, ale dla konia męcząca i niszcząca go w kilku latach. Obok tego konie huculskie, czy łagodne, czy ostre, są w chodzie pod wierzchem bardzo ostrożne w miejscach skalistych, nad urwiskami, wązkiemi drożynami, w jarach; zwykle wtedy sam koń zwalnia kroku, ogląda się i wącha miejsca do przechodu niebezpieczne, próbuje często nogą, czy bezpiecznie przejść podoła. Najlepiej jest w takich razach zostawić mu przejście do wyboru; wtedy albo przesadza niepewne miejsca, lub je obchodzi.

Koń huculski łatwo ujeżdżać się daje do bryczki i jest silny do pociągu przy odpowiednem użyciu, nie narowi się, jest wytrwały i do wygód nieprzywykły. Karmiony dobrem sianem (gdyż owsa nie potrzebuje), idzie bez natężenia 5 i 6 mil, byle wody dostał, gdyż do niej przywykł; z każdego potoku, który przechodzi, musi trochę napić się i postać w wodzie, ta go odświeża i do dalszej podróży sił dodaje. Znarowiony zaś koń górski robi się nadzwyczaj upartym, złośliwym i zapamiętałym, staje często w drodze przy karczmach, gdzie popasał i czy idzie w bryczce, czy pod wierzchem, staje i nie idzie dalej pomimo zachęty i batoga; wtedy bije, kąsa i nie słucha, lub rzuca się gwałtownie naprzód i leci tak już bez uwagi, że często w jarach kark skręci albo się pokaleczy. Rzadkie to są wypadki; trafia się tylko, jak wyżej nadmieniłem, z powodu nieodpowiedniego obejścia się z koniem, gdyż koń huculski z natury nie jest uparty. Od łoszęcia na obszernych a nierównych pastwiskach chowany, jest nieporównany w skokach; szerokie rowy, wysokie płoty, byle głową dostał do wysokości płotu, nęcony paszą, lub gdy się rozhula, przesadza; skoków tych pozazdrościłby mu nie jeden przy wyścigach z przeszkodami.

Prócz dychawicy nie podpadają konie huculskie innym słabościom; zołzy przebywają lekko na pastwiskach. Żyjąc na wolnem powietrzu nie podpadają słabościom oczu (jak połudy) lub zapaleniom, również chorobom epidemicznym (jak

tylczakowi), nigdy zaś zaraźliwym, jak nosaciznie lub słabościom skórnym. Dychawicy zaś podlegają przy ciągłych podróżach po górach nosząc ciężary; na starość zaś każdy z małemi wyjątkami bywa dychawicznym.

W Żabiu, Krzyworówni, Kosmaczu, Brusturach, Jasionowie, Hryniawie i w całem starostwie kossowskiem wychowywano najlepsze konie huculskie, i teraz jeszcze w tych miejscowościach tu i ówdzie dobrego konia widzieć można, jednak tylko rzadko, nie jak przed laty trzydziestu, gdy tu zbierano czwórki na podolskie jarmarki. Dziś skutkiem upadku górskich mieszkańców upadł chów koni. Wcześnie, bo już po pierwszym roku, używane hucuły do pracy nie rozrastają się i ledwie w szóstym roku dochodzą miary. Stadników nie ma dobrych, a nawet żadnych; klacze dwuletnie odstawiają na pastwiskach, a gospodarz kontent, że ma łoszę, nie wchodząc jakiego pochodzenia, gdyż o podniesieniu chowu koni przez poprawienie rasy nie może przy ubóstwie obecnem myśleć. Konie więc coraz bardziej maleją i ubytek ich co dzień większy. Dawniej hodowane liczniej, przy dobrych stadnikach a mniej do pracy używane, wyrabiały się na dzielne wierzchowe konie; kupowano je chętnie do gospodarstwa jako liczykopy i jako podjazdy bryczkowe; rząd je kupował dla wojska pod ułanów, a i w stajni cesarskiej w Wiedniu stały czwórki hucułów. A teraz w roku 1878, kiedy zbierano konie do Bośnii, wybrano z całego powiatu kossowskiego zaledwie czterdzieści koni. — Konie huculskie dzielą się na górskie i na bukowińskie. Ostatnie zrosłe na obszarach gór bukowińskich, są również pochodzenia tureckiego, pomięszane z rasą koni siedmiogrodzkich. Różnią się one od górskich wzrostem, dorastając $14^1/_2$ miary, są silne i rącze, jednak odrębność rasy nie jest tak wybitną, jak rasy górskiej. Mieszkańcy okolicy huculskiej są zamiłowani w koniach, najbiedniejsi starają się mieć takowe, dzieje się to po części z potrzeby, gdyż od miast oddaleni, na koniach tylko żywność sprowadzać muszą, ale jeśli który ma dobrego konia, to wie o tem, umie go dosiąć i poharcować na nim. — Przed laty trzydziestu byli w górach włościanie, mający po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt koni. Iwan Czufyszczuk, także Drymbą zwany, z Żabiego, miał swój zawód koni, własne stadniki i wychowywał dobre konie 14-tej miary. Teodor Germaniuk z Żabiego miał zawód koni maści bułanej; były to małe, ale krępe konie. Hryhor Fitkaluk z Żabiego miał chów koni, które odznaczały się tem, że były łagodnego temperamentu (po huculsku „kiń serny“). Im wyżej w górach, na szerszych obszarach, tem dzielniejsze konie hodowano. W Jasionowie miewał właściciel tej majętności p. Strasser poprawnej rasy stadninę, która w swoim czasie miała rozgłos; w Brusturach ksiądz Stupnicki wychowywał dobre konie, a w Kosmaczu było najwięcej karych koni. Obecnie jeszcze tu i ówdzie po górach wychowywa majętniejszy gospodarz konia lepszego, ale tylko pojedyńczo, gdyż stadnin już nie ma, a chcąc zebrać parę koni, potrzeba w kilku wsiach szukać. Trafia się jeszcze pojedyńczo dobre klacze widzieć, bo te pod opieką gospodyń („babyne szkapie“) trzymane rozrastają się, a odstawione nawet i ze słym stadnikiem niezłe łoszęta dają.

Hucuł nie potrafi ocenić konia swego; dopiero przy sprzedaży dowiaduje się o wartości jego, a zwykle od żyda mniej żąda za konia, wychodząc z zasady, że ten potrzebuje zarobić kupując na handel, (handel końmi jest dziś w rękach żydów). Przez całą zimę zakupują żydzi konie różne, młode, stare, nawet dychawiczne, wypasają je w lecie na trawach w połoninach, gdzie wypocząwszy nabierają ciała a słabe tracą na krótki czas dychawicę; spędzają je potem na jesienne jarmarki do Kossowa, Kut, Wiżnicy, itd., biorąc za nie dobrą cenę. Kupiec taki hurtowny zadawalnia się małym zyskiem, gdyż konia w zimie tanio kupił, chłop mu sprzedanego dozimował; w połoninie pierwszą paszę spasł żyd bydłem, po niej dopiero zapuścił konie, tak więc wydatków na wypas koni nie kładzie żyd w rachunek, tylko procent od kapitału na zakupno wydany, a dobry odbiera zarobek. Wykupywanie to koni, szczególnie młodych, przyczynia się nie mało do upadku chowu i zatracenia huculskiej rasy, gdyż często młode klacze wyprowadzają handlarze z gór, i tem powodują upadek matek.

Było i jest staraniem od lat kilku tak Wydziału powiatowego w Kossowie, jak i tamtejszego Starostwa, uzyskać u c. k. Rządu, ażeby co roku na wiosnę przysłano w góry rządowe stadniki rasy arabskiej, a to na stacye do Kossowa i Żabiego; usiłowania jednak te zostały bez skutku. Wysłany przed dwoma laty wskutek naleganń powyższych władz porucznik od dragonów w celu przekonania się na miejscu po wsiach, czy są klacze huculskie zdatne na matki w takiej ilości po górach, żeby warto stadniki tamże wysyłać, oświadczył w sprawozdaniu, że mało znalazł klaczy zdatnych na matki. Pobieżny był to objazd, a więc nie był wystarczającym, gdyż niemożliwem jest w okolicy górskiej w jednym dniu spędzić z całej wsi konie i zdatność ich ocenić, dlatego też mylnem było sprawozdanie, klaczy bowiem silnych i grubych, a na matki przydatnych jest dosyć, a nawet gdyby tylko w przecięciu w każdej wsi tego powiatu znalazło się tylko po pięć klaczy, to z całego powiatu, liczącego przeszło 40 wsi, byłoby 200 klaczy, a jest to już aż nadto dostateczna ilość do poprawienia rasy koni górskich i ochronienia ich od zupełnego zatracenia, na co się niestety zanosi.



Wyłożywszy w krótkości rys koni huculskich, z którego i użyteczność ich wypływa, tudzież przedstawiwszy istniejące korzystne warunki chowu pod względem obszarów pastwisk letnich, zdrowej a obfitej paszy zimowej, sądzę, że utrzymanie rasy tej jest w interesie nietylko okolicy, w której się chowają, ale i całego kraju, dalej, że przy upadku w kraju naszym wielu stadnin, należy chów koni na obszarach górskich ulepszyć i pomnożyć, podając mieszkańcom możność ku temu.

WYCIECZKA

NA ŁOMNICĘ I SZCZYT KEZMARSKI

(26go do 30go Lipca 1878 roku)

NAPISAŁ

Jan Pawlikowski.

rudności nastręczające się polskim turystom w odwiedzaniu szczytu Łomnicy, spowodowały mnie i mego przewodnika Macieja Sieczkę do szukania wyjścia od strony północnej, przez coby usunięto odległość drogi i znaczne wydatki w Szmeksie.

Wybraliśmy się wózkiem do Jaworzyny, gdzie przenocowowszy szliśmy doliną pod Murań i Hawrań na Koperszady, drogą już niejednokrotnie zwiedzaną i opisywaną (zob. Obrazki z podróży do Tatr i Pienin. wydanie 2. Kraków 1872). Od Koperszadów dopiero zaczęła się okolica nieznana ani mnie, ani Sieczce. U stóp naszych leżała dolina Kezmarska (Weisswasserthal), otoczona wierchami, które wznosząc się w głębi skaliste i poszarpane, w spadach ku Spiżowi zieleniały trawiastemi upłazami i kosodrzewiną. Z Koperszadów dolina ta cała przejrzeć się nie da. Przepatrzyliśmy ją później z wierchu Kezmarskiego. Plan jej przedstawia się następująco: W kierunku ku południowemu zachodowi (od Koperszadów po prawej) biegnie od Koperszadów pasmo skaliste, strzelające trzema głównemi szczytami, Białego, Czerwonego i Zielonego jeziora: Kopa, nad Kołowem, Baranie Rogi. Szczyty te nieprzylegające bezpośrednio do doliny, wysełają ku niej poszarpane odnogi, między któremi zawarte wywyższone dolinki, dają przejście na drugą stronę pasma. Lecz ostatnia z nich spadając stromemi ścianami na dolinę Kezmarską, przystęp ma zbyt utrudniony. W tem to pasmie, na odnodze idącej od środkowego szczytu, wznosi się nieprzystępna turnia „Jastrzębia“ (Karfunkelthurm)[1].

Z przeciwnej strony doliny Kezmarskiej, bieży ku północnemu zachodowi Grań Rakuska (Ratzenberg), zrazu upłazista, potem nastrzępiona turniami, z wy-

---

[1]) Słowiańskiego nazwiska tej turni zaledwie dopytałem się. W Kezmarku mają tylko jej niemieckie miano. „Jastrzębią“ (Jastraba), nazwali mi ją dwaj Słowacy ze Stoli, naśladując przy tem ruch i głos drapieżnego ptaka. Od tychże Słowaków dowiedziałem się słowiańskiej nazwy regla Stösschen.

stępującym naprzód szczytem — ukazując za sobą czubę Kezmarską, której jest odnogą. Dwa te zbieżne pod zachód pasma łączy przytkniona do rakuskiej grani, w dalszym jej ciągu, Łomnica i głównie zamykający dolinę majestatyczny Wierch Durny (Nordtrabant)[1].

Rozwartą stronę tego amfiteatru zamyka skosem od północy idące pasmo Koperszadów, które występując w dolinę Kezmarską kopką Twarożnej (Durlsberg), unižone tuż obok[2]) daje przejście zwane „za Kopą“ (Kopa Pass), a ztąd ciągnie się ku Spiżowi jako Koperszady bielskie, Huczawa etc.

Wolne ujście doliny na Spiż między tem pasmem a końcem Grani Rakuskiej, zasłania osobny wierch lesisty Stösschen (Kopa nad surowiną).

Z Koperszadów po stromym trawiastym upłazie (Kopa-Pass), spuściliśmy się w dolinę. Wzdłuż niej od szczytu nad Jeziorem Czerwonem[3]) ku Spiżowi, ciągnie się zwolna spadający wał lub taras, okryty kosodrzewiną, między którą trzeba szukać przejścia w część niższą doliny. Wał ten rozdziela strumienie, które z różnych stron płynąc, łączą się dopiero poniżej w strumień Białej Wody. Dopływ ważniejszy wychodzi z Białego Jeziora pod Koperszadami, na onem wywyższeniu znajduje się Jezioro Czerwone, w części niższej doliny leży Zielone. W pobliżu niego, minąwszy je, znaleźliśmy kolebę pod kamieniem, dającą schronienie 6 do 8 ludziom.

Aż dotąd szło się zrazu od Jaworzyny lasami, dalej upłazami mniej lub więcej spadzistemi i śliskiemi, w końcu po złomach głazów; drogą wcale zresztą nieprzykrą. Tu poczęła się droga odmienna. Dolinę zamknęła ściana stroma skalistego upłazu, z której zlewały się dwie wcale ładne siklawy. Nad tą ścianą podniosła się dolina nagle i ostro do góry, dwoma szerokiemi żlebami zakrytemi zupełnie śniegiem, które dzielił spadający wyniosłą granią wzdłuż tego piętra Wierch Durny. Żleb z prawej strony, szeroki i mniej zda się spadzisty, kończył się na grani, z której domyślać się należy wolnego przejścia do Pięciu Węgierskich Stawów; żleb lewy zwężał się coraz ku górze między Durnym a spadami Łomnicy, wznosił się bardzo stromo, otoczony ze stron obu pionowemi, dzikiem

---

[1]) Wierch ten stanowiący właściwie jakoby północną czubę Łomnicy (Lomnitzer Nordtrabant), nazywają polscy górale „Głupim“, a także „Durnym“. Co do znaczenia wyrazu „durny“ w tem użyciu mają niektórzy pewne wątpliwości. Na Podhalu bowiem zachowało się staropolskie „durny“ w znaczeniu butny, dumny. Widząc np. człowieka, który niesie się butnie a z fantazyą, mówi się: „ej! durny-że jest“, „patrzy że durno“. Wszakże osobno wymawianego przymiotnika „durny“ nie słyszałem w tym sensie, owszem — wcale. Co znaczy nie mało: bo ludzie nieuczący się gramatyki nie zdają sobie sprawy z pochodzenia i odmiany słów, a ztąd słowa niektóre w pewnem tylko użyciu stale i nieodmiennie przychodzą. Zdanie całe stanowi jakoby jedno brzmienie, które przechodzi z pokolenia w pokolenie jako takie. Nadto wierch Durny powszechniej jeszcze nazywa się Głupim, a nazwę Durny wymawiają czasami tylko, ze słowacka zapewne. To przemawia za tem, że w jakiemkolwiek brzmieniu nazwy, wierch ten zawsze zostanie głupim. Co do mnie, wolę go takim nawet, bo w nazwaniu tem szczytu dzikiego, uważanego za nieprzystępny przez długie lata, panującego nad smutnemi, pustemi dolinami, jest siła i oryginalność, świeżość pewna i zdrowie, owszem — poezya. „Dumny Wierch“ to nazwa pretensyonalna, a wobec sąsiadki Łomnicy — nieodpowiedna.

Jakkolwiekbądź zatrzymam nazwę w oryginalnem brzmieniu „Wierch Durny.

[2]) Zniżenie to między Twarożną a Kopą (tj. szczytem Białego Jeziora).

[3]) Jest to tenże szczyt, który po drugiej stronie pasma od tamecznej doliny, zwie się „Nad Kołowem“.

ścianami. Każdy z nich wysyłał z pod śniegu strumień spadający siklawą, które to strumienie, już złączone, przyjmowało poniżej Zielone Jezioro, wypuszczając znowu, jako drugi główny dopływ Białej Wody.

Obie siklawy zostawiając po lewej, wyszliśmy na to piętro upłazem skalistym i powyżej przeszedłszy strumień prawego żlebu, po pod ostatniemi spadami grani Durnego weszli na śnieg żlebu pod Łomnicą. Drugi ze strumieni ztąd biorący początek, w biegu swym górnym krył się pod śniegiem, chwilę jeszcze dając znać o sobie rodzajem stłumionego szmeru. W górze, żlebem tym widzieliśmy poprzednio przechodzące przez śnieg ku Durnemu stado kóz, około dwudziestu. Mimo naszego wołania nieuciekały wyżej, ani zmieniły kierunku; turnie Łomnicy i przyległej grani Rakuskiej zdawały się im być niedostępne. Że jednak szły od tej strony, należało się domyślać ukrytego po za głazami „zachodu“ [1]), który jakkolwiek mógł być w wyższej swej części zamknięty, Sieczka postanowił go spróbować. Wyżej zaś widniał już zachodzik jakiś, obrócony ku domniemanemu ujściu pierwszego, i mający z nim prawdopodobną łączność. Gdyby to zawiodło, postanowiłem iść aż do góry na grań, kominem zaśnieżonym między Durnym i Łomnicą, a ztąd patrzeć po turniach jej, przejścia na szczyt. Cokolwiekbądź, trzeba było podejść żlebem wyżej.

Śnieg zrazu podawał się pod stopę, a sterczącemi złomkami zdradzał pod sobą piarg. Lecz wnet musieliśmy robić stopnie, idąc środkiem żlebu, bo strome jego, odrazu na śnieg spadające ściany, niedawały oparcia ani ręce ani nodze. Tak doszliśmy do miejsca, gdzie od Durnego Wierchu występuje język skały odkryty z pod śniegu, kamień gładki, krągło żłobiony, wymyty wodą i krokom niepewny. Ztąd patrząc na przeciwległą ścianę żlebu, wydało nam się, że turnia popękana i zadzierzysta [2]) daje możność przejścia do miejsca, gdzie już widniał ów zachodzik wypatrzony przez Sieczkę. Zachodzik ten w niższej swej części znikał w głazach i łączność jego ze zlebem była wątpliwą. Wysłany na oględziny trzeci z towarzystwa naszego Wojciech Bukowski, począł przerąbywać się przez śnieg na przeciwną stronę. Śnieg był tu zczerniały i tak twardy, że ulegał zaledwie ostrzu ciupagi. Praca ztąd około rąbania ciężka i długa przemawiała za zbliżeniem drogi, bądź co bądź, wprost w górę na ścianę żlebu, ku której stopnie były już właśnie gotowe. Bukowski znalazł dostęp możliwym; i ja też przenosząc turnię nad śnieg, byłem za tem wejściem.

Weszliśmy zatem w miejsca wcale przykre, pełzając po głazach gładkich i odpychających, zmoczeni ciekącą z nich wodą, nagląc każdy swego poprzednika, niecierpliwi dostać miejsca, gdzieby stanąć można. Wreszcie po trzech kwadransach takiej drogi, pomagając sobie wzajemnie to podparciem nogi, to podaniem ręki lub odebraniem ciupagi, weszliśmy na pożądany zachód [3]). Ręce i nogi trzęsły się niezwykle, zmęczone ciągłem wysileniem. Pod nami widzieliśmy drogę naszą, tak urwistą, że z powrotem byłaby niemożliwą do przebycia. Do nas dochodził zachód, wyglądający jak ścieżka i mogliśmy go przejrzeć aż do dołu. Poczyna się

---

[1]) Szczególny rodzaj naturalnej ścieżyny na turniach.

[2]) Turnia tu wyglądała pospolicie niby dach kryty zwyczajnie gontami; pod wyrazem „zadzierzysty“ rozumiem wyglądanie jej, że użyję tego porównania, jak gdyby dachówki kładzione były odwrotnie, tj. tak, że dolna zachodzi na wyższą, a nie wyższa przykrywa dolną. Taka tylko turnia, co pojąć łatwo, jest dostępna.

[3]) Ja przedewszystkiem mógłbym się uskarżać na obówie, i radzę każdemu idącemu w podobne miejsca, nie używać innego, jak kierpce. Pod butem bowiem ani nie czuć kamienia, ani utrzymać się niepodobna tam, gdzie się kierpiec uchwyci.

on tam, gdzie turniczki stojące na przełączce między Durnym i Łomnicą wysyłają ku dołowi na śnieg język kończysty. Od końca tej odnóżki zboczywszy wprost ku ścianie, znajdzie się ujście zachodu. Idzie on wprost skosem ku wystającej turni, którą spodem okrąża. Ku niej to doszliśmy właśnie i naznaczyli miejsce to, przyłożywszy kamieniem szmat papieru.

Ztąd idzie się już wygodnie — lecz niedając się uwieść pięknym ścieżkom na przedłużeniu zachodu, zbacza się po nad onę turnię i zmierza wprost w górę, chwilę jeszcze rodzajem naturalnej drożyny, którą uczyniwszy może sto kroków, iść już można dowolnie, choćby dziesięciu ludzi jeden obok drugiego, po głazach na szczyt, wszelako lepiej dzierżąc się ku grani, w miejsce naznaczone wystającą turnicą, niby głową. Tu spada Łomnica ścianą pionową w dolinę pięciostawską. Onąż granią dostaliśmy szczytu o godzinie pół do szóstej wieczorem. Mgły czas już niejaki między szczyty od Pięciu Stawów zwolna kurzące osłoniły nas teraz, a jeszcze chwilę dając pojrzeć ku Kezmarskiej czubie, wnet zarzuciły wkoło gęstą, nieprzejrzystą zasłonę.

Schodziliśmy na dół coprędzej drogą zdawna znajomą pod południe, na pierwsze piętro góry, które ciągnie się jako grań wzdłuż doliny Małego Kolbachu. Z tego piętra zejście w jedną stronę do tejże doliny, zkąd wchodzi się na Łomnicę od Szmeksu, z drugiej upłazistym, głazami zarzuconym spadem, ku otwartej na Spiż, sposobem tarasu dolince, na której widno czerwone Steinbach See [1]). Nad tym to stawem, na wyniesionej grani, znajduje się obszerna koleba, rozszerzona i obmurowana przez węg. karp. Towarzystwo, gdzieśmy znaleźli nocleg i pożądane przed deszczem, na który się zanosiło, schronienie.

* *

*

Droga, którą, o ile wiem, pierwszy szedłem na Łomnicę, w niczem nie będzie gorszą od używanej poprzednio, skoro, co się rozumie, następcy moi pójdą odrazu na „zachód“, którego ujście już teraz wiadome. Nocleg najlepszy będzie w schronisku węg. karp. Tow. pod Koperszadami (Egyedhàz), do którego jednak około

---

[1]) Muszę tu sprostować nieporozumienia zachodzące co do nazwania tej dolinki i stawu. Słyszałem u nas pospolicie nazywających ją Lejkową i staw Lejkowym (Trichtersee). Na mapie Kolbenheyera znajduje się też ta nazwa obok pierwszej; mianowicie oba stawy Steinbach i Trichter, leżą jeden pod drugim, połączone strumieniem. Gdym się jednakowoż pytał słynnego Szmeksańskiego przewodnika Spitzkopfa o staw Lejkowy, nie wiedział o nim, a natomiast sprostował, że zapewne chcę mówić o Steinbachsee. Główny staw zatem w onem miejscu jest Steinbach. Istotnie staw ten rozlany w dość nizkich brzegach, o dnie płaskiem, płytki i pokazujący pod wodą kamienie, znikąd do lejka nie jest podobny. Co zaś do nazwy lejkowego, to ta odnosi się do drugiego stawku, istniejącego rzeczywiście, ale w położeniu całkiem odmiennem niż na mapie. Jest to mała szyba wody na dnie głębokiego dołu, przedzielonego szeroką i wysoką granią od poprzedniego stawu i nie połączonego z nim żadnym dopływem. Ponieważ zaś stawek ten jest zbyt mały, dolina od niego nazwy brać nie może, na którą zresztą z żadnych względów niezasługuje.

Co do Steinbachsee, to zostanie on u polskich przewodników przy dawnej nazwie jaką mu dawał Sieczka, tj. Czerwonego. Wogóle płytkie, pokazujące kamieniste dno stawy noszą u nas tę nazwę, a ten o którym mowa, nadto uderzająco czerwonym kolorem wody jej odpowiada. Dolina, jak słyszę, w braku słowiańskiej nazwy ma być ochrzczona Świstaczą.

godziny drogi w dół doliny zbaczać trzeba. Silniejsi przeto turyści wolą nocować pod kolebą w górę od Zielonego Stawu. Wyjechawszy z Zakopanego rano o 7mej, dobrze przed wieczorem stanąć można w kolebie. Do Jaworzyny mniej więcej 5 godzin. Drogą pieszą na Łysą toż samo lub mniej. Ztąd do koleby, miernego chodu, godzin tyleż. W schronisku pod Koperszadami stanie się z Jaworzyny może o godzinę wcześniej. Z koleby szliśmy na szczyt, licząc w to przestanki przy wypatrywaniu przejścia, półpiętej godziny. Razem z Jaworzyny na szczyt z odpoczynkami zejdzie godzin 12. Na Koperszadach najprzód nęcących bujną roślinnością i pięknym widokiem zejdzie niepostrzeżenie czas dość długi. Z Łomnicy nocujący pod kolebą a dobrze chodzący, mogą tegoż dnia odwiedziwszy Czubę Durnego wrócić do koleby. Co do Durnego Wierchu, to jest nań wyjście niezawodne, nieco poniżej od ujścia zachodu na Łomnicę, miejscem gdzieśmy widzieli idące kozy, może sto stóp najgorszych po głazie, dalej zachodami zda się wygodnie, co potrzebuje bliższego rozpatrzenia, na sam szczyt od zachodu słońca. Z Łomnicy do koleby przy Steinbach See mniej więcej 2 godziny. Z Łomnicy do Szmeksu średniego chodu jest dosyć godzin 5, nawet mniej. Co do piękności wejścia, północne w niczem nie ustępuje południowemu; dzikością je przewyższa. Zyskuje się nadto tutaj piękne Koperszady i śliczną dolinę Kezmarską.

* * *

Pod kolebą nad Steinbach See leżeliśmy półtrzeciej doby. Mgły i deszcz nie pozwalały nam szukać wejścia na szczyt Kezmarski, uważany dotąd za nieprzystępny. Nawet kiedy deszcz nie padał, z wilgotnego od mgły kamienia ociekała kroplami woda. Noce były pogodne, siedzieliśmy do późna przy ognisku, a leżącym w kolebie zdawało się, żeśmy zawieszeni w powietrzu, z koleby uwisłej na stoku góry widząc tylko gwiaździste niebo. Po Spiżu świeciły ognie, nad nami sterczały chmurna Łomnica i Kezmarska Czuba. Rankami zastawaliśmy już równiny spiskie zasłonięte zupełnie. Rozścielała się na nich mgła jak puszcza śnieżna, od wschodu niby sfalowana wzgórkami, pod zachód równa i ginąca w szarym mroku. Z pod tej osłony nie było widać nic, aż na krańce widnokręga. Mgła była biała i gęsta, powierzchnia jej równa i gładka, w niczem lotnej swej niezdradzająca natury. Zdawała się ona poczynać tak blisko, że zwiedziony próbowałem dorzucić ku niej kamieniem. Po pod nią słychać było szum potoku i szczekanie psów. Naszą wyspę, nad którą sterczały dwa skaliste czuby, przykrywało niebo jasne i pogodne; od południa tylko i wschodu szarzało kilka żerdek ciemniejszych chmur, nie wróżących nic złego. Przed samym wschodem dopiero ukazało się wązkie pasemko wzgórz, zdające się być bardzo dalekiem, które rumieniło się zwolna, aż z niego wyszło ogniste słońce. Mgły zalśniły pod promieniami jak śnieg. Złudzenie zdawało się teraz przechodzić w rzeczywistość. Po chwili, od strony wschodniej, z płaszczyzny tej dymić poczęła szara mgła, lecz wnet rozpłynęła się w powietrzu bez śladu. Cała płaszczyzna niezmącona poruszyła się, jakby pod nią westchnęło żyjące łono. Zwolna poczęła szarzeć i opadać, po nad nią tuż pływała mgła rzadsza i całe to zjawisko przybierało znowu podobieństwo do niezmiernego źwierciadła wód. Kamienie na stoku góry pod nami, przybrały pod tą mgłą wierzchnią barwę zieloną, jak pod wodą. Tymczasem owe chmurki ciemniejsze, zrazu tak wązkie i nieznaczne, rozszerzyły się i zakryły słońce. Wnet zachmurzyło się całe niebo i mgła dolna złączyła się z górną, zakrywszy nas zupełnie. Potem jeszcze widać było przez chwilę mgliste słońce i blado świecący w jego promieniach czubek Kezmarskiego wierchu, aż wreszcie rozciągnął się naokoło szary, jednostajny koloryt.

Drugiego dnia powtórzyło się prawie toż samo.

Widoki te uczyniły z tych dwóch dni napozór straconych, jedne z najpiękniejszych w życiu mojem. Dnie schodziły nam na gawędzie bardzo szybko, owszem przedłużaliśmy je w późną noc. Wreszcie uważając, że mniej więcej do godziny dziewiątej niebo jest pogodne, postanowiliśmy rankiem próbować wejścia na wierch Kezmarski.

Ze świtem tedy dnia trzeciego, zwinąwszy nasze gospodarstwo pod kolebą, ruszyliśmy ponad Steinbachsee — przeszedłszy złomy głazów i śliczną zieloną równinkę zarosłą marchwicą, pod ścianę Kezmarskiego. Grunt cały był zryty przez świstaki i przez handlarzy szukających goryczki. Torby zostawili towarzysze moi w głębokiej kolebce pod kamieniem, odpychającej nieznośnym świstaczym fetorem. Przed nami wzniosła się stroma granitowa turnia, na którą szukać trzeba było wejścia. Pozwolę sobie zrobić tutaj porównanie, które mi się mimowoli nawinęło, a które rzecz dobrze określi. Wierch Kezmarski ma niejakie podobieństwo do orła, jak go widzimy na rzymskich sztandarach, tylko z utrąconą głową. Sterczący na wierzchu głaz wydaje się nawet niby złomek szyi. Stopy i końce skrzydeł toną w bezkształtnej, skalistej masie. Ziobro skrzydła prawego sterczy jako okrągły wierszyk między czubą a Łomnicą, za skrzydłem lewem jest wcięcie najgłębsze, a źleb najwyraźniejszy rysuje zarys skrzydła prawie aż do dołu. Wcięcie to i ten źleb oddziela wierch właściwy od grani spadającej stromo ku Spiżowi. Tym to żlebem, ku tej najniższej przełęczce obraliśmy drogę wprost w górę, z dołu obok szerokiej rozpadliny w skale, którą ciecze z wysoka źródlana woda.

Źleb ten nie zawiódł nas. Gdzieniegdzie omijając go z lewej strony po obocznej, równoległej grani, naprzemian głazami i upłazem, bardzo wygodnie dostaliśmy przełęczy. Tu znaleźliśmy ślady zasiadki strzeleckiej, poniżej strzelecki nóż. Pod sobą ujrzeliśmy dolinkę pustą, zawaloną głazami i spadzistą, którą zamykały Kezmarska i Rakuska granie, schodzące się ku czubie, do której obie jednako należą, mimo że ostatnia dostała, niewiadomo zkąd, osobną nazwę „Ratzenbergu“[1]). Ku zejściu się tych grani, wziąwszy się na lewą rękę, szliśmy po głazach, kozią percią, znaczoną prawie aż na szczyt. Szczyt jest kończysty, chwiejący się nieledwie. Głazy usuwają się pod stopą, a strącone lecą z przeraźliwym hukiem w przepaść, w której głębie spada nagle, pionowo, czarna ściana góry.

Mgły zaścielające równie spiskie podniosły się już i zasłoniły nam Łomnicę. Natomiast rozpatrywaliśmy się w szczytach nad doliną Kezmarską i w ubocznych, wyglądających z tyłu grupach, z których najdalej widno było szczyty z nad Gąsienicowych Stawów, w zarysach zamglonych, gdzieniegdzie zakryte mgłami. Po kilku godzinach dopiero, kiedy już mgły otoczyły nas wokoło, zeszliśmy na dół, a ztąd przez piętro Łomnicy w dolinę Małego Kolbachu i do Szmeksu.

* * *

Szczyt Kezmarski jest bardzo dostępny, wszelako nieprzedstawiający szczególnego interesu. Widok z niego jest piękny, lecz nie zbyt rozległy; pod każdym względem ustępuje sąsiadce swej Łomnicy. Jako panujący nad Kezmarską doliną, do przejrzenia jej bardzo jest dogodny.

Zawiedzeniśmy też zostali w nadziei, że go pierwsi zwiedzamy. Prócz śladów strzeleckich, znaleźliśmy w butelce zamokły bilet, na którym odczytać tylko mo-

[1]) Nawet czuba grani Rakuskiej, właściwy szczyt Ratzenberski, nie jest czem innem, jak wyniosłością (bulą) na grani.

głem nazwisko przewodnika szmeksańskiego Spitzkopfa i datę „14 August 1877“. Od koleby w dolinie Steinbachskiego jeziora jest na szczyt, miernego chodu, niespełna 3 godziny. Z tejże koleby do Szmeksu wiedzie ścieżka na dół, potem lasem na prawo, na kładkę przez Kolbach, długa zarównoż 3 godziny dobrego chodu. Ta jednakże dla nieświadomych okolicy niepewna. Chcąc ztąd wracać do Zakopanego, najlepiej zejść tą ścieżką na dół, a wchodząc do lasu koło zakrzesu na smereku nie zmieniać kierunku: perci zaprowadzą do wsi Łomnicy (Małej).

Idący doliną Kezmarską, ztąd mogą wchodzić na ten szczyt. Przejdą mianowicie grań Rakuską w miejscu najniższem, (mniej więcej w pośrodku), i pójdą zboczem po nad dolinką zamkniętą między tąż granią a Kezmarską, uwyższając się ku miejscu zetknięcia obu. Zbocza zawalone głazami nieledwie wszędzie dadzą przejście. Okrążenia grani Rakuskiej dołem, dla wejścia do rzeczonej dolinki, próbować nie trzeba. Obejście to zarośnięte jest trudnemi do przejścia łanami kosodrzewia, zresztą zbyt dalekie.

Szczyt Kezmarski niesłusznie okrzyczano; tanio nabytą tę sławę odpokutuje zapewne teraz, poznany, brakiem odwiedzających go.

O WYTWORZENIU SIĘ GÓR

NAPISAŁ

Dr. Franciszek Czerny,

Prof. Geografii przy Uniwersytecie Jagiellońskim,

Członek Wydz. Tow. Tatrzańskiego etc.

ie ma zapewne turysty, który, ujrzawszy się w obliczu jakiegobądź gór łańcucha, lub też wspiąwszy się na jeden z ich szczytów, nie podumał nad przyczyną, której góry wogóle zawdzięczają swe powstanie. Rozglądając się po amfiteatrze skał spiętrzonych lub odmierzając wzniesienie nad sąsiedniemi dolinami, zadawał sobie i zadaje niewątpliwie każdy pytanie, jakie to siły lub czynniki wchodziły w grę tych tajemniczych wydarzeń w przyrodzie, które pewnym częściom powierzchni ziemi kazały się dźwignąć do większej lub mniejszej wysokości i zakrólować nad pobliskiemi nizinami. Nie jednemu wprawdzie, świadomemu tych czynników, historya gór — być może — nie wiele już tylko mieści w sobie zagadnień, które go do dalszych popędzają badań, a wtedy, rozumiejąc jak powstały całe łańcuchy gór, stara się on dociec jeszcze ich szczegółowej struktury, naznaczyć w przybliżeniu czas geologiczny, w którym powstały, lub zastanawia się już tylko nad czynnikami, które wyrzeźbiły one wszystkie przedziwne kontury tych dumnych, wyniosłych kolosów, a w szczególności znowu wąwozy i doliny, co prują je we wszystkich kierunkach. Inni wszakże, mniej wtajemniczeni w badania geologiczne, a jednak nie mniejszym ożywieni interesem tam, gdzie chodzi o wytłumaczenie powstania gór, nie dziw, że pragnęliby często mieć pod ręką obok przewodnika-górala, który ich oryentuje w nomenklaturze pojedyńczych szczytów i dolin, innego rodzaju jeszcze mentora, a któryby im krótkiemi i przystępnemi opowiedział słowy treść tyle zajmującej księgi genezy gór. Czynię przeto jedynie zadość słusznym żądaniom tych ostatnich, jeżeli w kartach „Pamiętnika Tow. Tatrz.“ podaję dziś zwięźle zebraną odpowiedź na jedno z najciekawszych w geologii, a ciągle jeszcze trutynowanych pytań, jak przyszło do wytworzenia się gór wogóle.

Z przyczyny, że geologia, jako osobna umiejętność, mająca za zadanie zbadać historyę i prawa wytworzenia się ziemi, jej budowę i dzieje rozwoju jej jestestw organicznych, świta dopiero w XVI wieku a właściwie datuje swój początek od XVIII wieku, nie spotykamy naturalnie ani w starożytności ani też w wiekach średnich pisarzy, którzyby usiłowali umiejętnie rozwiązać zagadkę wytworzenia się gór. Znachodzimy jedynie tu i owdzie luźnie w tej mierze rzucone pomysły, które, będąc raczej wyrazem indywidualnego zapatrywania się a nie rezultatem bezpośrednich poszukiwań i badań, częstokroć negowały się wzajem i nie dozwalały tem samem wytworzyć się jednej, powszechnie panującej, choćby nawet błędnej teoryi o powstaniu gór.

Nie było wprawdzie tajnem Grekom i Rzymianom, że skorupa ziemska podlega oscylacyom tj. podnoszeniu się w jednem miejscu a gdzieindziej znowu opadaniu, i na mocy tego tłumaczyli już sobie Arystoteles, Eratostenes i Strabo wyłonienie się z morza północnej części Libii (Afryki) i Suezu. Podobnie np. twierdził r. 1282 Ristoro z Arezzo, że trzęsienia ziemi mogą podnieść całe łańcuchy gór, a gdzieindziej znowu takowe wywrócić. Ale coby było przyczyną tych oscylacyj skorupy ziemskiej lub znowu trzęsień ziemi, trudno odpowiedzieć stanowczo z pism tych i tym podobnych autorów świata klasycznego i wieków średnich, skoro np. Empedokles z Agrygentu (450 r. pd. Chr.) poczytywał ogień w jądrze ziemi za praprzyczynę wszelkich zmian na powierzchni ziemi, Strabo twierdził, że podziemne gazy były tą dźwignią, której tak dobrze wyspy jak i całe kontynenty zawdzięczają swoje wyłonienie się z oceanu, Philo Judaeus (za czasów Kaliguli i Klaudyusza) uważał wulkany wprost za ujścia owego domniemanego, wewnętrznego ognia, podczas gdy znowu Arystoteles prądy powietrza, dostające się do podziemia, i wody oceaniczne czynił odpowiedzialnemi za trzęsienia ziemi, a ten sam Ristoro z Arezzo przypisywał naiwnie wrzekomemu większemu nagromadzeniu się gwiazd na północnej półkuli nieba wydobycie się lądów na północnej półkuli ziemi, brakowi zaś gwiazd na południowem sklepieniu nieba przewagę wody na południowej półkuli ziemi [1]).

Ale i w nowszych czasach, lubo już bez porównania trzeźwiejsze panowały poglądy na czynniki i siły, pod których działaniem wydobyły się na jaw i ukształciły dzisiejsze lądy, długo przecież marnowali geologowie czas i energię raczej w tyle głośnym sporze, czyli wytworzenie się całych formacyj geologicznych i ich pokładów należy przypisać samej akcyi wody czyli też wulkanizmowi tj. wydostaniu się mas skalnych z wnętrza ziemi, miasto doświadczać, czyli jedna lub druga ich teorya, odniesiona do poszczególnych danych wypadków, rzeczywiście może być uznaną za powszechnie obowiązującą.

Reprezentantami teoryi pierwszej, w myśl której woda miała być głównym czynnikiem w zbudowaniu i ukształceniu powierzchni ziemi, teoryi, która zresztą główne swoje argumenty czerpała z podania o potopie i o Noem, byli w Anglii: Burnet („telluris theosia sacra“ 1680), Woodward („Natural history of the earth“ 1695), Whiston („New theory of the earth“ 1696), we Francyi: De Maillet („Telliamed, entretiens sur la diminution de la mer“ 1755), w Niemczech: Leibnitz („Protogaea“ 1749), Silberschlag („Geogenie oder Erklärung der mosaischen Erderschaffung“ 1780), w Szwajcaryi: J. Scheuchzer („Sur l'origine des montagnes“ 1708), J. G. Sulzer („Vom Ursprung der Berge“ 1746), Bertrand („Sur l'origine des montagnes“ 1766), a głównie De Luc („Lettres physiques et morales“ 1776

---

[1]) cf. Peschel „Geschichte der Erdkunde“ (wyd. 1878), str. 52 i nast. i 220.

oraz „Lettres sur l'histoire physique de la terre“ 1792). Wszyscy ci pisarze zgadzali się mniej więcej w tem, że pewne łańcuchy gór poczytywali jako już a priori istniejące, inne zaś góry jako zbudowane przez osady z ustępujących mórz. Tak np. Leibnitz, nie przypuszczając, iżby Alpy mogły być przez jakie siły podziemne podniesionemi, twierdził, że istniały już a priori, przykryte w części lub w całości morzem, i że to ostatnie dopiero z czasem ustąpiło i odsłoniło grzbiety i stoki tych gór. Natomiast, jak te pierwotne góry powstały, nikt nie myślał zgłębiać, wyjąwszy jednega Sulzera, (którego teoryę powtórzył r. 1844 Boucheporn „Etudes sur l'histoire de la terre“), który przyczynę ich wytworzenia się upatrywał w wewnętrznem napięciu ziemi w czasie, kiedy ziemia pod działaniem siły odśrodkowej, czynnej dzięki jej ruchowi wirowemu, przechodziła z pierwotnego kształtu doskonałej kuli w sferoid tj. w kulę, spłaszczoną u biegunów a nabrzmiałą u równika[1]). W nikim wszakże ta teorya, przypisująca powstanie gór, wogóle zaś wszystkich pokładów skalnych pojedynczych formacyj geologicznych samej tylko akcyi wody, nie znalazła dzielniejszych obrońców, jak w Buffonie („Theorie de la terre“ 1749 i „Epoques de la nature“ 1778) a więcej jeszcze w A. G. Wernerze, słynnym w swoim czasie tj. z końcem 18go wieku profesorze w szkole górniczej we Fryburgu w Saksonii. Szczególnie wpływ ostatniego okazał się tak wielkim, że na czas pewien współcześni mu uczeni, nie wyjmując nawet H. B. de Saussure'a („Voyage dans les Alpes“ 1779—1796), który więcej niż ktokolwiek inny czuł niedostatki nauki Wernera, powtarzali za Wernerem, jako powagą, że łańcuchy gór są tylko osadami z mórz, systematycznie opadających i ustępujących.

Podobnie błędną, bo także jednostronną, jak dopiero co wymieniona, była i teorya druga, datująca się już od Stenona („de solido intra solidum contento“ 1669 oraz we „Fragments de Stenon“ par Elie de Beaumont, 1831), którą jednak rozwinęli i uzasadnili dopiero Hooke („A discourse of earthquaques“ 1705), Ray („Phisic.-theol. disc.“ 1692) i Lazzaro Moro („de'crostacei che si trovano su' monti“ 1740), dowodząc, że jedynie siły wulkaniczne i trzęsienia ziemi dały początek wszelkim nierównościom na powierzchni globu ziemskiego a w szczególności górom. Sam nawet Pallas („Observations sur la formation des montagnes“ 1777), pomimo że poczytywał — i w części słusznie — Alpy wapienne za ławy koralowe i muszlowe, przecież podniesienie się ich tłumaczył znowu akcyą wulkaniczną, a Fichtel

[1]) Uwaga. Dodajmy na tem miejscu. że i F. Weiss („Aufsätze über die Grundgesetze der mechanischen Geologie“ w „Neues Jahrb. für Miner.“ 1855), wyobrażał sobie jeszcze góry powstałemi skutkiem nabrzmiewania i fałdowania się skorupy ziemskiej w kierunku ku równikowi pod działaniem siły odśrodkowej ziemi. Aby zaś wytłumaczyć powstanie gór, których łańcuchy w innych biegną kierunkach, nie zaś równolegle do równika, uciekł się do hipotezy, w myśl której w dawniejszych epokach dziejów ziemi oś obrotu naszego globu inną być miała aniżeli dzisiaj. (patrz: Dr. Fr. Toula „Über den Bau und die Entstehung der Gebirge“ Ein Vortrag. Wien 1877, str. 10-11). Z pomocą tej samej hipotezy, aczkolwiek stanowczo przez astronomów i geologów dzisiejszych kwestyonowanej, pragnie także właśnie obecnie (1879) wytłumaczyć powstanie gór Fr. Heger („Versuch zur einheitlichen Lösung verschiedener Fragen der modernen Geologie“ w „Mittheilungen der k. k. geogr. Geselsch. in Wien“ 1879; str. 100—106), powiadając między innemi: „Mit der Annahme einer allmähligen Verlegung der Rotationsaxe der Erde fallen die Erklärungsschwierigkeiten für die Faltung der Erdkruste (resp. Gebirgsbildung) von selbst weg, denn diejenigen Theile der Erdoberfläche, denen die Pole näher rücken, sind Senkungsgebiete, während diejenigen Theile, welchen der Aequator entgegenrückt, Hebungsgebiethe repräsentiren“.

(„Bemerkungen über die Karpathen“ 1791) uciekł się nawet wprost do wliczenia gór między wulkany, powiadając, że góry tem się tylko różnią od wulkanów, że są wolne od erupcyj czyli wybuchów tj. są bez kraterów i strumieni law a są jedynie wulkanicznemi wzdęciami, wzniesieniami pewnych części skorupy ziemskiej. Ponieważ nadto jednocześnie i we Francyi geolodzy, jak Desmarest, Dolomieu, Montlosier coraz wyraźniej jęli się powoływać na siły wulkaniczne przy tłumaczeniu struktury powierzchni ziemi, przeto nie trudno było nareszcie w Anglii J. Huttonowi („The theory of the earth“ 1795) i J. Playfair'owi („Explications“ 1802) oprzeć się na takich poprzednikach i z całym szeregiem argumentów w ręku wystąpić z tem więcej umiejętnem uzasadnieniem teoryi, według której znowu nie akcya wody lecz wulkanizm miał być tą siłą, która podnosi i fałduje całe warstwy powierzchni ziemi, a nawet całe dźwiga lądy [1]).

Ponieważ naukowa polemika stronników obóch tych obozów — pierwszych zwano zrazu „Werneryanami“, następnie „neptunistami“, drugich „Huttonistami“, a później „plutonistami“ — przeciągnęła się prawie aż po dni nasze, przeto nie podobna nam nie uwzględnić teoryj o wytwarzaniu się gór, jak je jedni i drudzy dzisiaj jeszcze uzasadniają, zanim będziemy mogli przejść do nowej, w ostatnich lat dziesiątkach powstałej, a coraz wyraźniej zdobywającej sobie panowanie szkoły geologów, która, idąc drogą pośrednią, a sumienniej licząc się ze spotrzeżeniami i doświadczeniami, i w teoryi powstania gór jest niezawodnie, jak to zobaczymy, głębszą i więcej przekonywującą.

Najżarliwsi neptuniści naszych czasów, jako to Niemcy: Bischof („Lehrbuch der chemischen und physikalischen Geologie“), Volger („Erde und Ewigkeit“) i Mohr („Geschichte der Erde“) tłumaczą każde podnoszenie się skorupy ziemskiej lokalnem powiększeniem się pierwotnej objętości całych pokładów. Według Bischofa każde wzniesienie się skorupy ziemskiej jest tylko skutkiem chemicznych procesów w głębi ziemi, a mianowicie sam rozkład chemiczny skał krzemionkowych przez kwas węglowy może już wywiązać tyle ciepłoty, a ta tak dalece zwiększyć objętość skał, że wskutek tego np. pokłady granitu lub gnejzu mogą zyskać na objętości 30—67%, feldspaty blisko 100% a bazalty nawet więcej niż 100%, zaczem np. pokład bazaltu na 1 milę gruby, uległszy rozkładowi przez kwas węglowy, winienby uróść do grubości 2 mil, a zatem przewyższyć nawet szczyty Himalajów. Także Volger i Mohr sprowadzają wzniesienia pojedynczych części skorupy ziemskiej do powiększania się objętości całych pokładów skał, różnią się wszakże od Bischofa tem tylko, że powodem tego ostatniego nie są, według nich, rozkłady chemiczne, lecz w części krystalizacya minerałów i połączony z tem wzrost objętości całych skał, w części zaś nierówne, jednostronne ciśnienie na całe pokłady, skutkiem którego pokłady te w miejscach słabszego ciśnienia lub tam, gdzie go nie ma, fałdują się i marszczą dzięki swej większej lub mniejszej plastyczności, przyczem fałdy w ten sposób powstałe muszą się przedstawiać jako pagórki lub góry w stosunku do równin, nad któremi się wzniosły.

Nie tu miejsce wykazywać szczegółowo, na jak słabych podstawach rzeczeni neptuniści zbudowali swoje hipotezy. Ciekawsi czytelnicy znajdą obszerniejszą w tej mierze krytykę w dziele Pfaffa [2]). Tutaj wystarczy powiedzieć, że równie

---

[1]) cf. Studer „Lehrbuch der physikalischen Geologie und Geographie“ (Bern, Chur und Leipzig 1847) II Część, str. 179—181., oraz Lyell „Principles of geology“ (London 1875) I, str. 67—83.

[2]) „Die Geologie als exacte Wissenschaft“ (Leipzig 1873), str. 201 i nast.

daleko odbiegł od prawdy Bischof, przypuszczając możność rozkładu chemicznego pokładu bazaltu o 1 mili grubości przez kwas węglowy, skoro już ciśnienie, wywarte przez pokład 1000 stóp gruby, musiałoby zniweczyć powinowactwo chemiczne między bazaltem a kwasem węglowym, jak Volger, dla którego teoryi powstania gór wyraźnie potrzeba ciśnienia mas przynajmniej 10 razy wyższych i cięższych od Andów lub Alp, ażeby módz orzec, że te i tym podobne łańcuchy gór są właśnie fałdami pokładów, przez owe hipotetyczne olbrzymie masy jednostronnie obciążonych [1]). Podobnie i czynnik drugi, na który powołuje się Volger a więcej jeszcze Mohr, tj. krystalizacya skał, a której to krystalizacyi albo inaczej przemianie skał osadowych w krystaliczne i Karol Vogt („Die Nordfahrt“) przypisywał np. podnoszenie się Skandynawii, może być raczej przyczyną, jak to słusznie zauważył Peschel [2]), obniżania się czyli opadania skorupy ziemskiej, nie zaś podnoszenia się jej, z uwagi, że przy tej przemianie skał osadowych w krystaliczne z reguły właśnie objętość skał się pomniejsza. Wyznaje to zresztą i sam Bischof, powiadając, że np. części składowe granitu tracą przy krystalizacyi około 10% swej pierwotnej objętości. Jedyny z pod tej reguły wyjątek stanowi woda; ona tylko bowiem, zamieniając się w lód tj. krystalizując, zyskuje, jak wiadomo, na objętości.

Znacznie więcej rozmaitości, aniżeli dopiero co wymienione, przedstawiają postawione w nowszych czasach teorye drugiego obozu tj. plutonistów. Ale powiedzmy zaraz z góry, że przyczyną tego była zupełna niezgoda co do pewnych zasadniczych zapatrywań, na których właśnie opierały się ich teorye. Oto mianowicie, pomimo, że wszyscy wyobrażali sobie ziemię niegdyś w stanie gazowym, a następnie — skutkiem oziębienia się jej — w stanie płynnym, przyszło przecież między niemi rychło do rozbratu w tem kardynalnem pytaniu, czyli ziemia, podlegając w dalszym ciągu procesowi oziębiania się, przeszła dziś częściowo tylko w stan stały tj. pokryła się tylko na swej powierzchni skrzepłą skorupą, a we wnętrzu swojem pozostała i nadal płynną, czyli też przeszła tak dalece już w stan stały, że we wnętrzu swem podobnie jest skrzepłą jak i na powierzchni i tylko między stałem jądrem a skorupą posiada jeszcze stosunkowo cienką warstwę płynną. Według tego zaś, do którego z tych zapatrywań pojedynci plutoniści się przychylali, tłumaczył też i wytworzenie się gór każdy z nich w odmienny sposób.

Jedni, przyjmujący, że ziemia jest jeszcze płynną w całem swojem wnętrzu, orzekli, że pewne siły plutoniczne, lubo w ich naturę bliżej nie wnikali, mogą podnieść, podobnie jak to odnośnie do wulkanów utrzymywał Aleksander v. Humboldt, z wnętrza ziemi wzdłuż pewnych linij tj. szczelin, które następnie odpowiadają głównym osiom łańcuchów górskich, masy krystaliczne, jako to granity, gnejzy i łupki i spiętrzyć je w kształcie gór. Takiem było np. zapatrywanie Niemca Leopolda v. Buch i geologów szwajcarskich, w szczególności Studera i Desora, i w myśl niego uczono też jeszcze do niedawna, że w górach należy rozróżnić trzon gór, zbudowany ze skał krystalicznych i odpowiadający linii, wzdłuż której przyszło do erupcyi tychże mas z wnętrza ziemi, i łańcuchy poboczne, które miały odpowiadać rozsadzonym skutkiem tej erupcyi i spiętrzonym osadowym masom powierzchni ziemi [3]). Ba, orzeczono nawet, że według tego, czyli to parcie mas krystalicznych z wnętrza ziemi działało na jeden punkt, czy wzdłuż pewnej linii,

---

[1]) „Die Geologie als exacte Wissenschaft“ str. 308—310 i 205—206.

[2]) „Neue Probleme der vergleichenden Erdkunde“ (Leipzig 1870), str. 83.

[3]) p. Desor „Gebirgsbau der Alpen“ str. 6.

czyli też na rozleglejszą przestrzeń, powstawały trojakie wzniesienia tj. centralne, linearne i przestrzeniowe albo inaczej góry kopułowate, łańcuchy gór i nareszcie wyżyny i płaskowzgórza [1]). Do rzędu tego rodzaju zapatrywań należy także wliczyć zdanie Darwina [2]), w myśl którego siły zwolna podnoszące całe lądy, i siły dające początek nagłym wybuchom wulkanicznym, są identyczne, że siły te zrządzają napięcie w łonie ziemi i pękanie warstw, któremu towarzyszy każdym razem wypełnianie powstałych skutkiem tego szczelin przez płynną masę. To wypełnianie, kilkakrotnie się powtarzające w jednem miejscu, może zbudować całe łańcuchy gór, które też w ten sposób różnią się tem tylko od wulkanów, że płynna masa w ostatnich zostaje wyrzuconą, w górach zaś wyciśniętą z podziemia. Teorye te, jak widoczna, nie tłumaczyły jednak jeszcze przyczyny tych wybuchów lub wycisków, a tem samem wytworzenia się gór, tylko określały sposób ich powstawania; tem mniej zasługują też dzisiaj na naszą uwagę, że, jak to zobaczymy, zadały im zupełny kłam rezultaty najnowszych badań struktury gór.

Ważniejszemi są już orzeczenia tych geologów, którzy przedewszystkiem pragnęli wykryć przyczynę albo inaczej czynniki, pod działaniem których przyszło wogóle do wytworzenia się nierówności powierzchni ziemi, a w szczególności gór. Między innemi usiłowano np. teoryę p. Aleksisa Perrey'a („Propositions sur les tremblements de la terre“ 1863) i Falba („Grundzüge zu einer Theorie der Erdbeben“ 1871) o trzęsieniach ziemi zastosować do wytłumaczenia powstania gór. Oto, ponieważ Perrey i Falb próbowali i próbują jeszcze dowieść, że pod wpływem siły przyciągającej słońca i księżyca, odbywają się w łonie ziemi podobne wzbierania i opadania płynnej masy jak na oceanach, i tem tłumaczą trzęsienia skorupy ziemskiej, powiadano, że niegdyś, gdy skorupa ziemska była znącznie cieńszą, wzbierania te i opadania płynnych mas wnętrza ziemi musiały zrządzać pękanie i rozdzieranie się skorupy ziemskiej, skutkiem czego następnie część wezbranych mas płynnych mogła wydobyć się powstałemi ztąd szczelinami na powierzchnię ziemi i skrzepnąwszy dać w ten sposób powód do wytworzenia się wszelkich na powierzchni ziemi nierówności. Skoro zaś wysokość tych wzdęć czyli fal masy płynnej zależy nietylko od siły przyciągającej słońca i księżyca, lecz także i od głębokości płynnej masy, przeto, jeżeli się przyjmie tylko 2—3 mil grubą skorupę ziemi, a resztę ziemi o grubości 850 mil geograf. przeszło płynną, wrzekome te fale mogły w ten sposób do olbrzymiej nawet dochodzić wysokości i, wydobywszy się w części na powierzchnię ziemi szczelinami, w skorupie ziemskiej utworzonemi, i skrzepnąwszy, dać początek nader wyniosłym garbom i górom, podczas gdy natomiast gdzieindziej skorupa ziemska musiała się obniżyć i to odpowiednio do ilości płynnej masy, która wydobyła się z pod niej na powierzchnię ziemi [3]).

Łatwo zrozumieć, dlaczego teorya taka, zgodna zresztą z prawami fizyki, nie zdołała mimo to liczniejszych między geologami znaleść wyznawców. Gdyby bowiem istotnie płynna masa wnętrza ziemi była jeszcze tak olbrzymią, winnibyśmy i dzisiaj jeszcze być świadkami gwałtownego pękania skorupy ziemskiej i wylewania się wezbranych fal owej płynnej masy na powierzchnię, bo temu nie mogłaby się oprzeć i dzić zbyt cienka stosunkowo skorupa ziemska. Nadto w myśl

---

1) Studer „Lehrbuch d. physikal. Geologie u. Geographie“, 2ga Cz., str. 178.

2) „Reise eines Naturforschers um die Welt“ (aus d. englisch. übersetzt v. J. Victor Carus. Stuttgart (1875) str. 357—358.

3) cf. Pfaff „Geologie als exacte Wissenschaft“, str. 189—190.

tej teoryi najwyższe łańcuchy gór albo, ogólnie mówiąc, największe nierówności powierzchni ziemi winnibyśmy napotykać tylko w strefie zbliżonej do równika, po nad którą właśnie słońce i księżyc stoją więcej lub mniej prostopadle, a więc stosunkowo i najsilniejszą odznaczają się atrakcyą. Temu zaś sprzeciwia się istotny stan rzeczy.

Dlatego też racyonalniejszym już był obóz geologów, który główny czynnik przy wytwarzaniu się gór upatrywał w czem innem, a mianowicie w ciśnieniu bocznem, skutkiem którego każdym razem miały być wewnętrzne płynne masy ziemi wyciśniętemi wzdłuż pewnych linij czyli szczelin. Pierwszym zaś, który zapomocą takiego to czynnika próbował wytłumaczyć proces wytwarzania się gór, był Sir John Herschel i to mniej więcej w następujący sposób („Familiar lectures on scientific objects"). Jeżeli pomyślimy sobie ziemię we wnętrzu jej płynną, a na zewnątrz powleczoną skrzepłą skorupą, tworzącą dno morskie i lądy, to naówczas skorupa ta na długo nie może pozostać w spokoju i równowadze, gdyż wskutek tego, że rzeki ustawicznie spłukują z lądów materyał skalny i zanoszą go w kształcie piasku i mułu do oceanów, aby go tam na ich dnie osadzić, lądy stają się ustawicznie lżejszemi, podczas gdy dno mórz ulega coraz to większemu obciążeniu. Przez to doznaje zaś płynna masa wnętrza ziemi nierównego z zewnątrz nacisku, który też usiłuje zburzyć jej równowagę, a mianowicie w miejscu większego obciążenia będzie się starała wewnętrzna płynna masa ziemi usunąć się ku mniej obciążonym przestrzeniom i tam, u ich krawędzi, wydostać się wzdłuż szczelin na powierzchnię ziemi, co każdym razem może dać powód do wytworzenia się łańcuchów gór. Według Herschla lądy i dno oceanu zachowywałyby się przeto jak dwie szalki wagi, z których jedna, będąc więcej obciążoną, obniżałaby się, podczas gdy druga w tym samym stopniu musiałaby się podnosić. Nie co innego widocznie pragnie wyrazić i Pfaff[1]), gdy powiada, że każde opadanie części skorupy ziemskiej musi za sobą pociągnąć odpowiednie wzniesienie się bądź to pewnej części płynnej masy wnętrza ziemi, bądź też pewnego kawałka skorupy ziemskiej. Odwołuje się on w tej mierze na doświadczenie, w myśl którego, jeżeli w naczynie napełnione wodą wrzucimy kilka kawałków lodu i jeden z nich obciążymy, inne kawałki lodu wskutek udzielającego się całej masie wody ciśnienia, muszą się odpowiednio podnieść. Tymczasem, jakkolwiek teorya podobna niezawodnie byłaby jedyną możebną, z pomocą której dałoby się twierdzić, jak to czyni Peschel[2]), że góry każdym razem dźwigały się u krawędzi kontynentów tj., że każdym razem u wybrzeży lądów przychodziło do wydobywania się na zewnątrz płynnych mas ziemi i do ich tężenia, przecież pomimo tego nikt inny, jeno właśnie sam Peschel nie tai sobie zarzutów, dla których i ta na pierwszy pozór tak przekonywająca teorya Herschla nie da się utrzymać. Raz bowiem, jak to już przed 30 laty astronom angielski Hopkins wykazał, już z samych astronomicznych względów należy nam skorupę ziemską przyjąć co najmniej 200 mil geogrf. grubą, skoro w przeciwnym razie wyprzedzanie (przecesya) punktów równoczesnych i nutacya osi ziemskiej nie byłyby takiemi jakiemi je obserwujemy w rzeczywistości. Drugi raz zaś nie możemy sobie pomyśleć skorupy ziemskiej tak cienką, iżby nie stawiała oporu wydobywaniu się mas płynnych z wnętrza ziemi, dlatego, że, jak to znowu Sir William Thomson 1864 r. zauważył[3]) a za nim geolodzy angielscy Fischer i Shaler,

---

1) „Geologie als exacte Wissenschaft" str. 195.
2) „Neue Probleme der vergleichenden Erdkunde" str. 77—87.
3) cf. Tyndall „Heat a mode of motion" str. 106.

ku środkowi ziemi rośnie także i ciśnienie a z rosnącem ciśnieniem zostaje podwyższonym punkt (temperatura) topliwości mas skalnych, zaczem takowe już z dawna w znacznej części jeźli nie w zupełności musiały przejść w stan stały. Zresztą, abstrahując już narazie od panującej dziś między geologami opinii, że wnętrze ziemi jest w większej lub mniejszej części stałem, teorya Herschla byłaby nadto tylko pod tym warunkiem dopuszczalną, gdyby materyał, z jakiego się składa skorupa ziemska, był względnie gęstszym czyli cięższym od mas płynnych, leżących po pod skorupą ziemską; bo tylko naówczas mogłoby obniżenie się pierwszej wyciskać skutecznie drugie. Tymczasem jest dziś dostatecznie w geologii dowiedzioną rzeczą, że gęstość czyli ciężar gatunkowy całej ziemi wynosi w przecięciu, w porównaniu do gęstości wody przyjętej $= 1$, około $5^1/_2$, a ciężar gatunkowy mas, składających skorupę ziemską, nie jest większym jak 2 do $2^1/_2$, zaczem wynika z tego, że z rosnącą głębokością muszą się znachodzić w ziemi coraz to gęstsze masy, w samem zaś jądrze ziemi znajdować się masy nawet o ciężarze gatunkowym 8—9, gdyż tylko taki ciężar gatunkowy środka ziemi, dodany do ciężaru gatunkowego skorupy ziemskiej (2—$2^1/_2$) może nam dać przeciętną wartość na ciężar gatunkowy całej ziemi $5^1/_2$. Zkądinąd, dodać należy, teorya Herschla i z tego jeszcze względu jest niewystarczającą, że nam nie tłumaczy, dlaczego naprzykład północne wybrzeża Afryki od Syrty Wielkiej aż do delty Nilu albo wybrzeża południowo-zachodniej Grönlandyi itd. opadają, podczas gdy właśnie w myśl tej teoryi winny, jako coraz lżejsze w stosunku do sąsiedniego dna morskiego, podnosić się.

Nie obeszło się tymczasem i bez geologów, którzy wprost usiłowali wytworzenie się gór odnieść do wulkanizmu tj. górom ten sam przypisywali początek co wulkanom. Jeszcze przed 10ciu laty pisze np. Trautschold[1]: „w rzeczy samej łańcuchy gór zdają się dziś jeszcze wytwarzać jak w najodleglejszych czasach, skoro grupy i łańcuchy dzisiejszych wulkanów, jakkolwiek ich produkty tak różnemi są od produktów dawnych szczelin erupcyjnych, przedstawiają zawiązki takich samych łańcuchów gór, jakie we wszystkich częściach świata już skończone natrafiamy. Wygięty łańcuch wulkanów wysp Sunda zdaje się być powtórzeniem gór Himalajskich, łańcuch wulkanów, biegnących w kierunku południowym przez Formozę i Filippiny aż do wyspy Celebes, jest niejako naśladownictwem Uralu albo Andów, a wulkany wysp kurylskich usiłują wytworzyć niby drugi grzbiet gór Thian-Schan, coby oddzielał morze Ochockie od Oceanu Spokojnego“. Zbijać wszakże podobne zapatrywania znaczyłoby powtarzać raz jeszcze z dawna znane już argumenty geologiczne, mocą których obalono w swoim czasie teoryę Aleksandra Humboldta, która właśnie poczytywała wulkany za spiętrzenia wierzchnich warstw ziemi, podczas gdy wulkany są poprostu tylko usypiskami wyrzuconych z kraterów wulkanicznych mas popiołu, kamieni i skrzepłych kawałków lawy, a wcale nie spiętrzeniem części powierzchni ziemi pod działaniem sił podziemnych. Zresztą czyliż to wszystkie łańcuchy gór są zbudowane z law, jak porfir, bazalt, albo nawet i z granitu, któremu jeszcze znaczna część geologów przypisuje początek wulkaniczny? Jakże więc wytłumaczą wulkaniści powstanie gór wapiennych lub piaskowcowych, które nic z wulkanizmem nie mają wspólnego? Tak samo niepodobna zgodzić się z innem zdaniem Trautscholda[2], w myśl którego góry

---

[1]) „Über säculare Hebungen und Senkungen der Erdoberfläche“. (Dorpat 1869), str. 63—64.

[2]) Tamże str. 53.

dawniejszego początku musiały być niższe od gór później powstałych z powodu, że kiedy skorupa ziemska była cieńszą, siły dźwigające mogły ją z większą przerwać łatwością, kiedy zaś stała się grubszą, warstwy osadowe tej skorupy musiały być wyżej znacznie spiętrzonemi, aby masom erupcyjnym pozwolić wydostać się na powierzchnię ziemi. Niepodobna, powtarzamy, zgodzić się i z tem zdaniem, albowiem raz nie określa nam Trautschold bliżej, jakiemi są te domniemane siły dźwigające podziemne, drugi raz zaś powtarza już przestarzałe zapatrywanie o grubości skorupy ziemskiej, nad którem dzisiejsi geologowie przeszli do porządku dziennego.

Ale co przedewszystkiem i stanowczo mówi przeciw wszystkim teoryom plutonistycznym, w myśl których płynne masy wnętrza ziemi miały być wyrzucane lub wyciskane z podziemia i dawać początek trzonom gór, a jednocześnie podczas swego podnoszenia się dźwigać i spiętrzać po obu stronach takichże trzonów gór sąsiednie formacye osadowe powierzchni ziemi, to ta okoliczność, że, jak to np. skonstatowano w Alpach, wielka część tych skał krystalicznych, które do niedawna jeszcze poczytywano za trzon Alp, wcale nie była dźwignią przy wytwarzaniu się Alp całych, skoro należą one do względnie młodszych formacyj i same w swojem ułożeniu podobnie jak i poblizkie im osadowe formacye doznały wielorakich wzruszeń i zboczeń. Do tego rodzaju skał należy zaś większa część granitów w południowych Alpach (Brixen, Val Trompia, Cima d'Asta) i porfiry z okolic Bocen i Willach, pochodzące częścią z doby formacyi permskiej, częścią triasowej. Z tego samego powodu nie uchodzą już więcej i gnejzy wysokich Taurów za czynnik, który sam się piętrząc w łańcuch gór, miał dźwignąć i pofałdować sąsiednie osadowe formacye. Nadto jest rzeczą wcale nie dającą się wytłumaczyć na zasadzie teoryi o erupcyach lub wyciskaniu mas płynnych z wnętrza ziemi, dlaczego właśnie te sporadycznie rozpostarte i nieregularnie rozrzucone skały krystaliczne miały być przyczyną tak uderzająco regularnego pofałdowania się warstw północnych zwłaszcza Alp — warstw, które bez mała przedstawiają podobny obraz, jak skostniałe fale jakiegoś olbrzymiego wzburzonego oceanu. Z tych i tym podobnych względów więcej przekonywującem jest też twierdzenie dzisiejszych geologów, że owe masy krystaliczne bynajmniej nie były przyczyną powstania Alp całych, lecz że należy je poczytać za drugorzędne twory [1]) a mianowicie, że wydobyły się z łona ziemi drogą erupcyi ze szpar i szczelin, te ostatnie zaś były następstwem dokonywującego się spiętrzenia całego grzbietu Alp, — spiętrzenia wszakże mającego wcale inne przyczyny aniżeli te, których przeglądem zajmowaliśmy się dotychczas.

Inauguratorem tej najnowszej szkoły geologów, stanowczo biorącej rozbrat z dotychczasowemi hypotezami o przyczynach wytwarzania się gór, jest tyle głośny geolog angielski Karol Lyell. Od niego też należy właściwie datować powszechnie dziś między geologami panujące przekonanie, choć już wprzód przez Hopkinsa, Pouletta Scrope'a i Williama Thomsona wypowiedziane, że skorupa ziemska jest już co najmniej w grubości $1/5$ promienia ziemskiego stężałą i że w jej łonie, nie głębiej jak 2—4 mil, znajdują się większe lub mniejsze jeziora płynnej masy, będące zarazem ogniskami wulkanizmu, rezerwoary jednak masy, nie będącej pozostałością pierwotnego rozżarzonego płynu, lecz masy powstałej lub jeszcze tworzącej się z częścią roztopionych a częścią chemicznie rozłożonych skał pod wpływem

[1]) Patrz „Feuilleton der Presse“ Nr. 243 (2 września 1875) pod tytułem „Die Entstehung der Alpen“.

wysokiej temperatury i pary wodnej, przenikającej tę masę na wskróś. Ta wysoka temperatura wnętrza ziemi pochodzi zaś częścią z procesów chemicznych—według Lyellą [1]), a częścią, jak to znowu głównie Anglik Robert Mallet i Niemiec Helmholz udawadniają, ma swą przyczynę poprostu w ściąganiu się całej ziemi skutkiem oziębienia się jej, przyczem, ponieważ pojedyńcze cząstki składowe ziemi mają tendencyę opaść ku środkowi, a jednak wzajemnie są sobie w tej mierze zaporą, ścierają się z sobą lub miażdżą, a ten częściowo wstrzymany ruch ich zamienia się na zasadzie zamienności sił w ciepło [2]). Owóż Lyell był pierwszym, co umiejętnie usiłował wykazać, że nierówności powierzchni ziemi, jako też dzisiejsze jeszcze częściowe podnoszenia się i opadania skorupy ziemskiej, należy przypisać oscylacyom czyli zmianom tej ciepłoty wnętrza ziemi, a mocą których dzieje się, że pewne dolne części skorupy ziemskiej pod działaniem wyższej ciepłoty zyskują na objętości, inne zaś, stygnąc, ściągają się i kurczą, zrządzając tem samem w pierwszym przypadku podnoszenie się mas wyżej leżących, a więc i powierzchni ziemi, w drugim przypadku opadanie jej, czyli obniżanie się [3]). Wprawdzie już Aleks. Humboldt [4]) zaliczył te zmiany temperatury wnętrza ziemi między przyczyny wszelkich nierówności na powierzchni ziemi, i podobnie tłumaczyli przyczynę podnoszenia się i opadania skorupy ziemskiej J. Herschel i Babbage („Observations on the temple of Serapis at Pozzuoli etc.“ 1834); ostatni sądzili jednak jeszcze, że te oscylacye temperatury w głębi ziemi są następstwem różnego ciśnienia ze strony skorupy ziemskiej, powstałego ztąd, że w jednem miejscu na powierzchni ziemi przychodzi ustawicznie do osadzania się nowego materyału, w innem zaś do ciągłej jego utraty pod erozyjnem działaniem wody, podczas gdy Lyell, łącznie z Bischofem („Wärmelehre des Inneren unseres Erdkörpers“ 1837)—osylacje te temperatury w głębi ziemi czynił głównie zawisłemi od procesów chemicznych, które ustawicznie zmieniały w dziejach ziemi i zmieniają jeszcze w jej łonie swoje miejsce. Wskutek tego zmieniały i zmieniają — według Lyella — swe położenie w głębi skorupy ziemskiej i owe ogniska wulkanizmu tj. podziemne jeziora law. Każdym zaś razem wytwarzanie się ich tj. przechodzenie stałych mas skalnych w stan płynny, albo znowu tężenie ich czyli t. zw. solidyfikacya mogły wystarczyć, aby wywołać wielkie ruchy powierzchni ziemi albo jej trzęsienia albo nawet wytworzyć wielkie fałdy skorupy ziemskiej na kilka nawet tysięcy mil długie, dające początek pasmom gór jak Alpy lub Andy.

Wszelako, jeżeli ta teorya Lyella, pomimo swego pozornego prawdopodobieństwa, przecież na czas dłuższy nie mogła się w całości utrzymać, to tylko dlatego, że, aby wytłumaczyć z jej pomocą dźwiganie się całych łańcuchów gór, potrzeba było uciekać się do nazbyt wysokiej temperatury, 1000° i więcej stopni Celsiusa, przenikającej co najmniej 4 mile geograf. grubą warstwą ziemi, bezpośrednio pod jej powierzchnią rozpostartą. Natomiast pozostanie jego zasługą, że, abstrahując już od tej jego teoryi wzniesień, liczył się już jednocześnie z procesem oziębiania się ziemi, mianowicie owych lokalnych jezior law, a zatem i ze ściąganiem się i kurczeniem warstw ziemi i tem tłumaczył także wytworzenie się nierówności na powierzchni ziemi.

---

[1]) „Principles of geology“ II, str. 229 i nast.

[2]) Czyt. Sterry Hunt „Chemical and geological Essays“ (Boston and London 1875) str. 77—79; Dana „Manual of geology“ (2 wyd.) str. 698—699 i Tyndall „Heat a mode of motion“ str. 44.

[3]) „Principles of geology“ I, str. 125—134 i II, 237 i nast.

[4]) „Kosmos“ (wyd. z r. 1874) I, str. 189.

Ostatecznie też po tylu wielorakich a nieudałych próbach wytłumaczenia powstania gór nie inna w dzisiejszych czasach teorya mogła zostać panującą, jako jedynie racyonalna, jak tylko ta, która, orzekając, że ziemia pod działaniem systematycznego oziębiania się przeszła niegdyś z pierwotnego stanu gazowego w płynny, a następnie w większej lub mniejszej części w stały, pragnie także z pomocą tego samego, ciągle jeszcze czynnego procesu oziębienia się całej ziemi wytłumaczyć wszystkie nierówności jej powierzchni wogóle a w szczególności wytworzenia się gór.

Pierwszym, który już w tym procesie oziębienia się ziemi upatrywał jednę z przyczyn wszelkich nierówności na powierzchni ziemi, był znowu genialny Aleksander Humboldt[1]. Bliżej jednak starał się ją uzasadnić odnośnie do wytworzenia się gór dopiero tyle zasłużony w swoim czasie geolog francuzki, Elie de Beaumont. Powiada on („Systemes de montagnes“ 1852), że początku gór nie należy odnosić do wulkanizmu ani też do trzęsień ziemi, lecz do ustawicznego oziębienia się całego globu ziemskiego. Następstwem tego oziębienia się zaś jest ustawiczne pomniejszanie się objętości ziemi, pomniejszanie, które nie inaczej może się objawiać, jak opadaniem pojedyńczych części powierzchni ziemi, przyczem, ponieważ pojedyńcze te części powierzchni ziemi dostają się do coraz to ciaśniejszych przestrzeni, muszą tem samem, ażeby się módz pomieścić w mniejszym obszarze, częścią pękać i łamać się, częścią zaś giąć się i fałdować, co zależy właśnie od stopnia elastyczności warstw. W każdym razie wszakże znaczna część tej opadającej masy musi być skutkiem ściśnienia bocznego, jakiego doznaje, podniesioną w górę, bo tylko w ten sposób tj. na wysokość może masa ta wynagrodzić sobie brak miejsca, jakie traci w swobodnem rozpościeraniu się horyzontalnem. Właśnie zaś nie co innego jak te fałdy lub spiętrzenia się części skorupy ziemskiej są tem, co nazywamy górami. Jedynym błędem, jaki jednak jeszcze spotykamy w rozwinięciu tej teoryi p. Elie de Beaumont, było, że takowy przyjmował nader cienką skorupę ziemską a całe wnętrze ziemi płynnem i sądził, że góry każdym razem gwałtownie się wzniosły i to regularnie przy końcu każdej epoki geologicznej, oraz że łańcuchy gór, powstałe w jednej i tejsamej epoce geologicznej przebiegały równolegle do siebie. Bezzasadność zaś podobnych zapatrywań wykazał z całą siłą właściwej sobie erudycyi i krytyki Karol Lyell[2]. To też, usunąwszy podobne niczem nie poparte domysły z teorji p. Elie de Beaumont, nie trudno było dzisiejszym geologom podjąć natomiast zdrową część jego teoryi na nowo i poprzeć ją coraz to silniejszemi argumentami.

I tak anglik J. Phillips, w dziele swem „Vesuvius“ (1869) usiłował wykazać, o ile w przybliżeniu musiałby się promień ziemi skrócić, gdyby ziemia, ulegając procesowi oziębiania się, ściągała się czyli kurczyła podobnie jak pewne granity tj. o $^1/_{200000}$ na jednostkę długości i na 1^0 Fahr. oziębienia, i zwrócił przytem uwagę na to, że, gdyby ziemia wszędzie co do składu swego była jednolitą, ściąganie się to byłoby wolnem od jakiego bądź, dostrzegalnego effektu na powierzchni ziemi, że wszakże z powodu nie jednolitego składu ziemi a tem samem nie jednakiego rozprężania się lub ściągania się jej masy, jużby nawet oziębienie się ziemi o 1^0 Fahr. musiało na jej powierzchni znaczne geologiczne wywołać zmiany[3]. N. S. Shaler („Geological Magazine“ Vol. V. 1868) z pomocą

---

[1]) „Kosmos“ I. 189.
[2]) „Principles of geology“ I, 108 i nast.
[3]) P. Klöden „Handbuch der Erdkunde“ I (1873), str. 436—438.

tej samej teoryi o ciągłej kontrakcji ziemi skutkiem systematycznego oziębiania się jej przychodzi w swej rozprawie także do rezultatu, że same nawet lądy i dna oceaniczne niczem innem właśnie nie są, jak tylko olbrzymiemi fałdami skorupy ziemskiej, tak samo, jak góry są znowu mniejszemi fałdami wierzchnich warstw tej skorupy, powstałemi skutkiem ściągania się dolnych warstw tej ostatniej. Podobnie tłomaczy wytworzenie się gór i O. Fisher (w „Geological Magazine" Vol. V. 1868 [1]) a z nim i większa część zawołańszych geologów dzisiejszych, jak francuzi: Constant Prevost, Daubrée, Favre, anglik James Hall, amerykanie Leconte i Dana i niemcy: Edward Süss, Toula, Dücker etc.

Nie może być naszym zamiarem streszczać na tem miejscu sposób, w jaki każdy z rzeczonych geologów pojedynczo uzasadnia teoryę o wytworzeniu się gór na podstawie kontrakcyi ziemi, a to już z przyczyny, aby się nie powtarzać, do czegobyśmy byli nieraz zmuszeni. Wystarczy nam jedynie uogólnić wywody tych pojedynczych uczonych i podać sumaryczną ich osnowę. Ta zaś brzmi jak następuje [2]).

Gdy już proces oziębiania się ziemi tak daleko postąpił, że na powierzchni ziemi utworzyła się jedna nieprzerwana, zwarta skorupa a pod nią przychodziło do oziębiania się a więc i kurczenia się mas innych, wtedy ta zewnętrzna skorupa ze względu na ściągający się środek ziemi musiała stawać się za obszerną tj. musiały wytwarzać się po pod skorupą ziemską puste przestrzenie i jamy, zaczem pojedyncze części skorupy ziemskiej, pozbawione podpory, musiały się zapadać i owe puste wypełniać obszary. Zapadające się w ten sposób części powierzchni ziemi, dostając się w coraz to ciaśniejsze przestrzenie, musiały w dalszym ciągu zsuwać się, spiętrzać, pękać lub wyginać a pojedyncze mniejsze części mogły nawet przy tem doznać zupełnego wywrotu. Grzbiety wzniesionych w ten sposób płatów ziemi mogły bądź to równolegle do siebie przebiegać, bądź też zbiegać się z sobą albo krzyżować się pod najrozmaitszemi kątami, dając tem samem powód do najrozmaitszej konfikuracji gór. Pękanie zaś i zsuwanie się warstw, jakie bezwarunkowo towarzyszyły opadaniu pojedynczych części skorupy ziemskiej, tłomaczą nam, dlaczego właśnie w górach spotykamy warstwy pod najrozmaitszemi względem siebie nachylone kątami albo znowu najrozmaiciej dyslokowane. Że wszakże przy tem wzajemnem ugniataniu się warstw mogło przyjść i do wytworzenia się większych fałdów, wolnych od złamania się lub pęknięcia, dowodem tego niektóre w równoległych łańcuchach zbudowane góry, jak Alleghany w północnej Ameryce, w których warstwy są tylko pogięte a nie połamane. Słowem góry byłyby, jak powiada Leconte, liniami na powierzchni ziemi, gdzie takowa uległa największemu ciśnieniu, pochodzącemi z kontrakcyi ziemi całej.

Ale góry, w ten sposób powstałe, nie tylko mogą być różnie ukształconemi tj. różnej struktury według różnych warunków i sposobów fałdowania się, pękania i zsuwania całych warstw powierzchni ziemi, lecz oraz według tego, czyli są starszego czy młodszego początku. Starszego początku góry zaznaczają nam na kuli ziemskiej miejsca, w których, jak się wyraża Süss, proces oziębienia się i zakrzepnięcia mas dalej postąpił niż gdzieindziej, tak że należy je poczytać za pierwotne spiętrzenia skorupy ziemskiej a nawet za najstarsze lądy. Do nich należą w Europie: góry Skandynawii i Szkocyi, środkowa wyżyna Francyi, wyżyna czesko-morawska, wyżyny Hiszpanii, Korsyka i Sardynia, południowo-wschodnia

---

1) Tamże str. 441—446.

2) cf. Hann, Hochstetter und Pokorny „Allgemeine Erdkunde" (Prag 1875), str. 154.

wyżyna półwyspu bałkańskiego i granitowe płaskowzgórze południowej Rosyi. Góry te są z reguły zbudowane ze skał krystalicznych. W dalszym ciągu kontrakcyi ziemi a mianowicie tych części skorupy ziemskiej, które się między temi pierwotnemi górami rozlegały, musiało przyjść naturalnie do nowego kurczenia się i fałdowania wierzchnich pokładów, które też, zwłaszcza tam, gdzie napotykały już w górach pierwotnych zawadę, więcej musiały się spiętrzać. Wywołany w ten sposób ruch tych pokładów odbywał się, jak się zdaje, w Europie przeważnie ku północy, czego następstwem było powstanie Alp, Apeninów, Karpat, Kaukazu, w Azyi zaś częścią ku wschodowi, czego rezultatem było wytworzenie się Uralu, gór Libanon i zachodnich Ghatów, częścią ku południowi, co znowu dało początek górom Thian-Schan, Künlün i Himalajom [1].

O kierunku tego ruchu rozstrzygało zaś ciśnienie boczne, wzdłuż pewnych linij silniejsze niż gdzieindziej. Dowodem tego nader częste zjawisko w konfiguracyi gór, jakiem jest ich jednostronna, asymetryczna budowa, charakteryzująca się tem, że góry tego rodzaju wykazują po jednej stronie swych stoków linię gwałtownego pęknięcia lub przerwania, wzdłuż której też znachodzą się skały krystaliczne lub wybuchowe, podczas gdy na przeciwnej stronie zdradzają nader regularne, falowate ufałdowanie pokładów osadowych. Taka linia pęknięcia, ku której też stoki gór są bez porównania stromsze aniżeli po przeciwnej stronie, jest często bardzo po dziśdzień jeszcze teatrem wulkanizmu czyli to w formie rzeczywistych erupcyj wulkanicznych czyli też gorących źródeł.

Powstanie gór podobnej struktury tłumaczy się zaś zupełnie w ten sam sposób, w jaki np. przy silnem otarciu skóry ludzkiej ciało układa się w marszczki a w miejscu, gdzie przyszło do rozerwania się skóry, ukazuje się krew. Mianowicie opadająca część powierzchni ziemi, doznając ucisku bocznego, fałduje się, tam jednak, gdzie wygięcie się warstw przekracza granicę elastyczności skał, w skład ich wchodzących, przychodzi do pęknięcia tychże warstw, przyczem najczęściej jedna część pękniętych warstw zsuwa się wzdłuż takiejże linii pęknięcia w otchłanie podziemne, a natomiast z głębi ziemi wydobywają się — i to naturalnie przy interwencyi wody respective pary wodnej — płynne masy wnętrza ziemi czyli lawy. W takim też stanie rzeczy części gór, z tych ostatnich mas zbudowane, widocznie nie mogą uchodzić za trzony całych łańcuchów gór i za ich główną dźwignię, lecz poprostu tylko za „drugorzędne twory“.

W szczególności jest to zasługą prof. Edwarda Süssa w dziele „Die Entstehung der Alpen“ (Wien 1875) wykazanie, że nietylko Alpy właściwe lecz i Apeniny, góry Jura i Karpaty powstały w sposób, dopiero co określony. Z tego też względu obejmuje Süss wszystkie te wymienione łańcuchy gór jednem wspólnem mianem „systemu alpejskiego“. Wszystkie bowiem rzeczone góry charakteryzują się właśnie w swej północnej, północno-zachodniej i północno-wschodniej stronie większem lub mniejszem ufałdowaniem całych pokładów, podczas gdy po swej południowej stronie nagle się urywają i dlatego, nie posiadając po tejże stronie żadnych pobocznych łańcuchów, są górami jednostronnemi czyli asymetrycznemi.

W Karpatach np. występują skały krystaliczne tylko sporadycznie, niby wyspy, i zwracają po największej części swoje strome stoki ku nizinie węgierskiej, ku północy natomiast obrzeżają je rozległe, pofałdowane pokłady formacyj osadowych. Tam, gdzie skał krystalicznych nie ma, charakteryzują się i te skały osadowe po stronie południowej ostremi, stromemi stokami, co też jest świadectwem nagłego

---

[1]) F. Toula „Über den Bau und die Entstehung der Gebirge“ str. 41.

ich ku południowi przerwania, wzdłuż którego właśnie występują na jaw wybuchowe skały formacyj trzeciorzędnych, jako to węgiersko-siedmiogrodzkie skały trachitowe. Tymczasem na północnych stokach Karpat spotykamy tylko pofałdowane pokłady piaskowca formacyi kredowej i eocenicznej, z pośród których wyglądają tu i owdzie spiętrzone wapienie starszych formacyj, mianowicie jurasowej [1].

Jak przekonywującą a nawet, powiedzmy, jak dalece wygodną okazała się ta teorya o wytworzeniu się gór na mocy jednej i tej samej, odwiecznej przyczyny tj. kontrakcyi ziemi, dowodzi okoliczność, że dziś pojawiają się już między geologami opinie, w myśl których i trzęsienia ziemi nie czem innem, jak właśnie tylko tą kontrakcyą ziemi przynajmniej w znacznej części tłumaczyć należy. Mianowicie v. Dücker w odczycie swoim na zjeździe przyrodników w Cassel r. 1878 nietylko oświadcza się stanowczo za wyż skreśloną teoryą o powstawaniu gór, lecz nadto, powołując się na pofałdowany ustrój wierzchnich warstw ziemi, jako też na rozliczne szczeliny w tychże warstwach, tłumaczy to wszystko jedynie zsuwaniem się tj. opadaniem skorupy ziemskiej dzięki ściąganiu się jądra ziemi. Ponieważ zaś proces ostatni trwa i dzisiaj ciągle jeszcze w łonie ziemi i od czasu do czasu coraz to nowe zrządza pękania i zsuwania się warstw w głębi ziemi położonych, przeto nie co innego, jak tylko te pękania i zsuwania się całych warstw muszą wywoływać na powierzchni ziemi to, co nazywamy trzęsieniem ziemi. Powiada on przy tej sposobności, że gdyby skorupa ziemska składała się z samych warstw miękkich, zsuwania się te byłyby wolniejsze i mniej dotkliwe, skoro atoli skorupa ziemska w znacznej części zbudowaną jest ze skał twardych, przeto i te pękania i zsuwania się mas pojedyńczych w głębi ziemi muszę pociągnąć za sobą silniejsze wstrząśnienia powierzchni ziemi. Jestto tak dalece prawdą, że w krajach o twardej, skalistej glebie, jak w Karsie, w Grecyi, we Włoszech trzęsienia ziemi są z reguły gwałtowniejsze, aniżeli np. w północnych Niemczech, gdzie przeważają formacye skał mniej twardych [2]. Żeby wszakże rozwijane przez Dückera zapatrywanie nie wydało się czczą improwizacyą, osobistem jego widzeniem, dodać wypada, że wtórują mu w tej mierze takie w dziedzinie geologii powagi jak Dana [3]) albo Hochstetter [4]). Poczytując zaś w ten sposób kontrakcyę ziemi za jedną z przyczyn trzęsień ziemi, należy tem samem ujrzeć w niej także przyczynę mniejszych opadań lub podnoszeń się pojedyńczych części skorupy ziemskiej, jakie właśnie towarzyszą niekiedy trzęsieniom ziemi.

Ale, jeżeli bliższe badania budowy pojedyńczych pasm gór bezpośrednio, pośrednio zaś inne geologiczne zjawiska jako to np. wspomniane trzęsienia ziemi dostarczają coraz to nowych argumentów geologom dzisiejszym na poparcie ich teoryj o wytworzeniu się gór na mocy pomniejszania się objętości ziemi całej skutkiem jej oziębiania się, to nie brak teoryi tej i zkądinąd jeszcze dowodów, które ją nader wymownie stwierdzają i illustrują. Dowody te leżą w jej praktycznem, eksperymentalnem zastosowaniu. Pfaff np. powiada [5]): „kontrakcya wnętrza ziemi działa zupełnie tak, jak działa pomniejszanie się ilości wody w naczyniu o ścianach zbiegających się ku dnu tegoż naczynia (co nam przedstawia en petit kawałek skorupy ziemskiej, zamknięty między dwoma promieniami ziemskiemi), a w którem to naczyniu unoszą się na powierzchni wody kawałki lodu. Kawałki

[1]) F. Toula „Über den Bau und die Entstehung der Gebirge“ str. 16.
[2]) P. „Naturforscher“ 1878, str. 411—412.
[3]) „Manual of geology“ str. 740—743.
[4]) „Allgemeine Erdkunde“ str. 150.
[5]) „Geologie als exacte Wissenschaft“ str. 195.

te skutkiem opadania wody muszą naturalnie także opadać, póki w ciaśniejszem miejscu nie przyjdzie do ich wzajemnego ugniatania się tak, że w skutek tego tylko niektóre z nich będą mogły dalej z wodą opadać, inne zaś zostaną podniesionemi w górę. Zkąd możemy sobie jasne urobić wyobrażenie, jak w skorupie ziemskiej przychodzi do zapadania się pojedynczych jej części i jak znowu te zapadania się mogą wywołać wzniesienia się innych części. Inny, popularniejszy jeszcze przykład cytuje geolog amerykański Dana na poparcie tej samej teoryi o kontrakcyi ziemi i o wytworzeniu się gór na jej powierzchni, bo oto jabłko, poddane procesowi suszenia. Jak każdemu wiadomo, powierzchnia jabłka, w miarę jak się pomniejsza objętość jego środka, coraz to większe wykazuje marszczki czyli nierówności; nie przychodzi zaś tylko do podobnego pękania tej powierzchni jak w skorupie ziemskiej z powodu, że powierzchnia czyli łuska jabłka jest z natury swej giętką. Przykład ten tem jest szczęśliwszym, że uwalnia nas oraz od przyjmowania tak ulubionej przez plutonistów hipotezy o płynnem wnętrzu ziemi. Na innem miejscu powiada jeszcze Dana: „gdyby można wywrzeć odpowiednie ciśnienie z boku na zamarzniętą do głębokości kilku stóp powierzchnię jakiegoś jeziora, to lód uciskany w ten sposob (a że i lód jest do pewnego stopnia elastycznym wykazały bozpośrednie doświadczenia) musiałby się fałdować i to tak regularnie, jak regularnie pofałdowanemi na wyższą skalę są np. góry appalachijskie“ [1]).

Tem ciekawszemi jeszcze, bo usiłującemi drogą bezpośrednich doświadczeń sprawdzić i poprzeć teoryę o tworzeniu się gór na mocy kontrakcyi ziemi są najświeższe, podjęte w tej mierze prace p. James Hall'a w Anglii i geologów francuzkich, pp. Daubrée, Chancourtois i Favre'a. Daubrée użył ku temu celowi kuli z kauczuku, wypełnionej wewnątrz powietrzem i wywoływał sztucznie na jej powierzchni nieregularnie przebiegające fałdy czyli nierówności przez częściowe wypuszczanie z niej powietrza, skutkiem czego kula starała się coraz to mniejszą przyjąć objętość. Gdy zaś kulę tę powlókł substancyą mniej elastyczną od kauczuku i wtedy dopiero zaczął z niej powietrze wypuszczać, przekonał się, że warstwa tej substancyi zaczęła się skutkiem kurczenia się kauczuku dość regularnie fałdować, a fałdy jej wyraźne zdradzały podobieństwo do fałdów powierzchni ziemi [2]). W podobny sposób jak p. Daubrée próbował unaocznić wytwarzanie się nierówności na powierzchni ziemi p. Chancourtois. Zanurzył bowiem balon kauczukowy, nadęty powietrzem, w wosk płynny, poczem, wyjąwszy go i pozwoliwszy jego osłonie woskowej zastygnąć i skrzepnąć, wypuszczał zwolna powietrze z balonu jednym umyślnie ku temu celowi zastawionym otworem, a warstwa wosku układała się w fałdy, tworzące na małą skalę wzdęcia, zaklęśnięcia i pasma gór [3]). I nie innemi były rezultaty, jakie otrzymał z swych doświadczeń z gliną p. James Hall a przedewszystkiem Alfons Favre, prof. w Genewie [4]), z kawałkiem gumy elastycznej, 16 millimetrów grubej, 12 centimetrów szerokiej a 40 centimetrów długiej, wyciągniętej jednak do długości 60 centimetrów i powleczonej warstwą gliny, 25 do 60 millimetrów grubą (w różnych doświadczeniach), przyczem tak, jak kawałki powierzchni ziemi podlegają w czasie swego opadania skutkiem kurczenia się jądra ziemi uciskowi bocznemu, tak samo i ta warstwa gliny była wystawioną na podobne ciśnienie z boków w chwili, gdy zaczęło się zwolna sprowadzać wyciągniętą gumę do jej

---

[1]) „Manual of geology“ str. 735 i 740.

[2]) p. „Comptes rendus de l'Academie de sciences à Paris“ Vol. 86. str. 928.

[3]) „Naturforscher“ 1878, str. 348.

[4]) p. „The Nature“ Vol. 19 (1878), str. 103—106.

normalnej długości. Prócz tego celem uwidocznienia oporu, jaki znajdują opadające części powierzchni ziemi u swych krawędzi, i ta ściągająca się wraz z gumą warstwa gliny znajdowała opór w kawałkach drzewa, umocowanych umyślnie u obóch końców gumy elastycznej. Następstwem tego zaś były znowu wzdęcia i zaklęśnięcia czyli fałdy warstwy gliny i to tak rozmaitych kształtów i budowy, jak rozmaitemi są w swej strukturze grzbiety gór w naturze, zwłaszcza, że każdym razem bądź to przy większem lub mniejszem ciśnieniu bocznem, bądź też przy większej lub mniejszej grubości gliny, bądź też nareszcie przy większej lub mniejszej plastyczności gliny i ogólne formy tych fałdów i ich szczegółowe ukształcenie okazały się rozmaitemi....

Takiem mniej więcej jest stanowisko dzisiejszych geologów w badaniach tyle interesującego pytania, jak przyszło wogóle do wytworzenia się gór, i takiem ostatnie ich słowo w uzasadnieniu teoryi, będącej odpowiedzią na to pytanie. Czyli dalsze obserwacye i badania nie zadadzą i tej teoryi kłamu, jak tylu innym w geologii zadały już dotychczasowe, pokaże to przyszłość. Na dziś wszakże teorya, tłumacząca wytworzenie się gór procesem kontrakcyi ziemi całej pod działaniem systematycznego jej oziębiania się, jest niezawodnie jedyną, co najlepiej zgadza się i z historyą samej genezy globu ziemskiego i z prawami fizyki kosmicznej i z właściwościami struktury pojedynczych łańcuchów gór, jak niemniej jedyną, która miasto doszukiwać się pewnych osobnych przyczyn dla wytwarzania się gór w szczególności a nierówności powierzchni ziemi wogóle, pragnie i ten ustęp z geologii dynamicznej, jak tyle innych, do jednej wspólnej a ciągle jeszcze bez przerwy obowiązującej odnieść przyczyny. Wykazały to zaś już nieraz badania w rozlicznych gałęziach nauk przyrodniczych, że ustawodawstwo przyrody musi być znacznie pojedynczszem, a działające w niej czynniki ogólniejszemi, aniżeli to specyalizujący umysł człowieka przewidywał lub jeszcze podejrzywa.

Rysunek Rybiego Jeziora



brzegów. № 1.

Mięguszowiecki

Żabie

Miedziane

Dolina Białki

A B C D E

dna na kierunkach poprzecznic. № 2.

dna na kierunkach podłużnic. № 3.

Skala 1:5000. — Każda mała podziałka na rysunku równa 2 millimetrom odpowiada 10 metrom w naturze. —

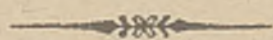
Litogr. M. Salba w Krakowie.

RYBIE JEZIORO

W TATRACH POLSKICH

PRZEZ

Eugeniusza Dziewulskiego.





W łańcuchu gór nazwanych Tatrami, znajdują się zbiorniki wód, które lud zowie jeziorami, lub też okami morskiemi. Tatry są położone pomiędzy 49°7′ i 49°17′ szerokości północnej, a 37°24′ i 37°55′ długości wschodniej względem wyspy Ferro, tym sposobem zajmują pas ziemi mający około 40 kilometrów długości ze wschodu na zachód, a 18 do 20 k. m. szerokości z południa na północ. Część łańcucha, nosząca nazwę Wysokich Tatr, jest szeregiem szczytów, utworzonych ze skały granitowej — najwyższe z nich, posiadają wysokość przeszło 2600 metrów nad poziomem morza, wszystko to są strome szczyty ostro zakończone, o ścianach bardzo spadzistych. Łańcuch Wysokich Tatr, a raczej jego szczyty zataczają łuk, zwrócony wklęsłością na północ a wypukłością na południe, azatem do Węgier. Z tego głównego grzbietu wychodzą liczne odnogi w kierunku promieni łuku, tak jak żebra; pomiędzy temi żebrami przechodzą głęboko zarysowane doliny, mające początek przy głównym grzbiecie i tym ostatnim nagle ucięte, przez wszystkie biegną górskie stromienie, które na stronie polskiej, dążąc w kierunku promieni łuku głównego grzbietu, łączą się z sobą i tworzą strumień Białki. W każdej z pojedyńczych dolin na jej początku tj. przy głównym szczycie, zazwyczaj w zagłębieniu, zbiera się niekiedy znaczna ilość wody, tworząc jeziora, stawy, czyli morskie oka.

Szczyty Tatrzańskie najczęściej są otoczone chmurami, z których obfita ilość wód osadza się na ścianach granitowych gór, tworzy liczne strumienie, a raczej wodospady, po stromych ścianach spadające do doliny. Jezioro jest niejako pierwszym zbiornikiem tych wód, dopiero wody z niego wypływające a biegnące przez dolinę, tworzą właściwy górski potok. Jeziora Tatrzańskie posiadają wodę miękką, niezmiernie przeźroczystą, a jednakże posiadają barwę zieloną, niekiedy wpadającą w szafir. Stopień oświetlenia tych wód na ich barwę ma wpływ wielki.

Stok północny polski Tatr posiada daleko uboższą roślinność, niż południowy węgierski, boki szczytów po stronie północnej są więcej spadziste, usiane płatami śniegów podczas lata, przeto jeziora położone w Tatrach polskich mają otoczenie niezmiernie dzikie, a przytem uroczyste. Olbrzymie szczyty granitowe o stromych ścianach, usiane płatami śniegów, przeglądają się w tych cudownych górskich zbiornikach wód. Najpiękniejszą osobliwość w Tatrach stanowią ich jeziora czyli morskie oka. Pierwszy badacz naszych gór Stanisław Staszic w nieśmiertelnem dziele swojem „O ziemiorodztwie Karpatów i innych równin Polski“, wydanym w Warszawie 1815 r. nie pominął jezior tatrzańskich, nad któremi robił liczne spostrzeżenia naukowe. We wszystkich jeziorach po stronie polskiej nie znaleziono dotąd nigdzie ryb; jedyny w tym względzie wyjątek stanowi jedno z największych, dla wyróżnienia od innych Rybiem nazwane Jeziorem albo wprost Rybiem. Rybie Jezioro leży w jednej z dolin polskich Wysokich Tatr. Szczyt, stanowiący granicę węgierską, przy którym na stronie północnej leży Rybie, nazywa się Mięguszowski, ściany tego szczytu, stromo spadając, podstawą swoją kąpią się w wodach Rybiego, przeto na południe od Rybiego jest szczyt Mięguszowski, boki wschodni i zachodni Rybiego są zamkniętemi ścianami szczytów ciągnących się od głównego pasma, które pozwoliliśmy sobie nazwać żebrami, szczyt położony na zachód nazwany Miedziane (przed laty wydobywano rudę miedzianą z jego łona), oddziela dolinę Rybiego od doliny słynnych Pięciu Stawów, na wschodnim boku wznoszą się Rysy (mocno porysowane skały) i Żabie; szczyt Żabia oddziela od siebie doliny Rybiego i Żabiego Jeziora. Na wschodniej stronie góry nie stanowią prostego łańcucha, przy Mięguszowskim szczycie (południowa strona) ściana prawa tworzy wielką łukowatą zaklęsłość, otoczoną wspaniałemi górami mocno porysowanemi, sięgającemi do wysokości 2311 metrów (8024 stóp nowopolskich), nazwanemi Rysami. W tym amfiteatrze znajduje się zagłębienie napełnione wodą czyli jezioro, nieco mniejsze od Rybiego, lecz poziom wody w tem górnem jeziorze jest wyżej położony, niż w Rybiem o 190 m. (670 st. n. p.). Patrząc od Rybiego, nikt się niedomyśla, że w ścianie wschodniej, na wysokości 190 m., to jest w miejscu mocno wygiętem od Rybiego, znajduje się tak wspaniałe jezioro, które Staszic w swojem powyżej wzmiankowanem dziele nazywa Morskiem Okiem. Węgry i Niemcy od dnia dzisiejszego nazywają tak samo jak Staszic, dolne rybne, Rybiem (Fischsee), górne, Morskiem Okiem (Meerauge).

Wody Morskiego Oka odpływają do Rybiego po stromych ścianach, lub też po złomach granitowych, tworząc cały szereg wodospadów, coraz niżej położonych. Staszic wspomina, że na zachodniej stronie, powyżej Rybiego, znajdowało się również jezioro, nazwane Czarnym Stawem. „W pośrodku granitowych cyplów leży w dole obszerne jezioro Rybiem zwane. Z dwu skał, prosto naprzeciw siebie stojących, spadają do tegóż jeziora dwie rzeki, które na pięćset stóp z góry do dołu lecą z strasznym hukiem, rozbijają po skałach swe wody i stawiają zachwycający widok“ [1]). „Wyszedłszy jeszcze wyżej na te skały, z których owe dwie rzeki do jeziora rybnego spadają, znalazłem na wysokości pięćset stóp od Rybiego Jeziora większej, jeszcze dwa jeziora, z których wody, lecąc na dół, rozbijają się po skałach. Jedno z tych jezior, leży pod liptowskiemi mury i zowie się Czarnym Stawem; drugie leży na wschód między najwyższemi i najostrzejszemi cyplami, w tej tu stronie Tatrów i nazywa się Morskiem Okiem. To ostatnie otoczone jest wokoło przez skały granitów, na kilka tysięcy stóp wyżej jeszcze sterczące. Trzy

[1]) Staszic str. 124.

granitowe ściany, od północy, od wschodu i od południa, są całe gładkie i prostopadłe; żadnych w sobie nie ukazują pokruszeń, ani rozpadlin. W górze tylko i w ostatnich cyplach, spostrzegać przerwy i rozłupy. Czwarta zaś ściana, która kiedyś od zachodu tę całą przepaść i w niej wody Oka Morskiego zamykała, była dawniej może równo z innemi bocznemi skał karpami wysoką. O tem Oku Morskiem, że jest niezgruntowane, że wody jego mają podziemne swoje połączenia z morzem, że wody jego w pewnych czasach do góry się podnoszą i pewnych czasach na dół opadają, znalazłem między góralami liczne gminne wieści" [1]).

„To wzbieranie i opadanie wód w Oku Morskiem, które tutejszych górálów tak zadziwia, jest jedynym skutkiem nawalniczych ulewów i roztopień śniegów. Wtenczas wody jego wznoszą się nagle, dopokąd nie przebiorą pozostałego grzbietu z rozwalonej ściany, a w całej szerokości na kilkaset stóp przewalając się tamtędy, robią widok ogromnej rzeki, na kilka stóp wysoko i szeroko lecącej po skałach w Rybie Jezioro. Mimo niedostatku w tem miejscu czółna i wszelkiego na tutejszej wysokości drzewa, starałem się przecież w kilku miejscach zmierzyć Oka Morskiego głębokość i poznać jego wód najgłębszych stopień ciepła lub zimna. Rzucona kula ołowiana na sznurze, do pięćset osiemdziesiąt trzech stóp najgłębiej spadła" [2]).

Z tych kilku ustępów, wyjętych z dzieła Staszica, można przekonać się, że opisy jego są dokładne, dla znającego miejscowość, w mowie będącą, nie ma najmniejszej wątpliwości, co nazywa Staszic Rybiem jeziorem a co Morskiem Okiem. Z drugiej strony, wyznaczoną przez tego uczonego głębokość można poddawać krytyce, mając na względzie tak postępy nauk, jak również udoskonalenie narzędzi, używanych do ściślejszych pomiarów głębokości.

W literaturze naszej co do tego przedmiotu od czasu Staszica do r. 1849 panuje głucha cisza. W Bibliotece Warszawskiej, 1849 r. T. 1, został umieszczony artykuł śp. Ludwika Zejsznera pod tytułem: „Tatry Polskie". Czy przypadkowo, czy też rozmyślnie Zejszner wcale nie uwzględnia prac Staszica. Traktuje cały przedmiot tak, jak gdyby praca Staszica w literaturze naszej nie istniała, a w szczególności stosuje się to do Rybiego i Morskiego Oka. Jak już o tem była mowa, te dwie nazwy u Staszica odnosiły się do dwu różnych jezior „Dolne Rybie i górne Morskie Oko". Do dnia dzisiejszego Węgrzy i Niemcy w ten sposób nazywają te dwa jeziora, o które nam idzie. U Zejsznera poraz pierwszy spotykamy, że jedno i to samo jezioro jest nazywane obu temi nazwami „Morskie Oko czyli Rybie". Tym sposobem powstał zamęt pojęć, jak o tem niżej powiemy: wszyscy, idąc za Zejsznerem, popełniają błąd przeciwko najprostszej zasadzie w rzeczach nauki, zachowywania nazw, o ile tylko postępy nauki na to pozwalają, wprowadzonych przez pierwszych autorów w danym przedmiocie.

Zejszner w swej pracy na str. 539 mówi co następuje: „Morskie Oko czyli Rybie. Wstąpiwszy na mały pagórek, nagle się otwiera nader wspaniały widok na Morskie Oko; podhalanie właściwie nazywają je Rybie jezioro, albo przez skrócenie Rybie, od licznych pstrągów żyjących w jego wodach. Szczególna nazwa Morskie Oko, powtarza się w kilku miejscach w Tatrach i w innych im przyległych górach i zdaje się być raczej nazwą zbiorową, aniżeli jakiego pojedynczego jeziora".

Trudno zrozumieć, dlaczego Zejszner jezioro Rybie i Morskie Oko uważał za jedno, jeżeli miejscowi podhalanie (górale) nazywali w mowie będące jezioro

[1]) Staszic str. 125 i 126.
[2]) Staszic str. 131.

Rybiem. Podania krążące w ustach ludu o Morskiem Oku i jego połączeniu z morzem, które Zejszner spisał: odnosi do Morskiego Oka czyli Rybiego, „z którego Białka bierze początek“. W tym względzie również Zejszner jest nieścisły: do Rybiego jeziora wpada już strumień płynący z górnego jeziora, więc jeżeli podhalanie mówili o Morskiem Oku, z którego Białka bierze początek, to prawdopodobnie mieli na myśli górne jezioro.

Wszyscy piszący w tym przedmiocie po Zejsznerze, czerpali dane z pracy tego uczonego. Tym sposobem nastąpiło pomięszanie pojęć. Pomiary, dokonane przez Staszica na Morskiem Oku, odnoszą do Rybiego Jeziora; górne, nazwane przez Staszica Morskiem Okiem jest u Zejsznera (str. 540) nazwane Czarny Staw. „Bok wschodni nie jest stromy, oddziela go potężny próg, na którym jest inne jezioro, zwane Czarny Staw, dalej dopiero wznoszą się znowu wyniosłe szczyty“. Zejszner podaje największą głębokość, jaką oznaczył dla Rybiego 151 stóp paryskich, azatem 49 metrów.

Z powodów wyżej przytoczonych prawdopodobnie powstało ogólne nieporozumienie, w przewodniku Eljasza czytamy o tem jeziorze: „Mierzona głębokość wynosiła to 40 to 60 a nawet $104\frac{1}{2}$ sążni (Staszic), 627 stóp“. Kolbenheyer [1]), podając głębokość jezior tatrzańskich, między innemi powiada, że Zejszner wyznaczył głębokość jeziora Rybiego i że ona wynosi średnio 45 m., największa 61,6 m. Liczby te nie zgadzają się z podanemi przez samego Zejsznera w B. W. Nadto Kolbenheyer wspomina, że Klein oznaczył głębokoćć Rybiego na 68,3 m. Nakoniec uczony węgierski Dezsö [2]) robił pomiary jezior tatrzańskich na stronie węgierskiej i podaje następujące głębokości: Szczerbskie 20,7 m., Popradzkie (Rybie jezioro węgierskie) 16,4 m.

Z tych to powodów należy dla jeziora dolnego zachować nazwę Rybie, dla górnego dziś powszechnie nazywanego Czarny Staw, przywrócić miano Morskie Oko, do dnia dzisiejszego używane po stronie węgierskiej, a za czasów Staszica istniejące i po stronie polskiej.

Przy takiem stanie wiadomości, odnoszących się do jezior naszych w Tatrach, postanowiłem zrobić pierwszy wobecnej epoce krok, zdążający do opracowania naukowego monografii tych zbiorników wody. Najmniejsza część z tego rodzaju badań przypada w udziale fizykowi, z tego powodu ograniczyłem się tylko na pomiarach, niedotykając przedmiotów, badanie których należy do zoologów, botaników lub mineralogów. Aby można dokonywać jakichkolwiek pomiarów na jeziorze, jest niezbędną rzeczą posiadać na niem czółno lub tratwę, z jezior tatrzańskich polskich tylko Rybie jest zaopatrzone w tratwę kosztem Towarzystwa Tatrzańskiego. Wyruszyłem z Warszawy zaopatrzony w stolik mierniczy ze wszystkiemi częściami dodatkowemi i ołowianki przeznaczone do mierzenia głębokości wód, barometr rtęciowy i inne przyrządy. Przez ośm dni spędzonych przy Rybiem, pomimo trudności, jakie na każdym kroku potrzebowałem pokonywać, zdołałem zdjąć plan tego jeziora, obliczyłem, że powierzchnia jego wynosi 30 hektometrów kwadratowych czyli morgów $53\frac{1}{2}$ miary nowopolskiej. Jeziora to tworzy figurę owalu w środku przegiętego, długością dochodzi do 800 metrów, szerokością około środka od 300 do 400 metrów.

Drugą i najważniejszą czynność stanowiły pomiary głębokości jeziora Rybiego. Zazwyczaj do tego używa się ołowianki. Narzędziem, jakim posługiwałem się przy

---

[1]) Die Hohe Tatra, Karol Kolbenheyer. Cieszyn 1876.

[2]) Roczniki węg. T. Karp. III. 1876 „Dezsö“. Die Meeraugen der Hohen Tatra st. 21.

tych robotach, była ołowianka ważąca $2\frac{1}{2}$ kilogramy, przy której był umocowány przyrząd, przeznaczony do łapania dna. Ołowianka była zrobiona w Warszawie, według modelu łaskawie mi udzielonego przez prof. Dybowskiego. Długoletnie badanie głębokości i dna Bajkału doprowadziły prof. Dybowskiego do zbudowania przyrządu, odznaczającego się prostotą, taniością i niezmierną praktycznością.

Ołowianka prof. Dybowskiego jest przedstawiona na rysunkach fig. 1 i 2 w $\frac{1}{5}$ naturalnej wielkości. Część zasadniczą przyrządu stanowi ołowianka *A*, która w *C* i *D* jest przyszrubowana do łuku *CBD* zrobionego z pręta żelaznego, każdy koniec łuku jest przytwierdzony do ołowianki dwoma szrubami, aby tym sposobem łuk był przytwierdzony nieruchomo do ołowianki. Pod ołowianką ze spodu jest przymocowany przyrząd podobny do żelaza przeznaczonego do łapania lisów lub szczurów, składa on się z dwu łuków *E* i *F* z blachy stalowej spojonych z sobą klamrą *G H*, łuki te otworzone zamykają się same siłą sprężyn *I* i *K* zwiniętych z drutu stalowego i nałożonych na osie obrotu łuków, urządzenie to przypomina dwie szczęki zwierzęcia, mogące się otwierać i zamykać siłą muskułów.—Na brzegach łuków jest szereg małych otworków, do których przyszywa się płutno przechodzące pomiędzy dolną częścią ołowianki i sprężynami *I* i *K*; kiedy przyrząd jest zamknięty, to przypomina zwyczajną małą torebkę podróżną zamkniętą. Przez środek ołowianki przechodzi otwór, w którym swobodnie posuwa się pręt żelazny *N O*, na końcu dolnym pręta jest przytwierdzony stale krążek *N*, który stanowi niejako języczek umieszczony w środku torebki, kiedy pręt, spadając pod wpływem siły ciężkości, oprze się szrubą *P* o górną część ołowianki, wówczas języczek *N* nie dosięgnie zamkniętych łuków, a temsamem nie może być szczękami przycięty. Dwie szruby mosiężne *R* i *P* umieszczone na górnej części pręta *N O* są przeznaczone do regulowania długości języczka, a nadto służą do podnoszenia łuków czyli otwierania szczęk. Łuki otwierają się za pomocą sznurków opatrzonych na końcach zapinkami *M* i *L*. Zapinki jednemi końcami wkłada się w dołki zrobione na wierzchu ołowianki a drugiemi w zagłębieniu będące w dolnej części szruby *P*, wówczas języczek wystaje naprzód przed łukami tak umocowanemi; jeżeli ołowianka dosięga dna, przedewszystkiem uderza o nie języczek, który oswobadza sznurki utrzymujące łuki w odemknięciu; torebka zamyka się i chwyta próbę dna, na które spadła. Za pomocą tak urządzonej ołowianki z pułapką prof. Dybowskiego, mierzyłem głębokości w różnych miejscach Rybiego i zaczerpywałem próby dna. Ażeby przygotować o ile można przybliżony rysunek dna tego jeziora starałem się zrobić pewną liczbę pomiarów, dokonywanych według z góry obmyślanego planu. Za pomocą tyczek, ustawionych na brze-

Fig. 1.

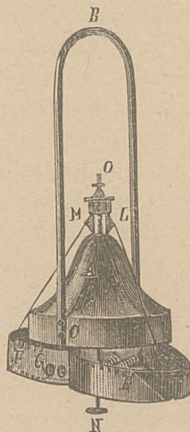
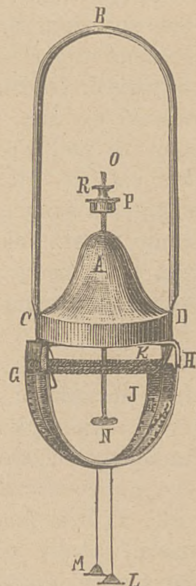


Fig. 2.



gach Rybiego, wytknąłem siedem linij poprzecznych równoległych względem siebie a odległych jedna od drugiej na 100 metrów, w podobny sposób zostało wytyczone pięć podłużnych linij prostopadłych do poprzecznych. Tratwą płynąłem wzdłuż każdej po szczególe linii podłużnej i na niej w 7 punktach przecięcia się jej z poprzecznicami mierzyłem głębokości jeziora, w odstępach po 100 metrów.

Wichry panujące w okolicy Rybiego podczas mego ośmiodniowego pobytu, stanowiły ogromną przeszkodę przy tych robotach; zdarzyły się dnie, że ani jednego pomiaru nie mogłem dokonać. Pomimo największych wysiłków wioślarzy, fale wodne rzucały tratwę w stronę przeciwną tej, w którą potrzebowaliśmy płynąć, ani jednej chwili tratwa nie mogła być utrzymana w spoczynku, a tym sposobem sznur, na którym spuszczałem ołowiankę, nie mógł przyjąć pionowego kierunku. Sznur, na którym ołowianka była spuszczana, był podzielony na metry odpowiedniemi znaczkami i zawieszony za pomocą bloka na wadze sprężynowej; dopóki ołowianka nie dosięgła dna, dopóty waga sprężynowa pozwalała ocenić ciężar ołowianki razem ze sznurem zanurzonej w wodzie, w chwili gdy ołowianka dotknęła dna i na niem wsparła się, przestawała działać na wagę sprężynową swoim ciężarem, czyli ważyć. Baczne śledzenie wskazań wagi pozwalało uchwycić chwilę dotknięcia ołowianki do dna. Zamiast wagi używałem dość często rury kauczukowej, tak dobranej, że pod wpływem ciężaru ołowianki stawałą się cztery razy dłuższą, w chwili dotknięcia się ołowianki o dno, rurka widocznie kurczyła się, wówczas lekkie pociągnięcie sznuru wywoływało znowu wydłużenia rury kauczukowej, małe popuszczanie z ręki (około pół metra), wyraźne skurczenie. Powtarzając to kilka razy, można było sznur przy spokojnej wodzie doprowadzić do pionowego położenia i tym sposobem z pewną dokładnością wyznaczyć głębokość w danem miejscu. Zjawisko to kurczenia się i wyciągania rury kauczukowej robiło taką przyjemność góralom (Wojciech Ślimak i Kuba Curuś), współbiorącym udział w moich robotach, że ta ostrożność zawsze była starannie i z łatwością dokonywana. Bez wagi sprężynowej lub rurki kauczukowej, pomiary tego rodzaju są bardzo trudne, szczególniej przy najmniejszym ruchu mąsy wód sznur jest przez wodę unoszony i prawie bez końca można go opuszczać do wody, niemając pewności czy ołowianka dosięgła dna lub też nie. Próbki dna zaczerpniętego zbierałem w słoiki szklanne i nalewałem spirytusem, ażeby organizmy, tam mogące się znajdować, zachować i oddać do badania specyalistom.

Badanie tych mułów rozpoczął p. Antoni Ślósarski Magister nauk przyrodniczych, Asystent przy Uniwersytecie Warszawskim, rezultaty otrzymane do obecnej chwili są podane poniżej.

Jak wzmiankowałem, pierwszą czynność moją stanowiło zdjęcie planu jeziora, dla dopięcia tego celu używałem zwykłego stolika mierniczego. Za podstawę musiałem wziąć linię prostą *AB* (rysunek jeziora Nr. 1), która od odpływu wody tj. *A* idzie wzdłuż brzegu poza schronisko, po wymierzeniu tej linii pokazało się, że wynosi 143 m. Z końców tej linii zbierałem rysunek brzegów jeziora oznaczonych w głównych zagięciach zatkniętemi tyczkami, dla sprawdzenia o ile dokładnie zostały wyznaczone różne punkta, przeniosłem się ze stolikiem na jeden z nich, a mianowicie na osypisko ze strony Miedzianego, które to osypisko dużym klinem *C* wchodzi w jezioro, stanowisko to posiada tę wyższość nad innemi, że z niego cały rysunek brzegów jeziora można widzieć. Sprawdzenie planu zrobione z punktu *C* przekonało mnie, że plan zdjęty przezemnie stolikiem jest dosyć dokładny, średni błęd nieprzechodzi $^1/_2$ hektometra $\square$, a temsamem jest aż nadto wystarczający dla zrobienia oznaczeń punktów, w których głębokość wody była badana. Siedm poprzecznic (linii szerokości) do siebie równoległych w odstępach 100 m. były wytyczone

na brzegach jeziora, na rysunku są oznaczone liczbami *1*, *2*, *3*, *4*, *5*, *6*, *7*; pięć linii podłużnych względem siebie równoległych (linii długości), które na miejscu były wytyczone w odstępach od siebie 100 m., są na rysunku oznaczone liczbami: *I*, *II*, *III*, *IV*, *V*. Tym sposobem linie podłużne i poprzeczne jako odległe od siebie 100 m. podzieliły powierzchnię całego jeziora na kwadraty, których boki mają 100 m. nazwane hektometrami kwadratowemi. Rysunek jeziora jaki zdejmowałem za pomocą stolika na miejscu był robiony według skali 1 : 2000, to jest każda długość wynosząca w naturze 100 metrów na rysunku miała 50 m. m. Rysunki załączone mają skalę 1 : 5000, to jest odległości pomiędzy poprzecznicami 100 m. na rysunku są odległe od siebie na 200 milimetr., i są rozdzielone na 10 części równych.

Z tak przygotowanego rysunku łatwo jest obliczyć powierzchnię samego jeziora, które wynosi 30 hektometrów □. Pięć linii długości przecinają się z siedmioma poprzecznicami w 35 punktach, z których 29 przypada na powierzchnię jeziora, pozostałe zaś 6 już leżą na lądzie. W tych 29 punktach mierzyłem głębokości i otrzymałem wypadki następujące:

	V	IV	III	II	I	
7	0	19 m	33 m	33 m	28 m	7
6	4 m	40 m	45 m	43 m	21 m	6
5	14 m	45 m,5	47 m,5	37 m	0	5
4	16 m,5	46 m	48 m	49 m,5	16 m	4
3	0	38 m,5	46 m	49 m	36 m	3
2	0	24 m	38 m	42 m	29 m,5	2
1	0	0	21 m	27 m	13 m	1
	V	IV	III	II	I	

Największa głębokość, jaką znalazłem w Rybiem Jeziorze wynosi 49,5 metrów, dno przy brzegach dosyć szybko spada, a mianowicie przy szczycie Mięguszowskim, przy upuście nieco wolniej.

Przy brzegach, pułapka przytwierdzona przy ołowiance nie mogła nic zachwycić, mocne rysy na ołowiance wskazywały, że pada na złomy granitowe, które przy małej głębokości dają się widzieć. W odległości kilkudziesięciu metrów od brzegów zazwyczaj głębokość wynosi 20 do 30 metrów, w tych miejscach wyciągałem z dna żwir, stosownie do głębokości grubo lub drobno-ziarnisty (piasek). Przy odległości około 100 metrów od brzegów, głębokość dosięga mniej więcej 40 metrów, w pułapce znajdowałem pełno mułu, ale jeszcze z pewną ilością piasku. Na środku jeziora, w odległościach znacznie większych od brzegów, aniżeli 100 metrów, głębokość zawsze większa niż 40 metrów, lecz nigdzie nie przechodzi 49,5 metra czyli nie dosięga 50 m. We wszystkich tych miejscach obfite muły, niekiedy

sama ołowianka w nich zanurzona, w mułach tych liczne szczątki drzew, rosnących przy brzegach Rybiego (przeważnie kosodrzewiny).

Przestrzeń ta jest objęta linią kropkowaną na rysunku Nr. 1. W *D* jest przypływ wody z Morskiego Oka, *E* z pod Mnicha, *A* odpływ do Białki.

Dla lepszego ocenienia wypadków otrzymanych z pomiarów głębokości, przygotowałem na rysunkach Nr. 2 i Nr. 3 przecięcia dna na kierunku linii poprzecznych i podłużnych, linie łamane nakreślone przy poprzecznicach rysunek Nr. 2, i przy liniach podłużnych rysunek Nr. 3, oznaczają przybliżony kształt dna na tych kierunkach. Głębokości są oznaczone według tej samej skali jak wymiary samego jeziora. Na pierwszy rzut oka spostrzega się na tych rysunkach, że dno muliste, zajmujące środek jeziora przy głębokościach większych od 40 m., na przestrzeni około 9 hektometrów kwadratowych jest prawie płaskie.

Zejszner, jak już wzmiankowaliśmy, oznaczył największą głębokość Rybiego (jak on nazywa Morskiego Oka) 151 stóp paryskich czyli 49 metrów, zgodność tej liczby z memi oznaczeniami wydaje mi się przypadkową. Zejszner twierdzi, że ową głębokość największą znalazł w okolicach Mnicha i nadto, że do ołowianki posmarowanej łojem, przylepiały się drobne kamyczki; z tego wyprowadza wniosek, że dno Rybiego jest zasłane grubemi granitami i żwirem. Ponieważ całe jezioro było przezemnie badane, przeto i część położona pod Mnichem. Głębokość w tej okolicy dochodzi do 30 metrów, a dno jest żwirowe, mówiliśmy powyżej, że przy głębokościach większych, niż 40 metrów, natrafiliśmy na muły. Jeżeli więc Zejszner wydobywał żwiry, w takim razie miejsca, w których to robił, nie mogły mieć głębokości większej od 30 metr, prawdopodobnie ołowianka była puszczona na sznurze z ręki i chwila dotknięcia jej do dna nie była dobrze oceniona.

Podczas dni pogodnych ołowiankę mogłem widzieć na głębokości 15 metrów, podczas pochmurnych tylko do odległości 10 metrów. Fakt ten świadczy o niezmiernej przezroczystości wody a tem samem o jej czystości.

Temperatura wody Rybiego, podczas mego pobytu, przy powierzchni była 10,^{0}4 C. czyli mało co więcej jak 8^{0} R. (tj. termometru, który u nas jest w powszechnem użyciu).

Podczas mego pobytu przy Rybiem, w szałasie wzniesionym około 10 m. nad poziom jeziora odczytywałem stan barometru rtęciowego i oznaczałem temperaturę powietrza na otwartem powietrzu.

Z tych odczytań średni stan barometru, zredukowanego do temperatury 0^{0}, wynosi 642,5 m., średnia temperatura 12,^{0}6 C. Barometr przed podróżą i po podróży był porównywany z dokładnemi barometrami w Warszawie i Krakowie. Z tych porównań pokazało się, że przyrząd w drogach tak ciężkich nie uległ żadnym uszkodzeniom. Średni stan barometryczny w ciągu tego samego czasu według spostrzeżeń w obserwatoryum krakowskiem dla Krakawa wynosił 738 mm., a temperatura 18^{0} C.

Tym sposobem barometr przy Rybiem stał niżej niż w Krakowie o 95,5 mm., a temperatura była niższą o 5,^{0}4 C. Na zasadzie tych danych obliczyłem przy pomocy wzoru Laplacea i tablic Dra Jelinka, że szałas przy Rybiem jest wyniesiony nad obserwatoryum krakowskie na 1174 metrów. Ponieważ pomiary gieodezyjne oznaczają, że obserwatoryum krakowskie jest wzniesione nad poziom morza na 217,4 metrów, azatem szałas Rybiego jest położony wyżej nad poziomem morza o 1391,4 metrów. Wyniesienie tej miejscowości na mapie sztabu generalnego jest podane na 1384 metrów, a podług spostrzeżeń barometrycznych prof. Kuczyński podaje 1396.9 metrów.

Ta moja mała praca, odnosząca się do badania jednego jeziora tatrzańskiego, może być uważana za część robót, któreby obejmowały wszystkie ważniejsze tatrzańskie jeziora. Badania tego rodzaju nie wymaga wprawdzie uzdolnienia, lecz, jako dokonane wśród gór niezamieszkałych i nieposiadających dróg, jest względnie kosztowne, środki materyalne, jakiemi rozporządza piszący, nie pozwalają na dalsze prowadzenie tej roboty na własny koszt. Jeżeli Towarzystwo Tatrzańskie, posiadające jak najlepsze chęci a mniej niż skromnemi rozporządzające funduszami, kiedykolwiek będzie posiadać drugie w odpowiedniejszym stosunku do pierwszych, wówczas sądzę, że dalej prowadzić będzie tego rodzaju roboty.

Tym sposobem tajemnicze Morskie Oko, dzisiaj nazywane Czarnym Stawem, którego głębokość podaje Staszic bardzo znaczną, do dnia dzisiejszego jest niezbadane.

Nakoniec sądzę, że danie odpowiedzi, gdzie jest miejsce, w którem miały mieścić się wody Czarnego Stawu, opisanego przez Staszica, przedstawia pewien interes naukowy, gdyż sam staw w obecnej chwili nie istnieje.

BADANIA MIKROSKOPOWE MUŁÓW

Z DNA RYBIEGO JEZIORA

PRZEZ

A. Slósarskiego.

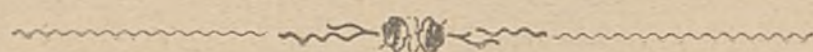

W mułkach zebranych na dnie Jeziora Rybiego mikroskop wykazał, pośród cząstek piasku i drobniutkich okruchów skał, dość liczne cząstki organiczne. Oprócz kawałków kory i igieł kosodrzewiny, a w części zmienionych przez działanie wody, znajdują się dość obficie pancerzyki Okrzemek (Diatomaceae), a nadto tu i owdzie pancerzyki Korzenionóżek (Rhizopada).

O ile można było dotąd dokładnie określić, z Diatomaceae znajdują się następujące gatunki:

1) Cyclotella operculata *Ag.*
2) Gomphonema acuminatum *E.*
3) Navicula nobilis *Ehr.*
4) Novicula oblonga *Ktz.*
5) Navicula affinis *Ehr.*
6) Stauroneis cardinalis *Ehr.*
7) Stauroneis anceps *Nitz.*
8) Stauroneis phoenicentrum *Nitz.*
9) Cymbella gastroides *Ktz.*
10) Cocconeis pediculus *Ehr.*
11) Nitzschia tenuis *Ktz.*
12) Achnanthidium lineare *Sm.*

Znajdują się również gatunki nieokreślone bliżej (z powodu braku czasu) z rodzajów Gomphonema, Amphora, Cymbella, Pleurosigmea, Amphipleura, Navicula, Rhaicosphenia, Achanthidium, Liemophora, Grommatophora, Diatoma, Fragilaria, Synedra, Ceratoneis, Eunotia, Epithemia, Denticula, Nitzschia, Cymatopleura, Surivella i Cyclotella i innych.

Z *Rhizopoda* trafiają się skorupki trojkomorowego zwierzęcia, podobne do kopulujących *Gromia socialis Carter.*



ZIMOWA WYCIECZKA
DO
KARDOLINA W TATRACH

PRZEZ

J. NIEDZIAŁKOWSKIEGO.



nia 16 lutego b. r. spotykam się na rynku Krakowskim z pp. M. i C. Dzień był piękny, pogodny, niebo jasne. Postanawiamy udać się w Tatry. Dla pewności jednak, czy doliny, stoki i podnóża gór są wolne od śniegu, posyłamy telegram do Beli (Biała) spizkiej. Depesza nie nadchodzi, mimo to siadamy wieczorną porą do szybkowozu jadącego do Nowego Targu. Tu też dopiero otrzymujemy odpowiedź z Beli, nie bardzo pomyślną, bo według takowej doliny tatrzańskie głębokim były zawalone śniegiem. Niezrażeni tą wiadomością wyruszamy z Krakowa wieczorem zaopatrzemi w żywność i mając za towarzysza psa, który nam później wielkie oddał usługi. Mijamy Podgórz a dalej Mogilany. Deszcz rzęsisty znacznie popsuł drogę, tak, że o pół godziny spóźniliśmy się do następnej stacyi Myślenice.

Nadzieja więc zawitania w Nowym Targu, wcześnie rano zniknęła zupełnie, a tem samem dojazd do Kardolina, celu naszej podróży, przed wieczorem dnia następnego zdawał się niepodobnym. Najlepiej jednak pogodzić się z losem i nie tracić przedwcześnie na humorze. Zaimprowizowany stół z mapy podróżnej, rozłożony na naszych kolanach, pokrył się wkrótce powyciąganemi z torb prowiantami, śród wesołej pogadanki krążyła szklanka z rąk do rąk przy świetle świecy stearynowej, którą począwszy od swego konduktora, nader uprzejmego urzędnika, po kolei zmieniając się, trzymać musieliśmy. Sytuacya nasza w powolnie kołyszącej się szczelnie zamkniętej karetce, otoczenie zupełnie ciemnej nocy, pies w nogach naszych wyglądający ciekawie niby z zapytaniem dokąd zmierzamy, przypomniały nam mimowolnie opis podróży projektilem na księżyc, Juliusza Vernego. Plusk rzęsistego deszczu po oknach karetki, świst wichru, a co najgorsza brak nadziei, aby następne dnie były pogodniejsze, wszystko to zmęczyło nas i rzuciło w objęcia morfeusza. Odgłos pocztowej trąbki zbudził nas niebawem i zawiadomił, że jesteśmy na stacyi pocztowej w Lubniu. Pomimo opakowania i ściśle domykających

się drzwi karety przenikliwe powietrze dało się nam we znaki. Postanowiliśmy więc zagrzać się herbatą, tembardziej że w karczmie obok poczty świeciło się. Wysiedliśmy więc za zezwoleniem konduktora, oraz zapewnieniem, że poczta kilkanaście minut się zatrzyma, i udaliśmy się wprost do gospody, gdzie góralka z wszelką gotowością zabrała się do uwarzenia naszego nektaru. Już ogień zapłonął na kominku i woda wrzeć poczęła, gdy naczelnik stacyi w Lubniu załatwiwszy przegląd poczty, niepozwolił konduktorowi kilka minut dłużej zaczekać. W niezbyt grzecznie wypowiedzianych słowach „jak nie wsiądą natychmiast, to ich zostawić", dał nam poznać swoje ultimatum.

Skomielnę, ostatnią stacyę pocztową przed Nowym Targiem, minęliśmy niepostrzeżenie. Dopiero świtający ranek zbudził nas ze snu. Nieczuliśmy zupełnie znużenia, chociaż całą noc przespaliśmy siedząco i to jeszcze w nienajwygodniejszych pozycyach, bo konstrukcya naszych siedzeń przez długą jazdę zupełnie się zepsuła. Dzień, który powitaliśmy był zimny i dżdżysty. Wicher tylko się uciszył, i jedynie pocieszało nas to, że nigdzie większego śniegu w okolicy nie było. Wprawdzie im bliżej byliśmy Nowego Targu, tem więcej tu i owdzie bieliły się pola. Dalsza okolica spoczywała cała w mgłach, z Tatr niebotycznych nie widać ani śladu.

Do Nowego Targu przybyliśmy o ósmej rano. Popsute drogi, ciągła ulewa połączona z szalonym wichrem były przyczyną naszego spóźnienia. Stanęliśmy tutaj w hotelu Herca. Po wybornem śniadaniu, postaraliśmy się o podwodę do Kardolina, zwanego tutaj Czerwoną Skałą. O 10 stał już wózek z parą dziarskich koni gotowy do drogi. Jadącym dalej na Spiż polecam w razie, gdyby prowianty zabrane z Krakowa były na dokończeniu, zaopatrzyć się w Nowym Targu w żywność, gdyż na Spiżu mały wybór a ceny wygórowane, zwłaszcza mięsa. Z wyjazdem naszym wicher zupełnie się uciszył i deszcz zawisł w powietrzu; jaką taką więc mieliśmy drogę.

Z Nowego Targu jedzie się szosą ku Czorsztynowi przez Waksmund i Ostrowsko; w pobliżu Dunajca, od szosy skręca się droga powiatowa na prawo i wiedzie przez Grońków, Białkę, Czarną Górę, Bukowinę, Jurgów do Podspadów. Woźnica nasz góral z okolic Nowego Targu, jak wszyscy podhalanie nielubiący dróg bitych, tem bardziej jeszcze, że konie nasze miały tylko przednie nogi kute, starał się przekonać nas, że oszczędzimy godzinę jadąc bocznemi drogami przez pola. Że nam na czasie zależało, aby przed zmrokiem jeszcze stanąć u celu podróży, przyjęliśmy z chęcią tę propozycyę i zaraz po za Nowym Targiem za rogatką opuściliśmy szosę zjeżdżając na prawo, na drogę polową wiodącą wprost do Grońkowa.

Niewiem jak można w lecie przy posusze tędy przebywać, być może że najwygodniej, bo przytem skraca się przestrzeń o przeszło 3 kilometry, jednak zimową porą, komu życie a ostatecznie całość kości miła, nie radzę łudzić się tą oszczędnością i puszczać się tą drogą. Nawrócić było nam niepodobieństwem, musieliśmy się więc zdać na łaskę i niełaskę naszej drogi, która wiodąc po najokropniejszych wertebach, po zamarzłych śniegowych roztajach, załamujących się co chwilę, to znowu po grzbiecie spadzistym, nietylko zagrażała co chwila naszemu życiu, ale nadto zmuszała nas niejednokrotnie opuszczać wózek i brnąć po wodzie. Pakunki nasze, kuferki podróżne starannie w Nowym Targu poprzywiązywane, pomięszały się całkiem na wózku napełnionym wodą, w chaos przypominający łożysko rzek górskich zarzuconych łomami drzew i granitu. Na jednem z najprzykrzejszych miejsc stanęły konie, a ochrypnięty góral w skutek ciągłego wołania hejta, wiśta wiu! nie mogąc sobie dalej poradzić, stanął na środku strumyka skrobiąc się

w głowę na znak, że nie ma już rady. Użyliśmy więc całego wysilenia aby koniom ulżyć i koła zazwyczaj tak łatwo się obracające w ruch wprowadzić, nawet pies mój ciągłem ujadaniem na konie przyczyniał się do tych ogólnych trudów. Dzięki tylko wprawnej ręce i niezmordowanej usilności pana C. zawdzięczamy, że wydobyto wózek wraz z rzeczami naszemi dobrze przemoczonemi, i że po przeszło godzinnych trudach z przemoczonemi nogami do Grońkowa się cało dostaliśmy. Pan C. zatrzymał już dalsze kierownictwo koni, kłusem przejechaliśmy Czarną Górę, wioskę nieźle zabudowaną. W drodze spotkaliśmy wesele góralskie. Spotkanie to po tylu przebytych trudach i niepowodzeniach wzięliśmy za dobrą wróżbę, która rzeczywiście w dalszej podróży się spełniła.

Na wjeździe do Bukowiny czekał nas jeszcze jeden przykry zjazd z bardzo spadzistego wzgórza. Na prawo prowadzi ztąd droga boczna do Zakopanego. My pojechaliśmy wprost pozostawiając Bukowinę na prawo, poczem po przebyciu w bród płynącego małego strumyka Białki, zasłanego granitowemi łomami, przybyliśmy po pod karczmę z tej strony Białki. Tutaj granica Węgier, ziemia jednak staropolska i język polski, sięga z drugiej strony Białki jeszcze daleko na wschód i południe. Tak zwany most na Białce zastaliśmy zamknięty, przez dróżbów oczekujących powrotu weselnej pary, przebranych i dobrze podchmielonych. Zamaskowani kolosalnemi wąsami i brodami z konopnej przędzy, z toporem w rękach pilnowali wjazdu na most zamkniętego bramą tryumfalną, ubraną w choinę i sztuczne kwiaty. Każdego przejeżdżającego wstrzymywali, zmuszając go do przejazdu drogą boczną dalszą i niewygodną, bo wbród przez rzekę prowadzącą. Kilka wózków góralskich jadących przed nami dało się w ten sposób przeprawić, my jednak nie daliśmy się odstraszyć, lecz kto wie, czy pomimo próźb i gróźb naszych bylibyśmy przepuszczeni, gdyby nie krótkie przemówienie naszego woźnicy, który nas od początku jazdy uważał za cesarską komisyę. Na odezwanie się tegoż wypowiedziane z całą powagą oznaczającą wysokie poważanie dla nas, „to Cisarska komisya“, opadły wąsy i brody sztuczne, a dróżbowie pomimo frasunku uchylając kapeluszy natychmiast rozebrali bramę, my zaś znaleźliśmy się na moście. Obecny most na Białce podobno na wieki skazany jest na prowizoryum.

Teraz stawiają tuż obok nowy most, który jest już na dokończeniu. Tenże podniesiony będzie znacznie wyżej po nad brzegi Białki i stworzy lepszy przejazd przez tę rzekę. Dojeżdżamy do Jurgowa. Pierwsza to wioska po stronie Węgier na prawym brzegu Białki, wcale nieźle zbudowana. Charakter jej zupełnie odmienny od naszych co tylko przebyłych wsi, chociaż ten sam lud polski bo tylko przymusową rozdzielony granicą, tutaj mieszka. W wiosce tej jest kilkanaście murowanych domów pokrytych gontem, a jeden do drugiego jak krople wody podobny. Około 4ej byliśmy w Podspadach jadąc ciągle po bardzo dobrej drodze. Zadziwiać tylko musi obojętność tutejszych władz względem bezpieczeństwa podróżnych, gdyż na drodze wiodącej często ponad urwiska i głębokie przepaście, na której zaledwie dwa wózki wyminąć się mogą, nie ma po stronie przepaści ani poręczy ani kamieni drogowych.

Otóż i Podspady!

Mała osada na skrzyżowaniu się drogi prowadzącej do Jaworzyny spizkiej i ku Zdziarom. Sama już nazwa domyślać się każe, że miejsce to leżeć musi u stoku wysokich szczytów. Całą osadę składają w szwajcarskim stylu zbudowana leśniczówka, karczma oraz kilka nędznych chałup. Mgły podniosły się cokolwiek, tak, że przed naszemi oczyma rozłożył się uroczy widok chociaż ciemny zupełnie na Murań, Nowy, Hawrań dalej na Kiczorę, u której stóp papiernia i Kuźnice Jaworzyńskie. Podspady leżą na wysokości 900 metrów ponad poziom morza nad

rzeczką Jaworzynką, zwaną także Jaworowym potokiem. Tutaj poraz pierwszy spotykamy rozdział wschodnich wód tatrzańskich, których potoki spadają z szalonej wysokości ku Jaworzynce wpływają z nią razem w pobliżu Jurgowa do Białki, wypływającej z najpiękniejszego miejsca Tatr bo z Morskiego Oka. Na drugą stronę zaś węgierską ku Ździarom przyjmuje Cieplica (Hegwiz) Hegbach, także Białym Potokiem, choć mylnie zwana, wody z południowo-wschodniego stoku przełęczy Zdziarskiej Tatr. Białka podąża ku Dunajcowi, Cieplica zaś wpada do Popradu. W Podspadach pierwszy nasz spoczynek, pierwszy popas dla koni. Biedaczyska zmęczone, nie miały z początku ochoty nawet do posiłku, lecz woda wyborna Jaworowego potoku, ożywczo oddziaływając powróciła im pożądany apetyt. My weszliśmy do karczmy, by pomyśleć o obiedzie. Tutaj przyjęło nas uprzejmie dwóch dziarskich górali, grzecznych i usłużnych, a za maleńką chwilę pokrył się hojnie próżny stół gospody wszystkiem na co tylko chata starczyła. Masło, mleko, jaja i placek owsiany świeży, moskalem zwany oto cała zastawa. Przy kilku głowniach na kominek rzuconych, zgotowano w okamgnieniu jajecznicę, którą ze wspólnej zajadaliśmy miski. Kieliszek wódki zwanej borowiczką zakończył ten skromny, ale tak smaczny obiad, że nie pamiętam, ażebym kiedykolwiek tak smacznie zajadał. Każdemu więc przejeżdżającemu przez Podspady polecam tę gospodę, a ręczę, że będzie równie nam zadowolony. Ubawiwszy się dwojgiem dzieci gospodarstwa spostrzegliśmy, że konie nasze już gotowe, dosiadamy przeto naszej furki, by dalej spieszyć.

Na Jaworzynce założono piękny, zgrabny, kryty most drewniany. Całe koryto rzeczki było zarzucone chaotycznie pniami drzew i kamieniami, które świadczą jak ta na pozór cicha rzeczka, niebezpieczną być musi przy wezbraniu wód. Od mostu, z którego prześliczny roztacza się na obie strony widok, jedzie się lasem ciągle pod górę po dobrej i niezbyt stromej drodze, aż do przejścia zwanego Zdziarską przełęczą (1072 m.). Punkt zaś najwyższy Zdziarskiej Góry na lewo zwie się Prislop (Przysłop 1214 m.). Gdy dojeżdżaliśmy na sam szczyt, opadły znowu mgły, zasłaniając nam widok na góry zupełnie. Pomimo, że pora nie była jeszcze spóźniona, ściemniło się tak wskutek nagłej mgły, że zupełnie o zmierzchu jechaliśmy. Od strony północnej dął nieprzyjemny, śnieżysty wiatr, że niepodobieństwem było w stronę wiatru twarzą się obrócić. Góral nasz wskazywał nam, że na prawo, zaraz za lasem, najwyższe wierchy, i że ciągle spodem tychże jedziemy. Niestety mgły pokrywały tak silnie wszystkie, nietylko szczyty, ale i przedgórza, że oprócz ztąd poraz pierwszy spostrzeżonego śniegu w tak dalekiej przestrzeni, jak tylko oko nasze dojrzeć mogło, bo niebo i ziemia jeden koloryt stanowiły, nic nie widzieliśmy. Szczególniej, że od Zdziarskiej przełęczy począwszy, na całej prawie przestrzeni wsi Zdziary daleko rozłożonej, nigdzie drzew się nie spotyka, przez co i oryentowanie się na drodze ku Zdziarom jest przy zaspach niepodobne, pomimo że latem droga ta jest jak najwygodniejszą i zupełnie bezpieczną. U stóp naszych widzieliśmy chaty jakby rzucone na oceanie śniegu, za których kierunkiem jadąc, wydobyliśmy się zmęczeni z zasypanego śniegiem działu. Czekało nas jeszcze większe niebezpieczeństwo, bo trzeba było przebyć mostek ponad przepaścią, zupełnie zasypany śniegiem, o którego istnieniu tylko sterczący słup spróchniałej poręczy ostrzegał, poprzedzony nagłym spadkiem pełnym gołoledzi; za blisko spostrzegliśmy tego nieprzyjaciela i nie było już ratunku w powstrzymaniu koni. Podciął więc woźnica konie i z szalonym pędem wózka unoszącego jedno z kół ponad samą przepaścią przebyliśmy ten najprzykrzejszy punkt drogi, Bogu dzięki szczęśliwie. Po tej zaledwie 3 kwandranse trwającej drodze, której długość wiekiem nam się zdała, przejechaliśmy Zdziary pozostawia-

jąc kościół na lewo. Zmęczeni i przesiąkli prawie do ostatniej nitki ciągle opadającą drobną mgłą, przejeżdżając przez kilka mostków, o których egzystencyi tylko głośny turkot kół nas zawiadamiał, stanęliśmy nareszcie u celu podróży przed nagle zjawiającemi się, niby jakieś fatamorgana budynkami Kardolina czyli Czerwonej Skały. Z jakąż radością powitaliśmy tę tymczasowo przeznaczoną nam siedzibę, tego nie jestem w stanie opisać! Z furki wyskoczyliśmy lotem błyskawicy, otrzepując się ze śniegu prawie w lód skrzepłego, i udaliśmy się do mieszkalnego domu, tuż przy drodze nad brzegiem potoku po prawej stronie tegoż położonego. Przebraliśmy się w okamgnieniu czując potrzebę suchego odzienia, a tymczasem jedyny mieszkaniec Kardolina wśród zimy stróż domowy, zastawił samowar. Po herbacie i przekąsce spoczynek był konieczny, wkrótce więc rozłożono słomę na podłodze, kuferki podróżne pod głową, a smaczny sen skleił powieki nasze niebawem. Spaliśmy całą noc bez przebudzenia się.

Ranek bielejący przytem zimno dotkliwe, bo i okna świadczyły, że na dworze silny mróz być musi, obudziły nas, czas zaś do pracy naglił, by rzucić senne marzenia.

Spoczynek wpłynął na nas zbawiennie i ochoczo zabraliśmy się do przejrzenia naszej siedziby.

Kardolin składają trzy budynki. Dom mieszkalny z czterema osobnemi wchodami, 4 sionki a po za niemi po dwa pokoje, razem więc 8 pokoików wygodnych z bardzo pięknym widokiem w dolinę uroczą. Obok domu mieszkalnego, w osobnym budynku złożonego z 2 obszernych przestrzeni, urządzoną jest pracownia kamieniarska wraz z kuźnią i warsztatem ślusarskim. Dalej szopa na skład gotowych kamieni, oraz stajnia i wozownia. Oto jest cały Kardolin, osada założona przed kilku laty przez p. Kardolińskiego i podług niego nazwana. Obecnie jest Kardolin własnością p. Czudowskiego, naszego dzisiejszego gospodarza i współtowarzysza podróży. Lecz opuśćmy domy, wezwani szumem u stóp ich płynącej rzeczki Cieplicy, a roztoczy się przed nami urocza dolina Kotliny do 8 kilometrów długa. Wśród urwisk i skał płynie środkiem szumiący potok o głębokiem łożysku, kamieniami zasłanem. Po prawej stronie lasy lite szpilkowe z świerków i modrzewi złożone, stanowią niby ramę dla wychylających się z po za nich szczytów olbrzymich Tatr, w najpiękniejszych zarysach. Dzień jasny i pogodny jak zwykle po burzy, niebo czyste a przytem mróz dochodzący do 12^0 Celsiusa, pozwalały nam poraz pierwszy, cieszyć się widokiem jak tylko daleko oko dosięgnąć mogło, i napawać pięknością natury.

W stronę ku wsi Zdziarom stoją jakby na straży osobne od innych wzgórz dolinami oddzielone szczyty, po obu stronach potoku, z lewej Skałka z prawej zaś Tokarnia. Obie są prawie równej wysokości po przeszło 1250 metrów nad poziom morza, obie podobne kopom strażnicznym, skałami granitu najeżone. Z po za Tokarni wychylają się niby z ciekawości 2 szczyty gołe, to Widły (2100 m.); dalej na prawo po za Skałką ciągnie się pasmo z przerywanemi dolinami, spadzisto od szczytu tegoż ku potokowi zbiegającemi, a każda z nich jest kolebką suchych lecz przy ulewach groźnych potoków. Wszystkie te wzgórza pokryte są bujnym lasem szpilkowym smreków i modrzewi, z pośród którego poszarpane skały wapienne i granitowe śmiało swe białe wychylają czoła. W całem prawie tém paśmie liczne znajdują się groty, zwane u ludu dziurami, w których podania ludu zachowywują skarby zakopane; wspominają także starsi górale, że niegdyś kopano tutaj złoto i srebro.

Od Skałki ciągną się koleją Husar, Dwojnista, Romsaty, Huba i Palonica mniej więcej 1200 metrów wysokie, ostatnia zamyka dolinę ku Lendakowi (Landok)

najbliższej wiosce Kardolina w stronę ku Beli węgierskiej. Z prawej strony potoku (od wymienionego zakończenia doliny licząc) sunie się dołem wierch długi Kobyli i Czarny. Z po za nich, a raczej z po za lasów wychylają się od Beli począwszy Faixowa, Wielki Koszar, Skalne Wrota, Szeroka, Zdziarska, Głupi Wierch, dalej Stara i Widły, a jeszcze dalej jadąc Hawrań i Murań. Wszystkie oprócz ostatniego po nad 2000 metrów. Pod Skalnemi Wrotami (Wrotami Żelaznemi także zwane) w bok leży Margeta z alabastrową Grotą, do której dostać się można przez dolinę Suchego potoku na prawo gościeńca do Beli opodal Kardolina. Do groty tej leżącej w znacznej wysokości, wśród prostopadłych prawie skał nie mogliśmy się dostać pomimo wygodnej drogi latem, dla wielkiej ilości lodu i śniegu, po drodze nagromadzonych. Nazywają ją Alabastrową dla pięknych stalaktytów wapiennych w niej licznie nagromadzonych. Góry, po której ku Alabastrowej się dochodzi, zwią (Rothbaumgrund) od wielu rosnących tu modrzewi Czerwonodrzewną. Widziałem śliczne okazy stalaktytów z tej okolicy w zbiorze minerałów pana Czudowskiego.

Dolina Kotliny leży w kierunku zachodnio-wschodnim, lecz więcej skośnie ku północy, jest jak z powyższego widoczne opisu, ze wszystkich stron wzgórzami zamknięta. Od północy zamykają ją przedgórza tak zwanej Spiskiej Magóry, spadzisto staczajace się ku potokowi Cieplicy. Od południa zaś niższe przedgórza Tatr, po za któremi obszerniejsze doliny a nad niemi olbrzymie Tatry.

Kiedy z domu wyszedłem, słońce jeszcze nie zaszło zupełnie, lecz promienie jego pierwsze zapowiadały już poranek. Powoli z przybytkiem dnia szczyty Tatr zaczęły wolno złocisty przybierać kolor, który szybko zmienił się w najkraśniejszą purpurę. Coraz więcej tej barwy nabierały śnieżne, rozszarpane mury Tatr, a gdy ta doszła do szczytu swej piękności, zdawało się, że pod wpływem promieni słońca zmieniły się olbrzymy nasze w niebotyczne stosy rozżarzonych węgli; nagle kolor ten począł blednąć a jeszcze prędzej jak gdyby zimnym lodowym prądem wichru północnego owiany żar zastygł, a szczyty zajaśniały właściwym im w zimowej porze białem srebrem śniegu. Krótki to był ale cudowny widok. Podobny zdarzył mi się w Alpach przy krwawo zachodzącem słońcu raz zobaczyć. Wieczorne słońce w Tatrach podobnego oświetlenia spowodować nie może, gdyż wcześnie chowa się właśnie po za same szczyty Tatr. pozostawiając je w grubej ciemności tak, że nocą podobne są do rozpostartych poszarpanych zwojów czarnego aksamitu.

Teraz dopiero przypomniało mi się spotkanie wesela wzięte przez nas za dobrą wróżbę. Czyż mogliśmy lepiej trafić? Dlatego też każdemu turyście, który widział kilkakrotnie Tatry wśród lata i jesieni radzę by nie szczędził trudów podróży, a raz przynajmniej podobną zimową Tatrom oddał wizytę. Zmiana kolorytu jest w Tatrach szczególna, i prawie w każdej porze nietylko roku ale dnia koloryt, a z nim i nastrój cały tych wyżyn się zmienia. Tym razem zastaliśmy nietylko szczyty posrebrzone śniegiem i pokryte lodami, ale i całe otoczenie. Dwutonowy tylko koloryt zdawał się rozdzielać obraz na dwie połowy. Na tle czystego zimowego nieba więcej już południowego koloru jak nasze, roztoczyły się białe szczyty, a równa granica lasów otaczała je ciemną ramą od dołu. Drzewa śniegiem zmarzłym fantastycznie pokryte, śmiało stawiały opór jego ciężarowi, jak gdyby czuły, że im w tej szacie do twarzy. Miejscami grupowała się dziwnie zieloność lasu świerkowego przy białym śniegu, a jego fantastyczne kształty zdawały się tworzyć zarysy palm zwrotnikowych. Czasem na tem jednobarwnem polu białem wznoszących się drzew lasu pokrytych śniegiem rozpościera się ciemna plama tła wyrębu, niby czarna otchłań wśród pasm najbielszego marmuru kararyjskiego. Przy takim widoku nasunąć się musi mimowolnie przysłowie włoskie: „Widzieć i umierać!“

Marzenia te przerwali współtowarzysze drogi, przyszli jednak zapóźno, bo najpiękniejszy urok już przeminął. Góral przed chwilą, jeszcze pięknem natury przejęty objaśniał mi po kolei szczyty i podawał ich nazwiska. W zamyśleniu mojem nie uważałem nawet, że pozostawił mnie samego, w tej chwili właśnie zjawił się wołając, że herbata jest gotowa. Z jej ukazaniem się na stole rozpoczęliśmy prozę dnia naszego. Trzeba więc było pożegnać się z pięknym widokiem, a pomyśleć o koniecznym posiłku. Konie stały już zaprzężone do zwykłych goralskich sanek zwanych tutaj włókami, lecz nie daleko miały one nas powieść, bo tylko kawałek drogą do Beli można było przejechać, w dolinę zaś Suchego Potoku, do której się właśnie wybraliśmy, niepodobieństwem było saniami się dostać. Śniegi głębokie, w których biedne końska po piersi tonęły, niepozwalały im postąpić ani kroku. Trzeba więc było zsiąść ze sanek i pieszo puścić się w drogę.

Zanim jednak dalej pójdziemy, przystąpię tutaj do podania celu naszej podróży do Kardolina. Kardolin powstał nie dawno, bo zaledwie przed 6cioma laty. Miejsce to obszerniejszą zalegające płaszczyznę w dolinie Kotliny, którą to nazwę ostatnia zapewnie od głębokości swej, względnie zamykających ją szczytów otrzymała, zwano dawniej Czerwoną Skałą (Gerberg u ludu). Nazwa ta powstała od zbitego czerwonego marglu, tworzącego stromą skałę na prawym brzegu Cieplicy. Margiel ten złożony z węglanu wapna oraz gliny i krzemionki jest rodzimym cementem zdatnym do wypalania. Bogactwo gór złożone z dziurkowatego kwarcu spowodowało, że założono tutaj fabrykę kamieni młyńskich z kwarcu czyli z dziurkowatego rogowca, oraz przedsiębiorstwo wyłomu kamieni budowlanych. Kamienie młyńskie robią tutaj miejscowi górale pod dozorem dobrego majstra na sposób francuzki, tj. składane z kilku części tak zwanego serca, które z twardego robi się materyału jak granit lub kwarcyt i z pierścienia z 4 części złożonego z najlepszego kwarcu, który właśnie do mełcia służy. Kamień ukończony, ściągnięty obręczami żelaznemi cementuje się i ogładza. Widziałem gotowy kamień w pracowni przeznaczony do Jaworzyny spiskiej, średnicy 150 milimetrów, wykonany z taką dokładnością, że nietylko dobrocią i wyborem materyału, ale i samą czystością wykonania francuzkim nie ustępuje. Fabryka ta dwa razy była już pierwszorzędnie premiowaną i otrzmała listy pochwalne oraz medal zasługi. Cementowanie wykonywuje się własnym cementem, wypalanym w małym piecu zwykłego systemu postawionym nad brzegiem potoku Cieplicy.

Otóż głównym celem podróży naszej było zwiedzenie tego zakładu, a zarazem obejrzenie bogatych pokładów kwarcytu, granitu, marmuru, dolomitów, margli dolomitycznych, które z całem bogactwem tutaj się rozłożyły, tworząc Kardolin spiżarnią przyszłości. Jakaż szkoda że tyle wieków odłogiem leżały te skarby natury. Teren, na którego obszarze Kardolin leży, jest własnością miasta Beli na Spiżu, i rozciąga się na przestrzeni mniej więcej 14 kilm. wzdłuż, przeszło 4 klm. w szerz. Począwszy od stoku Tokarni pod Kardolinem aż do doliny Suchego Potoku, spodem wierchów Długiego, i Czarnego znachodzą się bogate, nieprzebrane pokłady marglu i margli dolomitycznych, tak zwanych skalistych. Ciągną one się od brzegów potoku Cieplicy począwszy w górę ku szczytom wzmienionych przedgórż bez przerwy, i są w wielkiej ilości rodzimemi cementami. Znaleźliśmy do 12 gatunków margli, co do zbitości, koloru a ostatecznie wrażenia na kwas solny różnych od siebie. Każdy kawałek oznaczyliśmy numerami, a próby są zachowane w biurze kordolińskiem.

Pokłady ogromne margli skalnych i dolomitów, stanowią tu główne, nieprzebrane bogactwo. Tuż obok pieca do wypalania, pod nim i nad nim ciągną się skały lite w znacznej przestrzeni i wysokości, pod nazwą Czerwona Skała w nie-

przebranych rozmiarach, marglu cementowego (Rodzimego cementu). Ten zawiera 20—30 proct, gliny krzemionkowej, na 70—80 proct. węglanu wapna. Są i takie co posiadają więcej gliny, lecz poprzednie są obfitsze i w dobrej jakości do wypalania tak zwanego Roman Cementu, na co dały już dowody przy dotychczasowej, chociaż na małą skalę prowadzonej fabrykacyi cementu. Margle dolomityczne ciągną się również w grubych pokładach, począwszy od góry kwarcowej naprzeciw zabudowań kardolińskich, aż ku marglom cementowym. Przywieźliśmy ze zobą próby dolomitów pięknego czerwonawo-brunatnego koloru. Materyał zbity i twardy nieulegający wpływom kwasu solnego. Pod dłutem łatwy dla jednostajności materyi do obrobienia. Daje się także dobrze szlifować i przyjmuje piękną politurę ciepłego, żywego, czerwonawego koloru, przypominając marmur, ale od tego znacznie twardszy. Oprócz margli i dolomitów są dalej znaczne pokłady kwarcu zwykłego naprzeciw zakładu kamieniarskiego, również znajdują się ogromne pokłady najprzedniejszego kwarcu do fabrykacyi kamieni młyńskich w górze zwanej Tokarnia, a mianowicie na północno-zachodnim jej stoku. Wschodni stok Tokarni pokrywają najpiękniejsze budowlane granity w wielkich bryłach oraz i litej skale, są grubo i drobno ziarniste, przeważnie siwego koloru, napotykają się także konglomeraty kwarcowe. Na północnym stoku piaskowej góry leżą znaczne pokłady kwarcytu płytowego w bryłach. Odkrywaliśmy płyty tegoż w rozmiarach od 10 do przeszło 30 centim. grubości, a wielkości mniej więcej 2—3 metrów kwadr. powierzchni. Spodem na stoku góry od drogi ku potokowi znajdują się dołem więcej szlachetne kwarce kolorowe.

Pan Czudowski pokazywał mi w mniejszych okazach znalezione pięknie ubarwione ametysty, kwarc górski, rogowce krawniki i spaty. Mają znajdować się także opale, chalcedony, achaty. Niedaleko mieszkalnego domu ku Skałce napotykają się bryły marmuru szarego oraz czerwonego z białemi żyłami, w dolinie zaś Suchego Potoku całe pokłady marmuru czarnego litego i żyłkowatego. Wszystkie pokłady są zupełnie odkryte i wchodzą głęboko jako lite skały. Wapień w dobrej formacyi równie obficie się znachodzi, jak nie mniej łupki marglowe niedaleko karczmy Zdziarskiej po obu stronach potoku w różnych grubościach, lecz o ile z leżących na powierzchni sądzić można było, małej wartości.

Lecz wracam do miejsca, w którem pozostawiliśmy konie, tj. na wstępie do doliny Suchego Potoku. Pieszo ztąd udaliśmy się wśród pięknych świerków zwanych smrekami (świerkami nazywają miejscowi, modrzewie często tutaj napotykane). Droga prowadzi wśród lasu, po za którym wysuwają się po obu stronach szczyty Tatr. Przed nami Skalne Wrota, na prawo Długi Wirch, dalej Kobyli i Czesnawa. Droga prowadzi ciągle wśród bujnego lasu zwolna pod górę. Po głębokiem śniegu. w cieniu przy mrozie szło się jako tako, gdy jednak słońce się wzniosło a powierzchnia śniegu zmiękła, brnęliśmy po pas nagle zapadając się to znowu przewracając przez pokryty śniegiem sterczący pień ściętego smreka, tak, że rękami i nogami drogą torować sobie musieliśmy. Przeszło półtory godziny zajęła nam ta przykra przeprawa, zanim stanęliśmy pod górą zawierającą marmur. Już po drodze spotykaliśmy tu i owdzie sterczące bryły z pod śniegu, niby rozstawione widety. Teraz znaleźliśmy się w jego królestwie. Góra marmurowa leży na prawo naszej doliny. Do 200 kilkudziesięciu metrów trzeba było piąć się w górę po bezdennym śniegu, aby dostać się do znacznych bloków czarnego marmuru, leżących w zamkniętej, półkolem otaczających ją skał marmurowych dolinie. Współtowarzysze moi łapiąc się za gałęzie świerków od jednego do drugiego, coraz dalej wspinali się tym sposobem w górę. Ja wybrałem drogę za naszym przewodnikiem i to wprost po śniegu idąc na kolanach, bo w ten sposób tylko można było tędy bez

zapadnięcia się po szyję w śniegu wydostać sią do góry. Za dobre 2 kwandranse tej przeprawy a raczej męczarni, byliśmy z przewodnikiem u celu. Na stoku 2 szczytów utworzyła się kotlinka spadzisto w górę sie pnąca, w której sobie mały potoczek, z topniejącego zasilający się śniegu rozłożył koryto.

Śniegi zmarzłe zakrywały go naszym oczom, słyszeliśmy tylko szum jego gdzieś daleko i głęboko pod nami, miejscami tylko jak gdyby szukał powietrza, przerywał śnieg odkrywając w głębokości przeszło metra swoją czystą, po skałach marmurowych spadającą wodę. Górale obecni do odkrywania śniegu wzięci, odrzucali go w kilku miejscach, by odkryć nam bogate pokłady czarnego marmuru, ściany zaś prostopadłe ponad nami wiszące wolne od śniegu pokazywały jak znaczne w głębi gór znajdują się masy. Przeważnie leży tutaj marmur czarny, wierzchnica jego jest więcej szarawą i biało żyłkowaną w głębi zaś kolor czarny coraz ciemniejszy. Po zebraniu kilkunastu pięknych prób z różnych bloków odpoczęliśmy. O ile zebrane próby świadczą, marmur Suchego Potoku zaleca się pięknością oraz jednostajnością koloru i zbitością materyału, pominąwszy już położenie łomów i łatwość wydobycia, całe bowiem pokłady leżą odkryte, to w skałach litych to w kolosalnych rozrzuconych blokach, na stoku wzgórza w pobliżu drogi. W obrobieniu jest łatwy, pod dłutem pomimo twardości łatwo uległy a równy w słoju. Szlifować daje się łatwo i przyjmuje śliczną politurę.

Słońce było już wysoko nad nami a zegarek wskazywał drugą godzinę. Przed nami roztaczał się przy pogodnem niebie najcudowniejszy widok w dolinę całego Białego Potoku oraz ku Skalnym Wrotom i wdal przez kotlinę ku nizinom Beli i Kezmarku. Bez pomocy szkła mogło jak najdalej zasięgnąć oko, tak czyste i lekkie było powietrze. Ponad nami w tyle zawisła wśród skał marmurowych olbrzymia lawina śnieżna, spadła zapewne podczas ostatniej roztai a zamieniona w tysiące brył większych i małych bryłek śniegu zlodowaciałego, leżących bezładnie w największym chaosie. Słońce oświetlało to panorama tworząc miryady błyszczących dyamentów o tęczowych barwach tak, że nie mogliśmy nasycić się tym tak cudownie pięknym widokiem. Lawina zakrywała cały stok wzgórza ponad kotliną, na której siedzieliśmy, przypominającą położeniem i widokiem rozległym wygodną teatralną lożę. Na lewo skały spadziste marmuru, na powierzchni zwietrzałego, leżące w cieniu ale i tu czekało nas przepyszne zjawisko. Skała ta prawie prostopadła około 10 m. kwadr. obszaru, wolna od śniegu, pokryta była natomiast pofałdowaną w najpiękniejsze rysunki 10 m. m. mniej więcej grubą warstwą przejrzystego jak kryształ lodu, po pod którym woda utworzywszy sobie miejscami drogę po całym obszarze tej skały, tworzyła wolno płynąc najcudowniejszą srebrnej barwy, niby morową falującą materyą. Pod tem wrażeniem widoku pełnego piękna, zapomnieliśmy prawie o powrocie, chociaż po trudach naszych głód tego wymagał. Z żalem lecz koniecznością powodowani, rozpoczęliśmy odwrót.

Spadzistość góry trochę była znaczna, zejść jednak było koniecznością, ale w jaki sposób? nie było rady, bo iść przed siebie niepodobna, a na tak zwanych niekutych saniach wsparci jeden na drugim w rodzaju łańcucha, zjechać na dół także niepewne, bo nie zbyt przyjemnie trafić przy podobnej przejazdce na ukryty pień drzewny lub kamień sterczący. Schodzić po pierwszych śladach, głębokich lub pod wpływem słońca zwilżonych i slizkich, było to narazić się na podobną po wyższej przejazdce, tylko z tą różnicą, że głową na dół. Krótka rada najlepsza! Wpadłem na myśl odbić jednę z dolnych lodowych brył lawiny. Powoli stoczyliśmy tę nieforemną masę na stok naszej Charybdy, a potem sama rosnąc w każdej sekundzie w olbrzymie kształty, torowała nam bezpieczną, ubitą drogę na dół, niby śnieżnym wąwozem i spadła nareszcie z wielkim hukiem, nieuskodziwszy się zupełnie.

Prędko za śladem jej dostaliśmy się na dół pozostawiając z żalem najpiękniejsze wrażenia i widoki za sobą. Na dole podziwialiśmy jeszcze ogrom naszej śnieżnej baby, której ta przejazdka dobrze posłużyła, bo utyła kolosalnie, poczem osiadła wygodnie na głębokim śniegu. Pożegnawszy się z tym pomnikiem, niestety nie wiecznym naszej fantazyi, po śladach rannych głęboko na śniegu zarytych, powróciliśmy spiesznie, o ile było można, w tych śnieżnych kajdanach do naszych koni. Z pomocą nas trzech oraz towarzyszących nam górali, udało nam się wyprowadzić konie ze śniegu i uwięzgłe sanie wyciągnąć, poczem około godziny wpół do 4tej stanęliśmy w Kardolinie, gdzie nas obiad na jaki żona stróża kardolińskiego zdobyć się mogła, oczekiwał. Po obiedzie poszliśmy ku skale kwarcowej, a potem drogą bialską, leżącą po prawej stronie potoku ku Zdziarom, gdzie szukaliśmy prób marglowych, naszczęście śniegiem nieprzysypanych, w bogatych pokładach, o których powyżej już wspomniałem. Wieczorem dopiero przy zmierzchu powróciliśmy do domu, gdzie pogadanka i wspomnienia wrażeń całodziennych uprzyjemniały nam długość zimowego wieczoru w Tatrach. Na następny dzień zamówiliśmy górali robotników do łamania w pokładach marglu cementowego, którzy wcześnie zrana znaleźli się budząc nas ze snu twardego, po naszych trudach wczorajszych.

Ranek nie bardzo nam sprzyjał, bo mgły znowu zakrywały szczyty. Rozstawiwszy robotników na miejscach prób ubiegłego dnia, oraz zwiedziwszy piec służący do wypalania cementu, (około 1000 kilogr. na jeden raz), powróciliśmy do domu; popołudniu zaś około trzeciej udaliśmy się przez Szarpaniec Rakuzy (Rokusz) Forberg do Kezmarku. Pogoda zaczęła się z wolna po przebiciu promieni południowych słońca wyrabiać tak, że nim przebyliśmy stoki góry, Palonicy, pod którą skała Chotka (Kotką zwana od podobieństwa wspinającego się kota), zamykającej kotlinę od Beli oraz las leżący na małej pochyłości, zwanej Lajland, ukazały nam się w odległości może 5ciu kilometrów wieżyce starej Beli, a przed nami wychyliła się z za lasu leśniczówka i karczma zwana Szarpańcem, na brzegu lasu leżące. Ztąd poraz pierwszy zobaczyliśmy na prawo ponad lasami królową Tatr „Łomnicę“ wychylającą się z poza białej ściany wraz z jej sąsiadkami Grzebieniem Łomnickiem i Kezmarskim wierchem w całej okazałości.

Od Szarpańca skręciliśmy w bok na prawo ku Rakuzom. Wkrótce lasy, przez które ku Kezmarkowi jechaliśmy zasłoniły nam wspaniały widok na Tatry, który dopiero w całej pełni roztoczył się przed nami na nowo pod Forbergiem, zkąd już i wyżyny poza Kezmarskie widoczne. O godzinie 6tej wieczorem przyjechaliśmy do Kezmarku. Ztąd w całej wspaniałości roztacza się przed nami Łomnica z przyległym jej Kezmarskim wierchem, z poza którego Lodowy się wysuwa, dalej Sławkowski Wierch a w ostatku Gerlach, król Tatr, który jako najwyższy wraz z Batyzowieckim Szczytem cały krajobraz dalszy zamyka. W dalekiej mgle wieczornej zachodzącemi promieńmi słońca, słabo oświecony zarysował się Królewski Wierch na Liptowie. Celem podróży naszej do Kezmarku, a następnie Beli był po części interes, a zarazem chęć wytchnienia w liczniejszem towarzystwie. W dobrze urządzonym hotelu p. Humańszkiego przy rynku znaleźliśmy wszelką wygodę i zanocowaliśmy tutaj.

Towarzystwo liczne węgierskie, do którego się za łaskawem przedstawieniem przez majora p. Döllera, wice-prezesa i podskarbiego Towarzystwa Karpackiego węgierskiego, przyłączyliśmy, wpłynęło na nas tak znakomicie, że dopiero około pierwszej godziny pomyśleliśmy o spoczynku. Na drugi dzień złożywszy wizyty, których interes wymagał, i załatwiwszy rachunek, udaliśmy się do Beli około połu-

dnia, zachowując jak najprzyjemniejsze wspomnienie o gościnności węgierskiej w Kezmarku.

Miasto Kezmark bardzo dobrze zbudowane, liczy 4000 mieszkańców. W rynku i przyległych ulicach znaleźć można wiele ciekawych zabytków architektonicznych ubiegłego i początków XIX stulecia. Na środku rynku stoi piękny ratusz z powabną wieżycą. Zaraz zaś pod miastem stary zamek Tökölyego. Jest tu gimnazyum, 3 kościoły, z tych 2 ewangelickie, oraz fabryka krochmalu i jedna przędzalnia. Z dawnych zabytków tego niegdyś znacznego królewskiego miasta wolnego, mało pozostało, bo wskutek zatargów i wojen ulegał Kezmark kilkakrotnie. Początki założenia Kezmarku sięgają XI stulecia.

Najbliższa miejscowość po drodze ku Beli Sztraska, ze starem romantycznie wśród świerków po prawej stronie gościeńca położonem zameczyskiem, za którem pięknie urządzony obszerny rozlega się ogród.

W pół godziny dostaliśmy się do Beli. Dzień znowu niepogodny i szczyty zupełnie zakryte tak, że od strony Beli obraz Tatr z widokiem na spizką dolinę i dalsze przedgórza Karpat zupełnie niewidzialny. W Beli stanęliśmy w gospodzie tuż obok ratusza w rynku.

Bela dosyć dobrze zabudowana, składa się z rynku przedłużonego w dwie szerokie ulice, oraz kilku mniejszych, po wzgórzu rozrzuconych. Są tu 2 kościoły, z tych jeden ewangielicki. Założenie Beli przypada na XIII stulecie. Na środku rynku stoi ratusz, nowszy budynek. Ludność składająca się z około 3000 mieszkańców zajmuje się przeważnie chodowlą bydła, fabrykacyą sera, tudzież przędzeniem płótna. Bywają tu bardzo ożywione jarmarki.

Krótka wizyta u p. Langha, burmistrza Beli zjednała go nam najsympatyczniej. Udzielił nam z całą uprzejmością wszelkich potrzebnych nam objaśnień, poczem z wyrazem największej wdzięczności dla niego opuściliśmy Belę, aby już przy zmierzchu prostą drogą powiatową na Szarpaniec powrócić do Kardolina. Od Beli począwszy, zaczął nas na dobre prześladować śnieg.

O 7 godz. byliśmy na miejscu z powrotem. Pierwszą była myśl o odpowiednim posiłku, przyczem wszyscy trzej zdobyć się musieliśmy na całą sztukę kucharską. Po wyżyłowaniu zakupionego mięsa w Kezmarku i przysposobieniu go, jak umieliśmy, zapachł nam boęufsteak, w kilka minut przyrządzony, a ręczyć mogę że był znakomity, nie brakowało mu bowiem niczego, zapomnieliśmy tylko posolić go, czego się na talerzu dopełniło.

Wcześnie udaliśmy się na spoczynek, bo ranek drugiego dnia miał nas zawieść ku łomom granitu i kwarcu. O ile wcześniej udaliśmy się na spoczynek, o tyle później zerwaliśmy się z naszego posłania. Zaspaliśmy! Godzina 8ma rano, pośpiech więc najwyższy a sanie od godziny czekają. Na dworze wesoło, słonko znowu jasno świeci, a nieprzejrzystość szyb świadczy o nagłej zmienności pogody w Tatrach i silnym mrozie. Wyjrzawszy po za drzwi domostwa, spostrzegliśmy masy nawianego śniegu a górale objaśnili nas, że nocą była ogromna kurniawa, tj. zawieja śnieżna z wichrem, który mógł nas pomimo naszej wiedzy i woli wraz z całem domostwem zabrać. Pomimo zaspy pojechaliśmy z kilku ludźmi, którzy obok sań pieszo biegli do łomów. W pół godziny drogi jadąc ku Zdziarom po prawej stronie potoku napotkaliśmy konglomeraty kwarcu, a potem gruboziarniste granity z gór spadłe tuż obok drogi, zapowiadające niejako większe tychże bogactwo w górze. Woźnica stanął, a zadaniem naszem było drapać się na zachodni stok Tokarni dla obejrzenia litych skał granitu.

Po podobnej przeprawie jak w Suchem Potoku doszliśmy do celu i znaleźli wszystko, co tylko widzieć chcieliśmy. Współtowarzysze moi pomagali sobie wza-

jemnie przy wyjściu, mnie zaś pies mój szczęśliwie za danym znakiem na szczyt skały granitowej wyciągnął. Próby zabrane, a czas nagli, więc na dół i jazda do łomów kwarcytu.

Droga prowadzi około karczmy po bialskiej stronie, potem przez most na drogę Zdziarską, następnie na lewo do młyna i jesteśmy na miejscu. Dla przekonania się o jakości i rozległości łomów kwarcytu, kazaliśmy odkopać śnieg w kilku miejscach, tu i owdzie zaś badaliśmy odkryte płyty. Potem przeszliśmy przez tamę, w celu odprowadzenia wody do młyna potrzebnej na drugi brzeg potoku, by po stronie północnego stoku Tokarni, obejrzeć łomy kwarcytu, które tu w pięknych występują rozmiarach. Chcieliśmy jeszcze dolinę od strony zachodniej Tokarni przejrzeć i rozpoznać kwarcowe skały, ale śniegi nie pozwoliły nam dalej się udać i zmusiły nas do powrotu do domu. Na wszystkie strony roztacza się podczas całej tej drogi cudowny widok na Tatry. Szczyty ich grubym pokryte śniegiem błyszczały niby smaragdy przed nami.

Z powrotem spieszyliśmy ku domowi, bo nazajutrz mieliśmy powrócić do Nowego Targu, a sortowanie prób zebranych potrzebowało jeszcze dłuższego czasu i zajęło nam wraz z pakowaniem czas do późnego wieczora. Przy powrocie naszym niebo zachmurzyło się ogromnie, a silny wicher zapowiadał niedaleką burzę. Całą też noc szalał wicher z zamiecią snieżną tak silną, że pomimo wielkiego zmęczenia spać nie było podobna, a dopiero następny dzień powrotu w strony domowe miał nam przedstawić piękno a zarazem okropność Tatr w porze zimowej w całej pełni.

Zanim pożegnamy się z Kardolinem zwrócić jeszcze muszę uwagę na tegoż szczęśliwe położenie pod względem komunikacyi. Z Galicyą łączą go dwie drogi, jedna powiatowa przez Zdziarską Przełęcz, Podspady, Jurgów, Nowy Targ (jedyny przejazd przez Tatry), druga zaś boczna przez Lendak, Wyborną i Słowiańską wieś, lub też przez Belę. Najbliższą stacyą kolejową jest Poprad, Felka. W samym Kardolinie przechodzą dwie drogi po obu stronach Cieplicy, tak, że wszystkie pokłady margli, granitu i kwarcytu tuż przy drodze się znajdują. Podobnież wiodą dobre drogi do pokładów marmuru w dolinie Suchego Potoku tudzież do kwarcu po za Tokarnią.

Tak więc Kardolin ma nietylko pod względem bogactwa pokładów, ale i łatwości komunikacyi zapewnioną przyszłość, samo zaś położenie jest piękne i urocze. Bliskość wsi Zdziarów i Lendaka oraz miasteczek Kezmark i Beli jakoteż Zakładu zdrojowego Szmeks, przytem możebność pomieszczenia się w domach Kardolina powinnyby także i turystów naszych w tę piękną a niestety najmniej odwiedzaną część Tatr liczniej sprowadzić. Właściciel pan Czudowski chętnie zamierza zrobić odpowiednie ulepszenia a nawet i pod względem gastronomicznym o wygodzie turystów pomyśleć. Polecam więc szanownym turystom Kardolin i Zdziary. Z Kardolina można piękne wycieczki w Tatry odbywać jak do pobliskich jezior Zielonego, Białego, Czerwonego, Kołowego, na Łomnicę, Szczyt Kezmarski, Baranie Rogi itd. Pod względem florystycznym i mineralogicznym, oba te działy zalecają się tutaj niezmiernem bogactwem, a mniej były w tych stronach badane. Ciekawemi bardzo byłyby także badania geologicznych i hidrograficznych stosunków tej części Tatr.

Po prawie bezsennej nocy powitaliśmy ciemny burzliwy ranek. Wielka kurniawa miała się nam wkrótce w całej pełni przedstawić. Wyjazdu dla pośpiechu ku Krakowowi nie mogliśmy odroczyć, więc przy śniegu i wichrze opuściliśmy Kardolin podążając ku Zdziarom. Zaledwieśmy do karczmy dojechali, gdy szalona zerwała się burza. Konie odmówiły posłuszeństwa, z trudnością tylko dostaliśmy się w pobliże kościoła — dalej ani rusz — trzeba było pomyśleć o nowej parze do

pomocy. Przeczekaliśmy śród burzy dwugodzinnej otuleni w futra. I właśnie wtenczas kiedy się wicher uspokoił, opuszczali górale po skończonem nabożeństwie świątynię pańską. Chwila ta nastręczyła nam sposobność przypatrzenia się bliżej typom góralskim.

W krótce znalazł się i Góral z drugą parą koni oraz i kilku przewodników do dalszej drogi. Chętnie podjęli się tej przykrej przeprawy z nami, i to za bardzo miernem wynagrodzeniem. Wdzięczni jesteśmy Wam piękni mieszkańcy uroczych Zdziar, bo bez waszej pomocy i waszej gotowości, nie wiem jakbylibyśmy w dom zawitali. Tymczasem już rozjaśniające się niebo pokryło się na nowo mgłami a raczej tumanami śniegu, który śród wyjazdu naszego z pod kościoła, rozpoczął na nowo swe harce. Podobnej przeprawy nie przebyłem nigdy jeszcze, pomimo, że daleko i często już w górach podróżowałem.

Obfitszy padał śnieg z góry, lecz zarazem wicher zmiatający z wierchów przemarzłe śniegi, to znowu z dolin całe tychże wiodąc tumany, ostatecznie tak się rozsrożył, że jechaliśmy prawdziwie tylko Bożą kierowani opatrznością, nie widząc samych siebie, bo otoczenie było prawie jedną masą śniegu. Niebo, ziemia i Tatry składały teraz jedność, ale jedność straszną i groźną. O, któżby w podobnej chwili nie ukorzył się przed wielkością Boga natury. Wśród oceanu śniegu, wózek nasz był niejako łodzią rzuconą na rozbicie wśród fal śnieżnych. O groźne wtedy są Tatry!... Rozerwane wiatrem, jak błyskawicą, pędzą chmury roztrącając się wzajemnie. Na chwilę siła wichru roztrąci chmury, by jasne okazać niebo, niby dla zapewnienia ziemi, że jeszcze nie znikło, to znowu zapanuje ciemność ogólna. Zdawało nam się, że zawieja śnieżna zasypie nas wraz z końmi, to znowu że porwie, by roztrącić gdzieś o bliskie skały lub wtrącić w przepaść bezdenną. Po półgodzinnej jeździe wolnym stępem, prawie instynktem kierowały się konie, i tak stanęliśmy szczęśliwie na szczycie Przełęczy Zdziarskiej. Tu dopiero burza złamała się o silniejsze szczyty olbrzymich Tatr, tu ostatni jej wysiłek. Zamieć ustała a wiatr przepędziwszy chmury przez szczyty odsłaniał nam powoli najpiękniejsze panorama, jakie kiedykolwiek widziałem. Światło, cień, oraz ciemność prawie zupełna, zdawały się wśród mgły po spadzistych stokach Tatr olbrzymich niby ścigać, niby ze sobą o pierwszeństwo walczyć. Zjawisko to było tak piękne, tak pełne najwyższej poezyi w naturze, że nie mogliśmy oderwać oczu naszych od tego obrazu. Czyż zdołałoby pióro, opisać! pendzel uchwycić coś podobnego? Powoli promienie słońca przebijały zastępujące im mgły niby walcząc to znowu bawiąc się z niemi, raz tę drugi raz ową stronę szczytów światłem dnia rozjaśniając i ginąc naprzemian, ustępując ciemnościom nocy. W krótce choć w nie zupełnie czystym rysunku wystąpiły Tatry przed nami, oświetlone już zwycięzkiemi promieniami słońca, które uśmiechając się pogodnie, wypłynęło wolne, niby korab na oceanie niebieskich fal.

Przed nami ukazał się Hawrań, Widły, Murań, dalej Wołoszyn i Koszysta, reszta zaś szczytów zachodnich Tatr mgłą grubą czarną, nieprzeniknioną, zupełnie zakryta, stanowiła silny kontrast światła i mroku. Ku Zdziarom na wschód wśród mgły ponad szczytami granicznemi doliny Kotliny, wychylają śmiało białe zamglone czoła wierchy: Lodowy, Baranie Rogi, Gerlach, Sławkowski. Zachód leżał w najciemniejszej aż dolin sięgającej mgle, północ zaś zupełnie rozjaśniona najpogodniejsza pod czysto niebieskiem tłem firmamentu roztaczała daleki widok w dolinę Białki. O bogdaj wiecznie ten obraz pozostał w naszej pamięci!

Wolno zjeżdżaliśmy teraz ku Podspadom. Za nami pozostawiliśmy burzliwą, groźną zimę, przed nami zdała się uśmiechać wiosna. Mgły zachodnie coraz bardziej okalały najbliższe nam szczyty, zamykając powoli piękny widok na Tatry.

Zniszczenie po obu stronach lasu, którym obecnie na dół zjeżdżamy, jak najstraszniejsze. To skutki ostatniej burzy co tylko przebytej, która i tutaj na dobre szalała. Stosy drzew różnej grubości, z korzeniami powyrywane leżały w najdzikszym nieładzie, w innej stronie znowu świerki powalone, złamane i skręcone, to znowu pozbawione kory lub gałęzi zaścielały przestrzenie lasu, świadcząc o kolosalnej sile i natarczywości górskich wichrów. Dojeżdżamy do Podspadów, gdzie koniecznie musieliśmy wytchnąć i rozgrzać się przy ognisku. Mgły coraz bardziej rozpościerały się po górach, tak, że pożegnać musieliśmy tutaj poraz ostatni wychylające się jeszcze szczyty Hawrania i Murania, by je Bóg wie kiedy znowu zobaczyć. Śniegu po tej stronie było bardzo mało, zato padał deszczyk drobny. Ztąd musieliśmy już tylko własnemi powracać końmi, bo góral z pomocniczą parą nie chciał dalej odprowadzać nas mówiąc, że nawetby za 100 papierków (100 złr.) z nami dalej konno wśród lada chwilę mogącej się na nowo zerwać burzy a przytem i zmierzchu nie jechał, bo życie milsze mu niż wszystko. Wrócił więc nieborak ku Zdziarom. Mając tylko jednę parę koni do dyspozycyi a podług całego nastroju nieba, i zrywającym się wichrze nową kurzawę przed sobą, trzeba nam było dobrze pospieszać, by jeszcze przed odjazdem krakowskiej poczty stanąć w Nowym Targu. Do Jurgowa zajechaliśmy już po zachodzie słońca, ale jeszcze za widoku, droga wszędzie była wolna od śniegu ale cokolwiek deszczem nawalnym zepsuta, jechaliśmy więc bardzo wolno. Po przejeździe przez Białkę zatrzymało nas tuż przed karczmą dwóch pijanych górali, nie dając dalej jechać. Była to graniczna straż kwarantannowa węgierska, przeciw panującej w Galicyi zarazie na bydło. Źle jednak byli od swej władzy poinformowani, bo i powracających z Węgier zatrzymywali. Niemogąc dobrem słowem dojść do końca, udało nam się od tych natrętów tylko podcięciem koni uwolnić, przyczem obaj stracili równowagę a my uszliśmy nieprzyjemnej rewizyi, któraby nas była najmniej z pół godziny w Jurgowie zatrzymała.

Deszcz z początku grubemi spadający kroplami przemienił się nagle w ogromną ulewę, przyczem prawie egipskie zapanowały ciemności, tak, że nawet koni naszych dojrzeć nie mogliśmy, bo na parę kroków nic a nic widać nie było. Czasem tylko na chwilę ciemność nocy przerywające błyskawice, które w górskich okolicach o tej porze częstszem są zjawiskiem, dozwalały kierować końmi i oryentować się gdzie jesteśmy. O 9tej wieczorem przybyliśmy do Nowego-Targu zmęczeni i zupełnie przemokli, ale jeszcze na czas na pocztę, co jedynie nas pocieszało. Prędko kupiliśmy bilety i wyexpedyowali pakunki, a o w pół do dziesiątej siedzieliśmy już wygodnie w pocztowej karetce wiozącej nas ku Krakowowi. — Około 10tej rano następnego dnia stanęliśmy szczęśliwie przed Krakowską pocztą, zachowawszy na zawsze, pomimo wszelkich trudów i nieprzyjemności, z całej naszej tak ciekawej podróży zimowej do Tatr, jak najprzyjemniejsze wspomnienia.



WYCIECZKA
DO DOLINY CHOCHOŁOWSKIEJ
W LIPCU 1878 ROKU.

OPISAŁ

Dr. Alojzy Alth.



Dolina Chochołowska, najwięcej na zachód położona z dolin Tatrzańskich w Galicyi, należy do okolic mniej uczęszczanych przez gości w Zakopanem przebywających. A jednak i ta dolina i otaczające ją góry, jakkolwiek nie tak dzika, jak doliny wschodniej części Tatr, należy do najpiękniejszych dolin górskich.

Przyjechawszy w lipcu 1878 r. do Zakopanego z zamiarem dokładniejszego zbadania stosunków geologicznych Tatr galicyjskich, zwiedzałem i tę dolinę, i podaję tu poniżej krótki opis takowej, i wrażeń jakich doznałem na tej wycieczce.

Jak wiadomo, trzy pomniejsze rzeki biorą swój początek w poprzecznych dolinach galicyjskich Tatr, wszystkie trzy łączą się ze sobą w dolinie Nowotargskiej u północnych stóp tego pasma położonej, w jedną większą rzekę Dunajec. Od zachodu ku wschodowi postępując, natrafiamy najprzód na Czarny, potem na Biały Dunajec, a wreszcie na Białkę, odgraniczającą tę część Galicyi od Spiżu.

Czarny Dunajec powstaje ze złączenia się na gruncie wsi Witowa w miejscowości „Rostoki“ zwanej, trzech potoków, Chochołowskiego, Lejowskiego i Kościelskiego, drugi z nich jest o wiele mniejszy od tamtych dwóch, a jako tuż przed połączeniem onych wpadający do potoka Chochołowskiego, właściwie jeszcze do niego należy.

Ujście to leży w równinie u stóp gór położonej, w części lasem pokrytej, w części zaś polanami zajętej; po obu stronach potoku Lejowa leży polana „Biały Potok“, przy potoku Chochołowskim zaś Polana Siwa, obie te polany są zamieszkane, o czem świadczą rozsiane po nich porządne chaty góralskie.

Droga z Zakopanego do tych polan wiodąca jest ta sama, którą jedzie się do doliny Kościeliskiej, i biegnie najprzód w kierunku południowo zachodnim doliną Cichej Wody, stanowiącą część szerokiego podłużnego zagłębienia, które

ciągnie się wzdłuż północnych stoków Tatr od gór lesistych na granicy Orawy położonych, aż do gór wsi Bukowiny dzielących dolinę obu Dunajców od doliny Białki.

Droga nasza od ostatnich domów Zakopanego coraz więcej oddala się od koryta Cichej Wody, zbliżając się ku lesistym stokom właściwych gór Tatrzańskich, zwanym tu Reglami, których dosięga przy ujściu potoku Małej łąki, odtąd zaś trzyma się stoków Regli i ciągnie lasem aż do ujścia doliny Kościeliskiej. Dopiero wymienione podłużne zagłębienie zajmują czarne nieco żywiczne łupki marglowe, ułożone cienkiemi warstwami na przemian z równie cienkiemi warstwami ciemnego piaskowca, napełnionego niekiedy zwęglonemi szczątkami roślin, niedających się bliżej oznaczyć. Stoki Regli zaś składają warstwy ciemnego, niekiedy piaszczystego wapienia, napełnionego skamieniałemi skorupami nummulitów wygasłych już zwierząt z działu otwornic czyli roznóżek (Rhizopoda vel Foraminifera). Niektóre z tych skorup są większe i płaskie podobne do pieniążków (ztąd nazwa nummulity), inne są mniejsze i więcej wypukłe do soczewicy podobne, a te nazywają górale jarcem.

Nachylenie warstw obu tych utworów należących do dolnego ogniwa formacyi trzeciorzędnej, do eocenu, jest północne, kąt nachylenia jest największy w wapieniu nummulitowym, a staje się coraz łagodniejszym, czem więcej oddalamy się od właściwego podnóża Tatr w dolinę Zakopańską. Jeszcze dalej na północ, już w Poroninie, warstwy czarnych łupków stają się poziomemi, a następnie przyjmują nachylenie wprost przeciwne bo południowe; odtąd więc w miarę oddalenia się od Tatr ku północy wstępujemy znowu do coraz dawniejszych warstw.

W wyżej wspomnionej równinie, w której schodzą się trzy potoki dające początek Czarnemu Dunajcowi, nie widać żadnych odsłoniętych skał, wszystko zalega żwirowisko z dużych brył kamiennych zaokrąglonych, z gór naniesionych złożone, których staranne usunięcie jest pierwszym warunkiem obrócenia jakiegokolwiek placu w tutejszej okolicy czy to na polanę, czy to na mały ogródek owsem zasiany, albo ziemniakami zasadzony. Jazda wózkiem góralskim trwająca od Zakopanego najwięcej półtory godziny, doprowadzi nas do ujścia pięknej doliny Chochołowskiej, która aż po polanę Chochołowską zwiedzaną być może na wózku, bo tu istnieje droga wozowa, jakkolwiek miejscami kamienista, zawsze jednak o wiele lepsza od drogi, doliną Białki do Morskiego Oka prowadzącej.

Dolina Chochołowska składa się z trzech pomniejszych dolin, biorących swój początek bezpośrednio pod skalistemi stokami trzech wysokich szczytów, Wołowca, Szczytu Jarzębczego i Szczytu Starorobociańskiego. Pod pierwszym leżą źródła potoku Chochołowskiego, pod drugim potoku Jarzębczy, pod trzecim nareszcie źródła potoku Starorobociańskiego. Dolina Chochołowska i Jarzębcza łączą się nieco powyżej szałasu Chochołowskiego, a połączony tym sposobem potok Chochołowski, odbijając się od południowych stóp Bobrowca czyli Jambura, przy samej Polanie Chochołowskiej zmienia swój kierunek pierwotnie czysto północny na północno-wschodni, trwający aż do punktu połączenia się jego z potokiem Starorobociańskim, który w kierunku południowo-północnym ze stoków Starorobociańskiego Szczytu spadając, nadaje ten swój kierunek dolnej części doliny, którą odtąd płynie już połączony potok Chochołowski.

Zaraz na wstępie do doliny Chochołowskiej uderza nas widok wspaniałej skały, po lewym boku potoka nagle wystrzelonej, jest to „Siwa Turnia“, ciągnąca się w kierunku południowo zachodnim, jej stoki wschodnie ku dolinie Chochołowskiej zwrócone stanowią niemal pionową ścianę, jej grzbiet na kilka odosobnionych turni jest podzielony. Do skały tej, z daleka bielejącej się, bliżej przy-

stępując, przekonamy się, że ona składa się z jasno szarego drobno-ziarnistego mocno popękanego dolomitu, ułożonego w warstwy od 0,3 do 3,0 metrów grube, mające kierunek niemal czysto zachodnio-wschodni (h. 6 kompasu górniczego), a pod kątem 30° ku północy nachylone. Niektóre z tych warstw stanowią wyraźny źlepieniec dolomitowy, gdyż różnej wielkości nieco zaokrąglone okruchy szarego zbitego dolomitu są tu spojone białym krystalicznym dolomitem, inne cieńsze warstwy zaś są ciemniejsze i twardsze, poprzerzynane rzadszemi żyłami białego wagnoszpatu; skamielin żadnych znaleść tu nie mogłem.

Zupełnie podobny dolomit okazuje się po prawym brzegu potoka, tu jednak w ściankach niższych mniej wyraźnych; wapienia nummulitowego zaś, przy ujściu doliny Kościeliskiej i na początku doliny Lejowej wyraźnie występującego, w dolinie Chochołowskiej nie widać, można go jednak zobaczyć dalej na zachód u stóp gór Orawskich.

Powyżej Siwej Turni występują na prawym brzegu potoka pomniejsze, jednak wyraźnie odsłonięte skały z podobnych jak Siwa Turnia, tylko twardszych, złożone dolomitów jasno szarych i mocno popękanych, w części okruchów, miowych, tudzież z dolomitu jeszcze ciemniejszego i bardzo zbitego o przełamie zadzierzystym. Warstwy tych dolomitów mają zazwyczaj do jednego metra miąższości, i kierunek zachodnio-wschodni (h. 7); ich nachylenie jest północne, i wynosi 20°, a nieco wyżej jeszcze się zmniejsza.

Jeszcze wyżej w dolinie widać przy ujściu bocznego potoka, tak zwanemi Koryciskami od góry „Kryty“ do Chochołowskiego wpadającego, a to na północ od jego ujścia, drugą piękną skałę z jasno szarego dolomitu, stanowiącą wschodni koniec pasma skalistych turni ciągnących się ztąd ku zachodowi.

Za tą skałą wejrzenie doliny nieco się zmienia, nie widać więcej żadnych skał, a wszystko jest lasem pokryte, co świadczy o tem, że w tem miejscu znachodzą się warstwy miększe, których jednak dla braku obnażeń spostrzedz nie można.

Jeszcze wyżej około ujścia dolinki zwanej „Długa od Jaworzynki“ występują przy drodze znowu skały od powyżej opisanych nieco odmienne, dolomity jasno szare, zupełnie zbite i twarde, przerzynane białemi żyłkami i ułożone warstwami cieńszemi, których kierunek także się różni od przeważającego w tej dolinie kierunku, bo jest północno-wschodni (h. 4), nachylenie warstw zaś pod kątem 20° północno-zachodnie. Bezpośrednio pod temi dolomitami pojawiają się naprzeciwko ujścia tej dolinki ciemniej szare, dosyć twarde łupki i marglowate wapienie, ułożone na przemian z łupkowemi marglami, w których znalazłem jednego małego, bliżej nieoznaczalnego belemnita, i skorupy aptychów, należące prawdopodobnie do gatunku Aptychus lamellosus Münster, coby przemawiało za przynależnością tych wapieni do formacyi białego Jura.

Łupki te marglowe, których warstwy mają znowu kierunek czysto wschodni (h. 6), a nachylone są pod kątem 40° ku północy, trwają aż do Polany Huty, gdzie dolina, właśnie wskutek miększego materyału składającego jej boki, znacznie się rozszerza. Stoki tutejszych gór nie są porosłe lasem, owszem istnieje tu polana piękną trawą zarosła.

Powyżej tej polany dolina wnet znowu się zwęża, z obu stron przystępują wysokie skały aż do samej rzeczki, tworząc rodzaj bramy podobnej do Bramy Kościeliskiej. Jestto wapień szary dolomityczny twardy, jednak tak popękany, że niepodobna otrzymać z niego większych okazów, wszystkie szczeliny wypełnione są białym krystalicznym dolomitem, w wyraźnych rombościanach wykształconym. Warstwy są bardzo grube, tak, że skała wydaje się niemal masową, ich nachylenie jest północne i bardzo strome tak dalece, że stoją niemal pionowo.

To skaliste zwężenie doliny nie trwa długo, nieco wyżej bowiem dolina znowu się rozszerza, a przyczyną tego rozszerzenia i tutaj jest skład geologiczny, widać tu bowiem znowu łupki szare marglowe, różniące się jednak petrograficznie od poprzednich bo są ciemniejsze, więcej iłowate i doskonalej łupkowe, żółto wietrzejące, a także ku północy nachylone.

W tych marglach miały się dawniej znajdować kopalnie na rudę żelazną, której okazy jeszcze teraz w dolinie znaleść można, kopalnie jednak zupełnie są zaniechane. To drugie rozszerzenie doliny mniejszem jest od poprzedzającego, dolina wnet znowu się zwęża, a pojawiają się wysokie urwiste skały tworzące drugą, od poprzedniej wyższą i wspanialszą bramę, tu bowiem rzeczka przedarła się przez malownicze pasmo Kominów, tworzących wysokie i urwiste turnie.

W dolinie widać tylko dolomit szary drobnoziarnisty, mocno popękany i poprzerzynany białemi krystalicznemi żyłkami, przez co staje on się niemal okruchowcowym. Dolomit ten petrograficznie niczem się nie różni od dolomitu składającego Siwą Turnię na wstępie do doliny Chochołowskiej położoną. Warstwy jego są grube, stoją niemal pionowo, i zdają się mieć kierunek niemal północno-południowy (h. 1), z nachyleniem ku zachodowi, uwarstwowanie to jednak nie jest wyraźne. Powyżej tego dolomitu w dolinie, a więc wedle nachylenia warstw pod nim, leży inny wapień jasno szary zbity, także poprzerzynany białemi krystalicznemi żyłkami, a tworzący również wysokie i urwiste skały.

Za temi skałami widać tylko masę głazów z góry z Kominów spadłych, a świadczących o geologicznej budowie tych turni. Są to wapienie różowe albo czerwone krystaliczne, w przeważnej części z cienkich walcowatych słupków krynoidowych złożone, tudzież wapienie zbite czerwono i szaro nakrapiane bez skamielin. Właściwego stosunku zachodzącego między temi wapieniami a warstwami krynoidowemi, tudzież między temi ostatniemi a powyżej opisanemi szaremi dolomitami i wapieniami, dotąd wyśledzić nie zdołałem.

Następnym utworem w wyraźnych skałach występującym jest wapień ciemno szary twardy i krzemienisty, a raczej zawierający mnóstwo drobnych ziarnek kwarcu, które przy rozpoczynającem się zwietrzeniu skały sterczą z wapienia i nadają mu powierzchnię szorstką, do powierzchni piaskowca podobną. W kwasie chlorowodowym wapień ten rozpuszcza się łatwo, jednak tylko w części, pozostawiając znaczną ilość piasku. Wapień ten zawiera ślady skamielin, które jednak tak szczelnie ze skałą są zrosłe, że z niej wydobytemi być nie mogą; tylko na zwietrzałej powierzchni widziałem dwa okazy dużych spłaszczonych belenistów jednak tak źle zachowane, że bliżej oznaczyć się nie dadzą. Warstwy tej skały od 0,3 do 0.5 metrów grube, mają kierunek h. 6, i są pod kątem 55° ku północy nachylone. Wapienie te trwają nietylko aż do punktu połączenia się dwóch potoków, Chochołowskiego i Starorobociańskiego, ale wzdłuż pierwszego sięgają jeszcze o kawałek wyżej, poczem dopiero występują pod niemi drobnoziarniste wapnisto-krzemieniste piaskowce, po zwietrzeniu dziurkowate, białawe albo czerwone; a jeszcze wyżej, przed samą polaną Trzydniówką, pojawia się drobnoziarnisty zlepieniec kwarcowy czyli piaskowiec krzemienisty jasno szary i płytowaty. Powyżej polany Trzydniowki rozszerza się dolina, i okazuje się wypełnioną wielkiemi masami głazów skał granitowych i gnajsowych. Nasypiska te tworzą pochyłość rozlegającą się u stóp południowych góry Jambur czyli Bobrowiec, złożonej w swej południowej części z wyżwspomnionego krzemienistego wapienia. Pochyłość ta tworzy obszerną Polanę Chochołowską, kilkanaście się tu znajduje zabudowań tylko podczas lata zamieszkałych, a składających się z chaty i stajni; cała polana zaś podzieloną jest na wązkie pasy, własnością różnych gospodarzy

będące, a służące na zbiór siana. Zaraz po zebraniu siana rozwożą po polanie nawóz podczas lata zebrany, w skutek czego na przyszły rok znowu ładnej trawy spodziewać się mogą.

Nad polaną ciągnie szereg pięknych wysmukłych turni, do zębów grzebienia podobnych, miejsce to nazywają „pod Mnichem“, a wznoszącą się za temi zębami górę Mnichem, Jamburem albo Bobrowecm (Hruby Wirch na mapie 1663,8 metr). Z polany Chochołowskiej (leżącej wedle mapy c. k. Zakładu wojskowo-geograficznego 1139,6 metrów nad poziomem morza), śliczny jest widok na stojące na wschodzie Kominy, na których południowym końcu widać ogromną skalistą ścianę, a na niej z daleka spostrzec można uwarstwowanie skał te turnie składających, warstwy nieco łukowato wygięte bardzo stromo ku północy spadają. Od południa zamyka tę dolinę skaliste półkole, tworzące boki Wołowca, przez tutejszych juhasów Hrubym Wirchem nazwanego, od zachodu zaś ciągnie wznoszący się nad granicę kosodrzewiny Długi Upłaz, którego grzbietem idzie granica Orawska.

Korzystając z pozostających mi jeszcze kilku godzin dziennego światła, wyszedłem dolinką małego potoka bocznego na mapie nazwą „Chochołowka potok“ oznaczonym, na przełęcz Bobrowską, którą dawniej zwożono rudę z kopalni przy zachodnich stokach Bobrowca położonej. Po północnej stronie dolinki na przełęcz prowadzącej, widać owe już wyżej opisane szare krzemieniste wapienie, drugą jej stronę zaś zajmują białawe i czerwone ziarniste kwarcyty, w których drobne ziarnka kwarcu niekiedy zmięszane bywają z równie drobnemi cząstkami zwietrzałego skalenia, zkąd pozostały prawdziwe arkozy. Niekiedy rozsiane są w tej masie także większe ziarna białego albo szarego kwarcu, z czego powstają ślepieńce kwarcowe. Oprócz tego widać w potoczku także głazy gnajsu.

Idąc od tej przełęczy w kierunku północnym wzdłuż zachodnich stoków Bobrowca do dawnej kopalni, z której rudę wożono niegdyś do Zakopanego, widać ciągnący się od przełęczy w dół wzdłuż zachodnich stoków doliny Bobrowskiej już do Orawy należącej, pas czerwony z daleka w oczy wpadający; są to czerwone iłowe łupki leżące na tutejszych kwarcytach, łupki te nazywają tu suchemi łupkami, bo nie zawierają rudy.

Wapień szary krzemienisty tu na dziale nie jest wyraźnie odkryty, a prawdopodobnie zajmuje już dolną część północnych stoków leżącej na południe od tej przełęczy góry (Łuczna i Kończyste na mapie), która jednak tak gęsto trawą i krzewami jest zarosłą, że żadnych tu nie widać kamieni. Pierwsze skały zaś, które widziałem idąc od przełęczy zachodniemi stokami działu ku północy, należą już do szarego, białemi żyłami poprzerzynanego dolomitu, zupełnie odpowiadającego dolomitowi z bramy powyżej Polany Huty w dolinie Chochołowskiej położonej, a w tym dolomicie leży na kilkadziesiąt sążni szeroki pas, w którym widać u spodu żółtawo-zielony tłusty łupek, w skutek zwietrzenia czerwono nakrapiany, nad nim zaś pas czerwony, złożony ze skały składającej się z zaokrąglonych bryłek czerwonego, i z ułamków zielonego tłustego łupku, spojonych białym krystalicznym wapieniem albo dolomitem. Właśnie w tym pasie znajdowano rudy żelazne, których mocno zwietrzałe okazy jeszcze teraz porozrzucane leżą na przełęczy, gdzie je ładowano na wozy dla przywiezienia do Zakopanego; na tym czerwonym pasie nareszcie leży potężna masa szarego dolomitu składającego górę Bobrowiec.

Wróciwszy do przełęczy udaliśmy się ztąd w odwrotną stronę na południe. Tu trzeba było drapać się na górę Kończystą, bardzo stromą, gęstemi krzewami, a wyżej kosodrzywiną zarosłą pochyłością, gdzie odsłonięte są pomniejsze skały, tam widać, że górna część tej pochyłości i szczyt z którego spada, składa się z już kilkakrotnie opisanego białego i czerwonego kwarcytu, trwającego aż do drugiej już

w kosodrzewinie leżącej przełęczy. Szczyt między temi przełęczami leżący na mapie oznaczony jest nazwą Luczna i ma 1651,1 metrów wysokości.

Od tej drugiej przełęczy wznosi się znowu grzbiet coraz wyżej, i przyjmuje nazwę Długiego Upłazu, który wznosząc się do 1878,8 metrów po nad poziom morza, łączy się ze szczytem Wołowca, którego wierzchołek stromo ku temu grzbietowi spada. Na grzbiecie Długiego Upłazu bardzo obszerny otwiera się na zachód widok na kilka dolin Orawskich, widok ten zamyka od zachodu góra Osobita, od południa zaś wysokie i skaliste pasmo Rohaczów.

Dla spóźnionej pory nie mogliśmy już tego dnia iść dalej grzbietem Długiego Upłazu, owszem małą dolinką Kruźlik zwaną, spuściliśmy się w dolinę Chochołowską, idąc najprzód w kierunku południowo-wschodnim, a odwracając się następnie ku północnemu wschodowi. W górnej części tej dolinki widać tylko drobno ziarnisty zielonawy granit zawierający małe blaszki ciemnej miki, później zaś dolinka odwracając się ku północnemu wschodowi powraca do kwarcytu, którego wyraźnie odsłoniętą skałę widać w dolnej jej części. Kwarcyt ten jest drobno ziarnisty wyraźnie warstwowany, warstwy jego od 0,5 do 1 metra grube mają kierunek zachodnio-wschodni (h. 6), a nachylenie bardzo strome (70°) ku północy, widać tu przeto wyraźnie, że kwarcyt ten leży bezpośrednio na granicie.

Powróciwszy wieczorem na polanę Chochołowską, pokrzepiłem się wieczerzą z przywiezionego prowiantu i szklanką herbaty, siedząc na trawniku przy tutejszych chatach i korzystając z pięknego wieczora i prześlicznego widoku na otaczające góry, dopóki zapadający zmrok na to zezwalał, poczem udałem się na spoczynek na strzechę nad stajnią, gdzie w świeżem sianie doskonale przespałem piękną i krótką lipcową noc. Na drugi dzień rano zaś, odprawiwszy wózek do doliny Starorobociańskiej, gdzie konie na mnie czekać miały, puściłem się z przewodnikami w drogę na Wołowiec i otaczające go góry.

Scieżka prowadzi doliną Chochołowską w kierunku południowo-zachodnim do leżącego nieco wyżej w tej dolinie szałasu Chochołowskiego, powyżej którego łączy się z tą doliną spadająca od południowego wschodu dolina Jarzębcza, powyżej tego punktu zaś dolina potoku Chochołowskiego coraz raźniej się wznosi, przyjmując kierunek niemal czysto południowy.

Cała dolina Chochołowska spadłemi z otaczających gór głazami jest zasypana, które w dnie doliny są z sobą zmięszane, dlatego skład otaczających ją wierzchów tylko albo ze skał z ich boków sterczących, albo z głazów wysoko na ich stokach leżących, albo przynajmniej z pewnej bocznej dolinki naniesionych poznać można.

I tak idąc od polany Chochołowskiej główną doliną ku Wołowcowi, widziałem między głazami rozsianemi w bocznym potoku, spadającym z Długiego Upłazu między polaną Jarzębczą a szałasem Chochołowskim, okazy drobnoziarnistego zielonawego granitu, zawierającego drobne blaszki ciemnej miki, a na jednym z tych okazów widać zrosły z tym zielonawym granitem drugi zupełnie odmienny granit jasno różowy. Pierwszy jest zupełnie podobny do granitu z dolinki Kruźlik dnia wczorajszego na miejscu zebranym, granit różowy zaś różni się od tamtego brakiem oligoklazu, obecnością pięknie różowego ortoklazu, większą ilością drobnych ziarnek szarego kwarcu, i znacznie mniejszą ilością ciemnej miki. Są to więc dwie zupełnie odmienne skały, które nie mogły równocześnie i na tem samem powstać miejscu, a to tem mniej, gdy między temi dwiema odmianami nie ma żadnego przejścia, owszem granica między niemi, jakkolwiek szczelnie ze sobą są zrosłe, jest wcale ostro naznaczona. Przyjąć przeto należy, że ten różowy granit jest od tamtego nowszy i wypełnia w nim żyłę, jakkolwiek twierdzenie to, dopóki

nie zobaczy się na miejscu skałę z której owe głazy pochodzą, jest tylko prawdopodobnem przypuszczeniem. W głównej dolinie Chochołowskiego potoku rozsiane są głazy granitu przeważnie białego po części drobno- po części zaś gruboziarnistego, i zawierającego mikę jasno ubarwioną albo białą. Lasy szpilkowe, okrywające dolinę i część stoków gór, w miarę wzniesienia się doliny powoli zanikają, i wchodzi się w krainę kosodrzewiny, rozlegającej się szerokiemi płatami nietylko po stokach gór, ale także na dnie pięknej kotliny, zakończającej dolinę Chochołowską u samych stóp Wołowca. Kotlina ta kończy się od północy niskim wałem nagle na północ spadającym, a dowodzącym, że niegdyś i tu musiał istnieć staw obecnie głazami zasypany a w części kosodrzewiną zarosły: dopiero wspomniony wał składa się z dużych głazów granitu białego albo zielonego. Zwierciadła tych stawów, tu ze szczytu Wołowca widziane, wyglądały niemal czarno.

Wyżej wymienione pasmo Rohaczów tworzy jednę całość z drugim grzbietem mało tylko powyginanym, który, zacząwszy od szczytu Wołowca, stanowi granicę między Galicyą a Liptowem, trzymając się w całej swej rozciągłości przeważnie kierunku zachodnio-wschodniego. W tem to pasmie ogólna wysokość grzbietu wynosi od 1800 do 1900 metrów, a wystające nad nim szczyty dochodzą do 2100 i 2200 metrów.

Nim jednak przystąpię do nieco dokładniejszego opisania tego pasma, nadmienić muszę, że co do nazwisk nietylko pojedynczych szczytów, ale nawet i dolin tatrzańskich jeszcze wielka istnieje niepewność. Już prof. E. Janota w swojem dziełku „Przewodnik w wycieczkach na Babią Górę, do Tatr i Pienin (Kraków 1860 r.) na str. 25 wspomina: że w ogóle niekiedy dosyć trudno dowiedzieć się dokładnie nazw w Tatrach, a najlepszym dowodem tej niepewności jest właśnie niezgoda istniejąca między nomenklaturą przez Zejsznera [1]), Janotę, na dużej mapie Galicyi wydanej przez c. k. Zakład wojskowo-geograficzny w Wiedniu, i na mapie Tatr wydanej przez prof. Kolbenheyera z polecenia węgierskiego Towarzystwa Karpackiego [2]) używaną, ktorą to niepewność powiększa jeszcze i ta okoliczność, że wiele szczytów inne mają nazwiska u górali galicyjskich, a inne u liptowskich i spiskich.

I tak np. Zejszner uważa, jak to i w obecnej rozprawce przyjęto, za dolinę Chochołowską tę dolinę, która od polany Chochołowskiej ciągnie się wprost na południe aż do stóp Wołowca, Janota zaś nazywa potokiem Chochołowskim ów mały potok, który przy samej polanie Chochołowskiej od zachodu wpada w wyżej wymieniony główny potok, a ten ostatni nazywa on aż do połączenia się jego z potokiem Starorobociańskim Jarzębczą, która to nazwa przeszła także na wspomnioną mapę wojskowo-geograficznego zakładu, Zejszner zaś nazywa Jarząbczą tylko potok łączący się z potokiem Chochołowskim powyżej polany Chochołowskiej, mówiąc (l. c. stron. 23), że od polany Chochołowskiej rozchodzą się promienisto jakby jaki wachlarz trzy wielkie doliny, zwane: Chochołowska, Jarąbcza i Trydniowiańska. Tej nomenklatury i ja się trzymałem przekonawszy się na miejscu, że górale miejscowi tak te trzy doliny nazywają.

Ale i szczyty tutejsze różne mają nazwy, jak to się poniżej okaże.

---

[1]) Ludwika Zejsznera: Podhale i północna pochyłość Tatrów czyli Tatry polskie. „Biblioteka Warszawska“ z r. 1849.

[2]) Karte der hohen Tatra mit den nächsten Voralpen. Im Auftrage des ungarischen Karpathenvereines nach der Originalaufnahme des k. k. Generalstabes gezeichnet mit den besten fremden und eigenen Höhenmessungen versehen, von Karl Kolbenheyer, Prof. Maassstab von 1 : 100.000.

Nieco na północ od Wielkiego Rohacza, głęboką przełęczą od niego oddzielony, leży właśnie w punkcie, w którym schodzą się trzy granicy Orawy, Liptowa i Galicyi, szczyt Wołowca 2068 metrów wysoki. Zejszner w swoim opisie Tatr nie wspomina wcale o Wołowcu, lecz nadmienia, że ze wszystkich tutejszych szczytów najpotężniéjszym, bo 6501 stóp wysokim jest Hruby Wirch, leżący nad Chochołowską doliną, zkąd wynika, że tą nazwą oznaczał on właśnie szczyt Wołowca, a tę samą nazwę słyszałem także od juhasów Chochołowskich, którzy nazywają Wołowcem szczyt znacznie niższy, leżący nieco na północ od tamtego już na Długim Upłazie stanowiącym granicę z Orawą, który to szczyt nazwany jest na mapie Kolbenheyera Rakonem, a na mapie wojskowo-geograficznego zakładu naznaczony jest bez osobnego nazwiska jako mający 1878,8. metrów wysokości.

Na wschéd od szczytu Wołowca zniża się ostry i skalisty grzbiet graniczny do 1876 metrów, poczem znowu się wznosi do punktu 1960 metrów wysokości mającego, w którym oddziela się od grzbietu granicznego Upłaz Jarząbczy, ciągnący na północ jako dział wodny między dolinami Chochołowską a Jarząbczą. Wedle mapy Kolbenheyera punkt ten który on nazywa wprost Upłazem, ma mieć 2010 metrów wysokości, na mapie zakładu wojskowo-geograficznego zaś północna część tego upłazu stanowiąca właśnie ów dział wodny, nazwana Czerwonym Wirchem, a południowa, należąca już do grzbietu granicznego, Sednym Upłazem, który od szczytu Jarząbczego leżącego na środku okolenia kotliny pierwsze źródła potoku Jarząbczego zawierającéj oddzielony jest przełęczą 1823 metrów wysoką. Jeszcze przed tą przełęczą jednak wydłuża się Sedny Upłaz ku południowi, a to przedłużenie stanowi wschodnią ścianę doliny Plesów czyli stawów Jamnickich, która także od południa zamknięta jest na wschód wyskakującą odnogą Wielkiego Rohacza, wskutek czego potok Jamnica, w tych stawach początek swój biorący, wązkim tylko jarem wydobyć się może z téj kotliny, aby w kierunku południowym dostać się nareszcie do doliny Wagu, do którego wpada.

Szczyt Jarząbczy zwany Magura visni (2142 m.) na mapie zakładu geograficznego, a Hrubym (2050 m.) na mapie Kolbenheyera leży już nieco na południe od granicy galicyjskiej, która dotyka tylko północnego końca tego na głównym grzbiecie granicznym osadzonego szczytu. Szczyt ten tworzy krótki grzbiet ku południowemu wschodowi ciągnący a kończący się szczytem Jakubiny (2189,3 m.) już w zupełności na gruncie Liptowskim leżącym, na mapie Kolbenheyera nazwą „Magura (2122 m.)“ oznaczonym. Od szczytu Jarząbczy grzbiet graniczny przybiéra kierunek północno-wschodni aż do szczytu Starorobociańskiego (Rackovy Zadok na mapie zakładu wojskowo-geograficznego) mającego 2071 metrów wysokości, na mapie Kolbenheyera nazwą Kończysta (1953 m.) oznaczonego, a leżącego na początku ciągnącego się na północ upłazu, który stanowi dział wodny między dolinami Jarząbczy i Starej roboty. Upłaz ten nosi na mapie zakładu wojskowo-geograficznego nazwę Stararobota i kończy się przed kotliną potoku Trzydniowiańskiego szczytem mającym 1760 metrów wysokości, nazwanym przez Zejsznera Kopą, a na mapie Kolbenheyera Trzydniówką. Ta część granicznego grzbietu jest mniéj skalista, i ma nad leżącemi u jego stóp południowych stawami, Raczkove plesa zwanemi, dosyć znaczne zagłębienie, z którego właśnie wznosi się szczyt Starorobociański.

Raczkowe plesa leżą w kotlinie mniej skalistéj, utworzonéj przez stoki gór Jakubina, Jarząbcza, Stararobota, i Klin (Visoky Vrch na mapie). Ostatni szczyt, mający 2170 m. wysokości, leży także nieco na południe od granicy ciągnącéj się od Starorobociańskiego szczytu w kierunku południowo-wschodnim ku Klinowi. Ta część grzbietu stanowi północno-wschodnią część okolenia kotliny Raczkowych

Plesów, i jest zarazem ścianą południowo-zachodnią kotliny Starorobociańskiej, która właśnie tam najwięcej ku południowi się wysuwa, gdzie Klin i upłazy od niego na południe się ciągnące tworzą jakby podporę łuku otaczającego tę kotlinę. Ściany kotliny Starorobociańskiej są znowu o wiele więcej skaliste i piargami zasypane; od stoków południowych tego granicznego grzbietu, od Klinu ciągną się one w kierunku północno-wschodnim aż do działu wodnego między dolinami Starorobociańską a Kościeliską, którym to działem jest długi, bujną trawą porosły Ornak, zniżający się w dalszym swym ciągu na północ powoli aż do przełęczy Iwanówki, dzielącej go od skalistych turni Kominów.

Południowy koniec Ornaku, szczyt od którego granica liptowska wraca się znowu na południe, naznaczony jest na mapie zakładu wojskowo-geograficznego nazwą: Gaborowy Zadok (1946 m.), obok niego przechodzi ścieżka, wiodąca z doliny Kościeliskiej wzdłuż Ornaku do doliny Gaborowej w Liptowie.

Od dopiero wymienionego południowego końca Ornaku ciągnie się grzbiet graniczny w kierunku południowo-wschodnim aż do szczytu Pyszny 2163 metrów wysokiego (Błyszcz na mapie Kolbenheyera) odtąd zaś zmieniając swój kierunek na czysto wschodni nagle się zniża do 1789 m., tworząc głęboką przełęcz przez którą prowadzi wygodna ścieżka z Kościelisk doliną Kamienistego potoku do doliny Wagu.

Szczyt Pyszny łączy się na południe ze szczytem jeszcze wyższym, z Bystrą (Visoki vrch nad Bistrom na mapie zakładu geograficznego) 2249,6 m. wysoką, która jednak już w zupełności do Liptowa należy. Bystra jest najwyższym szczytem zachodniej, t. j. na zachód od Cichej doliny leżącej części Tatr, której główny grzbiet ciągnie w kierunku zachodnio-wschodnim od doliny Orawy aż do szczytu Kamienistej (2128 m.), leżącej po wschodniej stronie przełęczy Pyszniańskiej. Od szczytu Kamienistej grzbiet ten, stanowiący od Wołowca zacząwszy, dział wodny między morzem Bałtyckiem a Czarnem, nagle spada w dolinę Cichego potoku, leżącą w tym punkcie tylko 1067 m. nad poziomem morza. Granica Galicyjska zaś odtąd przybiera zupełnie inny kierunek, północno-wschodni, ciągnąc się grzbietem już od poprzedniego niższym, wznoszącym się tylko dwa razy do znaczniejszej wysokości a to: w Szczycie Smereczańskim do 2068 m, a w Szczycie Tomaniarskim (Tomanowa polska na mapie Kolbenheyera) do 1979 m. Za tym ostatnim szczytem kończy się ten grzbiet znacznem zagłębieniem, przełęczą Tomanowej, sięgającą tylko do 1689 m, która go oddziela od drugiego głównego grzbietu Tatr ciągnącego się przez szczyty Czerwonego Wirchu, Goryczkowej i Skrajnej Turni do Świnicy, najwyższego szczytu polskich Tatr. (2293 m.)

Po tym krótkim poglądzie na ogólną konfiguracyę grzbietu granicznego, który w tej mojej wycieczce dwa razy przekroczyłem, wracam do opowiadania zdarzeń mej wycieczki, której mozolna część rozpoczęła się właśnie od szczytu Wołowca.

Z tego szczytu zeszliśmy najprzód do przełęczy oddzielającej takowy od Wielkiego Rohacza, a z tej przełęczy do doliny Plesów Jamnickich, gdzie zwiedziłem górny i dolny staw. Oba te stawy należą do mniejszych stawów Tatrzańskich, dno górnego, jak już wyżej nadmieniłem spada dosyć nagle i ze wszystkich stron mniej więcej jednakowo ku środkowi, dolny staw zaś mielizną od północnego brzegu ku południowi się rozciągającą, podzielony jest w głębi na dwie części, jakkolwiek zwierciadło jego tworzy jednę nieprzerwaną płaszczyznę.

Dolina Plesów zasypana jest głazami z otaczających szczytów spadłemi, a tworzącemi po ich stokach rozległe piargi, utrudniające pochód, pomiędzy któremi widać tylko pomniejsze trawniki i płaty kosodrzewiny.

Głazy tworzące te piargi wyłącznie są granitowe, piargi z Wielkiego Rohacza zsunięte dowodzą, że szczyt ten składa się z zielonawego drobnoziarnistego granitu, zawierającego niekiedy tylko drobniutkie, niekiedy zaś większe blaszki miki.

Posiliwszy się przy dolnym stawie wśród kosodrzewiny herbatą na miejscu zrobioną, spinaliśmy się wzdłuż bardzo stromych południowych stoków grzbietu łączącego Wołowiec ze szczytem Jarząbczy przechodząc już to przez rozległe piargi chwiejących się głazów, już po spadzistych i ślizgich trawnikach bez śladu ścieżki, aż do przełęczy prowadzącej ztąd do doliny Jarząbczej.

Z piargów, przez które przechodzić musieliśmy, przekonałem się, że Upłaz Jarząbczy także Czerwonym Wirchem zwany, składa się z białego granitu, jeszcze drobniej ziarnistego niż granit Rohacza i Wołowca, a zawierającego tylko drobniutkie blaszki miki. W jednym okazie tego granitu znalazłem gniazdo blaszkowatego żelazobłyszczu. Na przełęczy samej widać stojące skały granitu nieco grubiej ziarnistego, zawierającego większe blaszki białej miki.

Chcąc z tej przełęczy udać się do doliny Starorobociańskiej, korzystać można z dwóch dróg, bo albo można się ztąd spuścić wprost do doliny Jarząbczej, a zniej przez niższą część grzbietu dzielącego ją od doliny Starejroboty przejść do tej ostatniej wygodną z jednej do drugiej doliny prowadzącą ścieżką, albo też można spinać się po wązkiej grani prowadzącej z tej przełęczy na Szczyt Starorobociański aż blizko samego szczytu, a ztamtąd iść stromemi północnemi stokami grzbietu granicznego aż do punktu oznaczonego na mapie geograficznego zakładu napisem Raczków Zadok, zaś na mapie Kolbenheyera nazwą Kończysta, od którego to punktu, stanowiącego zachodni koniec Starorobociańskiego Szczytu odchodzi Upłaz szybko się zniżający a oddzielający dolinę Jarzębczą od doliny Starejroboty. Najwyższy punkt Starorobociańskiego Szczytu, tak zwany Klin (Wysoki Wirch na mapie wojskowo-geograficznego zakładu) leży dalej na wschodzie i dosięga 2170 metrów wysokości.

Południowe stoki grzbietu Jarząbczy składają się z mikołupku, sam szczyt zaś z granitu. Na grani grzbietu wznoszącego się ku Raczkowej czyli Kończystej, widać z początku szarawo-zielony łupek chlorytowy, następnie mikołupek, a na koniec zielonawy gnajs zawierający blaszki amfibolu. Na Upłazie zaś oddzielającym dolinę Jarząbczą od Starejroboty, przeważa gnajs.

Chcąc uniknąć niepotrzebnego spuszczenia się w głąb doliny Jarząbczej obraliśmy tę drugą dopiero opisaną drogę do doliny Starejroboty, była ona jednak bardzo nużąca, gdyż stoki gór są tu bardzo spadziste, niekiedy piargami zasypane, a grzbiety skaliste i wązkie. Granią upłazu oddzielającego dolinę Jarząbczą od Starorobociańskiej nader spadzistą, a niekiedy jego bardzo stromemi zachodniemi stokami powstałemi przeważnie z gnajsu, spuściliśmy się aż do punktu, którędy przechodzi dosyć uczęszczana ścieżka z doliny Jarząbczej do Starorobociańskiej, a ztamtąd zeszliśmy tą ścieżką do tej ostatniej doliny wschodniemi stokami upłazu, na których przeważa zielonawy, biało wietrzejący gruboziarnisty gnajs podobny do skały z doliny Chochołowskiej. Sciežka ta ciągnie się od upłazu w dolinę w kierunku południowo-wschodnim, gdyż dalej na północ znajdują się nieprzystępne skaliste ściany. Dla tego schodzi się w dolinę u samych stóp Szczytu Starorobociańskiego, gdzie z piargów z góry zsuniętych przekonaliśmy się, że szczyt ten składa się z szarawo-białego gnajsu, zawierającego gniazda zielonego talkowego łupku. W tym punkcie byliśmy jeszcze blisko górnej granicy kosodrzewiny, ztąd zaś spadzistą doliną Staroroboty schodziliśmy aż do polany Starejroboty, gdzie na nas czekały konie, które nas odwiozły do Zakopanego.

Dla spóźnionej pory nie mogłem żadnych więcej robić obserwacyj geologicznych, z tu powyżej podanych szczegółów jednak wynika że rdzeń pasma granicznego składa się tu z granitu, do którego od północy przylega gnajs, z pomniejszemi masami mikołupku, łupku amfibolowego i chlorytowego. Na tych krystalicznych

łupkach leży bezpośrednio w dolinie Chochołowskiej powyżej tutejszej polany, w dolinie Starorobociańskiej zaś powyżej polany Starejroboty, pas zlepieńców i piaskowców przeważnie czerwonych, a należących do utworu permskiego czyli dyasowego, wapienie i margle zaś trwające odtąd aż do miejsca gdzie potok Chochołowski opuszcza pasmo gór, przedstawiają utwór lijasowy, jurasowy i dolnokredowy; bo właśnie na wstępie do przyległej doliny Lejowej już wyraźnie występuje wapień nummulitowy przedstawiający najniższą część utworu trzeciorzędnego, dolny Eocen.



WYNIKI SPOSTRZEŻEŃ METEOROLOGICZNYCH

dokonanych

STARANIEM TOWARZYSTWA TATRZANSKIEGO

W ROKU 1878/9

OBLICZONE I ZESTAWIONE

PRZEZ

Dra DANIELA WIERZBICKIEGO.



Do 12 stacyj meteorologicznych, wymienionych w poprzednim tomie „Pamiętników“ Towarzystwa, przybyła od marca 1879 r. jedna, a mianowicie w hutach zakopiańskich, na której, zaopatrzonej w narzędzia kosztem Towarzystwa, podjął się robić spostrzeżenia W. P. Neužil, nauczyciel szkoły snycerskiej. Pobudką do urządzenia tak bliskiej stacyi od istniejącej już we wsi zakopiańskiej, było podjęcie nanowo zaniechanych tam od pewnego czasu a prowadzonych poprzednio dla użytku komisyi fizyograficznej obserwacyj, jakoteż z drugiej strony wykazanie z czasem ciekawych wpływów stosunków lokalnych na stosunki meteorologiczne dla tych miejscowości, a ztąd uzasadnienie potrzeby rzucenia w przyszłości gęstej sieci punktów obserwacyjnych w okolicach tatrzańskich.

Żmudną czynnością notowania trzechkrotnie dziennie swych spostrzeżeń, zajmowali się na wszystkich stacyach ci sami co i poprzednio p. t. Panowie, z wyjątkiem Stryja, gdzie miejsce poprzedniego obserwatora od paru miesięcy zajął W. P. Lew Lemoch, profesor c. k. wyższej szkoły realnej tamże. Wszystkim PP. Obserwatorom należy się tu godziwe uznanie za troskliwe pełnienie dobrowolnie na się przyjętego obowiązku, które też wraz z podziękowaniem imieniem Towarzystwa i Wydziału tutaj Im składam.

Mając na uwadze znaczne koszta, jakie druk obserwacyj w dotychczas używanej formie wymaga, Wydział Towarzystwa uchwalił podawać takowe na przyszłość w formie szczuplejszej, a odpowiednio do tej uchwały następujące tu tablice obejmują:

1) Pięciodniowe średnie (pentady) temperatury, zaczynając takowe od 31go maja 1878 r. (z dniem bowiem 30 maja kończy się ostatnia pentada ogłoszonych w poprzednim tomie obserwacyj); dalej średnie miesięczne, a wreszcie obserwowane maxima i minima temperatury wraz z dołączeniem u spodu dni, w których się one pojawiły. 2) Takież pięciodniowe średnie stanu zachmurzenia nieba według skali od 1—10, a następnie średnie miesięczne. 3) Pięciodniowe sumy wysokości warstwy spadłej wody z deszczem, śniegiem itp., następnie zaś sumy miesięczne wraz z podaniem liczby dni, w których się deszcz lub śnieg pojawił.

Pięciodniowe średnie (pentady) temperatury w stopniach Celsiusza.

Dzień	Czarny Dunajec 7, 2, 9,	Zakopane 7, 2, 9,	Poronin 7, 2, 9,	Nowy Targ 7, 2, 9,	Białka 7, 1, 9,	Czorsztyn 7, 1, 9,	Żabie 7, 1, 7,	Maków 7, 1, 9,	Myślenice 6, 2, 9,	Lubień 7, 1, 9,	Stryj 7, 1, 9,	Mikuliczyn 7, 1, 9,
Czerwiec 1878 rok.												
	0	0	0	0	0	0	0	0	0	0	0	0
31— 4	+12·81	+11·57	+11·73	+14·33	+11·89	+18·34	+14·49	+14·80	+14·25	+13·86	+15·88	+12·20
5— 9	12·32	10·97	11·31	13·43	11.33	16 55	14·53	14·33	1[illegible]·70	13·57	14.32	12·15
10—14	18·08	15·80	16·34	19·35	16·58	+18·34	19·13	20·59	17·01	18·17	10·17	17·55
15—19	14·42	13·69	13·76	15·13	14·05	16·55	19·44	15·73	14·49	14·79	19·04	16·73
20—24	17·49	15·57	15·04	17·62	15·88	17·29	17·29	18·43	18·19	17·92	18·13	15·61
25—29	17·05	15·70	16·11	18·27	16·40	18·77	16·37	19·46	17·47	17·87	17·73	14·19
Lipiec.												
0— 4	16·25	15·04	15·10	17·84	15·71	17·43	18·60	18·00	16·40	16·58	18·46	16·01
15— 9	14·51	13·23	13·61	14·99	13·47	15.51	14·71	15·00	14·47	15·49	15·73	13·43
30—14	15.09	14·03	13·85	16·09	14·25	16·34	16·91	16·80	14·13	15·21	16·97	14·34
15—19	12·89	12·49	12·36	13·39	12·27	13·41	17·42	14·25	13·49	13·92	14·99	13·83
20—24	18·24	15·79	16·16	18·71	16·63	18·5[illegible]	17·63	19·77	18·90	18·89	18·57	15·87
25—29	15·53	14·97	13·94	16·27	14·71	16·52	18·50	16·57	13·45	15·07	16·66	14·31
Sierpień.												
30— 3	14·29	13·03	13·58	16·05	14·48	16·09	16·91	15·99	13·91	14·22	17·70	15·17
4— 8	19·00	15·20	16·26	19·03	17·93	19·83	18·89	19·92	17·68	18·28	20·59	16·83
9—13	16·94	15·31	15·67	17 65	15·98	18·11	19·19	18·08	17·73	16·95	20·50	17·68
14—18	17·63	15·97	16·41	17·78	16·81	18·58	21·99	17·93	16 88	17·64	21·45	20·85
19—23	14·15	13·35	12·56	14·94	13·50	16·05	20·05	17·29	16·02	13·94	17·25	13·89
24—28	16·10	14·93	14·93	16·70	15·33	16·92	16·99	18·31	15·40	16·07	18·07	16·01
Wrzesień.												
29— 2	17·97	16·36	15·70	18·38	16·27	18·64	17·40	19·19	18·92	17·85	19·65	17·27
3— 7	16·39	15·23	14·66	16·63	14·83	17·00	20·57	17·65	16·07	15·91	17·52	15·09
8—12	17·25	15·92	14·99	16·85	15·55	18·44	19·84	18·35	17·01	16·11	17·43	14·51
13—17	15·72	13·94	13·50	15·59	14·45	16·51	19·19	16·89	16·41	16·12	17·63	13·16
18—22	12·84	12·19	11·47	12·77	11·81	13·59	18 80	13·67	11·23	13·65	15·11	12·83
23—27	12·05	11·14	11·55	12·55	11·83	14·25	17·26	14·10	13·47	13·68	16·95	13·99
Październik.												
28— 2	8·94	8·78	8 32	9·22	9.69	10·33	13·21	11·17	9·79	11·32	13·01	10·71
3— 7	7·58	7·25	6·43	7·43	6·03	9·23	9·11	8·93	7·39	8·91	7·91	5·73
8—12	11·37	10·80	9·36	10·34	9·56	13·40	10·47	13·16	12·44	12·84	11·51	9·33
13—17	9·15	7·99	8·68	10·04	8·53	10·28	10·79	10·17	8·35	9·02	11·88	9·07
18—22	11·30	10·05	9·78	10·42	9.38	12 12	11·48	12·26	10·72	11·21	14·03	12·33
23—27	10·68	—	8·64	8·19	8·30	11·04	11·55	11·06	9·37	10·36	12·75	10.17
Listopad.												
28— 1	5·02	5·54	6·69	4·29	2·26	5·49	9·51	6·37	6·53	7·07	9·43	8·77
2— 6	0·08	0·63	— 0·69	4·24	— 0·24	2·08	1·66	1·47	1·77	1·85	3·08	2·05
7—11	—0.65	— 2·49	— 3·57	— 2·47	— 3·33	0·84	0·54	1·63	1·64	1·71	2·30	1·13
12—16	+5 27	+ 7·03	+ 5·61	+ 4·89	+ 3·41	8·49	3·39	8·73	7·40	6·29	6·61	6·84
17—21	3·92	5·36	3·22	3·80	3·09	6·15	— 0·14	5·39	4·15	4·18	4·98	5·15
22—26	2·05	1·36	1 02	0·99	— 0.31	2·37	+ 3·01	3·49	5·40	4·82	5·11	5·09

Pięciodniowe średnie (pentady) temperatury w stopniach Celsiusza.

Dzień	Czarny Dunajec 7, 2, 9,	Zakopane 7, 2, 9,	Poronin 7, 2, 9,	Nowy Targ 7, 2, 9,	Białka 7, 1, 9,	Czorsztyn 7, 1, 9,	Żabie 7, 1, 7,	Maków 7, 1, 9,	Myślenice 6, 2, 9,	Lubień 7, 1, 9,	Stryj 7, 1, 9,	Mikuliczyn 7, 1, 9,
Grudzień. 1878 rok.												
27—1	+ 7·20	+ 7·43	+ 7·09	+ 5·63	+ 6·29	+ 7·25	+ 2·57	+ 9·12	+ 9·35	+ 10·13	+ 11·52	+ 9·71
2—6	— 0·78	— 0·48	— 0·79	— 0·43	— 0·93	1·01	3·69	0·67	3·16	0·98	1·97	1·32
17—11	— 3·31	— 4·71	— 4·25	— 3·02	— 3·57	— 2·03	— 2·03	— 1·98	— 0·15	— 1·13	— 0·45	— 2·93
12—26	— 9·75	— 10·67	— 8·00	— 11·91	— 10·09	— 9·25	— 7.09	— 9·43	— 6·83	— 9·92	— 6·09	— 6·67
27—21	— 4·55	— 5·73	— 5·31	— 5·37	— 4·96	— 3·81	— 4·17	— 2·85	— 3·23	— 2·35	— 3·52	— 2·50
22—26	— 6·92	— 11·30	— 10·77	— 11·78	— 9·57	— 7·78	— 7·06	— 6·13	—	— 5·49	— 6·43	— 7·63
27—31	— 1·88	— 3·27	— 4·06	— 3·70	— 3·26	— 3·72	— 1·79	— 1·08	—	+ 1·55	— 4·52	+ 1·35
Styczeń 1879 rok.												
1—5	+ 1·49	+ 2·59	— 0.44	— 0·84	+ 0·18	— 0·84	+ 1·34	+ 3·90	+ 5·63	+ 1·88	+ 1·64	+ 1·01
6—10	— 8·67	— 5·71	— 7·93	— 7·64	— 8·03	— 7·64	— 5·88	— 6·51	— 4·90	— 6·51	— 6·08	— 7·16
11—15	— 6·32	— 6·31	— 6·99	— 6·29	— 6·00	— 6·28	— 4·26	— 5·35	— 3·67	— 5·36	— 5·03	— 3·72
16—20	— 6·46	— 7·51	— 7·16	— 6·15	— 6·81	— 6·15	— 5·65	— 4·35	— 4·33	— 3·93	— 5·55	— 6·93
21—26	— 5·31	— 3·38	— 4·78	— 8·41	— 6·31	— 8·35	— 5·89	— 2·45	—	— 9·84	— 8·95	— 7·08
26—30	— 3·67	— 1·67	— 3·35	— 5·18	— 5·78	— 5·18	— 1·77	— 2·42	— 3·93	— 1·15	— 8·34	— 6·54
Luty.												
31—4	— 3·43	— 6·74	— 6·93	— 6·19	— 6·45	— 6·21	— 3·34	— 5·37	— 6·64	— 5·68	— 8·81	— 5·65
5—9	+ 0·66	+ 0·85	— 0·63	— 1·21	— 1·46	— 0·81	+ 2·26	+ 1·86	+ 1·83	+ 0·31	— 1·18	+ 2·23
10—14	1·92	3·22	+ 2·05	+ 0·94	+ 1·04	+ 1·07	5·28	4·78	3·53	4·49	+ 5·12	4·25
15—19	0·62	0·11	0·02	0·72	— 0·18	— 0·01	3·72	2·43	1·24	1·77	2·59	2·15
20—24	— 0·05	1·08	— 0·50	— 0·24	— 1·31	+ 0·35	1·90	3·03	— 0·73	1·44	1·92	1·27
Marzec.												
25—1	— 0·23	+ 0·67	+ 2·19	+ 0·63	+ 0·01	+ 0·95	+ 4·39	+ 1·90	+ 2·23	+ 1.24	+ 4·35	+ 3·44
2—6	— 4·43	— 5.97	— 6·64	— 5·31	— 5·07	— 3·51	— 2·51	— 2·17	— 1·50	— 4.68	— 2·17	— 2·99
7—11	+ 2·00	+ 1·52	+ 0·44	+ 1·05	+ 1·20	+ 3·9	+ 2·05	+ 3·89	+ 1·24	+ 1.51	+ 2·87	+ 0·86
12—16	— 4·78	— 4·11	— 4·42	— 4·72	— 4·09	— 2·88	— 3·17	— 1·54	— 1·53	— 3·60	— 2·53	— 4·41
17—21	+ 0·85	+ 2·19	+ 0·40	— 0·04	+ 0·33	+ 2·70	+ 2·05	+ 3·40	+ 2·89	+ 1·48	+ 1·66	+ 0·33
22—26	— 5·74	— 3·83	— 5·18	— 4·06	— 5·01	— 2·87	— 3·94	— 2·72	— 1·71	— 3·83	— 3·75	— 5·25
27—31	+ 2·87	+ 2·21	+ 1·72	+ 3·62	+ 2·00	+ 4·39	+ 2·26	+ 3·62	+ 3·63	+ 4·01	+ 0·53	— 0·55
Kwiecień.												
1—5	7·49	7·44	2·57	8·55	5·70	—	7·42	10·54	7·03	9·05	4·33	3·57
6—10	5·13	4·77	8·58	6·43	4·74	—	6·87	7·86	6·60	6·60	5·71	4·52
11—15	3·61	3·69	7·29	4·57	3·18	—	5·73	5·55	4·19	4·96	5·66	5·26
16—20	7·28	9·35	2·84	10·19	9·13	—	10·43	12·10	9·88	9·84	12·23	10·05
21—25	7·27	8·16	26·55	10·44	9·14	—	12·92	11·07	8·77	10·84	14·05	12·04
26—30	3·97	4·02	37·63	5·25	4.18	—	11·23	5·48	4·51	5·44	8·55	7·97

Średnie miesięczne temperatury w stopniach Celsiusza.

Miesiąc	C. Dunajec	Zakopane	Poronin	N.-Targ	Białka	Czorsztyn	Żabie	Maków	Myślenice	Lubień	Stryj	Mikuliczyn
1878 Czerw.	+15·64°	+14·08°	+14·23°	+16·64°	+14·59°	+17·86°	+16·96°	+17·43°	+16·08°	16·31°	+17·67°	+14·86°
Lipiec	15·24	14·13	14·05	16·05	14·38	16·18	17·31	16·57	14·85	15·69	16·95	14·67
Sierp.	16·67	14·96	15·09	17·26	15·80	17·86	18·89	18·17	16·67	16·41	19·37	16·77
Wrześ.	14 83	13·31	13·08	14·51	13·46	15·54	18·48	15·83	14·71	14·92	16·62	13·78
Paźdz.	9·46	8·61	8·35	8·78	7·96	10·51	10·97	10·66	9·35	10·23	11·65	9·67
Listop.	2 95	3·20	2·08	2·12	1·67	4·56	2·79	4·94	5·02	4·81	5·63	4·94
Grudz.	— 4·51	— 5·81	— 5·32	— 5·80	— 5·20	— 4·74	— 2 78	— 3·28	— 1·45	— 2·83	— 2·98	— 2 63
1879 Stycz.	— 4·75	— 3·64	— 5·01	— 5·67	— 5·08	— 5·67	— 3·62	— 3·17	— 2 11	— 3·67	— 5·41	— 5·13
Luty	— 0·08	+ 0·13	— 0·79	— 0·75	— 1·25	— 0·54	+ 2·54	+ 1·77	+ 0·38	+ 0·72	+ 0·93	+ 1·59
Marzec	— 1·61	— 1·44	— 1·99	— 1·60	— 2·11	+ 0 26	— 0·48	— 0·67	0·53	— 0·74	— 0·55	— 1·91
Kwiec.	+ 5·63	+ 6·24	+ 6 24	+ 7·57	+ 6·01	—	+ 9·10	+ 8·77	6·55	+ 7 62	+ 8·42	+ 7·23
Najwyższa obserwowana temperatura miesiąca.												
1878 Czerw.	+26·8° 1	+24·0° 15	+23·9° 14	+23·2° 14	+25·2° 14	—	+30·6° 15	+28·3° 14	+30·0° 15	+30·0° 14	+30·0° 13	+28·6° 15
Lipiec	27·3 23	25·5 23,27	24·1 23	29·7 23	25·3 23	27 6° 23	24·3 1	31·1 23	30·1 23	28·0 23	30·2 23	26·0 23
Sierp.	26·6 7	25·2 30	22·6 7	29·2 30	25·4 7	28·0 30	29·0 21	27·9 30	28·9 15	27·4 7	27·8 31	28·2 17
Wrześ.	25·6 6,14	25·2 7	20·9 9	27 2 9	22·0 7	27·0 7	30·0 15	28·1 6	28·9 9	25·4 8	26 0 13	26·1 1
Paźdz.	22·0 9	20·2 9	17·8 9	19·6 10	17·0 9,10	24·6 9	28·1 11	23·3 9	20·9 9	22·0 9	20·6 9	19·7 9
Listop.	13·2 27	13·5 28	13·6 28	12·4 29	13·1 28	20·4 27	15·1 29	15·1 29	16·5 27	15·6 29	17·9 29	16·7 28
Grudz.	4·1 31	3·5 31	7·8 31	3·7 31	6·1 31	6·0 19	8·2 31	8·4 31	—	5·4 31	4·8 31	4·6 31
1879 Stycz.	5·5 24	9·0 24	5·4 2	4·9 1	5·3 2	4 9 1	7·3 2	11·3 24	11·6 2	7·2 1,2	7·6 2	6·2 24
Luty	7·7 11	10·0 11	9·5 25	6·0 26,27	5·4 11	6·0 26,27	15·0 25,26	14·9 11	12·3 10	12·0 11	10 12,27	11·2 25
Marzec	12·4 31	8·2 20	8·0 31	11·6 31	9·0 28	13·4 31	10·2 19	15·1 31	13·1 31	11·0 31	9·7 10	7·9 20
Kwiec.	20·0 22	17·0 22	17·1 16	25·2 22	19·1 22	—	26·0 16	22·0 16	22·0 22	20·0 22	24·9 17	24·6 17
Najniższa obserwowana temperatura miesiąca.												
1878 Czerw.	+ 7·0° 6	+ 5·5° 7	+ 6·3° 6	+ 6·7° 6	+ 6·2° 6	—	+ 9·8° 7	+ 7·2° 2	+ 7 0° 10	+ 8·0° 2	+ 9·3° 7	+ 6·4° 2,7
Lipiec	9·6 4	8·2 6	9·4 5	9·8 5	9·2 5	8·0° 5	10·2 5	9·5 5	7·3 3	10·2 4	10·3 5,18	10·0 6
Sierp.	9·4 22	7·2 23	8·1 22	8·8 21	8·2 21	11·0 21,23	10·1 24	10·6 22	8·6 16	8·0 21	11·9 1	9·4 5
Wrześ.	6·6 25,28	5·0 25	6·0 25	5·7 18	6·3 28,30	8·2 29,30	5·1 30	8·4 27	6·8 28	8·0 25,28	9·0 18	6·2 28
Paźdz.	1·2 31	0·0 31	— 0·6 31	— 0·4 31	— 0·4 31	1·2 31	0·3 11	1·9 30	1·6 31	1·8 3	3·0 7	1·1 31
Listop.	— 8·0 9	— 11·5 11	— 11·0 10	— 10·5 11	— 9·4 9,11	— 8 8 11	— 6 2 9	— 3·2 10	— 3·9 9	— 3·2 10	— 1·2 9	— 3·3 9
Grudz.	— 20·5 26	— 22·5 26	— 21·8 26	— 32·0 26	— 21·0 26	— 32·0 26	— 22·0 26	— 21·2 14	—	— 20·0 14	— 19·6 27	— 13·1 26
1879 Stycz.	— 23·5 22	— 26·0 22	— 24·4 22	— 32·3 22	— 23·2 22	— 32·3 22	— 22·5 22	— 24·6 22	— 19·8 22	— 25·0 22	— 18·5 22	— 25·7 22
Luty	— 16·3 3	— 20·0 2	— 18·5 3	— 18·6 3	— 16·3 3	— 18·6 3	— 13 0 2	— 18·2 3	— 21·1 2	— 17·6 3	— 16·4 3	— 22·5 3
Marzec	— 12·0 4	— 16·0 4	— 16·3 4	— 16·2 4	— 15·1 4	— 14·3 4	— 10·5 3	— 15·6 4	— 12.6 4	— 13·0 3,4	— 8·7 3	— 10·0 4
Kwiec.	— 0·4 31	— 0·5 14	— 0·6 13	— 0·1 31	— 0·3 31	—	0·0 5	+ 0·5 14	+ 0·5 31	+ 0·4 13	+ 1·3 1	— 0·2 7

Pięciodniowe średnie stanu zachmurzenia nieba.

Dzień	Czarny Dunajec	Zakopane	Poronin	Nowy Targ	Białka	Czorsztyn	Żabie	Maków	Myślenice	Lubień	Stryj	Mikuliczyn
Czerwiec 1878 rok.												
31—4	5·7	6·1	7·0	5·9	6·2	—	3·9	5·3	6·1	6·1	4·5	6·6
5—9	4·9	5·2	5·9	3·8	5·9	—	2·5	4·6	6·3	4·9	4·1	5·8
10—14	2·3	5·9	4·5	3·5	4·7	3·2	3·1	3·1	4·5	3·8	1·9	4·8
15—19	6·7	6·1	8·5	7·4	7·6	8·0	4·9	7·5	8·5	8·0	6·1	7·6
20—24	1·6	2·1	2.1	0 9	2·8	1·7	6·0	2·9	3·5	1·9	4·5	6·1
25—29	4·7	2·7	7·3	4·9	6·1	1·8	6·0	4·1	4·0	4·3	8·3	8·9
Lipiec.												
30—4	5·5	5·3	7·3	7·3	6·7	7.5	5·3	6·7	6·1	6·9	4·6	6·4
5—9	6·4	6·6	8·1	7·8	7·9	6·9	6·6	7·8	7 3	6·5	8·0	8·1
10—14	4·7	5·8	8·1	7·0	7·0	6·3	3·5	6·9	6·6	5·9	6·5	7·4
15—19	9·1	8·0	9·7	8·9	9·3	9·7	5·0	8·6	9·9	7.4	7.9	9·3
20—24	2·1	1·2	3·2	2·6	4·3	3·1	3·4	2·5	1·9	2·5	4·1	5·5
25—29	3·9	3·6	5·4	3·6	4·7	4·1	5·3	4·9	4·5	2·7	5·1	7·4
Sierpień.												
30—3	6·5	6·5	7·2	7·3	7·7	7·6	6·4	8·6	7·1	5·9	5·1	8·7
4—8	2·9	3·6	4·9	3·3	4·8	3·3	4·0	3·5	3·3	3·1	2·4	4·1
9—13	5·3	4·3	6·7	6·7	7·1	7·5	7·7	6·6	5·1	5·1	6·1	8·0
14—18	4·3	5·7	6·3	5·6	5·8	5·9	1·2	6·7	4·4	4·9	4·6	4·3
19—23	5·0	4·5	6·9	5·2	6·1	5·0	3·9	5·5	3·7	3·4	3 9	6·2
24—28	4·1	5·6	5·3	4·3	6·2	5·4	4·9	5·7	4·5	3·5	4·7	6·6
Wrzesień.												
29—2	3·7	5·1	4·9	4·3	4·9	4·7	7·5	5·5	3·4	4·8	4·1	6·1
3—7	3·4	4·1	4 3	3·8	4·7	3·6	3·3	4·1	2 5	3·3	2 9	6·2
8—12	2·7	3·0	3·3	1·9	4·0	4·6	0·6	2·6	3·2	1·7	1·3	4·5
13—17	5·1	4·3	6·0	3·7	4·3	6·5	2·0	4 6	4·2	3·5	2·0	2·4
18—22	6·5	6·5	7·2	7·1	7·2	6·9	0·0	8·1	9·7	7·4	4·0	6·1
23—27	6·1	6·1	7·2	6·8	7·1	6·7	2·4	6·7	5·9	5·5	6·3	7·5
Październik.												
28—2	6·0	7·3	—	6 7	7·3	7·3	3·1	7·5	9·0	6·1	8·7	7·5
3—7	2·5	2·5	4·5	3·7	4·1	5·3	5·7	3·1	4·5	1·9	5·1	8·5
8—12	1·8	1·6	2·6	1·9	3·6	3·7	0·4	2·9	1·6	1·7	2·5	3·5
13—17	9·7	9 6	10·0	9·5	9·7	9·7	3·8	9·2	8·7	7·9	7·9	8·3
18—22	4·3	4·6	4·8	5·5	5·8	6·0	2·3	5·9	6·2	5·3	6·7	7·5
23—27	4·1	—	5·6	5·1	5·7	6·8	2·2	5·2	5·6	4·7	3·2	4·1
Listopad.												
28—1	6·1	8·7	6·7	6·7	6·9	8·5	2·5	7·4	7·9	7·2	6·4	6·5
2—6	7·1	8·9	7·9	8·7	8·9	7·8	4·7	7·8	8·0	8·0	6·8	7·2
7—11	3·3	3·6	4·2	3·6	4·4	3·3	4·3	4·9	4·3	5·6	3·2	6·0
12—16	3·5	6·9	5·2	3·6	4·9	5·0	2·4	5·4	4·9	4·5	5·1	5·3
17—21	8·1	9·3	9·2	7·9	8·9	9·0	6·1	8·6	10·0	8·3	8·6	9·2
22—26	5·3	8·2	7·7	7·7	8·1	—	4·5	7·0	6·1	6·1	5·6	7·3

Pięciodniowe średnie stanu zachmurzenia nieba.

Miesiąc	Czarny Dunajec	Zakopane	Poronin	Nowy Targ	Białka	Czorsztyn	Żabie	Maków	Myślenice	Lubień	Stryj	Mikuliczyn
Grudzień 1878 rok.												
27— 1	4·6	8·0	6·9	4·7	6·9	6·6	2·0	7·4	7·1	4·9	6·4	8.8
2— 6	9·9	10·0	10·0	10·0	9·8	10·0	7·3	9 5	10.0	9·1	8 9	9·2
7—11	8·8	6·2	8 7	9·1	8 4	8·1	6 9	8·1	10·0	7·1	7·5	8·3
12—16	4·7	6·3	6·6	5·5	6 6	3·6	3·3	6·1	5·9	4·9	4·1	6·5
17—21	6·5	7·2	7·1	5·5	7·5	8·1	4·8	6·9	5·8	7·0	7·8	7·0
22—26	5·1	4·3	4·2	5 5	6·1	5·5	5·3	5·6	—	5·1	4·7	4·8
27—31	4·3	5·6	4·2	7·7	6·3	9·3	6·3	6·9	—	6·1	4·2	5·8
Styczeń 1879 rok.												
1— 5	6·7	7·1	8·0	7·0	7 9	7·0	3·6	7·0	9·1	6·1	7·2	7·3
6—10	8 7	6·6	8 9	8·4	8·6	8·4	3 0	9 1	9·4	6·7	9·0	7 5
11—15	7·3	7·5	7·3	8·6	8 1	8 6	6·7	7·2	6·3	5 5	8 6	7·9
16—20	9·2	9 9	9·3	9 4	9·1	9·4	10·0	9·2	8·3	6 9	9·4	10·0
21—25	4·1	6·5	4·7	4·3	4·7	4·7	2 5	4·5	6·1	4 8	5·0	5·6
26—30	7·3	5 8	6·4	8·7	8·5	7·4	6·0	7·7	8·5	6·8	7·0	7 0
Luty												
31— 4	8·2	5·1	6·7	8·2	8·3	8 3	8·5	6·7	7·5	5·4	7·5	8·0
5— 9	4·7	3·6	4·7	5·5	5·5	5·5	2·5	4·3	4·9	3·8	4·2	4·4
10—14	7·9	8·2	6·6	7·0	7·1	7·0	5·3	7·8	7·9	7·7	6·4	6·9
15—19	6 9	8·0	7·1	7·0	7·1	7·0	2·5	8·3	5·1	7 2	6·6	8·1
20—24	4·5	6·9	4·9	4·4	5·0	4·4	3·3	5·7	4·9	4·6	5·3	6·6
Marzec.												
25— 1	5·1	8·3	9·0	5·7	7·1	6.5	3·7	7·3	7·7	5·8	7·0	7 9
2— 6	6·0	3·7	6·3	5·9	5·9	5·7	4·6	5·9	7·5	5·1	5·4	7·9
7—11	7·9	7·0	7·7	8·1	7·4	6·4	5·0	8·3	8·8	6·2	7·2	6·8
12—16	6·3	9·5	10·0	6·3	6·5	8·3	3·5	7·3	7·4	4·8	6·2	4·8
17—21	5·7	6·1	6·1	6·1	5·8	3·6	5·3	7·3	7·7	6·1	7·6	8·1
22—26	9·1	9·2	9·2	9·1	8·2	8·5	9 0	8·8	8·0	7·7	8·2	10·0
27—31	6·6	6·0	8·7	6·8	8·1	7 3	6·6	7·3	7·3	5·7	9·4	8·5
Kwiecień.												
1— 5	4·9	6·5	6·3	4 8	6·9	—	3·3	5·1	6 7	4·1	6·2	5·5
6—10	6 9	8.7	9·3	7·5	8·7	—	9·0	7·9	8·1	7·1	9·4	8 7
11—15	6·9	8 1	8 6	6·5	8·5	—	6·4	7·9	7·6	7·1	8·3	8·6
16—20	4·3	5·6	5·2	4·4	5·1	—	2·4	4·5	4·1	5·0	4·5	4·7
21—25	7·5	9·1	9·1	7·5	8·5	—	2·7	7·3	7·1	6·0	6·8	6·7
26—30	8 3	9·1	9·3	8·8	9·1	—	6·2	9·0	8·7	8·0	7·4	8·5

Średnie miesięczne stanu zachmurzenia nieba.

Dzień	Czarny Dunajec	Zakopane	Poronin	Nowy-Targ	Białka	Czorsztyn	Żabie	Maków	Myślenice	Lubień	Stryj	Mikuliczyn
1878												
Czerw.	4·1	4·2	5·9	4·3	5 5	3·7	4·4	4·5	5·5	4·8	4·8	6·6
Lipiec	5·5	5·3	7·1	6·3	6·8	6·5	5·0	6·4	6·1	5·3	6·1	7·5
Sierp.	4·5	4.7	5·9	5·2	6·0	5·5	4·9	5·9	4·4	4·2	4·3	6·0
Wrześ.	5·3	5·4	5·7	4·8	5·6	5·7	2·2	5·5	5·5	4·6	4·1	5·4
Paźdz.	4·9	5·4	6·1	5·5	6·1	6·6	2·8	6·2	5·9	4 8	5·5	6·4
Listop.	5·2	7.5	6·7	5 9	6·8	6 3	3·9	6·7	6·5	6·3	5·8	7·2
Grudz.	6·7	6·7	7·0	7·3	7·5	7·3	5·8	7·0	4·2	6·6	6.3	7·0
1879												
Stycz.	7·1	7 3	7·5	7·6	7·6	7·7	5·1	7·3	7·9	6·5	7.7	7·5
Luty	6·0	6·5	6·3	6·2	6.5	6·2	4·1	6·5	6·2	5·7	5·9	6·9
Marzec	7·0	7·0	8·0	7·0	7·0	6·8	5·4	7·6	7·8	6·0	7·6	7·7
Kwiec.	6·5	7·8	8·0	6·6	7·8	—	5·0	7·0	7·2	6·2	7·1	7·1

Pięciodniowe sumy opadu atmosferycznego w millimetrach.

Miesiąc	Czarny Dunajec	Zakopane	Poronin	Nowy-Targ	Białka	Czorsztyn	Żabie	Maków	Myślenice	Lubień	Stryj	Mikuliczyn
Czerwiec 1878 rok.												
31— 4	23·3	17·7	22·4	15·4	15·5	—	3·9	36·4	23·8	17·7	21·5	0·2
5— 9	3 2	4·0	8·3	5·5	3·7	—	7·4	7 0	1·3	5·6	11·5	13·9
10—14	6·6	2·5	9·4	5·7	6·4	3·9	17·4	0·3	8·3	6·2	5·0	8·6
15—19	30·6	42·7	37·2	32·3	31·9	12·9	12·4	42·1	22 5	32·2	25·8	9 7
20—24	—	—	—	—	0·2	—	24·3	—	—	—	0·7	26·3
25—29	2·1	4·6	3·1	2·4	1·5	2·7	75·3	—	0 8	2·5	46·1	124.5
Lipiec.												
30— 4	42·0	3·5	50·4	30·9	21·6	21·9	11·1	18·9	29·8	47·6	10 4	26·5
5— 9	36·6	83·2	33·0	33·0	20·0	19·0	16·5	21·6	11·1	21·0	69·1	19·9
10—14	10·3	31 6	11.2	9·8	8·9	7·5	34·2	8 5	14 7	10·6	30 5	17.3
15—19	25·4	18 2	30·6	31·7	18·0	22·4	13·5	25·0	17 1	22·3	38·1	15 9
20—24	7·6	—	3·2	10·3	3·0	2·1	4·5	6·3	10·8	4·6	10·6	5·9
25—29	1·0	3·5	3·2	2·0	0·7	—	7·0	1·5	—	—	—	0·7
Sierpień.												
30— 3	23·1	35·8	33·9	25·0	25·9	26·1	53·8	26 3	22·3	19·7	87·2	60·9
34— 8	6·4	16·0	19·6	9·2	9·0	10·0	14·0	8·3	13·6	22·2	—	4·6
9—13	72·2	81·7	83·8	69·9	65·3	57·0	24·7	64·0	55·0	44·0	7·6	15·9
4—18	26·1	20·7	11·2	29·4	24·8	16·8	—	23·6	19·3	19·9	17·1	—
19—23	9·2	7·0	15·3	8·6	7·0	5·1	33·8	16·0	7·0	12·2	5·0	26·3
14—28	9·9	6·0	5·1	5 6	3·7	3·0	15·3	4·6	6·2	4·6	13·0	13·8

Pięciodniowe sumy opadu atmosferycznego w millimetrach.

Dzień	Czarny Dunajec	Zakopane	Poronin	Nowy Targ	Białka	Czorsztyn	Żabie	Maków	Myślenice	Lubień	Stryj	Mikuliczyn
Wrzesień.												
29—2	23·3	19·5	21·1	12·4	16·3	15 7	20·0	5·8	19·2	19·2	21·0	14·2
3—7	3·3	6·5	2·7	4·1	0·7	—	2 0	6·3	9·4	—	3 7	18·7
8—12	0·1	—	—	0·5	0·2	—	2·1	—	—	—	—	—
13—17	1·8	4·1	2·8	2·4	4·9	5·1	4·5	1·2	—	—	15·6	17·8
18—22	50·0	50·4	41·3	38·4	36·8	24·4	—	47·1	47·8	51·6	2·2	—
23—27	32·1	20 2	18 2	18·0	17 2	14·3	3 7	9·0	20·1	18·2	6·7	9·1
Październik.												
28—2	12·2	9·5	—	10·7	10·6	8·1	17·7	22·8	18·1	6·0	42·5	10·8
3—7	—	—	—	—	—	—	10·1	2·7	—	—	19 6	38·1
8—12	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
13—17	46·8	47·0	46·2	54·8	39·6	35·9	8·4	57·8	26·2	45 9	15·3	7·2
18—22	12·4	13·5	11·4	8·9	3·8	4·6	—	9·4	34·7	10·9	22 8	1·1
23—27	2·2	—	3·5	4·4	1·8	4·1	12·0	3·0	8·2	6 6	24·0	8·2
Listopad.												
28—1	24·6	21·5	10·6	19·6	17·2	20·8	—	21·2	1·7	17·4	27·1	8·9
2—6	20·5	14·5	28·9	22·1	21·1	9·1	—	11·7	47·7	26·4	8·6	16·7
7—11	5·6	13·5	2·8	3·3	7·4	2·4	17·7	8·0	5·7	1·4	19·3	9·6
12—16	5·2	—	—	3·0	1·2	—	—	—	—	—	9·9	1·0
17—21	3·9	—	—	1·6	2·2	9·8	3·1	1·8	2·1	3·4	14·9	6 8
22—26	25·9	24·0	21·7	23·3	6·6	10·3	4·1	28·2	4·2	27·5	14·1	2·1
Grudzień 1878 rok.												
27—1	0·1	—	—	—	0·5	—	—	—	—	—	3·2	—
2—6	10·3	15·0	6·6	8·8	9·3	8·2	27·5	6·6	4·1	5·2	20·0	10·4
7—11	9·4	11·0	6·5	11·7	8·7	10·5	6 0	13·4	25 5	2·2	3·2	14·0
12—16	2·6	—	3·7	3·0	2·1	3 0	3·0	4·2	6·9	—	1·5	6·9
17—21	21·8	26 2	15·2	18·4	17·9	17·6	34·7	9·2	12·2	0·4	85·6	70·3
22—26	1·8	—	6 2	4·6	1·1	4 6	2·0	1·7	—	1·2	—	6·1
27—31	4·3	8·3	4·2	4·4	2·1	4·4	4·0	3·3	—	6·4	—	—
Styczeń 1879 rok.												
1—5	10·4	9·0	11 4	11.0	3·3	10.9	3·6	7·3	1 1	16·8	5·9	1·7
6—10	9·1	11·0	5·4	4·7	4·1	4·7	5·[illegible]	5·8	21·2	6·5	5·6	15·6
11—15	6·1	13·0	4·2	3·6	2·4	3·6	10·1	3·8	—	—	29·2	8·4
16—20	8·1	6·6	7·3	8·4	7·7	8·4	6·0	4 2	—	—	12·2	3 7
21—25	—	—	—	—	—	—	—	0·4	—	—	—	—
26—30	1·0	—	1·4	0·8	0·4	0·7	—	0·3	1·4	0 5	—	—
Luty.												
31—4	10·2	17·5	11·0	9·0	8·9	9·0	—	4·9	2·3	3·6	15·7	3·0
5—9	—	—	—	0·5	1·3	0·5	—	0·2	—	—	—	0·3
10—14	15·1	14·5	8·6	8·0	9·3	8·0	1·4	16·3	21·9	18·4	0·4	5·2
15—19	4·4	—	—	3·2	1·4	3·2	1·4	1·5	—	2·8	4·0	—
20—24	5·7	—	7·8	3·5	3·9	3·5	3·4	0·8	3·2	1·2	9·8	1·3

Pięciodniowe sumy opadu atmosferycznego w millimetrach.

Dzień	Czarny Dunajec	Zakopane	Poronin	Nowy Targ	Białka	Czorsztyn	Żabie	Maków	Myślenice	Lubień	Stryj	Mikuliczyn
						Marzec.						
26— 1	5·2	26·0	2·5	7·6	0·8	7·5	0·9	2·3	12·9	3·6	17·0	3·9
2— 6	7·7	5·0	5·1	11·2	4·0	10·7	2·6	10·5	14·6	11·2	8·5	0 5
7—11	7·7	17·2	8·9	7·5	3 9	6·7	2·2	3·6	3·5	9·6	9 5	3·8
12—16	12·4	9·6	7·0	11·1	1·5	5·9	0·7	10·8	3·4	7·4	12·8	1·7
17—21	1·8	2·1	0·9	1·9	0·2	0·4	0·3	1 0	1·1	2·4	4·9	5 5
22—26	28·1	32·7	—	21·5	26·4	7·9	1 0	13·9	38·5	29·6	17·4	18·9
27—31	0·8	—	2·1	0·3	—	0·9	2·0	1·8	3·4	8·2	11·8	3·2
						Kwiecień						
1— 5	—	3·5	6·3	0·9	0·6	—	0·2	2·0	0·7	1·6	—	—
6—10	17.9	14·7	9·3	14·7	13·7	—	13·4	3·9	2·1	16.9	12·3	19·2
11—15	9.5	8·8	8·6	3·2	9·2	—	2·5	13·3	3·1	16·0	31·0	6·7
16—20	1·7	7·5	5·2	0·0	0·6	—	0·0	0·0	29·3	0·0	3·7	10·3
21—25	20·3	25·8	9 1	21·5	23·2	—	3·4	20·5	10·3	3·8	18·0	13·1
26—30	21·1	15·8	9·3	28·4	12·8	—	3·5	18·1	25·6	43 0	52·2	14·3

Miesięczne sumy opadu atmosferycznego w millimetrach.

Miesiąc	Czarny-D.	Zakopane	Poronin	N.-Targ	Białka	Czorsztyn	Żabie	Maków	Myśleni ce	Lubień	Stryj	Mikuliczyn
1878												
Czerw.	70 8 15	69·0 15	88 8 15	67 9 16	57·0 17	19·5 5	140·7 16	78·0 16	54 3 9	72·1 15	110 6 16	183·2 19
Lipiec	130 9 21	158 7 20	142·6 16	121·0 2?	88·0 22	85·4 12	86·8 13	96·2 23	95·7 17	104 0 19	158·7 22	98·9 ?2
Sierp.	118 5 18	149·8 18	155·0 15	163 4 15	144 6 18	131·3 17	110 5 14	156 6 22	131·1 18	117·5 10	129·7 15	130·7 17
Wrześ.	95 5 12	84·2 8	72·2 7	65·8 11	64 7 12	54·5 9	21·8 8	79 6 13	90·1 11	74 4 8	86·7 9	61·0 9
Paźdz.	95 3 16	82·0 12	83·5 13	98·3 17	73·0 17	71·3 10	43·7 7	103 6 19	88·9 13	86·8 14	109·5 12	65 6 12
Listop.	62·0 15	52·0 9	53·3 6	54·7 17	33 0 14	33·8 7	24·9 6	50 1 15	59 7 9	58 7 13	70·3 10	37 1 18
Grudz.	50·3 15	60·5 11	42·6 13	50·9 17	41·7 18	48·3 20	77·2 19	38 4 17	48 7 14	15·4 12	113·5 12	107·7 26
1879												
Stycz.	35·1 18	39.6 10	29·7 12	28 5 22	18·6 19	28·3 18	24·9 10	22 1 19	23·7 9	23·8 17	57·5 10	30·6 20
Luty	39·4 17	58·0 12	29·4 8	31·2 13	24·8 13	31·2 13	6·6 9	25·2 12	27·7 7	28·4 12	40·9 11	12.0 17
Marzec	59·3 21	66·6 16	46·7 15	54·1 20	36·1 14	33·0 22	9·3 11	42·1 18	77·1 17	69·6 21	66·3 15	34·1 23
Kwiec.	70·5 13	76·1 13	85·5 13	68·7 15	60·1 12	—	23·0 8	57·8 13	71·1 10	81·3 13	117·2 14	63·6 13

Spis Rzeczy

zawartych w IV tomie.

